

Nora Roberts
Noc na bagnach Luizjany

I wola Bóg samotnym rogu głosem,
A czas i świat jednako zawsze pierzcha.
Miłość jest mniej łaskawa od szarego zmierzchu,
Nadzieja nie tak droga jak poranna rosa.

W. B. Yeats *Zmierzch* (fragm.)
przeł. Ewa Życieńska

Prolog

Na bagnach śmierć roztacza całą swą okrutną krasę. Jej cienie sięgają głębi. Pod ich osłoną coś czasem zaszeleści w bagiciennej trawie, w sitowiu lub w splątanych pnączach *kudzu**. Szelest jest oznaką życia lub świeżo zadanej śmierci, która zije gęstym zielonym oddechem i lśni żółtymi oczami w ciemności.

Rzeka, cicha jak wąż, płynie krętym nurtem przez rozlewisko. Błady księżyc w pełni oświetla czarną wodę, której powierzchnię rozrywają kolanka cyprysu, sterczące niczym kości przebijające skórę.

Ciemną, cętkowaną światłem księżycą toń pruje długie ciało aligatora, pokryte guzowatymi tarczkami. Płynie bezszelestnie, marszcząc jedynie tafłę wody. W milczeniu gada kryje się tajemna groźba. Atakując, triumfalnie tnie wodę ogonem niby nożem, a mordercze szczęki zaciskają się na nieświadomym niebezpieczeństwa piżmoszczurze. Echo poniesie po bagnie tylko krótki, pojedynczy krzyk, a za chwilę aligator wraz ze swoją zdobyczą zagłębi się w błotnistym dnie rozlewiska.

Niejeden już poznał okrutne, milczące głębiny rzeki i wie, że nawet w skwarze letniego upału rzeka pozostaje zimna, niemal lodowata. Nasiąkłe bezmiarem tajemnic bagna nigdy jednak nie pogrążają się w zupełnej ciszy. W nocy, przy pełni księżycą, śmierć zbiera tu swoje żniwo.

* *Kudzu* - polska nazwa pnącza: opomik łąkowy (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

Komary - żarłoczne bagiennie wampiry - bzyczą, unosząc się radosną chmurą. Muzyce bagiennej orkiestry towarzyszą odgłosy bzyczenia, buczenia i kapania, raz po raz przerywane rozdzierającym jękiem ofiar, które właśnie ktoś upolował.

Sowa usadowiona na wysokim konarze dębu, pokrytego mchem i listowiem, huka, powtarzając dwie żałobne nuty. Czujny bagienny królik, słysząc je, rzuca się do ucieczki, by ratować życie.

Lekki wiatr porusza powietrze i zaraz znika, jakby był tylko krótkim westchnieniem pozaziemskiej istoty.

Sowa, gwałtownie rozpościerając skrzydła, spada z gałęzi prosto na swoją ofiarę. W pobliżu miejsca, gdzie pograżyła się w bagnie i gdzie zginął królik, stoi stara szara budowla z pochylą przystanią. Z tyłu, otoczony rozległym wspaniałym trawnikiem, wznosi się wielki biały dwór, niby jaśniejąca w księżycowej poświacie strażnica.

A między nimi rozciąga się kipiące życiem i dyszące śmiercią bagno.

1

Manet Hall, Luizjana
29 grudnia 1899

Dziecko cicho zapłakało. Abigail przez sen usłyszała delikatne, niespokojne kwilenie; towarzyszyło mu przebieganie rączkami i nóżkami, przykrytymi lekkim pledem. Abby odczuła głód i pragnienie swego dziecka jako dziwne sensacje w brzuchu, jakby małeństwo wciąż przebywało w jej łonie. Jeszcze się całkiem nie rozbudziła, gdy z jej piersi zaczęło wypływać mleko.

Szybko wstała, ani chwili się nie ociągając. Uczucie pełności w piersiach i ich wrażliwość sprawiały jej swoistą przyjemność. Po to są. Dziecko ich potrzebowało, a ona wiedziała, że potrafi zaspokoić jego potrzeby.

Przeszła przez pokój, podeszła do kanapki w stylu recamier i sięgnęła po rozpostarty na jej oparciu biały szlafroczek. Wciągnęła głęboko do płuc zapach cieplarnianych lili, stojących w kryształowym wazonie, który otrzymała w prezencie ślubnym. Uwielbiała zapach lili, ale dopóki nie spotkała Luciana, zupełnie jej wystarczały polne kwiaty, które wstawiała do zwykłych butelek.

Gdyby Lucian był teraz w domu, na pewno by się obudził, a ona uśmiechnęłaby się do niego, pogładziła dłonią jego jedwabiste blond włosy i powiedziała, żeby nie wstawał, tylko jeszcze spał. Mąż by jej jednak nie posłuchał: wstałby i przyszedł do dzieciennego pokoju, zanimby skończyła nocne karmienie małej Marie Rose.

Abigail boleśnie odczuwała nieobecność męża. Wkładając szlafrok, z ulgą sobie przypomniała, że Lucian ma nazajutrz

wrócić do domu. Od samego rana zaczęli go wypatrywać, czekając na moment, gdy go zobaczy pędzącego galopem przez dębową aleję.

Nie dbała o to, co sobie ktoś pomyśli czy powie. Wybiegnie mu naprzeciw i serce jej zatrzepocze jak zawsze, gdy zeskakiwał z konia, podnosił ją z ziemi i brał w ramiona.

Wieczorem będą tańczyli na sylwestrowym balu. Zaświeciła świecę, osłoniła płomyk dłonią i cicho nucąc, wyszła na korytarz. Myślała o tym, że w tym wielkim domu była kiedyś służącą, a teraz... no tak... teraz jest żoną syna rodu.

Pokój dziecienny mieścił się na drugim piętrze zajmowanego przez rodzinę skrzydła. Nie udało się Abigail wygrać batalii, jaką toczyła o ten pokój z matką Luciana. Przegrała. Josephine Manet przestrzegała pewnych zasad dotyczących sposobu bycia, stosunków w rodzinie i zachowania tradycji. Pani Josephine - myślała Abigail, gdy szybkim krokiem minęła drugie drzwi do sypialni - miała sprecyzowane poglądy na każdy temat. Teściowa się uparła, że trzymiesięczne niemowlę musi przebywać w pokoju dzieciennym pod opieką niani, a nie w kołysce wciśniętej w kąt sypialni rodziców.

Świeca migotała i jej błyski odbijały się na ścianach, kiedy Abigail wchodziła po zwięzających się schodach na górę. Dobrze choć, że udało jej się utrzymać przy sobie Marie Rose przez pierwsze sześć tygodni życia dziecka. Cieszyła się też, że może używać kołyski tradycyjnie służącej dzieciom w jej rodzinie. Wyrzeźbił ją jej dziadek. Spała w niej najpierw matka Abigail, a po siedemnastu latach ją samą w niej utulano.

Marie Rose także spędziła pierwsze noce w starej kołysce, dzięki czemu mały aniołek mógł mieć rodziców tuż pod bokiem. To nic, że cały czas byli w nią wpatrzeni i trochę za bardzo nerwowi.

Abigail pragnęła, by jej córeczka wychowywała się w szacunku dla rodziny swego ojca i wyznawanych przez nią zasad. Uważała jednak, że dziecko powinno również szanować rodzinę swojej matki i jej styl bycia.

Josephine często krytykowała sposób, w jaki Abigail z Lucianem wychowują swoje dziecko, i wyśmiewała własnej roboty kołyskę, tak że w końcu dla świętego spokoju młodzi się poddali. Lucian powiedział, że słowa matki są jak krople wody

drażące skałę: płyną i płyną; więc choć skała nie ustąpi, to na pewno ulegnie zniszczeniu.

Przenieśli dziecko do pokoju dzieciennego, w którym spało teraz w kołysce dawno temu specjalnie zamówionej we Francji. Dzieci Manetów spały w niej podobno od stu lat.

Ustąpienie teściowej w tej sprawie Abigail uznała za konieczne, choć przeniesienie dziecka wcale nie było jej na rękę. Pocieszała się, tłumacząc sobie, że jej *petite* Rose należy w końcu do rodu Manetów i wyrośnie na damę.

Pani Josephine argumentowała, że nareszcie krzyki małej przestaną zakłócać sen pozostałym członkom rodziny, no i że to, co uchodzi biedakom żyjącym na bagnach, nie może być tolerowane w rezydencji Manetów, gdzie zawsze dzieci wychowywały się w pokojach dzieciennych. T trzeba było widzieć, jak jej się wargi wydymały, gdy wymawiała słowo „bagna”... Wypowiadała je z pogardą, jakby to był jakiś gorszący wyraz, używany tylko w burdelach czy barach.

Abby nie przejmowała się zbytnio, że pani Josephine jej nieawidzi, pan Henry ją ignoruje, a Julian przygląda jej się takim wzrokiem, jakim mężczyzna nie powinien patrzeć na swoją bratową. Najważniejsze, że Lucian ją kocha. Tylko to się liczyło.

Nie szkodzi - myślała - że Marie Rose śpi teraz w pokoju dzieciennym. To nic, że dzieli je piętro... a niechby i cały kontynent... Będąc matką Marie Rose, wyczuwała każde pragnienie dziecka, każdą jego potrzebę. Więzy łączące ją z córką były tak silne i oczywiste, że nic nie mogło ich zerwać.

Chociaż pani Josephine wygrywała niektóre bitwy, Abigail wierzyła, że ostateczne zwycięstwo będzie należało do niej, gdyż jej wielkim atutem w tej wojnie był Lucian i Marie Rose.

W dzieciennym pokoju płonęły świece, bo niania Claudine nie miała zaufania do światła gazowego. Trzymała na ręku Marie Rose i usiłowała uspokoić małą, podając jej do ssania smoczek napełniony cukrem; rozzłoszczone dziecko wymachiwało piąstkami, wyrzucając je w górę jak piłeczki, i ani myślało przestać.

- Ależ ona ma temperament! - śmiała się Abigail. Postawiła świeczkę na stole i przeszła przez pokój, wyciągając do dziecka ramiona.

- Kiedy mała czegoś chce, to dobrze wie, czego... - orzekła niania. Claudine była Akadyjką* i miała typową dla tej grupy etnicznej domieszkę krwi francuskiej, indiańskiej, a może i hiszpańskiej. Była ładną młodą dziewczyną o sennych ciemnych oczach. Krótko popieściła dziecko i oddała je matce. - Marie Rose jeszcze nie zaczęła na dobre rozrabiać. Nie wiem, jak to się stało, że ją usłyszałaś na dole.

- Bo ja ją słyszę sercem, nie uchem. No, malutka! Masz już mamusię przy sobie!

- Zmoczyła pieluszkę - zauważyła Claudine.

- Zaraz ją zmienię. - Abigail uśmiechała się, pocierając policzkiem buzię dziecka. Claudine była jej przyjaciółką, toteż walczyła o zatrudnienie jej do pomocy przy dziecku, i tę bitwę wygrała. Obecność Claudine dodawała Abigail pewności siebie; przyjaciółka dotrzymywała jej także towarzystwa, gdy nie było w pobliżu nikogo z rodziny Luciana. - Możesz wrócić do łóżka, Claudine. Jeśli teraz nakarmię małą, będzie spała do rana.

- Tak! Jest bardzo grzeczna - Claudine pochwaliła dziewczynkę, czochrając koniuszkami palców wijące się kędziory małej. - Skoro mnie teraz nie potrzebujesz, miałabym ochotę przejść się spacerkiem nad rzekę, Jasper powiedział, że będzie tam na mnie czekał. - W ciemnych oczach dziewczyny zapaliły się iskierki. - Obiecałam mu, że jeśli uda mi się wyjść, to przyjdę do niego po północy.

- Postaraj się, żeby ten chłopiec się z tobą ożenił, ot co... moja droga!

- Pójdę już, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Wrócę za godzinę lub dwie.

- Dobrze. Zgadzam się, ale uważaj, żebyś niczego nad wodą nie złapała... najwyżej parę rzecznych raków... nic innego! - Abigail napominała przyjaciółkę, zabierając się do zmiany zabrudzonej pieluszki.

- Nie martw się! Będę przed drugą. - Idąc w kierunku drzwi, nagle się zatrzymała. - Abby? Czy się spodziewałaś

* Akadyjczycy wywodzą się od osadników francuskich, którzy przybyli do Luizjany w XVIII wieku z Akadii w Nowej Szkocji w Kanadzie.

kiedyś, gdy byliśmy dziećmi, że któregoś dnia zostaniesz panią tego domu?

- Nie jestem tu panią - odparła Abigail. Łaskotała paluszki u nóg dziecka i Marie Rose śmiała się w głos. - A ta, która nią jest, będzie chyba żyła sto lat choćby po to, żeby mi zrobić na złość i mieć pewność, że nigdy tego zaszczytu nie dostąpię.

- To do niej podobne, ale pewnego dnia i tak zostaniesz tu panią. Miałaś szczęście, Abby, i ciesz się z tego.

Abigail, zostawszy sama z małą, przez chwilę jeszcze z nią się bawiła i pieściła, przemawiając do niej czule. Potem przypudrowała córeczkę, pomasowała i ciasno owinęła czystą pieluszką. Następnie ubrała Marie Rose w nową sukienkę, włożyła w becik, usiadła z dzieckiem na bujaku i odsłoniła pierś, przystawiając do niej malutkie, głodne usteczka. Gwałtowne ssanie wywołało u Abigail charakterystyczną reakcję w łonie; radośnie westchnęła. Tak, rzeczywiście spotkało ją szczęście: Lucian Manet, młody dziedzic tego majątku, piękny niczym rycerz z bajki, zobaczył ją i od razu pokochał.

Pochyliła głowę, patrząc, jak dziecko ssie. Marie Rose spoglądała w twarz matki szeroko rozwartymi oczkami; między jej brwiami utworzyła się malutka zmarszczka świadcząca o wielkim skupieniu.

Abby miała nadzieję, że oczy dziewczynki pozostaną niebieskie jak oczy Luciana. Ciemne i wijące się włosy wzięła po matce, ale mlecznobiała cera bardziej przypominała karnację ojca niż sniadą, lekko złocistą skórę akadyjskiej mamy.

Mała odziedziczyła najlepsze cechy ich obojga - pomyślała Abby. Oby wszystko, co najlepsze na świecie, stało się jej udziałem! Nie chodziło o pieniądze, o wspaniałą rezydencję i pozycję społeczną, chociaż gdy sama tego dobra zakosztowała, zapragnęła go także dla swoich dzieci. Bardziej jednak zależało jej na tym, by dzieci w przyszłości zdobyły wiedzę i miały poczucie, że należą do wyższej sfery. Córka i te dzieci, które dopiero przyjdą na świat, będą umiały czytać i pisać, mówić dobrze po angielsku i francusku, a brzmienie ich głosu nie będzie prostackie. I nikt nie ośmieli się patrzeć na nie z góry.

- Będiesz damą - mruczała Abigail, gładząc policzek dziecka, a Marie Rose rączką uciskała jej pierś, jakby chciała przyspieszyć wypływ mleka. - Będiesz wykształconą damą,

odziedzicysz łagodne usposobienie swego taty i życiową mądrość mamy. Tatuś jutro wraca do domu, wiesz? A jutro będzie ostatni dzień tego wieku, czeka więc ciebie życie w nowym stuleciu...

Mówiła cichym, monotonnym, usypiającym głosem.

- Żebyś wiedziała, moja malutka Rossie, jaki niezwykły będzie jutrzejszy dzień! Wybieramy się wieczorem na wielki bal. Mam nową suknię, błękitną jak twoje oczęta i oczy twego taty. Czy ci już mówiłam, że najpierw zakochałam się w jego oczach? Są takie piękne i dobre. Gdy twój tatuś po studiach uniwersyteckich przybył do rezydencji, wyglądał jak książkę, który powraca na swój zamek. Ach, jak mi wtedy waliło serce...

Wtuliła się plecami w oparcie bujaka i kołysała się razem z dzieckiem. Świece migotały, a ona myślała o tym, jak uroczyście będą obchodzili wieczór sylwestrowy, jak cudownie będzie się czuła w ramionach Luciana i jak pięknie będzie się jej suknia unosila i wirowała w walcu. Chciała, by mąż był z niej dumny. Przypomniała sobie ów wieczór, gdy po raz pierwszy tańczyła z nim walca.

Była wtedy wiosna. W powietrzu rozchodziła się upojna woń kwiatów, dom oświetlony rzęście wyglądał jak prawdziwy pałac. Abby porzuciła zajęcia w kuchni i wyszła do ogrodu, by zobaczyć bal w rezydencji. Nie mogła oprzeć się chęci obejrzenia go z bliska.

Biały dwór, otoczony ciemną koronką balustrady, lśnił na tle gwiazdzistego nieba. Muzyka wylewała się z otwartych okien i drzwi wiodących na taras, na który wychodzili goście pragnący się ochłodzić i zaczerpnąć świeżego powietrza.

Oczami wyobraźni Abby widziała siebie na sali balowej, jak wiruje w takt muzyki. A po chwili uniesiona jej dźwiękami naprawdę wirowała, tańcząc samotnie w cieniu ogrodu. I nagle zobaczyła, że Lucian ją obserwuje. To było jak w bajce... Książę ujął Kopciuszka za rękę i porwał w tany tuż przed wybiciem północy. I chociaż Abigail nie miała szklanych pantofelków ani powozu z dyni, uległa magii tej nocy.

Wciąż jeszcze miała w uszach dźwięki muzyki unoszące się w powietrzu i rozbrzmiewające w całym ogrodzie.

- *A kiedy bal przeminął i na dworze zajaśniał dzień...* —

śpiewała cichutko słowa refrenu, przykładając córeczkę do drugiej piersi... *-Kiedy tańczący wyszli i gwiazdy spowił cień...*

Ogród tonął w blasku księżycy, a oni tańczyli przy dźwiękach tej pięknej, smutnej pieśni. Przed nimi lśniła biała rezydencja, za nimi snuły się mroki nocy. Ona miała na sobie prostą perkalową sukienkę, on elegancki strój wieczorowy i jak to się zdarza w bajkach, oboje zakochali się w sobie, zasłuchani w tę sentymentalną melodię.

Chociaż nie! Abby dobrze wiedziała, że jej miłość zrodziła się na długo przed tą nocą. Zaczęła się w momencie, gdy po raz pierwszy ujrzała Luciana na kasztance; przebył na grzbiecie konia drogę z Nowego Orleanu do plantacji. Wciąż jeszcze miała w oczach ten widok: słońce przebijające się przez liście drzew, mech obrastający konary starych dębów i Lucian pędzący środkiem alei, otoczony szpalerem zieleni, a nad nim gałęzie drzew rozpostarte niby skrzydła aniołów. Obok niego cwałował na koniu Julian, jego brat bliźniak, ale Abigail widziała tylko Luciana.

Zaledwie kilka tygodni wcześniej została zatrudniona w rezydencji jako młodsza pokojówka. Usilnie starała się zadowolić państwa Manetów, bo bardzo jej zależało na tym, by się utrzymać na posadzie i móc zarabiać.

Ilekcroć Lucian ją mijał, zawsze zwracał się do niej uprzejmie i zachowywał poprawnie, ale czuła, że bacznie się jej przygląda. Nie patrzył na nią tak jak Julian, który obrzucał ją palącym wzrokiem, a usta wykrzywił w ironicznym uśmiechu, lecz - co teraz z przyjemnością wspominała - z tęsknym pożądaniem w oczach. W miarę jak upływał czas, coraz częściej go spotykała. Miała wrażenie, że on szuka okazji, by ją zobaczyć. Lucian przyznał się do tego podczas ich nocy poślubnej, więc już wiedziała na pewno, że tak było, i ceniła to sobie.

Ale tak naprawdę wszystko się zaczęło na balu owej sylwestrowej nocy. Gdy pieśń przebrzmiała, Lucian przytrzymał ją jeszcze chwilę, a potem skłonił się, jak dżentelmen kłania się po tańcu damie, i pocałował w rękę. A kiedy Abby myślała, że to już koniec i czar zaraz pryśnie, Lucian wziął jej rękę, tę sarną, którą przedtem ucałował, włożył pod ramię i zaproponował spacer. Rozmawiali o pogodzie, o kwiatkach i wymie-

niali ploteczki o domu i rodzinie. Zachowywali się tak, jakby byli przyjaciółmi - z uśmiechem wspominała Abby. Jakby najnaturalniejszą rzeczą pod słońcem było to, że młody dziedzic, Lucian Manet, spaceruje po ogrodzie z pokojówką Abigail Rouse.

Potem często jeszcze wybierali się wieczorami na wspólne przechadzki, ale przy ludziach zachowywali się jak pan i służąca. Niemniej przez całą tę upojną wiosnę snuli się po ścieżkach ogrodu jak kochankowie, zwierając się sobie ze swoich nadziei i marzeń, zmartwień i radości.

Na siedemnaste urodziny Abigail Lucian przyniósł jej prezent. W pudełku obłożonym srebrnym papierem i przewiązanym błękitną wstążką znalazła piękny emaliowany zegarek, zwisający z broszki w kształcie złotych skrzydeł. Przypinając broszkę do spłowiałej perkalowej sukienki, jaką Abigail miała na sobie, Lucian powiedział, że szybko mija mu czas, gdy są razem, i wyznał, że wolałby umrzeć niż spędzić resztę życia z dala od niej. Potem ukląkł przed nią i poprosił, by została jego żoną.

- Nie! To być nie może... - tłumaczyła mu przez łzy. Dodała, że choć dla niej jest nieosiągalny, to przecież bez trudu zdobędzie każdą dziewczynę, jaką tylko zechce.

Przypomniała sobie, że szczerze się wtedy roześmiał i jego piękna twarz promieniowała radością.

Jak może mówić - spytał - że jest dla niej nieosiągalny, gdy trzyma jego dłoń w swojej ręce! A skoro, jak twierdzi, może mieć każdą dziewczynę, to wybiera właśnie ją.

- I tak mamy teraz nie tylko siebie, ale także i ciebie, kochanie moje - szepnęła Abby, przyciskając drzemiące dziecko do ramienia. - A jeśli nawet jego rodzina mnie nienawidzi - mówiła dalej - to nie przejmuję się tym, bo Lucian jest ze mną szczęśliwy. - Wtuliła twarz w delikatne zgięcie szyi dziecka i ciągnęła półgłosem: - Uczę się mówić tak, jak oni mówią, ubierać - jak oni się ubierają, i chociaż nigdy nie będę myślała jak oni, to dla Luciana staram się zachowywać podobnie do nich, przynajmniej wtedy, gdy na mnie patrzą.

Zadowolona masowała dziecku plecki i kołysała się na bujaku. Natychmiast się jednak zerwała, gdy dobiegło ją ciężkie stąpanie po schodach. Ktoś, potykając się, wchodził na górę.

Otoczyła ramionami dziecko, jakby je chciała obronić, i ruszyła w kierunku kołyski. Usłyszała, że Julian stanął w drzwiach, i wiedziała, nawet nie patrząc, że jest pijany. Prawie codziennie albo był pijany, albo właśnie miał zamiar się upić. Nie odezwała się do niego. Położyła dziecko do kołyski, a kiedy mała zaczęła niespokojnie kwilić, głaskała ją dopóty, póki się znowu nie uspokoiła.

- Gdzie się podziewa niania? - spytał.

- Nie życzę sobie, żebyś wchodził do tego pokoju, kiedy piłeś — powiedziała, nie odwracając się do niego.

- Tak? A od kiedy ty tu rozkazujeś? - mruknął bełkotliwie. Widać było, że z trudem utrzymuje równowagę. Myśli miał jednak niezmacone. Julian święcie wierzył, że alkohol rozjaśnia mu umysł, a jeśli chodziło o żonę brata, miał jasno sprecyzowany stosunek: zawsze pragnął rzeczy, które należały do brata, a czymże jest kobieta, jak nie rzeczą? Abigail, choć drobna i delikatnej budowy, nogi miała mocne i kształtne. Widział ich zarys, bo ogień płonący na kominku przeświecał przez cienką nocną koszulę. Uważał, że te nogi mogłyby równie dobrze objąć mocnym uściskiem jego ciało zamiast brata. Jej pełne, sterczące piersi stały się jeszcze pełniejsze po urodzeniu dziecka. Gdy kiedyś chwycił je w swe dłonie, dostał od Abigail po twarzy, jakby miała prawo decydować, kto może jej dotykać, a kto nie.

Zamknął za sobą drzwi. prostytutka, z którą spędził część wieczoru, tylko pobudziła jego apetyt na seks. Teraz uznał, że przyszła pora, by go zaspokoić.

- Gdzie się podziewa ta druga dziwka z bagien? - chciał wiedzieć.

Abby zacisnęła dłoń w pięść. Stała przed kołyską, swoim ciałem broniąc do niej dostępu. Chociaż Julian z wyglądu ogromnie przypominał Luciana, różnił się od niego cechami charakteru: był hardy i miał w sobie jakąś ciemność, która znamięnowała podłość i okrucieństwo.

Abigail zastanawiała się przez chwilę, czy to prawda, co powiedziała jej kiedyś babka, że u bliźniaków często w łonie matki następuje podział cech: jeden otrzymuje dobre, a drugi złe. Nie wiedziała, czy Julian z natury jest zepsuty, bo taki przyszedł już na świat, ale jedno było dla niej absolutnie pew-

ne: pijany stawał się bardzo niebezpieczny. Chciała dać mu poznać, że ona też potrafi być niebezpieczna.

- Claudine jest moją przyjaciółką - powiedziała ostro - i nie masz prawa źle się o niej wyrażać. Wyjdź stąd! Nie wolno ci tu przychodzić i mnie obrażać. Tym razem Lucian na pewno się o tym dowie.

Zauważyła, że spojrzenie Juliana ześlizguje się z jej twarzy w dół, i w jego oczach wyczytała pożądanie. Szybko zakryła peniuarem pierś odsłoniętą do karmienia.

- Jesteś obrzydliwy! *Cochon!* Świnia! Jak możesz wchodzić do dziecinnego pokoju z plugawymi zamiarami w stosunku do żony swego brata?!!

- Powiedziałbym raczej: kurwy mego brata... - odparował. Czuł, że bije od niej gniew i przerażenie, i to go jeszcze bardziej odurzało. - Rozwarłabyś nogi dla mnie, gdybym się urodził o piętnaście minut wcześniej od Luciana. Ale ze mną nie udałoby ci się tak łatwo jak z Lucianem. Mego nazwiska nie udałoby ci się zdobyć.

- Nie zwróciłabym na ciebie uwagi, bo jesteś nikim w porównaniu z Lucianem. Cieniem cuchnącym whisky i burdelem.

Mimo tych ostrych słów Abby była przerażona, chciała jak najprędzej uciec. Julianowi znów udało się doprowadzić ją do takiego stanu. Choć robił to zawsze w okropnie prymitywny sposób, przeważnie osiągał swój cel: wywoływał w niej lęk. Nie mogła jednak zaryzykować, by został tu sam z jej dzieckiem. Spróbowała postraszyć go Lucianem.

- Gdy opowiem o wszystkim Lucianowi, wyrzuci cię stąd - zagroziła.

- Wszyscy wiemy, że on nie ma tu nic do gadania - odparł, podchodząc do niej bliżej. Posuwał się ostrożnie jak myśliwy w lesie. - W tym domu rządzi nasza matka i to ja jestem jej ulubieńcem. Dla niej nie jest ważne, który z nas się wcześniej urodził.

- Lucian pozbędzie się ciebie, zobaczysz! - mówiła bliska płaczu, bo wiedziała, że to, co powiedział, jest zgodne z prawdą: w domu Manetów niepodzielnie rządziła Josephine.

- Lucian wyrządził mi przysługę, żeniąc się z tobą - Julian leniwie przeciągał słowa, jakby prowadził z nią zwykłą rozmowę.

wę. Dobrze wiedział, że ona nie ma dokąd uciec. - Matka już wykreśliła go z testamentu - dodał. - Dom co prawda dostanie, bo tego nie da się zmienić, ale to ja odziedziczę jej pieniądze. A właśnie pieniądze utrzymują ten dom...

- Weź sobie pieniądze, weź ten dom, weź wszystko i niech cię piekło pochłonie! - krzyczała, dramatycznym gestem wyrzucając przed siebie ręce.

- Lucian jest słaby, ten mój święty braciszek jest słaby. Pod pobożnością świętych zawsze kryła się słabość.

o wiele bardziej męski od ciebie!

Miała nadzieję, że go do tego stopnia rozzłości, iż ją uderzy i potem ucieknie. Tymczasem on zaśmiał się niskim, cichym głosem i jeszcze o parę kroków do niej się zbliżył. Z jego oczu wyczytała, do czego zmierza; z szeroko otwartych ust Abby wydarł się krzyk. Julian wyciągnął ku niej rękę i chwyciwszy pęk ciemnych włosów, które długimi lokami opadały jej do pasa, pociągnął tak mocno, że krzyk Abigail przeszedł w charczący spazm. Drugą ręką objął jej szyję i ścisnął.

Zwykłem zabierać Lucianowi to, co jego - powiedział. - Także jego dziwki.

Abby rozpaczliwie się broniła. Walila go pięściami i gryzła, u gdy udało jej się wciągnąć do płuc powietrze - krzyczała. Zerwał z niej peniuar i sięgnął do piersi. W tym momencie w kołysce zakwiliło dziecko. Płacz małej dodał Abigail sił: drapiąc napastnika, uwolniła się z uchwytu. Zatoczyła się i potknęła o rozerwany brzeg koszuli nocnej, ale udało jej się sięgnąć po pogrzebacz wiszący przy kominku. Wzięła rozmach i grzmotnęła nim Juliana w plecy. Zawył z bólu i upadł na palenisko kominka, a ona podbiegła do kołyski. Chciała porwać na ręce córeczkę i uciec, lecz złapał ją za rękaw koszuli. Krzyknęła, widząc, że materiał się rozerwał. W momencie, gdy pochylona nad kołyską usiłowała wyjąć z niej dziecko, Julian ściągnął ją do tyłu, uderzył kantem dłoni w twarz i powalił na stół. Świeca spadła na podłogę i zgasła, topiąc się we własnym wosku.

~ Suka! Dziwka! - wrzasnął. Był szalony. Zobaczyła szaleństwo w jego oczach i pijackie wypieki na policzkach. Lęk przemienił się w paniczne przerażenie.

- Lucian cię zabije! - krzyknęła jeszcze. - Zabije cię za to. Usiłowała stanąć na nogi, ale uderzył ją znowu, tym razem pięścią, tak że promieniujący z twarzy ból przeniknął całe jej ciało. Oszołomiona zaczęła czołgać się w stronę kołyski. W ustach czuła słodki smak ciepłej krwi.

Moje dziecko! Boże, nie pozwól, by skrzywdził moje dziecko! - modliła się w duchu. Nagle poczuła na sobie ciężar jego ciała i owionął ją odrażający odór. Na chwilę ożywiła się i zaczęła wołać o pomoc. Głośny krzyk dziecka dołączył do jej wołania.

- Zostaw mnie! Przestań! Niech cię diabli! - wyła. Kiedy jednak szarpnął za dół koszuli i zdarł ją z niej, wiedziała już, że ani prośbą, ani groźbą nie zdoła go powstrzymać przed zhańbieniem jej i splugawieniem tylko dlatego, że należy do jego brata.

- Chcesz tego! - warknął i wbił się w nią, a rozkosz, jaką mu ta brutalna przemoc sprawiła, rozlała się po jego ciele jak wino. Ze strachu i szoku zbladła jak kreda; twarz miała posiniaczoną i pokrwawioną od ciosów, jakie jej zadał. Nic mi nie zrobi... jest bezsilna - myślał, brutalnie wyładowując na niej wściekłą zazdrość o brata. - Chcesz tego, wszystkie tego chcecie, akadyjskie dziwki... - szydził.

Dźgał ją dziko, raz po raz bezlitośnie się w nią wdzierając. To, że ją gwałci, że bierze ją siłą, sprawiało mu rozkosz, która przenikała całe jego ciało. Dyszał ciężko; przyśpieszone, krótkie oddechy wydostawały się zza zaciśniętych zębów.

Abigail łkała, zanosila się rozpaczliwym, zdławionym szlochem. I krzyczała. Krzyczała za każdym razem, gdy wchodził w nią, znajdując ujście dla swojej wściekłości, zazdrości i rozgoryczenia.

Gdy wielki zegar zaczął wybijać północ, Julian zacisnął dłoń na jej szyi.

- Zamknij się! - wrzeszczał. - Niech cię licho porwie!... - i tłukł jej głową o podłogę, coraz mocniej ją dławiąc. Lecz krzyk Abby wciąż przeszywał mu mózg.

Do Abby też dotarło bicie zegara, choć ledwo już słyszała. Poza powolnym, miarowym biciem północnej godziny wdzierał się do jej głowy jeszcze inny dźwięk: rozpaczliwe krzyki dziecka. Wymierzając słabe ciosy, broniła się przed dłońmi,

które odcinały jej dopływ powietrza, próbowała wyswobodzić ciało od tej straszliwej przemocy.

Pomóż mi, Boża Rodzicielko! Pomóż memu dziecku! - modliła się. Zrobiło jej się ciemno przed oczami i nic już nie widziała. Piętami dziko tłukła o podłogę w konwulsyjnych drgawkach. Ostatni dźwięk, jaki usłyszała, był płaczem córeczki. Ostatnią myślą - myśl o Lucianie.

Nagle drzwi do pokoju dziecinnego gwałtownie się otworzyły i w progu stanęła Josephine Manet. Szybko się zorientowała w sytuacji i otaksowała ją chłodnym okiem.

- Julian! - krzyknęła.

Z dłońmi wciąż zaciśniętymi na szyi Abigail spojrzął w stronę wchodzącej.

Być może matka dostrzegła szaleństwo w jego oczach, ale postanowiła ten fakt zignorować. Miała porządnie splecione na noc włosy i szlafrok przyzwoicie zapięty na guziczki aż po szyję. Zbliżyła się i spojrzała w dół na Abby. Ta leżała z szeroko otwartymi, niewidzącymi oczami. W kąć ust zastygła odrobina krwi. Na policzkach czerwieniły się zadrapania.

Josephine beznamytnie pochyliła się nad synową i przyłożyła palce do jej szyi.

- Nie żyje - oznajmiła i szybko podeszła do drzwi prowadzących do pokoju niani. Zajrzała do środka, po czym zamknęła drzwi, przekręcając w zamku klucz. Przez chwilę stała zwrócona plecami do tamtego pokoju. Machinalnie przytknęła dłoń do własnej szyi, myśląc intensywnie o tym, co ich teraz czeka: hańba, ruina, skandal...

- To był... wypadek... - wydukał Julian, zdejmując trzęsące się dłonie z ciała swojej ofiary. Wypita whisky szumiała mu w głowie i zaćmiewała umysł; bulgotała w żołądku, powodując mdłości. Zobaczył ślady na skórze Abby: ciemne, głębokie rany, i zląkł się matczynej reakcji. - Najpierw próbowała mnie uwieść, a potem zaatakowała - skłamał.

Josephine przeszła przez pokój, stukając obcasami o podłogę. Potem przykucnęła i uderzyła go z całej siły w twarz.

- Zamknij się! Bądź cicho i rób, co ci każe! Nie mam zamiaru stracić drugiego syna przez tę kreaturę. Zanieś ją do jej sypialni. Przejdź gankiem i zostań w jej pokoju, dopóki nie przyjdę.

- To była jej wina... - usiłował się tłumaczyć.

- Tak! I zapłaciła za to. - Zanieś ją teraz na dół, Julianie, i szybko się z tym uwiń.

- Oni mnie... - Łza pojawiła się w kąciku oka Juliana i spłynęła po policzku. - Oni mnie powieszają. Muszę uciekać!

- Nie! Na pewno cię nie powieszają. - Przycisnęła głowę syna do swego ramienia i głaskała po włosach. Nie przejmowała się tym, że stoi nad ciałem zamordowanej synowej. - Nie, kochanie! Nie powieszają cię. Rób tylko to, co ci mama każe. Zanieś ją do sypialni i czekaj. Załatwimy to jak trzeba. Obiecuję ci, że wszystko się dobrze skończy.

- Wolałbym jej nie dotykać...

- Julianie! - Już nie przemawiała do niego uspokajającym tonem, ale wydawała rozkazy.

- Rób, co ci każe, i to już!!!

Wyprostowała się i podeszła do kołyski. Kwilenie dziecka zamieniło się w żalosne łkanie. Przez jedną chwilę gorączkowo się zastanawiała, czy nie położyć dłoni na ustach i nosie dziecka i nie uciszyć go na zawsze. Taki czyn zbytnio by się nie różnił w jej pojęciu od utopienia miotu małych kociąt. Ale nie mogła się na to zdobyć. To dziecko miało w sobie krew jej syna, a więc także i jej krew. Mogła tym dzieckiem pogardzać, ale nie potrafiłaby go unicestwić.

- Śpij, mała! - powiedziała. - Potem zdecydujemy, co z tobą zrobić.

Gdy syn wyniósł z dzieciennego pokoju kobietę, którą zgwałcił i zamordował, Josephine od razu zabrała się do przywrócenia tam porządku. Podniosła świeczkę i zeszkrobała stygnący już воск, tak że ślad na podłodze całkiem nie zniknął. Odłożyła na miejsce pogrzebacz i resztkami zniszczonego peniuaru Abby dokładnie wytarła plamy krwi. Wszystkie czynności wykonywała szybko i zręcznie, starając się nie roztrząsać przyczyn, które doprowadziły pokój do takiej ruiny. Myśli skupiła wyłącznie na tym, co zrobić, aby uratować Juliana.

Kiedy się upewniła, że wszystko zostało sprzątnięte i pokój wrócił do pierwotnego stanu, otworzyła drzwi i wyszła, zostawiając śpiącą wnuczkę samą. Postanowiła, że rano wyrzuci nianię pod pretekstem zaniedbywania obowiązków. Zależało jej na tym, by pozbyć się dziewczyny, zanim Lucian wróci do domu i dowie się, że żona zniknęła.

Abigail sama ściągnęła na siebie nieszczęście - pomyślała. Nic dobrego nie przynosi chęć wywyższenia się i zajęcia lepszego miejsca w społeczeństwie niż to, które zajmujemy. Wszystko na świecie podlega prawom porządku i ten porządek ma głębokie uzasadnienie. Gdyby dziewczyna nie rzuciła czarów na Luciana - a matka nie miała wątpliwości, że w grę wchodziły jakieś ludowe czary - mogłaby spokojnie żyć.

Rodzina Manetów dość się już przez nią naciępiła.

Zaczął się od tego, że Lucian ją porwał. Ach, cóż to był za wstyd! Trudno było matce trzymać wysoko głowę, gdy jej pierworodny syn uciekł z domu z dziewczyną, która nie miała grosza przy duszy, biegała boso i wychowała się w biednej wiejskiej chałupie na bagnach. Potem musiała robić dobrą minę do złej gry i ciągle udawać. A czy nie dokładała starań, żeby to popychadło ubierało się, jak przystało komuś, kto należy do rodziny Manetów? Ale „i w Paryżu nie zrobią z owsa ryżu” - pomyślała. Bo i na cóż się zdały paryskie modele, kiedy wystarczyło, by dziewczyna otworzyła usta, a natychmiast można było poznać po jej mowie, że wywodzi się z bagien. Przecież, na litość boską, ta dziewczyna była u nich służącą...

Josephine weszła do sypialni, zamknęła za sobą drzwi i stanęła, wpatrując się w łóżko, gdzie jej martwa synowa leżała ze wzrokiem utkwionym w błękitny jedwabny baldachim nad głową.

Teraz sprawa Abigail Rouse została zredukowana do jednego problemu, który należało rozwiązać.

Julian siedział skulony w fotelu i rękami obejmował głowę.

- Przestań krzyczeć! - mruczał pod nosem. - Przestań krzyczeć.

Josephine podeszła do niego i zacisnąwszy dłonie na jego barkach, spytała:

- Chcesz, żeby po ciebie przyszli? Chcesz sprowadzić hańbę na rodzinę? Chcesz, żeby cię powiesili jak zwykłego przestępcę?

- To nie była moja wina... - powtórzył. - Ona mnie zabiła, a potem zaatakowała. Tylko popatrz! - odwrócił głowę. - Widzisz, jak mi podrapała twarz?

- Tak! - Na chwilę, tylko na krótką chwilę Josephine zachwiała się w swoim postanowieniu. Choć uważała się za ideał

i wzór wszelkich cnót, serce w niej zadrżało w odruchu sprzeciwu wobec tego strasznego aktu przemocy, którego obawiają się wszystkie kobiety. Kimkolwiek synowa była, przecież kochała Luciana; kimkolwiek była, została zgwałcona i zamordowana tuż obok kołyski swego dziecka.

Julian użył przemocy, zaatakował ją, skatował, zbezcześcił i zabił. Pijany i szalony zamordował żonę swego brata. Czy Bóg mu to wybaczy?

Po chwili jednak Josephine odrzuciła od siebie te myśli. Dziewczyna już nie żyła, ale jej syn tak...

- Dziś wieczór byłeś u prostytutki, prawda? - spytała. - Nie odwracaj się ode mnie - warknęła. - Dobrze wiem, jacy są mężczyźni. Nie myśl, że jestem naiwna. Byłeś w burdelu czy nie?

- Tak, mamó! Byłem.

Skinęła potakująco głową.

- A więc to ta dziwka pokiereszowała ci twarz. Tak masz powiedzieć, gdyby ktoś ośmielił się o to zapytać. I pamiętaj; tej nocy ani przez chwilę nie byłeś w dzieciennym pokoju. - Ujęła twarz syna w obie dłonie i uniosła tak, że ich oczy znalazły się na jednym poziomie. Palcami ścisnęła mu policzki i mówiła niskim, dobitnie brzmiącym głosem: - Bo niby po co miałbyś tam wchodzić? Wyszedłeś z domu, żeby wypić co nieco i zabawić się z kobietą, a gdy oba te cele zostały osiągnięte, wróciłeś do domu i poszedłeś do łóżka. Czy to jasne?

- Ale jak wytłumaczymy...?

- Niczego nie musimy tłumaczyć - weszła mu w słowa. - Już ci powiedziałam, jak spędziłeś dzisiejszą noc. Powtórz jeszcze raz, co robiłeś.

- Poszedłem... poszedłem do miasta... - zwilżył wargi, przełknął ślinę. - Piłem... potem wstąpiłem do burdelu, a następnie wróciłem do domu i położyłem się spać.

- Tak, tak właśnie było. - Poglaskała go po zranionym policzku. - A teraz trzeba spakować niektóre rzeczy Abigail: suknie i biżuterię. Musimy szybko się z tym uporać. Zrobimy to w takim samym pośpiechu, w jakim ona się pakowała, gdy postanowiła uciec z mężczyzną, z którym się wcześniej potajemnie spotykała... I jest bardzo prawdopodobne, że to on właśnie jest ojcem dziecka, które śpi w pokoju na górze.

- O jakim mężczyźnie mówisz? - zaciekawiał się Julian.

Josephine żałośnie westchnęła. Choć Julian był szczególnie bliski jej sercu, ubolewała nad jego niezbyt lotnym umysłem.

- To nieważne, synu. Nic o tym nie wiesz i nie musisz wiedzieć. Popatrz tu! - Podeszła do szafy i wyjęła długą, czarną, aksamitną pelerynę. - Zawień Abigail w tę pelerynę. Pospiesz się! Do roboty! - rozkazała takim tonem, że natychmiast zerwał się na nogi.

Rozbolał go brzuch, ręce mu się trzęsły, ale zawiązał ciało bratowej w aksamit, najlepiej jak potrafił. W tym czasie matka zapakowała rzeczy zamordowanej dziewczyny do pudła na kapelusze i podróźnej walizki. W pośpiechu upuściła na ziemię broszkę w kształcie złotych skrzydeł z małym emaliowanym zegarkiem, zwieszającym się z broszki. Szpicem pantofla pchnęła ją tak, że się potoczyła do kąta.

- Zaniemiemy ją na bagna. Musimy udać się tam pieszo. W ogrodowej altanie są stare kostki brukowe. Możemy obciążyć nimi ciało. - A reszty dokonają aligatory i ryby - pomyślała. - Nawet jeśli ją kiedyś znajdą - dodała - to w tak dużej odległości od naszego domu można będzie śmiało utrzymać, że zamordował ją mężczyzna, z którym uciekła; ludzie będą skłonni w to uwierzyć. - Wytarła twarz chusteczką, którą wyjęła z kieszeni szlafroka, i pogładziła dłonią długi złocisty warkocz. - Teraz trzeba prędko wynieść zwłoki; niech znajdą się jak najdalej od rezydencji Manetów.

Josephine trzymała się dzielnie, choć czuła, że ją samą zaczyna ogarniać szaleństwo.

Noc była jasna. Pani Manet wmawiała sobie, że towarzyszy im pełnia księżyca, bo Opatrzność dobrze rozumie, dlaczego ona wybrała taką drogę. Słyszała przyśpieszony oddech syna i charakterystyczne odgłosy nocy: kumkanie żab, bzyczenie owadów i świergot ptaków. Wszystkie te dźwięki zlewały się w jedno głębokie brzmienie.

Właśnie kończył się wiek dziewiętnasty i zaczynał nowy, dwudziesty. Jeszcze chwila i będzie mogła się uwolnić od tej aberracji, tej nienormalnej sytuacji, która wtargnęła w jej uporządkowany świat. Wierzyła, że w nowe stulecie, w nową erę wejdzie oczyszczona i silna.

Panował chłód i wilgoć, przez co powietrze wydawało się ostre i przenikliwe. Josephine było jednak gorąco, wręcz paliła

ją gorączka, gdy ciężkimi krokami oddalała się od domu, obciążona pudłem i walizką z rzeczami Abigail oraz balastem brukowych kamieni. Czuła ból w ramionach i nogach. Przeciężone mięśnie dawały o sobie znać, ale ona maszerowała niczym żołnierz.

Tylko jeden jedyny raz jej się zdawało, że czuje na policzku szorstkie muśnięcie, jakby tchnienie ducha, jakby dusza niezżyjącej dziewczyny szła obok, oskarżając ją, przeklinając i potępiając po wieczne czasy. Strach dodawał jej sił.

- Tu! - zawołała, zatrzymując się w końcu. Patrzyła na wodę, której lustro przebijały ciemne kolanka cyprysa. - Połóż ją! - rozkazała synowi.

Julian posłusznie wykonał polecenie, po czym szybko się podniósł, odwrócił plecami i rękami zakrywając twarz, wymamrotał:

- Nie mogę tego zrobić, mamó! Nie mogę... Niedobrze mi się robi, słabo mi...

Potyając się, ruszył w stronę wody; wymiotował i płakał.

Do niczego jest ten chłopiec - Josephine pomyślała oburzona. Mężczyźni nie radzą sobie w kryzysowych sytuacjach. Tylko kobiety zachowują zimną krew i jasność umysłu.

Odkryła pelerynę i obłożyła kamieniami ciało dziewczyny. Pot spływał jej po twarzy, ale przystąpiła do wykonania tego przerażającego zadania, które sama sobie postawiła, w sposób bezwzględny i fachowy, jak każdy inny ważny obowiązek. Z pudła na kapelusze wyciągnęła dwa kłębki sznura. Jednym obwiązała dokładnie zawinięte w pelerynę ciało, zaciągając pętlę u góry, u dołu i w środku. Drugiego kłębka sznura użyła do przewiązania walizki: przeciągnęła sznur pod rączką walizki i ciasno związała w węzeł.

Spojrzała w stronę Juliana, który obserwował ją z twarzą bladą jak kreda,

- Musisz mi pomóc - powiedziała. - Nie dam rady sama zaciągnąć jej do wody. Jest teraz zbyt ciężka.

- Byłem pijany... - znowu tłumaczył się Julian.

- To prawda, Julianie. Byłeś pijany, ale teraz jesteś wystarczająco trzeźwy, by ponieść konsekwencje swego czynu. Pomóż mi zepchnąć ją do wody.

Czuł, że nogi się pod nim uginają i załamują przy każdym

kroku jak u marionetki. Ciało Abigail zsunęło się do wody niemal bezszelestnie. Cichy plusk, później jakby bulgot, i wszystko zniknęło. Tafla wody zmarszczyła się, utworzyły się na niej koła i przez chwilę migotały w świetle księżyca. Potem powierzchnia znów stała się gładka.

- Mamy już to za sobą. Abigail zniknęła z naszego życia - stwierdziła spokojnie Josephine. - Wkrótce stanie się z nią to, co z tymi kołami na wodzie: jakby nigdy z nami nie była. Pamiętaj, żebyś po powrocie do domu dokładnie oczyścił buty. Nie zlecaj tego służbie.

Wsunęła mu ramię pod pachę i uśmiechnęła się trochę nie-naturalnie.

- Trzeba wracać do domu i odpocząć. Jutro czeka nas trudny dzień.

2

*Rezydencja Manetów, Luizjana
Styczeń 2002*

Mama jak zwykle miała rację. Declan Fitzgerald patrzył przez spryskaną błotem przednią szybę samochodu na zacinający zimowy deszcz i myślał z zadowoleniem, że mamy tu nie ma i nie może się napawać jego nieszczęściem. Wiedział, co prawda, że Colleen Sullivan Fitzgerald nigdy by się nie zniżyła do tego, by cieszyć się z cudzego nieszczęścia... Milcząc, uniosłaby tylko jedną pięknie zarysowaną brew, która utworzyłaby wspianą łuk, i to by wystarczyło. Milczeniem wyraziłaby satysfakcję z tego, co się stało.

Gdy zatrzymał się u niej przed wyjazdem do Bostonu, powiedziała mu krótko, że jeszcze pożałuje tej decyzji. Doskonale pamiętał, że takich właśnie słów użyła: "Jeszcze tej decyzji pożałujesz". Na razie jednak tak nisko nie upadł, żeby żałować tego, co zrobił. Niemniej, patrząc na dżunglę wszechobecnych chwastów, na obsuwające się balkony, łuszczące się tynki i połamane rynny starego dworu, zaczął wątpić, czy aby na pewno jest przy zdrowych zmysłach.

Jak w ogóle mógł uwierzyć, że uda mu się doprowadzić ten zrujnowany, stary, opuszczony dom do dawnej świetności? Albo - i to pytanie było tu chyba bardziej na miejscu - co mu kazało myśleć, że właśnie on powinien podjąć się tego zadania? Na miłość boską! Był przecież prawnikiem, należał do znanej bostońskiej rodziny Fitzgeraldów i raczej się nastawiał na noszenie modnych koszul, a nie młota.

Co prawda przerabiał już kiedyś swój dom w mieście. Pracował przy nim tylko w wolnym czasie i zajęło mu to całe dwa

lata. Ale było to zadanie nieporównywalnie łatwiejsze od tego, co zamierzał teraz. A planował przenieść się na stałe do Nowego Orleanu i udawać przedsiębiorcę budowlanego z prawdziwego zdarzenia.

Declan zastanawiał się, czy gdy bawił tu ostatnim razem, ten dom przedstawiał równie opłakany widok. Kiedy to było? Pięć? Nie! Sześć lat temu. Lecz nie miał żadnych wątpliwości, że gdy zobaczył Manet Hall po raz pierwszy, rezydencja wyglądała znacznie lepiej niż obecnie. Miał wtedy dwadzieścia lat i spędzał tu szalone ostatnie dni karnawału z kolegą z colleges, dzielącym z nim pokój w akademiku. Od tej pory minęło jedenaście lat - pomyślał, przeczesując palcami swoje ciemnoblonde włosy.

A więc plany związane ze starą rezydencją Manetów dojrzewały w nim jedenaście lat! Ta obsesja, jak to zwykle bywa z obsesjami, trwała dłużej niż większość jego koleżeńskich stosunków, a już na pewno dłużej niż miłosne związki.

Teraz dwór stał się jego własnością na dobre i na złe, a przecucie mówiło mu, że raczej na złe... Szare oczy Declana - w tej chwili tak samo ponure jak padający deszcz - badawczo przyglądały się architekturze budynku. Dawno temu, owego lutowego dnia, oczarowały go pełne wdzięku arkady wieńczące dwie pary schodów prowadzących na krużganek na pierwszym piętrze. I te wysokie, zakończone łukiem okna, wymyślna galerijka widokowa na dachu, elegancja białych kolumn i ozdobnych, ażurowych żelaznych balustrad... Architektura tego domu stanowiła dziwną mieszankę włoskiego i greckiego renesansu i wydawała się niewiarygodnie bogata. Zdaniem Declana była bardziej europejska niż amerykańska i miała wiele akcentów przeniesionych z Południa. Już wtedy przed laty Declan poczuł się jakby przeniesiony na teren Nowej Anglii w sposób, którego nie potrafił wytłumaczyć. Ten dom wciągał go do jakiejś głębokiej czeluści i zdawało mu się, że źródło tych odczuć tkwi w pokładach jego pamięci. W każdym razie tak o tym teraz myślał. Co więcej, Declan potrafił oczami wyobraźni zobaczyć, co znajduje się w środku, zanim jeszcze on i Remy wdarli się do domu, aby spenetrować jego wnętrze.

Kto wie, czy wina nie leżała po stronie morza piwa, które

wypili wtedy do spółki... Może dlatego uwierzył, że da sobie radę, że uda mu się dom odbudować.

Pijany chłopiec, który bardzo niedawno przestał być nastolatkiem, nie zasługiwał na zaufanie. Nie zasługiwał na nie również - co z przykrością stwierdził Declan - trzeźwy do bólu trzydziestojednoletni mężczyzna.

Gdy Remy wspomniał Declanowi, że rezydencja Manetów została znowu wystawiona na sprzedaż, ten natychmiast zgłosił chęć jej kupienia. Nie widział jej wcale, a właściwie nie widział od ponad pięciu lat, ale czuł, że musi ją mieć. Jakby całe życie czekał na moment, gdy nazwie ten dom własnym. Cenę, jaką za dom żądano, mógłby uznać za umiarkowaną, gdyby nie to, że musiał też brać pod uwagę koszty, jakie trzeba będzie jeszcze ponieść, by uczynić rezydencję zdatną do zamieszkania. Na razie wolał tego nie rozważać.

Dwór należał już do niego bez względu na to, czy decyzja o jego nabyciu była szalona, czy słuszna. Tak czy owak Declan zamienił swą teczkę adwokata na skrzynkę z narzędziami i już to samo poprawiło mu humor. Wyjął z kieszeni telefon komórkowy i przeszło mu przez myśl, że może należałoby wybrać sobie notariusza z Bostonu, ale... Wciąż obserwując dom, zadzwonił do Remy'ego Payne'a.

Połączył się z sekretarką. Wyobraził sobie Remy'ego siedzącego przy biurku zarzuconym segregatorami i teczkami. Na tę myśl cały się rozpromienił; uśmiech wypełnił mu zapadłe nieco policzki i zmiękczył kontur ust, które nieraz przybierały ponury wyraz. Tak! - pomyślał z satysfakcją. Mogło mu się powieść gorzej... Mogło się zdarzyć, że to on teraz siedziałby za biurkiem.

- Ach, cześć, Dec! - zawołał Remy, leniwie przeciągając zgłoski. Jego rozwlekła mowa płynęła eterem do załadowanego paczkami mercedesa SUV, w jakim siedział Declan, niby mgła nad wolno płynącą rzeką. - Gdzie teraz jesteś, chłopie?

- Siedzę w samochodzie i przyglądam się temu białemu słoniowi, którego po wariacku kupiłem. Musiałem chyba do cna zgłupieć, żeby to zrobić. Dlaczego mi, do diabła, tego nie wyperswadowałeś? Trzeba było mnie zmusić, żebym zrezygnował.

- A więc jesteś już na miejscu! Spodziewałem się ciebie dopiero jutro, stary!

- Cholernie się napaliłem na ten wyjazd. - Potarł brodę i poczuł szorstkość kilkuniedniowego zarostu. - Jechałem prawie całą noc. Spałem niewiele i rano bardzo wcześnie wypuściłem się w drogę. Remy! Jak myślisz, co mi przyszło do głowy, żeby kupić ten dom?

- Nie mam pojęcia... Ale posłuchaj! Daj mi jakieś dwie godziny, bo muszę jeszcze załatwić pewne sprawy, a potem zaraz do ciebie przyjadę. Przywiozę coś do jedzenia i zrobimy sobie libację. Trzeba oblać tę okazję... mamy dużo do nadrobienia...

- Dobrze! Bardzo się cieszę.

- Czy wszedłeś do środka? Byłeś już w tym domu?

- Nie. Dopiero zamierzam tam wejść.

- Bój się Boga, Dec! Wejść do domu! Nie stój na deszczu!

- Masz rację! - Declan przesunął dłonią po twarzy. - A więc zobaczymy się za dwie godziny.

- Przywiozę jedzenie, tylko ty, na Boga, nie próbuj niczego gotować! Nie ma sensu, żebyś spalił chałupę, zanim jeszcze spędzisz w niej noc.

- A niech cię kule biją! - Zanim wyłączył telefon, usłyszał jeszcze rozbawiony chichot Remy'ego.

Uruchomił silnik i ruszył w stronę dworu. Zatrzymał się tam, gdzie kiedyś zaczynały się schody prowadzące do wejścia z dwóch przeciwległych stron. Robiły wrażenie bardzo zniszczonych, ale postanowił wejść po nich na pierwsze piętro. Sięgnął do schowka po klucze, które po podpisaniu umowy przysłano mu pocztą. Wysiadł z wozu i natychmiast przemókł do nitki. Zdecydował się zostawić na razie w samochodzie przywiezione bagaże i wyładować je później, a sam pobiegł, by poszukać schronienia przed deszczem na krużganku. W kilku miejscach podłoga się zapadała pod jego ciężarem. Na chwilę się zatrzymał i jak pies otrząsał wodę.

Powinno tu być dzikie wino oplatające narożne kolumny... - pomyślał. I jeszcze coś, co kwitnie błękitnie... Potrafił sobie nawet wyobrazić te kwiaty. Wystarczyła mu chwila skupienia, by je zobaczyć. Były otwarte, duże, kształtem przypominały kubki. Liście zaś miały wykrój serca. Musiałem je już gdzieś

widzieć - tłumaczył się sam przed sobą. Skierował się w stronę drzwi wejściowych. Były dwuskrzydłowe, rzeźbione i miały po obu stronach długie, wąskie szyby zakończone u góry łukiem. Drzwi wieńczył tympanon w kształcie półksiężyca. Kiedy przeciągał po drzwiach palcami, czuł, że go ogarnia jakieś dziwne podniecenie.

- Witaj w domu, Dec! - powiedział na głos i przekręcił klucz w zamku. Otworzył drzwi i wszedł do foyer. Było takie, jak je zapamiętał: posadzka z amerykańskiej sosny, wysoki sufit, a pośrodku gipsowy medalion w kształcie owalnego podwójnego wieńca z nieznanymi kwiatów. W czasach świetności dworu jego dumą był wspaniały kryształowy żyrandol. Teraz jednak nie on był źródłem światła, lecz jedna goła żarówka, dyndająca na długim sznurze. Gdy przekręcił kontakt, żarówka zamigotała i zaświeciła się. To już było coś...

Najokazalszym elementem tego wnętrza były schody: szerokie i proste, wznosiły się do pierwszego piętra, tam skręcały na lewo i na prawo, prowadząc do obu skrzydeł domu. Czy samotnemu mężczyźnie, który na razie nie miał żadnych widoków ani nawet chęci na zmianę stanu cywilnego, potrzebne były aż dwa skrzydła? W tej chwili nie miał zamiaru nad tym się zastanawiać.

Poręcz pokrywała gruba warstwa szarego kurzu; przetarł ją palcami i wyczuł gładkie drewno. Ciekawe - pomyślał ~ ile rąk trzymało się tej poręczy. Ile palców się po niej przesuwano? Tego rodzaju pytania zawsze go pociągały i fascynowały. Teraz zachęcały do wejścia schodami na górę. Drzwi zostawił otwarte. Na dworze wciąż padał deszcz, a jego osobiste rzeczy nadal czekały w samochodzie.

Wyobrażał sobie, że kiedyś schody i hol przykrywały dywany, niemal widział ich gęsty wzór na ciemnoczerwonym tle. Posadzki, meble, boazerie, blaty stołów lśniły pewnie wysokim połyskiem, skrupulatnie wypucowane woskiem pszczelim, by błyszczały niczym kryształy świeczników.

W czasie przyjęć i balów kobiety we wspaniałych sukniach przechadzały się po salach i korytarzach, wchodziły na górę schodami i schodziły nimi w dół, pewne siebie, modne i eleganckie... Panowie gromadzili się w pokoju bilardowym. Gra

była jedynie pretekstem, by zapalić cygaro i z ożywieniem rozprawiać o polityce i sprawach finansowych.

Służba poruszała się dyskretnie, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi. Troszczyła się, by ogień płonął w kominkach, usuwała brudne kieliszki, spełniała wszystkie życzenia gości.

Gdy Declan znalazł się na podeście, poruszył panneau będące częścią boazerii, i nagle ukazały mu się ukryte drzwi, zręcznie wbudowane w ścianę, schowane pod zblakłą tapetą i zmatowiałymi listwami z egzotycznego dębu. Nie przypomniał sobie, skąd wiedział, że takie drzwi się w tym miejscu znajdują. Ktoś musiał mu o tym wspomnieć.

Zajrzał do ciemnego i wilgotnego korytarza. Domyślił się, że tędy przechodziło się do tej części budynku, w której mieściły się pomieszczenia dla służby: ciasne klitki przypominające izby w czworakach. Widać nikomu nie zależało na tym, by służba była tuż pod bokiem. Dobry sługa i tak zjawiał się na każde zawołanie i wypełniał swoje obowiązki dyskretnie, cicho i bezbłędnie. Declan zmarszczył brwi i wyteżył oczy, by lepiej widzieć. Od kogo przejął takie pompatyczne określenia? Od matki? Przecież ona, choć nieraz bywała „świętojebliwa”, nigdy by się nie wyraziła w sposób tak afektowany.

Declan wzruszył ramionami i zamknął drzwi na korytarz. Zbada ten teren innym razem, gdy będzie miał latarkę i torebkę z okruszkami chleba.

Idąc dalej, otwierał po kolei napotkane drzwi. Pokoje ziały pustką, pełne były kurzu i stęchłego zapachu. Przy pochmurnej deszczowej pogodzie dominowała w nich szarość. Niektóre ściany miały jeszcze tapety, inne były odarte do szkieletu konstrukcji. Domyślał się, że pomieszczenia, które widział, to salon, gabinet, łazienka i z pewnością pokój bilardowy, ponieważ wciąż stał w nim stary mahoniowy barek. Obszedł go dookoła, przykucnął, dotknął drewna i sprawdził wykonanie mebla.

Miłość Declana do drewna zaczęła się jeszcze w szkole średniej. Ze wszystkich jego pasji ta okazała się najtrwalsza. Mimo protestów rodziny znalazł sobie zajęcie wakacyjne, które miało polegać na fizycznej pracy. Nie chciał spędzać długich letnich dni w biurze prawnym jako urzędnik; wołał przebywać na świeżym powietrzu, opalić się i poprawić formę. I był to je-

den z nielicznych wypadków, gdy ojciec zlekceważył zdanie matki i stanął po jego stronie.

Spiekł twarz na słońcu, dostał pęcherzy i odcisków, wbił sobie mnóstwo drzazg w palce, rozboleł go krzyż. Ale mimo to tamtego lata na zabój zakochał się w budownictwie.

Nie tyle chodziło mu o budowanie, myślał teraz, ile o przebudowywanie. Lubił zajmować się konstrukcjami, którym ktoś już nadał kształt: przerabiać je, naprawiać, doprowadzać do dawnej świetności. Nic innego nie sprawiało mu takiej satysfakcji.

Do przeróbek czy odnawiania miał swoistą smykałkę. „Prawdziwy z pana majster-klepka - usłyszał wtedy od swego brygadzysty o twarzy mopsa. - Ma pan zręczne ręce, dobre oczy i niezłą głowę” - zapewniał Declana. A ten nigdy nie zapomniał owych letnich wakacji. Nie udało mu się też jeszcze raz coś takiego przeżyć.

Może teraz się uda - pomyślał. Potrzebował czegoś więcej niż tylko żyć z dnia na dzień i robić to, czego po nim oczekiwano i co było ogólnie akceptowane.

Z radością i rosnącą nadzieją wrócił do zwiedzania swego nowego domu.

W drzwiach do sali balowej zatrzymał się i powiedział do siebie z uśmiechem:

- Spokojnie, stary, wszystko gra.

Jego głos podchwyciło echo i omal nie wróciło, by rzucić mu te słowa w twarz. Przejęty, wszedł do środka. Stwierdził, że podłoga jest zniszczona, brudna, cała w plamach. Niektóre partie były w bardzo złym stanie i wyglądały tak, jakby wzniesiono tam ścianki dzielące salę, a potem ktoś te ścianki usunął. Nie przejął się, wiedząc, że to można naprawić. Zauważył także, że jakiś kretyn położył suche tynki i żółtą farbę na oryginalne gipsowe podłóże. To też da się zrobić - pomyślał.

Dobrze choć, że zostawili w spokoju sufit. Zachwycał się sztukaterią plafonu. Podziwiał wspaniałe, wymyślne stiukowe wieńce i rozety z kwiatów i owoców. Niektóre szczegóły wymagały renowacji, ale potrzebny był do tego fachowiec, który potrafiłby solidnie wykonać taką pracę. Znajdzie kogoś takiego - postanowił.

Otworzył drzwi na taras i wyszedł na deszcz. Przed nim roz-

pościerał się ogród, niestety bardzo zaniedbany. Istna dżungla... Ledwo widoczne były zarośnięte, posypane tłuczoną cegłą ścieżki. Nie wątpił, że kryją się tu prawdziwe skarby roślinności. Przydałby się specjalista od zielonych krajobrazów, miał jednak nadzieję, że częściowo sam sobie poradzi.

Większość budynków gospodarczych popadła w ruinę. Zwrócił uwagę na część rozwalonego komina, pokrytą dzikim winem, zniszczoną i porzuconą chałupę, należąca pewnie do kogoś ze służby, popstrzone odchodami cegły i zardzewiały dach starego gołębnika. Kreolscy plantatorzy często hodowali gołębie.

Declan nabył tylko niewiele ponad hektar ziemi, włączając do tego teren pod domem, było więc całkiem możliwe, że inne budynki, które kiedyś należały do majątku rodziny Manetów, teraz porzucone niszczały na czyichś innych polach. Bardzo go natomiast cieszyły rosnące tutaj drzewa. Były wspaniałe. Podziwiał stare dęby, które tworzyły aleję. To nic, że były porośnięte mchem, a teraz ociekały wodą. Rozczapierzone grube gałęzie sykamoru wyglądały jak jakieś przedhistoryczne zwierzę.

Zauważył kolorową plamę, która zainteresowała go do tego stopnia, że zszedł do ogrodu, nie bacząc na deszcz. Kwitło tam coś wysokiego. Zbliżył się i zobaczył duży krzak obsypany ciemnoczerwonymi kwiatami. Co, u diabła, mogło kwitnąć w styczniu? - zastanawiał się. Zanotował sobie w pamięci, że zapyta o ten krzew Remy'ego.

Przez chwilę stał z zamkniętymi oczami i nasłuchiwał. Nie usłyszał jednak nic prócz szumu deszczu i kropli bijących o dach, ziemię i drzewa.

Powiedział sobie, że kupując dom, postąpił słusznie i wcale że będzie mu odpowiadało. A jeśli się okaże inaczej, to cóż? znajdzie sobie inne... Dobrze się stało, że obudził w sobie dość energii, by się za czymś takim rozejrzeć.

Wrócił do domu i nuć pod nosem, wszedł jeszcze do sali balowej. Miał zamiar zwiedzić całe skrzydło zamieszkałe przez rodzinę Manetów, aby się przekonać, w jakim stanie są sypialnie. Gdy przechodził przez pierwszą, złapał się na tym, że cicho sobie coś śpiewa:

*A gdy już bal przeminął
i na dworze zajaśniał dzień...
Kiedy tańczący wyszli
i gwiazdy spowił cień...*

Schylił się, żeby sprawdzić listwy przypodłogowe; spojrzął przez ramię, jakby się spodziewał, że ktoś za nim stoi. Skąd mi się wzięła ta melodia - zastanawiał się. Skąd znam ten tekst? Wyprostował się i ze zdziwieniem pokiwał głową.

- Skąd? Z sali balowej, ty idioto! - wymamrotał, zły na siebie. - Myślałeś o sali balowej i zacząłeś śpiewać o balu. Może to dziwaczne, ale nie zwariowane. Mówienie do siebie także nie jest szaleństwem. Sporo ludzi to robi.

Drzwi do pokoju po drugiej stronie holu były zamknięte; przypuszczał, że gdy je otworzy, zawiasy okropnie zaskrzypią. Mimo że się tego spodziewał, zaskoczył go jednak dźwięk: był tak przeraźliwy, że dreszcz przebiegł mu po plecach. Za chwilę nowe doznanie spowodowało, że poczuł się nieswojo. Mógłby przysiąc, że czuje zapach perfum; pachniało liliami, jak na weselach i pogrzebach. Przez moment widział te kwiaty w wyobraźni: stały czyste, białe i trochę niesforne w wysokim kryształowym wazonie.

Następnym odczuciem była irytacja. Przed przyjazdem wysłał na adres rezydencji tylko niektóre meble, wśród nich wyposażenie sypialni. Robotnicy pracujący przy przeprowadzce omyłkowo umieścili je w niewłaściwym pokoju. Declan był jednak bardzo zasadniczy. Postanowił, że jego sypialnią będzie pokój narożny z przylegającą do niego łazienką. Z okien miałby widok na ogród, na staw i na aleję starych dębów. Teraz musiał podjąć decyzję: albo zgodzi się zająć pomieszczenie, w którym znalazły się jego rzeczy, albo wróci do wybranego poprzednio i sam przeniesie te cholerne meble.

Gdy szeroko otworzył drzwi, uderzył go bardzo mocny zapach lilii. Był tak oszałamiający, że Declanowi zakręciło się w głowie. I nagle zaskoczony zobaczył, że meble znajdujące się w tym pokoju wcale nie są jego. Było tu łóżko z baldachimem obitym niebieskim jedwabiem, rzeźbiona szafka, tak zwana pensjonarka, i spora komoda z szufladami - wszystko wykonane na wysoki polysk. Od podłogi unosił się zapach wo-

sku pszczelego. Na toaletce, której wygięte nogi przypominały szyję łabędzia, stał duży kryształowy wazon, a w nim owe pachnące lilie. Krzesło misternej budowy miało siedzenie obite wyszukaną gobelinową tkaniną w tonacji niebieskoróżowej. Zwrócił uwagę na szczotki oprawne w srebro, emaliowany zegarek połączony z broszką w kształcie złotych skrzydeł i długie niebieskie draperie na oknach. Ozdobne gazowe kinkiety dawały słabe, migoczące światło. Biały damski szlafroczek leżał przerzucony przez oparcie błękitnego szezlongu. Na półce nad kominkiem dojrzał piękne świeczniki, a wyżej obraz w srebrnej ramie.

Declan widział to wszystko wyraźnie, jak na zdjęciu. Zanim jednak jego mózg zdołał pojąć, co się dzieje, wszystko zniknęło. I oto stał w pustym pokoju i jedyne, co spostrzegął, to deszcz za oknami, na których nie było żadnych zasłon. Wstrząsnął nim zimny dreszcz.

- Jezus Maria! - krzyknął i chwycił się futryny dla utrzymania równowagi. - Co u diabła?

Wziął głęboki oddech, ale niczego w powietrzu nie wyczuł poza zapachem pleśni i kurzu. Widocznie przeniosłem się myślami w przeszłość - tłumaczył sobie. To była tylko gra wyobraźni: wyobraziłem sobie, jak ten pokój mógł kiedyś wyglądać. Tak naprawdę niczego nie widziałem i niczego nie czułem. Po prostu oczarowało mnie to miejsce i jego atmosfera. Nie mógł się jednak zmusić, żeby przekroczyć próg. Zamknął drzwi i udał się do narożnego pokoju, w którym - zgodnie z tym, co polecił - stały jego meble. Ich widok przyniósł mu ulgę i znacznie go uspokoił.

Dobre, solidne łóżko w stylu chippendale, z gładkim drewnianym oparciem w głowach i w nogach, bez zbędnych ozdób - uzmysłowiło mu, że nie ma to jak antyki. I pod tym względem zawsze się zgadzał ze swoją matką: oboje lubili zabytkowe dzieła sztuki, szanowali dobre rzemiosło i starocie mające wartość historyczną.

Kupił to łóżko wtedy, gdy razem z Jessicą postanowili odwołać swój ślub. Chociaż, nie... Musiał szczerze przyznać, że właściwie to on odwołał ślub i jeszcze teraz miał z tego powodu wyrzuty sumienia.

Potem zdecydował, że zacznie układać sobie życie od nowa.

Pierwszym krokiem, jaki zrobił w tym kierunku, było wyszukanie i kupienie mebli do sypialni. Wybrał starą kawalerską komodę nie dlatego, że groził mu kawalerski stan, ale dlatego, że mu się spodobała. Miała intarsję w podwójną jodełkę, tajne schowki i krótkie wygięte nogi. Wybrał też *armoire**, w którym zamierzał trzymać telewizor i odtwarzacz stereo. A smukłe lampy w stylu art deco kupił, ponieważ lubił mieszać artystyczne przedmioty z różnych epok.

Widok własnych mebli w tym przestronnym pokoju, jego ładny ciemnozielony granitowy kominek, lekko spłowiałe tapety i żałośnie zniszczona podłoga - wszystko to pozwoliło mu powrócić do równowagi.

Znalazłszy się w sąsiadującej z sypialnią ubieralni, Declan nie mógł powstrzymać się od śmiechu. Chyba tylko lokaj, biały krawat i frak były mu potrzebne do szczęścia. Pokój miał własną łazienkę. Była zmodernizowana: nie wyglądała już jak łazienki z owych nieszczęsnych lat siedemdziesiątych. I choć przebiegł go dreszcz na widok przeraźliwie zielonego wystroju - miała kolor awokado - zatęsknił za gorącym prysznicem.

Postanowił szybko przejrzeć pokoje na drugim piętrze i na parterze, a potem wrócić do łazienki i wykapać się w tej brzydkiej zielonej wannie.

Gdy wyszedł na korytarz, znów napłynęła skądś ta sama stara melodia, która już wcześniej krążyła mu po głowie. Nie broił się przed nią. Uznał, że zanim pojawi się Remy, może mu dotrzymać towarzystwa.

*...I te nadzieje, co przysły,
kiedy skończył się bal... i wyszli.*

W pewnym miejscu schody się zwały. Declan pomyślał, że piętro to było prawdopodobnie przeznaczone dla dzieci i służby, a te nie miały wyszukanych wymagań.

Odwiedzenie skrzydła dla służby zostawił na później; teraz skierował kroki w stronę, gdzie przypuszczalnie znajdował się pokój dziecinny, izby gospodarcze i strych.

* *Armoire* - szafka, w której kiedyś przechowywano cenne przedmioty.

Kiedy sięgnął do gałki u drzwi do pokoju dziecinnego i dotknął mosiądzu zmatowiałego ze starości i zaniedbania, poczuł przepływający przez korytarz zimny prąd powietrza, który przeniknął go do szpiku kości. Zaskoczony ujrzał nagie własny wydech, który na jego oczach zgęstniał i zamienił się w cienki obłoczek.

Mimo wszystko zacisnął dłoń na gałce. Wtedy ogarnęły go mdłości tak silne i gwałtowne, że zabrakło mu tchu. Oblał go zimny pot i zakręciło mu się w głowie. W jednej sekundzie poczuł tak straszny lęk, że chciał rzucić się do ucieczki. Nie zrobił tego jednak; potykając się, doszedł do ściany, oparł się o nią i spróbował wziąć się w garść. Ale lęk i przerażenie nadal go dławiły, niczym ręce mordercy.

Nie wchodź tam! — usłyszał w sobie ostrzegawczy głos. *Nie wchodź do środka!*

Skądkolwiek się wziął ten głos w jego głowie, Declan czuł, że musi go posłuchać. Choć znał plotki, że w tym domu straszny, wcale mu to do tej pory nie przeszkadzało. Nie! Właściwie należałoby powiedzieć, że nie sądził, by mu to miało przeszkadzać. Teraz jednak sama myśl, że mógłby te drzwi otworzyć, działała porażająco. Nie miał ochoty stawić czoła temu, co się za nimi znajdowało. Cokolwiek czekało na niego po drugiej stronie, nie mógłby się temu przeciwstawić z pustym żołądkiem, po dziesięciu godzinach prowadzenia samochodu.

- Tracę na próżno czas - powiedział, by usłyszeć uspokajające brzmienie własnego głosu. - Powiniennem wyładować swój bagaż. A więc pójdę do samochodu i to zrobię... - recytował gromko.

- Do kogo mówisz, mój drogi? - rozległo się nagle.

Podskoczył niczym koszykarz do piłki. Z trudem udało mu się powstrzymać krzyk i przybrać bardziej przystający mężczyźnie ton sarkazmu.

- Niech cię diabli, Remy! Wystraszyłeś mnie nie na żarty...

- Więc jednak ty przemawiałeś do drzwi. Co prawda ja też wołałem, wchodząc na górę, ale przypuszczam, że to do ciebie nie dotarło.

- I dobrze przypuszczasz.

Declan oparł się o ścianę, wciągnął powietrze do płuc i przyglądał się przyjacielowi.

Remy Payne reprezentował trochę wyzywający typ urody i choć niewątpliwie był przystojny, miał w sobie coś z kombinatora. Wykonywał zawód prawnika i zdaniem Declana wspinał się do tego nadawał. Był zręczny i sprytny; miał pogodne niebieskie oczy i szerokie usta, które potrafił - tak jak teraz - rozciągnąć, jakby były gumowe, w rozbijający uśmiech. Ten uśmiech sprawiał, że chciało się wierzyć we wszystko, co mówił, nawet jeśli się wyczuwało wyraźną nutę fałszu.

Dbął o zachowanie szczupłej sylwetki i mimo że miał wilczy apetyt, udawało mu się nie tyć. W college'u nosił przylizaną fryzurę, a ciemnobrązowe włosy sięgały mu za kołnierz. Teraz znacznie je skrócił i czesał się w stylu rzymskich cesarzy.

- Sądziłem, że się zjawisz po dwóch godzinach. Tak powiedziałeś, prawda?

- Tak, ale przeciągnęło się do dwóch i pół... Czy ty się dobrze czujesz, Dcc? Wyglądasz kiepsko...

- Chyba przez tę długą jazdę. Boże, jak to dobrze znów cię widzieć, stary!

- Czekałem na to. Najwyższy czas, żebyś mi to powiedział... - zaśmiał się Remy i z niedźwiedzią zgrabnością objął Declana w przyjacielskim uścisku. - Witaj, chłopie! Robisz wrażenie, jakbyś nieźle popracował nad swoim wyglądem. Obróć no się, niech cię zobaczę z tyłu.

- Nie wyglupiaj się - zaprotestował Declan, i obaj niemal jednocześnie pokleпали się po plecach. - Chcę od ciebie usłyszeć tylko jedno - oznajmił, cofając się o krok. - Powiedz mi prawdę: uważasz, że mam cholernego bzika, czy nie?

- Oczywiście, że masz, i zawsze go miałeś. Chodźmy lepiej na dół i zrobmy sobie drinka.

Z paprykową pizzą i butelką alkoholu usiedli na podłodze w pokoju, który kiedyś był gabinetem pana domu. Pierwszy łyk whisky Jim Beam spłynął Declanowi po gardle jak płynny jedwab i od razu przyniósł odprężenie. A po zjedzeniu dobrej i tłustej pizzy odniósł wrażenie, że te dziwne doznane przedtem odczucia powstały jedynie na skutek zmęczenia i głodu.

- Czy masz zamiar długo się tak umartwiać, czy może jednak kupisz sobie ze dwa krzesła? - spytał Remy.

- Nie potrzebuję żadnych krzesel. Przynajmniej na razie. - Declan wziął whisky od Remy'ego i pociągnął duży haust wprost z butelki. - Przez jakiś czas chciałbym się ograniczyć do najniezbędniejszych rzeczy. Kupiłem meble do sypialni. Może jeszcze wstawię stół do kuchni, i chyba to wszystko... Gdybym teraz kupił meble, przeszkadzałyby mi w pracach renowacyjnych.

Remy rozejrzał się po pokoju.

- Kiedy widzę, w jak kiepskim stanie jest ten pokój, to się poważnie boję, że zanim skończysz remont, możesz potrzebować wózka inwalidzkiego...

- Nie planuję wielkiego remontu. Wydaje mi się, że w większości wystarczą kosmetyczne zabiegi.

- Słyszałem, że ludzie, którzy byli ostatnimi właścicielami tego domu, mieli zamiar wprowadzić tu wielkie zmiany. Podobno chcieli zamienić dwór w elegancki hotel czy coś w tym rodzaju. Ale popracowali raptem przez sześć miesięcy, a potem dali dyla. Przypuszczalnie zabrakło im pieniędzy.

Uniósłszy brwi, Remy przeciągnął palcem po podłodze i przyjrzał się pokładowi kurzu, który osiadł na palcu.

- Szkoda, że nie możesz przehandlować tego kurzu - powiedział. - Byłbyś nieprzyzwoicie bogaty... ha, ha... chociaż nic, zapomniałem, przecież ty już teraz jesteś nieprzyzwoicie bogaty. Jak rodzinka?

- Bez zmian.

- I pewnie sobie myślą: nasz drogi Dec ma bzika, *il est fou*, - Kreśląc kółko przy uchu, Remy dodał: - Biedak do reszty oszalał... Na pewno tak mówią, prawda?

- Tak. Być może mają rację, ale jeśli nawet mam bzika, to jest on mój własny... Bo gdybym miał się zająć jeszcze jednym poświadczeniem prawdziwości zeznania, gdybym musiał nadal uczestniczyć w zebraniach palestry, gdybym miał doprowadzić do jeszcze jednej ugody stron przed procesem, prędzej chyba utopiłbym się w rzece Charles.

- Bo to prawo cywilne cię tak mierzi, mój drogi. - Remy zlizął sos ze swoich palców. - Trzeba było wybrać prawo karne, i bronić w sprawach kryminalnych, tak jak ja. Od razu byś poczuł, jak żywo krew krąży w żyłach. Powiedz tylko słowo, a od jutra możemy zacząć współpracę...

- Dziękuję za propozycję. Widzę, że nadal lubisz te rzeczy...
- Tak, lubię. Uwielbiam podejrzone sprawy, utajnione szczegóły; lubię pompę i wystawne ceremonie; podobają mi się nawet słowne pojedynki i wymyślne oracje. Po prostu lubię te wszystkie cholerne rzeczy... - Remy potrząsał głową i zakorkowawszy butelkę, dodał: - Za to ty nigdy tego nie lubieś.
- Masz rację. Nie lubiłem!
- Więc po to przez te wszystkie lata brałeś w dupę w Harvardzie, żeby teraz rzucić wszystko w diabły? Pewnie takie właśnie zarzuty stawia ci rodzinka, prawda?
- Między innymi także takie.
- Nie mają racji. Zresztą sam najlepiej wiesz. Bo to nieprawda, że rzucasz wszystko w diabły; po prostu wybierasz inne rzeczy. Dobrze, że tu jesteś. Możesz się teraz zrelaksować i cieszyć tym, co masz. Mieszkasz w Nowym Orleanie, w każdym razie blisko niego. A my tutaj traktujemy sprawy ze spokojem, nie przejmujemy się. I szybko wyplenimy z ciebie wszystko, co masz w sobie z Jankesa. Nauczymy cię tańczyć narodowe akademickie tańce i jeść czerwoną fasolę z ryżem.
- Mam nadzieję, że tak się stanie.
- Gdy się urządzisz, pracusiu, zaproszę cię na kolację. Chcę, żebyś poznał moją narzeczoną Effie. Ona jest tu bibliotekarką.
- Remy zdjął krawat, zrzucił marynarkę i zakasał rękawy koszuli, a Declan pomyślał: „Kiedy patrzę, jak on tu siedzi i je pizzę, popijając whisky, to gdyby nie fryzura, uznałbym, że się niewiele różni od tego, jakim go pamiętam z Harvardu”.
- Naprawdę masz zamiar to zrobić? Chcesz się ożenić? - spytał.
- Stanie się to dwunastego maja - oświadczył Remy, wzdychając przy tym tęsknie. - I nie powstrzyma mnie ani ogień, ani woda. Tak, mój drogi Dec! Postanowiłem się ustatkować, a ona jest właśnie tą, którą pragnę poślubić.
- Bibliotekarka? - Declan nie mógł się nadziwić. - Ty i bibliotekarka!!
- Jest naukowcem. Prowadzi poważne badania - poprawił go Remy i wybuchnął śmiechem. - Zapewniam cię, że ona jest najpiękniejszym moim księżkowym, jakiego kiedykolwiek

widziałem. Prawdziwa z niej mądrała. Jestem zakochany po uszy, Dec. Zakochany do szaleństwa...

- Cieszę się z twego szczęścia, stary!

A co z tobą? Jeszcze ci nie przeszły wyrzuty sumienia z powodu tej... Jak ona się nazywała? Jennifer?

- Nie! Jessica! - Declan pociągnął jeszcze jeden duży haust z butelki, żeby zabić niemiły smak, jaki poczuł, wymawiając jej imię. - Musisz przyznać, że odwołanie ślubu na trzy tygodnie przed terminem, kiedy należało stawić się przed ołtarzem, jest dostatecznym powodem, żeby mieć poczucie winy.

Remy wzruszył ramionami.

- Może i tak, ale czułbyś się o wiele gorzej, gdyby ceremonia jednak się odbyła.

- Mnie to mówisz? - Jego szare oczy wydawały się nieobecne, gdy z zadumą wpatrywał się w butelkę. - Sądzę, że Jessica lepiej zniosłaby afront, gdybyśmy ślub mimo wszystko wzięli i następnego dnia wystąpili o rozwód. - Widać było, że wciąż dręczą go wyrzuty sumienia. - Postąpiłem niegodnie. Nic mogłem chyba gorzej tego załatwić... Ona spotyka się teraz z moim kuzynem Jamesem.

- James?... James? Który to? Ten, co ma głos piszczący jak dziewczyna czy ten drugi, z włosami jak Dracula?

- Żaden z nich. - Declan wykrzywił wargi w uśmiechu. Do diaska, pomyślał, tego mu właśnie brakowało. - James, o którym mówię, to facet bez zarzutu: chirurg plastyczny, gra w polo i zbiera znaczki.

- Wiem. Jest niedużego wzrostu, z wystającą brodą i silnym jankeskim akcentem.

- Tak, to ten. Ale broda mu już nie wystaje. Zrobił sobie implant. Jeśli wierzyć mojej siostrze, między nim a Jessicą zanosi się na coś poważnego. „Dobrze mi tak” - orzekła. Zasłużyłem sobie na to.

- Co do diabła? To niech się twoja siostra ożeni z Jennifer.

- Nie z Jennifer, lecz z Jessicą. Ale masz rację. To samo jej powiedziałem. - I dla podkreślenia swoich słów groźnie wymachiwał butelką. - Nie rozmawiała potem ze mną przez dwa tygodnie, co zresztą przyjąłem z ulgą. Nie jestem już ulubieńcem mojej rodziny, a pozostali członkowie klanu Fitzgeraldów też mnie tępią.

- Wybacz, Declanie, że ci to mówię, ale muszę: Biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, powinieneś ich po prostu... olewać,

Declan ze śmiechem wręczył przyjacielowi butelkę.

- Wypijmy za to! - Wyjął jeszcze jeden kawałek pizzy z pudełka.

- Chciałbym cię teraz zapytać o pewne szczegóły dotyczące tego domu. Bo, widzisz, sam trochę poszperałem w historii dworu zaraz potem, kiedy byliśmy tu po raz pierwszy.

- Pamiętam, że okropnie wtedy nabroiliśmy. Zachowywa-
liśmy się jak pijane zające.

- Co może znowu nam się przytrafić, jeśli będziemy saczyć whisky w takim tempie. W każdym razie dowiedziałem się, że dwór został zbudowany w tysiąc osiemset siedemdziesiątym dziewiątym roku. Budynek, który przedtem stał w tym miejscu, spłonął. Wprawdzie przyczyna pożaru nie została wyjaśniona, ale przypuszcza się, że ogień umyślnie podłożono, i to z powodów politycznych: chodziło o różne zawirowania związane z tzw. rekonstrukcją* po wojnie secesyjnej.

- Nie zapominaj, mój drogi, że wojna wybuchła na skutek agresji Północy - mówiąc to, Remy pogroził przyjacielowi palcem. - I pamiętaj, po której stronie Linii Mason-Dixon** usadowiłeś teraz swój jankeski tyłek.

- Racja! Przepraszam! Ale wróćmy do rezydencji Manetów. Otóż Manetom udało się tania nabyć tę ziemię i zgodnie z tym, co wyczytałem w starych dokumentach, zbudowali na niej obecny gmach. Pierwotnie mieli plantacje trzciny cukrowej i bawełny, ale potem podzielili majątek, oddając pola w dzierżawę. Przez blisko dwadzieścia lat powodziło im się bardzo dobrze. Mieli dwóch synów, ale obaj młodo umarli. Po śmierci starego pana Maneta jego żona jeszcze jakiś czas prowadziła majątek, ale kiedy zmarła - stało się to we śnie, a przyczyną był udar mózgu - nie zostawiła żadnych spadkobierców. Jest w dokumentach wzmianka o jakiejś wnuczce, ale

* Rekonstrukcja - okres od końca wojny secesyjnej w 1865 r. do wycofania się wojsk federalnych z Południa w 1877 r.

** Linia Mason-Dixon - granica między Pensylwanią i Marylandem, uważana za symboliczną granicę kulturową między Południem a Północą.

w testamencie taka osoba nic figuruje: wykreślono ją. Majątek poszedł na licytację, a potem wiele razy zmieniał właściciela. Często jednak stał pusty.

I co?

Declan pochylał się i poważnie zapytał:

• Powiedz mi, Remy: czy ty wierzysz, że w tym domu straszysz?

Remy rzucił się na ostatni kawałek pizzy i z lekko ironiczną miną odparł:

- Więc ten cały wykład o historii wygłosiłeś tylko w tym celu, by mi zadać to jedno pytanie? Chłopie, przecież ty się idealnie nadajesz na adwokata! Właśnie u nas, na Południu, byłbyś świetny w tym fachu. Ale pytasz nie bez kozery, bo dwór rzeczywiście jest nawiedzony. - Wzrok mu się ożywił i z zapałem jadł pizzę. - Ten dom stoi od tak dawna, że nie mogło być inaczej; nawet nie wypadało! Wspomniałeś o wnuczce Manetów. Ta dziewczyna po matce nosiła nazwisko Rouse. Wiem, bo jestem dalekim kuzynem Simone'ow, a oni też wywodzą się z tej linii. Dziewczynkę wychowywali dziadkowie ze strony matki, która ją podobno porzuciła i uciekła z jakimś facetem. Tak przynajmniej mówiono. Nie przypominam sobie, co się stało z jej ojcem, ale jeśli cię to interesuje, są tacy, którzy mogą cię poinformować. Wiem jedynie, że Henry Manet, jego żona Josephine i któryś ich syn - zapomniałem jego imienia - umarli w tym domu. Tylko jeden członek tej rodziny okazał się za mało przebojowy, żeby chcieć w tym domu straszyc, co jest niewybaczalną hańbą.

- Czy ci ludzie, których wymieniłeś, umarli naturalną śmiercią?

Remy dziwnie się nastroszył.

- O ile wiem - tak. Ale dlaczego pytasz?

- Nie potrafię powiedzieć. - Declan starał się ukryć, że po plecach przebiegł mu dreszcz. - Jakieś emanacje...

- Chciałbyś, żeby ci się pojawił jakiś duch, co? Takie małe szare coś... jakaś malutka nadprzyrodzona istota... czary, magia... Może uda ci się wywołać ducha i zachęcić go do rozmowy. Albo, jeśli chcesz, znajdź sobie jakąś czarownicę lub czubka... w tym mieście ich nie brakuje.

- Nie, dziękuję.

- Jeśli zmienisz zdanie, daj mi znać, a poznam cię z kimś, kto pokaże ci niezłe numery.

Ale Declan wcale tego nie pragnął. Doszedł do wniosku, że chce tylko jednego: wziąć prysznic i pójść do łóżka. Whisky przyjemnie rozgrzewała mu krew: wniósł bagaż do domu i potem pogrzebał w walizkach, żeby znaleźć prześcieradła i ręczniki. Wziął ze sobą na górę to, co uważał, że będzie mu w nocy potrzebne. Nikt go nie zmuszał, żeby pościelił sobie łóżko. Zrobił to, bo w przeciwnym razie, jako dobry katolik, miałby poczucie winy. Zafundował sobie dziesięciminutowy prysznic, potem ułożył się w świeżej pościeli i przy akompaniamencie nieustannie padającego deszczu zasnął w ciągu trzydziestu sekund.

Usłyszał płacz dziecka i wcale go to nie zdziwiło. Nie widział w tym nic nadzwyczajnego: niemowlęta często płaczą o północy lub kiedy mają na to ochotę. Płacz brzmiał jednak niepokojąco: nie działał jak alarm, ale irytował. Ktoś powinien wziąć je na ręce i zrobić to, co ludzie zwykle robią z płaczącymi niemowlakami: nakarmić je, zmienić mu pieluszki, ukołysać.

Kiedy w dzieciństwie budził się z płaczem, bo go gnębiły nocne koszmary, matka albo niania, a czasem ojciec, przychodzili, głaskali go po głowie i siedzieli przy nim, póki lęk nie minął.

Ale to dziecko nie było przestraszone, tylko głodne. I wcale Declana nie zaskoczyło, że tak właśnie pomyślał, że wiedział. Co innego uznał za dziwne, a nawet bardzo dziwne, a mianowicie to, że zbudził się zlany potem i stwierdził, że jest na drugim piętrze i stoi przed drzwiami z matową mosiężną gałką.

3

Od kiedy Declan przestał być dzieckiem, nie zdarzało się, żeby chodził we śnie. Ale gdy nazajutrz po lunatycznym spacerze o tym pomyślał, znalazł dla siebie wytłumaczenie: zawiniły whisky, paprykowa pizza i rozmowy o duchach.

Trudniej było przejść do porządku dziennego nad szarpiącym wnętrzności lękiem, który odczuł gdy obudziwszy się, stwierdził, że znajduje się pod drzwiami na drugim piętrze. Ledwo otrząsnął się z lunatycznego stanu, a już wpadł w kosztarną panikę: był pewien, że słyszał cichnący, niemniej wyraźnie brzmiący, niespokojny płacz dziecka.

Uciekł spod drzwi. Nie mógłby ich otworzyć nawet wówczas, gdyby mu ktoś przyłożył do głowy rewolwer. Uciekł z duszą na ramieniu, myśląc tylko o tym, aby się znowu zamknąć w sypialni. Zachował się jak umysłowo chory - tak teraz oceniał siebie, siedząc nad filiżanką letniej już rozpuszczalnej kawy. Dobrze przynajmniej, że nikogo nie było i nikt tego nie widział.

Jeśliby spojrzeć na to wydarzenie inaczej, trzeba by uznać, że pierwsza noc spędzona w rezydencji Manetów była dla niego interesującym i pozytywnym przeżyciem. Dziwne miejsca ziejące chłodem, duch dziecka, spacer w lunatycznym śnie - takie doznania biły na głowę wszystko, co go dotąd spotykało. No bo co do tej pory robił? Siedział sam w pustym mieszkaniu w Bostonie, ciągnął piwo i oglądał telewizję ESPN*.

* ESPN - telewizja, która nadaje wyłącznie programy rozrywkowe i sportowe.

Zastanawiał się, czy nie powinien poświęcić trochę więcej czasu na dokładniejsze zbadanie historii tego domu. Mojego domu - poprawił się. Wychylił się przez wilgotną żelazną poręcz balkonu, na który wyszedł z sypialni, trzymając w ręce filiżankę letniej już kawy. Cóż za wspaniały widok się stąd rozciągał... Ale naprawdę piękny był dopiero wtedy, gdy ominęło się wzrokiem mocno zapuszczony ogród.

Woda deszczowa skapywała z liści, chlupiąc regularnie i dźwięcznie, a powietrze drżało jeszcze od wyładowań, jakie przyniosła odchodząca burza. Mgły snuły się po ziemi i ich dymne smugi wlokły się i wiły wokół drzew, nadając im romantyczne i tajemnicze kształty. Gdyby słońce zdołało się przedrzeć przez mgły, w jego migoczącym świetle stanowiłyby zachwycający widok, ale w tej chwili nie były niczym godnym uwagi.

Z balkonu Declan widział też mały staw, dławiący się od pływających liści lilii wodnych, i pola: niektóre wciąż leżące odłogiem, a inne już obsiane. Wiosna przychodziła tu znacznie wcześniej niż w tych stronach, z których Declan przybył. Na dalszym planie mógł dojrzeć zakręt rzeki, ciągnącej się wąską wstęgą przez mroczną głębię rozlewiska, mały rozklekotany most, spinający jej brzegi, a dalej błotnistą uliczkę prowadzącą aż do drzew, które rosły wokół domu i niemal całkiem go zasłaniały. Już tylko oczami wyobraźni mógł zobaczyć dym, który wznosił się wysoko, by zmieszać się w górze z przesiąkniętym mgłą powietrzem.

Rano Declan wszedł na galeryjkę widokową na dachu i poczuł ulgę, stwierdziwszy, że zarówno dach, jak i wszystkie kominy są w dobrym stanie i nie wymagają naprawy. Ostatni właściciel zadbał nie tylko o dach, ale i o balkon na pierwszym piętrze; potem jednak dał za wygraną i opuścił dom. Declanowi wydawało się, że poprzedni gospodarz zaczął także naprawiać balkon z tyłu domu. Z wstępnych prac, jakie wykonał, można było wywnioskować, że zamierzał obudować go i zamienić w werandę. Declan uznał pomysł za całkiem niezły. Postanowił, że jeszcze do niego wróci i ponownie cały projekt przemyśli.

Nie wiedział, czy poprzednim właścicielom zabrakło pieniędzy, czy energii, a może jednego i drugiego. To jednak, że ode-

szli i dali jemu szansę, uznał za szczęśliwy dla siebie zbieg okoliczności.

Miał mnóstwo pieniędzy i dużo zapasu, a teraz, gdy tu stał i patrzył, jak kłęby pary unoszą się nad zielskiem i wodą, czuł, że rozpiera go energia.

Podniósł filiżankę do ust, ale po chwili ją opuścił, zobaczył bowiem kobietę, czy może dziewczynę, która przemykała wśród drzew, kierując się w stronę zakrętu rzeki. Towarzyszył jej ogromny czarny pies, leniwie chodzący przy nodze.

Była zbyt daleko, by mógł dostrzec rysy jej twarzy. Zauważył jednak, że ma na sobie bluzkę w czerwoną kratę i dżinsy, i zwrócił uwagę na ciemne, długie, mocno wijące się włosy dziewczyny. Zastanawiał się, czy jest stara, czy młoda, ładna, czy brzydka...

Ponieważ wybór i decyzja należały do niego, zawyrokował, że ma być ładna i młoda.

Rzucała do góry piłkę, a kiedy pies, skacząc wysoko, usiłował ją złapać, zręcznie ją chwytła. Powtórzyła manewr dwa razy, a pies skakał i obiegał ją w kółko. Potem odchyliła się do tyłu i z całej siły mocno cisnęła piłkę przed siebie. Pies puścił się w pogoń, bez wahania skoczył do stawu i złapał piłkę zębami, zanim wpadła do wody.

Dobry numer - pomyślał Declan i z przyjemnością patrzył, jak dziewczyna bije psu brawo. Był przekonany, że się przy tym śmiała niskim, gardłowym śmiechem, i żałował, że nie może jej słyszeć. Pies dopłynął do brzegu, wygramolił się cały mokry z kąpieli, wypluł piłkę u stóp swojej pani, a potem energicznie otrząsnął się z wody. Musiał dziewczynę nieźle opryskać, ale ona wcale nie odeszła ani się nie otrzepywała.

Chwilę potem oboje powtórzyli całą zabawę od początku, a Declan obserwował, szczerze nimi zachwycony.

Zamarzył, żeby dziewczyna wybrała się z psem na spacer w pobliże rezydencji. Wyobraził sobie, że podejdzie tak blisko, że jej pomacha z balkonu i zaprosi na filiżankę swojej nic niewartej kawy. Byłby to jego pierwszy krok w kierunku przyśwojenia sobie gościnności typowej dla ludzi Południa.

Albo jeszcze lepiej - fantazjował dalej - gdyby zszedł do niej na łąkę. Ona, siłując się z psem, mogłaby się pośliznąć na mokrej trawie i wpaść do stawu. Wtedy Declan znalazłby się

tuż przy niej i oczywiście wyciągnąłby ją z wody. Nie! Powinien by skoczyć za nią do wody i uratować ją, bo nie umiała pływać. I tak po nitce do kłębka doszłoby do tego, że kochaliby się na wilgotnej trawie, skąpani w promieniach słońca. Jej ciało mokre i gładkie unosiłoby się nad nim, a piersi byłyby powolne jego dłoniom i...

- Boże! - westchnął, mrużąc oczy, gdy zobaczył, że dziewczyna odchodzi i znika wśród drzew. Nie był pewny, czy to, że podniecił się aż do wzwołu, sprawi mu kłopot, czy przyniesie ulgę.

W ciągu sześciu miesięcy, od kiedy zerwał z Jessicą, raz tylko miał stosunek seksualny, i doszło do tego raczej machinalnie niż pod wpływem prawdziwego pożądania. Skoro więc teraz mógł osiągnąć takie podniecenie, tylko fantazjując na temat kobiety, której twarzy nie widział, to znaczy, że sprawy seksu wróciły już u niego do normy. Z listy zmartwień może więc śmiało wykreślić niepokój o swoją męskość.

Nic dopił zimnej kawy, resztę wylał. Nie miał nic przeciwko temu, żeby zacząć dzień od przyjemnej erotycznej fantazji, ale w żadnym wypadku nie zamierzał zaczynać go od złej kawy. Uznał, że czas zająć się sprawami praktycznymi. Wrócił do mieszkania, wziął portfel i klucze i ruszył do miasta po zakupy.

Odwiedzanie sklepów zajęło mu większą część dnia. Nie chodziło mu tylko o to, by zrobić zakupy, ale także o bliższe poznanie miasta, które miał odtąd nazywać swoim.

Jeśli Boston można przyrównać do wielce szacownej żony, która pilnie strzeże swych nielicznych sekretów, to Nowy Orlean jest zmysłową kochanką, szczycącą się swoimi ciemnymi sprawkami.

Zafundował sobie ogromne śniadanie, tak naładowane cholesterollem, że się bał, by mu serce nie wysiadło.

Kupił ziarnistą kawę i młynek, bajgle i naleśniki, a także paczkowane obiady przeznaczone dla samotnych mężczyzn, mrożone pizze i śniadaniowe płatki. Na końcu wstąpił do sklepu alkoholowego po piwo, whisky i dobre wino.

Wszystko to załadował do samochodu, a potem udał się na zwiedzanie miasta. Spacer, poza radością chodzenia po uli-

cach, sprawił, że Declan przypomniał sobie o jeszcze jednym koniecznym zakupie, a mianowicie: aby jeść, trzeba mieć na czym i czym... Zdecydował się nabyć papierowe talerze i plastikowe naczynia. Przy okazji zatrzymał się na chwilę, by przyjrzeć się ulicznemu muzykantowi, który położył na chodniku otwarty futerał na trąbkę, włożył do niego kilka monet na zachętę i już po chwili rozległy się prawdziwie magiczne tony. się zwabić do dzielnicy grzechu. W porze obiadowej dźwięki muzyki dolatywały ze wszystkich klubów, a egzotyczne zapachy ze wszystkich restauracji. Zapach *muffuletty* skłonił go do kupienia tego cudu, złożonego z mięsa, sera i oliwy na włoskim chlebie, i zabrania do domu na później.

W drodze do samochodu zwrócili jego uwagę turyści obładowani bagażami, którzy wychodzili z Cafe Du Monde albo ze sklepów na Riverwalk. Potem przez chwilę przyglądał się wróżącym z kart. Siedzieli przy składanych stolikach rozstawionych dookoła placu Jacksona i za dziesięć dolarów przepowiadali przyszłość. Gdy przechodził boczną uliczką, poczuł słaby zapach marihuany, zmieszany z fetorem rozkładających się śmieci.

Zobaczył ogromną czarną kobietę, która, pykając leniwie fajkę, paliła marihuanę. Siedziała na balkonie pełnym roślin doniczkowych nad sklepem reklamującym erotyczne świece. Kupił jedną dla Remy'ego. Miała kształt nagiej kobiety z piersiami jak torpedy. Wracając do samochodu, śmiał się do siebie 7, tego nabytku.

Przyjechał do domu pełen zapału. Wniósł zakupy do mieszkania i poukładał je tam, gdzie chwilowo było miejsce. Potem rozpoczął inspekcję parteru. Przechodząc z pokoju do pokoju, w notesie spisywał uwagi dotyczące obecnego stanu ewentualnych trudności, a także planowanych robót i kolejności ich wykonania.

Postanowił zacząć remont od kuchni. Miał już pewne doświadczenie nabyte w swoim domu w Bostonie. Pomagał też w adaptowaniu dwóch domów swoich przyjaciół.

Nie mógł się niestety pochwalić, że umie gotować, choć

w razie potrzeby potrafił zrobić omlet albo tost czy sandwicza. Mimo braku kulinarnych umiejętności Declan uważał kuchnię za bardzo ważne miejsce w domu, za jego serce.

Kuchnię w rezydencji Manetów ostami raz przebudowano we wczesnych latach osiemdziesiątych; cała była w chromie i bieli. Pośrodku znajdowała się „wyspa” z ladą do pracy. Podłoga wydała się Declanowi olśniewająco biała.

Za zalety kuchni uznał duże okna, stary, ale wciąż nadający się do użytku ceglany piec i ładny, kasetonowy sufit. Podobała mu się też ogromna spiżarnia; uważał jednak, że to pomieszczenie lepiej by się nadawało na stylizowaną wiejską izbę. Takie izby stały się ostatnio bardzo modne. Zamierzał dokopać się do oryginalnej drewnianej podłogi, zerwać tapetę z przesłodzonym deseniem w czajniczki do herbaty, zlikwidować „wyspę” i na jej miejscu ustawić stary, zabytkowy stół piekarniczy lub coś w tym rodzaju.

Malowanie nie było mocną stroną Declana. Zostawiał je zawsze Jessice, która wybierała zwykle blade kolory i spokojne, klasyczne desenie. Teraz doszedł do wniosku, że woli mocniejsze barwy i zachwyca go wdzięk tego, co fantazyjne. Lubował się w ładnych szczegółach i drobiazgach. To jest w końcu jego dom i przerobi go po swojemu. Od góry do dołu.

Marzyły mu się przeszklone gabloty, w których mógłby umieścić stare kuchenne naczynia: pęknięte, niepasujące do siebie filiżanki i spodki, butelki i słoiki Masona*. Taki miszmasz...

Na ladach kuchennych położy solidne drewniane blaty. W kranach zainstaluje miedziane kurki. Nie zmartwi się, jeśli zaśniedzieją; będą wtedy wyglądały bardziej wiarygodnie.

Chciał mieć wielką lodówkę, zmywarę do naczyń i płytę kuchenną z czterema palnikami. Wszystko obudowane specjalnie spatynowanym drewnem. No... i można gotować!

Porobił masę notatek, jeszcze raz sprawdzał wykonane już pomiary. Wyciągnął swoje podręczniki i zgłębiał ich treść, siedząc na podłodze pustej biblioteki. Zjadł w tym czasie pół sandwicza i wypił tyle kawy, że mu zaczęło dzwonić w uszach.

* Słoiki Masona - patentowane słoje do konserw.

Doskonale wiedział, czego chce; widział to już nawet oczami wyobraźni: półki od podłogi do sufitu wypełnione książkami. Ściany biblioteki pomaluje na ciemnozielony kolor; sufit z gładko wypolerowanego gipsu sztukatorskiego powinien mieć lekko kremowy odcień. Na półce nad kominkiem postawi grube srebrne świeczniki. Przypomni sobie, że musi powierzyć jakiemuś profesjonalistcie zbadanie stanu kominów, zanim zabierze się do budowania kominków. A koniecznie trzeba ogrzać wnętrze domu, żeby pozbyć się panującego tu przejmującego chłodu.

Tam gdzie uzna, że powinny być ozdoby, zostawi je. Powierzchnie drewniane wypoleruje piaskiem, by stały się gładkie jak satyna. Zarówno małe drzwi boczne, jak i te masywne, oddzielające gabinet pana domu od salonu, były w doskonałym stanie.

Któremuś z poprzednich właścicieli udało się skończyć kładzenie podłogi. Declan pełzał teraz po niej na kolanach i dłońmi dotykał wszystkich drewnianych klepek. Będzie musiał wygładzić je, najlepiej piaskiem, potem nałożyć na nie kilka warstw bezbarwnego lakieru i będą jak nowe. Do zachowania podłogi w niezłym stanie niewątpliwie przyczyniły się dywany, szczególnie te grube aubussony, które Josephine sprowadziła z Paryża.

Do Declana docierały zapachy brandy, skóry, wosku pszczołego i woń róż, ale nie zwracał na to uwagi. Oczy miał chmurne i wzrok nieobecny. Zatrzymał się przy kominku wyłożonym kafelami i wetknął kciuk w wyszczerbione miejsce w rogu. Ten kafel jest do wymiany, pomyślał, a jeśli się nie da dobrać czegoś odpowiedniego, trzeba będzie płytkę w miejscu uszkodzenia zaokrąglić. Kafle były ręcznie malowane i pokryte szklistą polewą we Włoszech. Na pewno bardzo dużo kosztowały.

To Julian strącił świecznik z półki nad kominkiem i wyszczerbił kafel. Był wtedy jak zwykle pijany i jak zwykle szalał.

Gdy zadzwonił w kieszeni telefon komórkowy, Declan wciąż jeszcze kuczał i trochę nieprzytomnie rozglądał się po pustym pokoju. Co tu właściwie robi? - zastanawiał się. Spojrzał na kciuk i zobaczył, że stał go do krwi o wyszczerbiony kafel. Oszołomiony wyjął z kieszeni telefon.

- Tak! Halo?
 - Więc jednak jesteś? Już miałem zrezygnować z dzwonięcia.
- Słuchał pogodnego głosu Remy'ego, ale nie przestawał wpatrywać się w kafele. Myślał o tym wyszczerbionym i coś nie dawało mu spokoju.
- Jestem, jestem... Widzisz, Remy, obchodzę pokój po pokoju, mierzę, co się da, i robię różne inne rzeczy...
 - A co byś powiedział na to, żeby wyjść ze mną na miasto? Teraz jestem z kimś umówiony, ale potem moglibyśmy się spotkać na drinku. Także z Effie, jeśli udami się ją wyciągnąć...
 - Która jest teraz godzina? - Declan odwrócił rękę, by spojrzeć na zegarek. - Północ? Już jest północ?
 - Ale skąd! Wcale nie jest tak późno. Coś ty? Piłeś już czy co?
 - Tylko kawę. - Popatrzył z troską na swój zegarek i popukał w tarczę. - Chyba wysiadła bateria.
 - Jest dopiero po szóstej. Około dziewiątej powinienem być wolny. Jeśli chcesz wybrać się ze mną, to spotkajmy się w Et Trois przy ulicy Dauphine, tuż obok ulicy Bourbona.
 - No, dobrze. - Trochę bezmyślnie przejechał dłonią po włosach i stwierdził, że ma spocone czoło. - Dobrze, to nawet zapowiada się całkiem interesująco.
 - Czy mam ci wytłumaczyć, jak tam dojechać, szanowny Jankesie?
 - Nie! Sam tam trafię. - Potarł swój bolący kciuk. - Remy?
 - Tak się nazywam!...
 - Nie!... Nic... - Declan pokiwał głową, zaśmiał się do siebie i dodał; - A więc do zobaczenia!

Przyjechał trochę wcześniej. Nie chodziło mu o to, żeby się napić. Chciał zobaczyć, jak zmienia się miasto, gdy kończy się dzień i zaczyna wieczór. Był ciekaw, jak się Nowy Orlean przeobraża w nocy.

Miasto lśniło od karnawałowych świateł. Na ulice wyległy tłumy i cały ten ludzki strumień w poszukiwaniu rozrywki ciągnął w określone miejsce: do Dzielnicy Francuskiej, gdzie mieściły się restauracje, kluby i nocne lokale. Declan uważał, że specyficznej atmosfery, która tu panuje, nie tworzą ani tury-

ści, ani kupcy czy właściciele lokali, ale samo miasto rozbrzmiewające muzyką.

Z otwartych drzwi mijanych lokali rozrywkowych buchały głośne dźwięki cool jazzu, hot rocka i rzewnych bluesów. Balkony i tarasy restauracyjne przepełnione były gośćmi, którzy przyszedli na kolację i broniąc się przed styczniowym chłodem, zamawiali alkohol i ostre sosy. Menedżerowie striptizowych klubów obiecywali gościom wizualne rozkosze, a w sklepach nieustannie dzwoniły kasy, gdy turyści rzucali się na kupowanie podkoszulków z odpowiednimi nadrukami i masek na huczno zapusty. Barmani podawali Jankesom bardzo mocne koktajle, a tym, którzy lepiej wiedzieli, co dobre - piwo i whisky.

A nad wszystkim górowała muzyka.

Declan pochłaniał ją całym sobą. Idąc w dół ulicą Bourbona, mijał szeroko otwarte drzwi restauracji, rzęsiście oświetlone nocne lokale, a także nieoczekiwanie zaskakujące podwórka. Obszedł grupę kobiet, które zbiły się w gromadkę na chodniku i plotkowały, skrzeczając jak sroki. Pachniały kwiatami i cukierkami, a gdy znieacka wybuchnęły głośnym śmiechem, zareagował jak typowy mężczyzna: uciekł.

- Ładny dupek - skomentowała jedna z nich, a Declan przyspieszył kroku. Uznał, że kobiety, gdy jest ich więcej i tworzą grupę, zamieniają się w tajemnicze, niebezpieczne istoty.

W pewnej chwili przyszło mu na myśl, że skoro ma spotkać się z Effie, to powinien przynieść jej jakiś prezent. Przecież z okazji zaręczyn ofiarowuje się narzeczonemu różne podarki. Nie miał jednak pojęcia, jakie rzeczy jej się podobają, i na dobrą sprawę nie wiedział, jaka ona jest. Był natomiast przekonany, że jeśli jest w czymś dobry, to na pewno w kupowaniu prezentów.

Żałował, że wcześniej nie pomyślał o nabyciu jakiegoś drobiazgu. Teraz zajrzał do kilku sklepów bez większej nadziei, że znajdzie coś odpowiedniego, bo niemal wszystkie były nastawione na potrzeby turystów. Nie sądził, by nadmuchiwany plastikowy penis był właściwym upominkiem dla nieznannej dziewczyny, z którą miał się spotkać po raz pierwszy. Może lepiej poczekać z prezentem, pomyślał, albo kupić to, co zwykle darował dziewczynom: kosz z różnymi damskimi kosmetykami.

Nagle zobaczył żabę: była niewielka, srebrna i wyglądała, jakby przycupnęła na nogach, przygotowując się do wspaniałego skoku. Miała pogodną, choć trochę zblazowaną minę i szeroki, cwaniacki uśmiech. Declanowi bardzo przypominała Remy'ego.

Skoro Effie zakochała się w jego starym kumplu z college'u, to chyba musi lubić zwariowane pomysły - wydedukował; polecił zapakować żabę w elegancki papier i przewiązać wstążką z wielką czerwoną kokardą.

Było jeszcze trochę przed dziewiątą, kiedy zjawił się na ulicy Dauphine. Postanowił, że usiądzie przy barze, z dala od parkietu na środku sali, gdzie tańczono, posłucha muzyki i poduma nad kuflem piwa.

Przez najbliższe tygodnie będzie mocno zajęty: czekało go sporo roboty przy odnawianiu domu. Za dnia będzie zdierał tapety w kuchni, a wieczorami układał plany dalszego remontu: co i kiedy poddać obróbce. Musi poszukać dobrych rzemieślników, pozbierać oferty, dokonać wyboru i przystąpić do robót.

Jeśli chodzi o najbliższą noc, planował, że jakiś czas spędzi z przyjaciółmi, a potem wróci do domu i postara się solidnie przespać osiem godzin.

Bez trudu dostrzegł szyld reklamujący Et Trois: był pomalowany na niebiesko i tańczył nad podniszczonymi drewnianymi drzwiami budynku, zaledwie dwa kroki od ulicy. Na pierwszym piętrze rzucał się w oczy taras z koronkową żelazną balustradą, udekorowany pękatymi glinianymi doniczkami, w których kwitły jaskraworóżowe pelargonie. Wzdłuż okapu ktoś zawiesił rząd małych białych lampek, co stanowiło nie tylko miły dla oka widok, ale stwarzało atmosferę ciepła, chciałoby się rzec: kobiecego. Było to zatem wymarzone miejsce, gdzie można posiedzieć, wypić szklankę wina i przyglądać się ludziom, którzy przechadzali się na dole.

Gdy Declan otworzył drzwi do lokalu, uderzył go głośny ryk skoczego *zydeco** oraz zapach czosnku i whisky.

* *Zydeco* - nurt ludowej muzyki murzyńskiej z elementami muzyki kreolskiej, akadyjskiej i in.

Na małym podium grała pięcioosobowa orkiestra w składzie: tara pralnicza, skrzypce, bęben, gitara i akordeon. Nie wielki parkiet wypełniony był po brzegi tańczącymi w takt granej muzyki szybkiego fantazyjnego fokstrota.

Choć światło było nieco zamglone, dokładnie widział, że żaden z okrągłych drewnianych stolików po bokach sali nie był wolny. Skierował się w stronę baru. Lada barowa, mimo że poczerniała ze starości, lśniła czystością; przy niej gęsto ustawiono z tuzin stołków bez oparcia. Declan zajął jedyny wolny stołek, zanim udało się to komuś innemu.

Za barem wzdłuż lustra stały rzędem butelki. Między nie ktoś powtykał solniczki i pojemniczki na pieprz o przeróżnych dziwnych kształtach, przedstawiały na przykład elegancką parę w strojach wieczorowych, psy, bohaterów komiksowych: wieiórkę Rocky i łosia Bullwinkle'a oraz dwie świnki: Porky i Petunię. Inne solniczki wyobrażały okrągłe gołe piersi na wpół leżącej dziewczyny, maski karnawałowe lub uskrzydłone rusałki.

Declan przyglądał się solniczkom i zastanawiał, kim był człowiek, który zgromadził i wystawił te cuda. Doszedł do wniosku, że pewnie był to ktoś, kto dobrze rozumiał mentalność mieszkańców Nowego Orleanu.

W pewnej chwili na podium dla orkiestry wystąpiła piosenkarka, która, akompaniując sobie na skrzypcach, zaśpiewała jakąś akadyjską pieśń. Choć jej głos brzmiał jak zardzewiała piła, był w trudny do wytłumaczenia sposób urokliwy. Wybijając takt stopą, Declan rozglądał się po sali i obserwował, co się dzieje po drugiej stronie baru. Zwrócił uwagę na barmana, który nosił dredy po pas i którego twarz wyglądała, jakby ją jakiś zdolny rzeźbiarz wyrzeźbił w ziarnie kawy. Jego ręce poruszały się z gracją baletnicy, gdy włączał coraz to inny przycisk i napełniał kieliszek po kieliszku.

Declan już zaczął podnosić rękę, żeby zwrócić na siebie uwagę barmana, kiedy zza baru wyszła dziewczyna. Potem, kiedy już mógł jasno myśleć, stwierdził, że doznał takiego uczucia, jakby dostał młotem kowalskim w pierś. Ten cios nie zatrzymał bicia serca, ale spowodował, że gwałtownie zakolałało. W jednej chwili wszystko się w nim poruszyło: serce, krew, lędźwie i mózg. Coś w nim krzyczało:

„A więc jesteś! Nareszcie się zjawiłaś!”

To, co się działo w jego ciele, odbierał jak potężny dźwięk, który zagłuszył muzykę i ludzkie głosy. Declan przylgnął do dziewczyny wzrokiem i zatopił się w niej bez reszty. To było tak, jakby na ciemnej scenie silny reflektor rzucił na nią mocny snop światła.

Nie jest piękna - pomyślał. W każdym razie nie klasycznie piękna. Niemniej wydała mu się czymś zjawiskowym.

Miała włosy czarne jak noc, cygańską burzę włosów, które opadały w dzikich lokach i okrywały ramiona. Twarz wąską jak u lisa zdołał pociągnąć, arystokratyczny nos; gładkie lico, wystające kości policzkowe i trochę spiczasto zakończona broda - oto co przede wszystkim rzuciło mu się w oczy. Do tego doszły duże oczy o migdałowym wykroju, ciężkie powieki i usta szerokie, pełne, umalowane na krwistoczerwony kolor.

Poszczególne elementy jej twarzy robią wrażenie, jakby do siebie nie pasowały, nie tworzyły harmonijnej całości, a jednak są perfekcyjne - przekonywał się w duchu. Ta dziewczyna ma uderzającą, seksowną, wspaniałą urodę.

Była niewielkiego wzrostu i delikatnej budowy ciała. Miała na sobie obcisły, głęboko wydekoltowany podkoszulek w kolorze maków, odsłaniający jej szczupłe ramiona i podkreślający zarys jędrnych piersi; na srebrnym łańcuszku wisiał wtulony w nie mały srebrny kluczyk.

Declan zwrócił uwagę na śniadą cerę dziewczyny i brązowe oczy, które wydały mu się ciemne jak gorzka czekolada.

Rozchyliła wargi w łagodnym uśmiechu. Podeszła bliżej i pochyliła się nad barem, tak że ich twarze znalazły się blisko siebie. Wystarczająco blisko, by mógł zobaczyć jej mały pieprzyk tuż nad prawym łukiem górnej wargi, a także poczuć zapach jaśminu kwitnącego nocą i cały się w nim pogrążyć.

- Czym mogę panu służyć? - spytała.

Niejednym... - odpowiedział jej w myśli - i bardzo bym tego pragnął. Ale nic nie zdołał z siebie wydusić poza jakimś nieartykułowanym dźwiękiem w rodzaju hmm...

Lekko potrząsnęła głową, potem skłoniła ją i przez chwilę taksowała go wzrokiem. Gdy się znów odezwała, wpadł mu w ucho wyraźnie akadyjski akcent.

Czy pan ma ochotę się napić, czy raczej jest... głodny tej nocy?

Ach... - zapragnął przejechać językiem po jej czerwonych wargach i tym malutkim pieprzyku, a najchętniej całą by ją połknął. - Proszę o piwo Corona - wydukał w końcu.

Patrzył, jak bierze do ręki butelkę i po drodze limonę. Miała chód tancerki, poruszała się jak egzotyczna baletnica. Czuł, że mu język zawiązuje się w supeł.

- Mam to zapisać? Będzie pan coś jeszcze jadł?

O Boże! Weź się w garść, chłopie! - pomyślał.

- Tak - odparł. - Dziękuję! A co się tym otwiera? - spytał. Kiedy zdziwiona uniosła brwi, wziął od niej butelkę i dodał: - Pani małym kluczykiem?

- Tym? - spytała i przytknęła palec do wisiorka. Ten jeden ruch wystarczył, by ciśnienie krwi Declana gwałtownie skoczyło w górę.

- To kluczyk do mego serca, drogi panie. A co pan miał na myśli?

Wyciągnął do niej rękę. Czuł, że jeśli jej zaraz nie dotknie, to się załamie i rozpłacze.

- Mam na imię Declan - przedstawił się.

- Naprawdę? - pozostawiła dłoń w jego ręce. - Jakie ładne imię! Niespotykane.

- Jest irlandzkie.

- Ach, tak... - Odwróciła jego dłoń wnętrzem do góry i pochyliła się nad nią, jakby chciała czytać mu z ręki. - I co tu widzisz? Dawno nie było pana w Nowym Orleanie, ale tym razem ma pan nadzieję tu pozostać. Przybył pan do nas z zimnej północy. Prawda, Declanie?

- Tak! Sądzę, że nietrudno się było domyślić.

Znowu na niego spojrzała. Tym razem poczuł, że mu serce zamiera z zachwyty.

- Mogę odgadnąć jeszcze więcej szczegółów. Jest pan bogatym jankeskim adwokatem z Bostonu. To pan kupił Manet Hall.

- Czy my się znamy? - spytał zaskoczony. Kiedy chwycił jej dłoń, odniósł wrażenie, jakby luźne dotąd ogniwa połączyły się w jeden łańcuch. - Czy myśmy się już gdzieś spotkali?

- Nie w tym życiu, mój drogi! - Lekko trzepnęła go po rękę i wróciła do baru, by obsługiwać gości.

Ale wciąż szukała go wzrokiem. Nie był taki, jakiego się spodziewała po opisie Remy'ego. Chociaż niech ją diabli, jeśli wie, czego oczekiwała. Bardzo lubiła niespodzianki, a mężczyzna siedzący przy barze i obserwujący ją szarymi niczym chmura burzowa oczami wyglądał, jakby miał wiele niespodzianek w zanadrzu.

Podobał jej się wyraz jego oczu. Była przyzwyczajona, że mężczyźni patrzyli na nią z pożądaniem, ale w jego wzroku było coś więcej: jakieś całkowite zapamiętanie się. To jej pochlebiało i sprawiało wielką przyjemność.

Wzruszała ją myśl, że ma do czynienia z mężczyzną, który za jeden jej uśmiech może zrobić dla niej wszystko, co jest w jego mocy.

Mimo że jeszcze się na dobre nie zabrał do picia piwa, znowu do niego podeszła i pukając palcem w butelkę, spytała:

- Mam podać następne?

- Nie, dziękuję! Ale czy mogłaby pani zrobić sobie przerwę w pracy? Może mógłbym coś pani postawić? Drinka, kawę? Kupić samochód albo psa?

- A co masz w tej paczuszcze?

Spojrzał na małą torebkę z prezentem dla Effie.

- To upominek dla kogoś, kogo mam dziś spotkać.

- Widzę, Declanie, że wielu kobietom kupujesz prezenty.

- Nic mnie z tą kobietą nie łączy; w tej chwili z nikim nie jestem związany. Ale muszę powiedzieć, że... dawniej byłem w tym lepszy.

- W czym?

- W podrywaniu kobiet.

Wybuchnęła niskim, gardłowym śmiechem, który zdawało mu się, że zna, że słyszał go kiedyś w snach na jawie.

- Czy nie może sobie pani zrobić małej przerwy? Wyrzucimy kogoś od stolika i będzie pani miała okazję dać mi jeszcze jedną szansę.

- Całkiem nieźle sobie radzisz z pierwszą szansą. Ten lokal należy do mnie, więc nie może być mowy o żadnych przerwach w pracy,

- To pani lokal?

- Oczywiście. - Odwróciła się, bo do lady podeszła kelnerka z tacą.

- Proszę poczekać! - Chwyił ją znowu za rękę. - Nie wiem, jak się pani nazywa. Proszę mi chociaż powiedzieć, jak ma pani na imię.

- Angelina - odparła - ale nazywają mnie Lena, bo jakoś mało przypominam anioła.- Przeciągnęła palcem po jego policzku i odeszła, żeby przyjąć zamówienie.

Declan pociągnął głęboki łyk piwa. Chciał się pozbyć śliny, która nagromadziła mu się w ustach. Już zaczął przemyśliwać, jaki zrobić drugi krok, by zbliżyć się do Leny, gdy Remy poklepał go po plecach.

- Stary, musimy postarać się o stolik!

- Stąd jest lepszy widok.

Idąc za jego spojrzeniem, Remy domyślił się, o co chodzi.

- Widok jeden z najlepszych, jakie to miasto ma do zaofiarowania. Widzę, że poznałeś już moją kuzynkę Lenę.

- Kuzynkę?

- Tak, kuzynkę, choć w czwartym pokoleniu, jeśli się nie mylę, a może nawet piątym... Angelina Simone to jeden z klejnotów Nowego Orleanu. A oto nasz drugi skarb: Effie Renault. Effie, kochanie, pozwól, że ci przedstawię mego przyjaciela, Declana Fitzgeralda.

- Cześć, Declanie! - Effie wcisnęła się między nich obu i pocałowała Declana w policzek. - Tak się cieszę, że mogę cię poznać.

Jej ładną twarzyczkę w kształcie serca okalała burza blond włosów. Oczy miała niebieskie, pogodne niczym letnie niebo, u usta ładnie wykrojone i bardzo różowe, jak przystało na stu-procentowego kociaka. Przypominała *cheerleaderkę* z miejscowego liceum.

- Jesteś zbyt ładna, żeby tracić czas z takim facetem jak Remy. Dlaczego nie uciekniesz gdzieś ze mną? - zaproponował.

- Ależ bardzo chętnie. Kiedy ruszamy? - spytała.

Declan zachichotał i zszedłszy ze stołka barowego, pocałował Effie w policzek.

- Świetna robota, Remy, doskonały wybór! - pochwalił przyjaciela.

- Najlepszy, jaki kiedykolwiek zrobiłem - przyznał Remy, przyciskając usta do włosów Effie. - Usiądź tutaj, kochanie. Lokal jest przepełniony. Innego miejsca niż przy barze nie znajdziemy. Napijesz się wina?

- Chętnie! Białe firmowe będzie w sam raz.

- A co dla ciebie, Declan? Mam ci napełnić szklankę?

- Sam sobie zamówię piwo. Dzisiaj ja stawiam.

- Skoro tak - to zamów dla mojej dziewczyny dobre wino, na przykład chardonnay, a ja napiję się tego samego co ty.

- Proszę, proszę, jaki niespodziewany gość! - zawołała Lena, uśmiechając się do Remy'ego. - Cześć, Effie! Co pijemy dziś wieczór?

- Dla pani szklanka chardonnay, a dla nas jeszcze dwa piwa Corona - zamówił Declan. - A potem zadzwoń po pogotowie, Leno, bo co na ciebie spojrzą, to mi serce zamiera.

- Wiesz, Remy, twój przyjaciel jak zacznie nawijać, to idzie mu jak z płatkami... - powiedziała Lena i wyjęła butelkę wina z chłodni.

- W Harvardzie wszystkie dziewczyny miękły w jego rękach jak wosk. Robił z nimi, co chciał... - wspominał Remy.

- My, dziewczyny z Południa, jesteśmy przyzwyczajone do gorących temperatur i tak łatwo nie topniejemy. - Nalała Effie wina, a panom na każdej szklance piwa położyła plasterki limony.

- Wyobraź sobie, Leno, że już cię wcześniej widziałem - powiedział Declan. - To było dziś rano, blisko stawu; bawiłaś się z dużym czarnym psem.

- Bardzo możliwe, bo byłam na spacerze z Rufusem, psem mojej babci. - Lena ucieszyła się, że ją obserwował i zapamiętał. - Babcia mieszka w domu na bagnach. Nieraz do niej wpadam i zostaję, gdy się źle czuje albo gdy jej smutno.

- Wpadnij do rezydencji, kiedy będziesz na spacerze. Oprowadzę cię do domu.

- Zrobię to z chęcią, bo nigdy nie byłam w środku. - Postawiła miskę precelków na ladzie baru. - Czy chcielibyście zamówić coś z kuchni?

- Jeszcze się nad tym zastanowimy - odparł Remy.

- Kiedy się zdecydujecie, dajcie znać. - Pokręciła się jeszcze przez chwilę i zniknęła w tylnych drzwiach.

Dec! Wytrzymaj brodę i przestań się ślinić. To żenujące - Remy przywołał przyjaciela do porządku.

- Nie szydź z niego, kochanie - Effie ujęła się za Declanem. - Lena każdego potrafi doprowadzić do takiego stanu. Mężczyźni nie tylko tracą dla niej głowę, ale ubywa im także innych ważnych części ciała.

Teraz to zdecydowanie powinnaś ze mną uciec - zażartował Declan. - Ale na razie życzę wam obojgu wszystkiego najlepszego. - I położył przed nią torebkę z upominkiem.

Dajesz mi prezent? Czyż nie jesteś najśłodszym stworzeniem pod słońcem? - Entuzjazm, z jakim to powiedziała, rozbawił Declana.

Effie wyjęła z pudełka żabę, przez chwilę się w nią wpatrywała, po czym odrzuciła głowę do tyłu i głośno się roześmiała.

Ta żaba przypomina Remy'ego. Spójrz, kochanie, ona naprawdę ma uśmiech taki jak ty...

- Wcale tego nie widzę.

- Ale ja tak, i Declan też to dostrzegł! - Okręciła się na stołku i rozpromieniona zwróciła się do Declana: - Lubię cię - wyznała - i bardzo się z tego cieszę. Kocham tego kretyna bardziej, niż to się da opisać, więc dla niego udawałabym, że cię lubię, nawet gdybym cię nie lubiła. Ale nie muszę niczego udawać...

Daj spokój, Effie! Znowu się mażesz... - i słysząc, że Effie pochlipuje i pociąga nosem, wyjął z kieszeni chusteczkę. - To jej się zdarza - wyjaśnił - kiedy jest szczęśliwa. W ten wieczór, gdy ją poprosiłem, żeby została moją żoną, tak bardzo płakała, że minęło dziesięć minut, zanim zdołała wykrztusić słowo „tak!”.

Ściągnął ją ze stołka.

- Chodź, kochanie, zatańczymy i będziemy tańczyć, dopóki ci lzy nie obeschną.

Declan usiadł na stołku, wziął do ręki piwo i patrzył na nich tańczących na parkiecie.

Dobrze wyglądają razem... - zauważyła Lena, stając za nim.

O tak, bardzo... Ciekawe, jak my wyglądalibyśmy razem.

Uparciuch z ciebie - westchnęła. - A jaki samochód mi kupisz?

- Samochód?
- Czyżbyś już zapomniał? Przecież proponowałeś mi, że możesz mi kupić drinka, kawę, samochód lub psa. Jeśli chodzi o drinki, to mogę je sobie sama postawić, i kawę też wolę własną. Psa tak jakbym już miała. Mam również samochód, ale nie widzę powodu, dla którego nie mogłabym mieć dwóch. Jakiej marki mi kupisz?
- Jaką sobie wybierzesz!
- Dam ci znać - odparła i odeszła w głąb baru.

4

Przez trzy dni Declan bardzo solidnie pracował. Najwięcej satysfakcji dawało mu rozwalanie wszystkiego, co zamierzał usunąć bądź zmienić. Nawet budowanie od początku czy przywracanie do pierwotnego stanu nie sprawiało mu takiej przyjemności. Zburzył kuchnię, usunął „wyspę” stojącą na środku, zlikwidował lady i kredensy. Za pomocą pary wodnej usunął tapety, po czym zerwał linoleum.

Dokopał się do surowego gipsu i drewna i teraz otworzyły się przed nim ogromne możliwości.

Wieczorami leczył pęcherze na rękach i nadwyrężone mięśnie, a także przeglądał różne książki z projektami wnętrz.

Dzień rozpoczynał od picia porannej filiżanki kawy na ganuku z nadzieją, że może dostrzeże gdzieś Lenę i wielkiego czarnego psa, którego nazywała Rufus.

Spotykał się z robotnikami i rzemieślnikami, zamawiał materiały, a w przypiływie entuzjazmu tak się zagalopował, że kupił na giełdzie samochodowej pikap wielkości ciężarówki.

Pierwszego wieczoru udało mu się zbudować kominek w dolnym salonie. Uczcił tę okazję szklanką merlota wypita w samotności.

Nie przydarzyło mu się więcej chodzenie lunatyczne, ale nadal miewał dziwne sny. Kiedy się budził, pamiętał tylko ich fragmenty. Często była to muzyka, a jej dźwięki wydawały się mieć korzenie w mózgu, jak tumor. Czasem docierały do jego uszu jakieś podniesione głosy. Kiedyś śnił o seksie. Słyszał głębokie westchnienia, zwidywały mu się w ciemności leniwe

ruchy ciała na ciele i żądza rosnąca niby ciepła fala. Obudziwszy się, drżał cały i długo jeszcze czuł delikatny zapach lilii.

Ponieważ o seksie mógł na razie tylko śnić, całą energię kierował na pracę.

Kiedyś postanowił zrobić przerwę, jednak tylko po to, by złożyć komuś wizytę. Wychodząc, zaopatrzył się w bukietik białych stokrotek i surową kość dla psa.

Dom na bagnie był parterowy, zbudowany z cyprysowego drewna, ale postawiony pośpiesznie i niedbale. Z trzech stron opływała go woda koloru tytoniu. Mała biała łódka kołysała się łagodnie przy pochyłej przystani. Tam, gdzie nie dochodziła woda, dom otaczały drzewa: cyprysy, dęby i leszczyna. Z gałęzi zwisały się czyste butelki do połowy napełnione wodą. Pod dębem, niczym wyrastająca z jego splecionych korzeni, stała malowana figura Najświętszej Pani. U Jej stóp kwitły ciemnoczerwone bratki.

Błotnisty podjazd prowadził do niewielkiego ganku, gdzie wśród doniczkowych kwiatów zaskakiwał stojący tam bujak. Zielone okiennice przypominały kolor mchu. Drzwi z metalowej siatki, mającej chronić przed insektami, były w dwóch miejscach połatane, a zza siatki dochodziły mocne dźwięki bluesa w wykonaniu Ethel Waters.

Declan słyszał ostrzegające donośne szczekanie psa. Nie spodziewał się, że Rufus jest aż tak wielki. Nie był też przygotowany na szybkość, z jaką pies wyskoczył zza drzwi i zaatakował go.

- Jezus Maria! - krzyknął. I to było wszystko, na co się zdobył. Chwilę się zastanawiał, czy dać nura w otwarte okno pikapu, czy stanąć bez ruchu, gdy czarna masa, wielkością dorównująca chyba kucowi, z poślizgiem zatrzymała się u jego stóp.

Rozdzierające uszy szczekanie przeplatał Rufus groźnymi pomrukiwaniami, warczeniem i robiącym imponujące wrażenie odsłanianiem zębów. Ponieważ Declan wątpił, by udało mu się odpędzić psa bukietikiem stokrotek, zdecydował się na nawiązanie przyjacielskiego kontaktu.

- Nie, Rufus! Naprawdę! Taki z ciebie ogromny pies... Jak ci się wiedzie?

Rufus powąchał buty Declaim, potem doszedł do końca nogi

i wreszcie wsunął nos w sam środek krocza.

- No, stary! Nie spoufalaj się tak bardzo!

Mając na uwadze zęby psa, Declan wolał zaryzykować dłoń niż fiuta i powoli wyciągnął rękę, aby tę masywną psią głowę trochę od siebie odsunąć i poklepać.

Rufus przez chwilę wpatrywał się w niego błyszczącymi brązowymi oczami, po czym jednym szybkim, płynnym ruchom stanął na tylnych łapach, a olbrzymie przednie oparł na ramionach Declana. Wyciągnął język mniej więcej długości rzeki Missisipi i z rozmachem liznął Declana po twarzy. Ten zaś, przyciśnięty do boku samochodu, pocieszał się, że owo wylewne lizanie jest jedynie gestem powitania, a nie przejawem szczególnej czułości.

- Mnie też miło jest zawrzeć z tobą znajomość - zapewnił psa.

- Rufus! Zabierz łapy, i to już!!!

Rozkaz przyplynał zza drzwi frontowych; pies natychmiast opuścił łapy i usiadł, uderzając ogonem o ziemię.

Kobieta stojąca na ganku wyglądała młodziej, niż się Declan spodziewał. Mogła mieć niewiele więcej niż sześćdziesiąt lat. Była drobnej budowy jak wnuczka i podobnie jak ona miała pociągłą twarz. Włosy czarne, tu i ówdzie przyprószone siwizną, układały jej się w bujne loki. Ubrana była w suknię kretonową, sięgającą do połowy łydek, i luźny czerwony sweter. Na nogach miała solidne brązowe buty oraz grube czerwone skarpety, wyłożone na buty. Kiedy oparła dłonie na biodrach, usłyszał brzęczenie jej bransolet.

- Widać Rufusowi przypadł do gustu pański zapach i głos i dlatego dał panu całusa na przywitanie.

- A co by się stało, gdybym mu się nie spodobał?

Uśmiechnęła się lekko, co pogłębiło zmarszczki na jej twarzy.

- Jak pan myśli? Co?

- Chyba powinienem się cieszyć, że mój zapach wydał mu się przyjacielski. Jestem Declan Fitzgerald, proszę pani. To ja kupiłem Manet Hall.

- Wiem, kim pan jest. Proszę wejść i spocząć. - Cofnął się, u ona otworzyła chwiejające się siatkowe drzwi.

Z psem, stąpającym ciężko tuż obok niego, Declan wszedł na ganek.

- Miło mi panią poznać, pani Simone!

Obserwowała go. Jej ciemne oczy patrzyły otwartym, ale niewiele mówiącym spojrzeniem.

- Przyznaję, że jest pan rzeczywiście bardzo urodziwy.

- Dziękuję! - Wyciągnął do niej kwiaty. - Pani też.

Wzięła od niego bukiet i zacisnęła usta.

- Chyba nie przyszedł pan po to, żeby się do mnie zalecać, panie Fitzgerald? - spytała po chwili.

- Czy pani umie gotować?

Usłyszał niski, chrapliwy śmiech.

- Mam świeżo upieczony chleb z mąki kukurydzianej, więc może się pan sam przekonać.

Poprowadziła go do wnętrza przez prosty, wąski hol. Po drodze miał okazję rzucić okiem na salon i dwie sypialnie. W jednej z nich nad zwykłym żelaznym łóżkiem wisiał żelazny krucyfiks. Zauważył, że jest tu też pokój do szycia. Wszędzie panował pozorny nieład, ale czystość była wzorowa. W powietrzu unosiła się woń pasty do polerowania mebli i lawendy. Gdy zbliżali się do kuchni, zapachniało wiejskim pieczywem.

- Mam trzydzieści jeden lat - zaczął Declan. - Jestem wypłacamy finansowo i dysponuję zaświadczeniem lekarskim o dobrym zdrowiu. Nie palę. Piję umiarkowanie i jestem w miarę schludny i przywiązany do porządku. Jeśli pani za mnie wyjdzie, będę panią traktował jak królową.

Roześmiała się i potrząsnęła głową, a potem ruchem ręki zaprosiła go do kuchennego stołu.

- Proszę usiąść - powiedziała - i łaskawie wyciągnąć swoje długie nogi pod stołem, tak żebym się o nie nie potknęła. Widzę, że jest mi pan zyczliwy, więc może mnie pan nazywać panną Odette.

Odkryła stojący na ladzie półmisek i wyjęła talerze z kredensu. Gdy krajała chleb, Declan wyjrzał przez drzwi kuchenne wychodzące na podwórze.

Dokoła rozpościerało się bagno; kolanka cyprysu przebijały lustro ciemnej wody. Na jej powierzchni odbijały się cienie drzew i migotały w świetle słońca, ptak z jaskrawoczerwonymi skrzydłami wzbijał się nad bagnem i zniknął.

- Pięknie tu - powiedział. - Aż dziw, że chce się pani cokolwiek robić, gdy mogłaby pani cały dzień siedzieć tu i tylko patrzeć.

Tak. To bardzo dobre miejsce - przyznała. Ze starej lodówki, niewiele wyższej od niej, wyjęła dzbanek ciemnej herbaty.

-■ Moja rodzina żyje tu od ponad stu pięćdziesięciu lat. Dziadek miał tam, z tyłu, destylarnię. Teraz w tym miejscu rośnie kępa drzew. Pędził samogon, ale inspektorzy skarbowi nigdy go nie nakryli.

Postawiła przed Declanem szklankę i talerz.

- Proszę się częstować. A czym się trudnił pański dziadek?

Był adwokatem. Właściwie oboje byli adwokatami.

- Żyją, są na emeryturze.

- Pan chyba też, prawda?

- Można to tak nazwać. W każdym razie rozstałem się z prawem.

Ugryzł kęs chleba, a ona, krzątając się, wyjęła z kredensu jasnobeleski pękaty flakonik.

- Chleb jest wspaniały, panno Odette - pochwalił ją.

- Mam dobrą rękę do pieczenia... i lubię stokrotki - dodała, wkładając kwiatki do flakonu, który napełniła wodą. - Mają takie pogodne oblicza. Czy pan da Rufusowi tę kość, którą pan przyniósł, czy każe mu o nią prosić?

Ponieważ Rufus siedział u jego stóp i jedną ciężką łapę położył mu na udzie, Declan uznał, że pies wystarczająco długo prosi, i wyjął z torby kość. Rufus delikatnie chwycił ją w zęby, dwa razy zamasyżuje pomerdal ogonem, po czym klapnął na podłogę i zabrał się do gryzienia przysmaku.

Odette postawiła kwiatki pośrodku stołu i usiadła na krześle obok Declana.

- Co pan zamierza zrobić z tym wielkim starym domem, panie Declan?

- Mam dużo pomysłów. Przede wszystkim chciałbym doprowadzić go do dawnej świetności.

- A potem?

- Czy ja wiem? Chciałbym w nim zamieszkać.

Ułamała kawałek chleba i przypatrując się z uwagą gościowi, doszła do wniosku, że podoba jej się jego wygląd: niedbała fryzura, kamiennoszare oczy w szczupłej twarzy, a także dźwięk jego głosu, jankeski, ale nie afektowany, i jego manie-

ry - bardzo gładkie, ale przy tym naturalne i przyjacielskie. Chciała się jeszcze przekonać, jaki ma charakter.

- Właściwie dlaczego chce się pan tu osiedlić? - spytała.

- Nie umiem na to odpowiedzieć. Wiem tylko, że zapragnąłem tu zamieszkać od chwili, gdy po raz pierwszy ujrzałem ten dwór.

- Więc to miejsce pana oczarowało? Ciekawe, czy dom odwzajemnia pańskie uczucie.

- Nie wydaje mi się, by wyrobił już sobie o mnie zdanie. Czy pani kiedykolwiek w nim była?

- Tak. Dawno temu - odparła. - To zbyt duży dom jak na jednego młodego człowieka. Czy ma pan jakąś dziewczynę w Bostonie?

- Nie, proszę pani.

- Dziwne... Taki przystojny chłopak i przecież już po trzydziestce... Nie jest pan pedałem, co?

- Nie, proszę pani. - Podniósł szklankę z herbatą i dodał z uśmiechem: - Lubię dziewczyny, tylko że nie znalazłem jeszcze takiej, która by mi odpowiadała.

- Proszę mi pokazać ręce. - Ujęła je w swoje dłonie i obróciła wnętrzem do góry. - Są jeszcze ciągle rękami mieszcza, ale widać, że postanowił pan szybko to zmienić. - Przejęła kciukiem po jego gojących się pęcherzach, zadrapaniach i po krawędzi zgrubienia, świadczącego o tworzącym się odcisku. - Mam maść, która działa jak balsam. Dam ją panu, zanim pan stąd wyjdzie. Wystarczy posmarować, a pęcherze przestaną dokuczać. Declan, ma pan silne ręce! Wystarczająco silne, by mogły wpłynąć na zmianę pańskiego losu. Dobrze pan zrobił, wybierając nową drogę życia. Nie kochał pan jej?

- Przepraszam, nie zrozumiałem.

- Nie kochał pan tamtej kobiety. - Odette gładziła paznokciem wnętrze jego dłoni. - Chodzi mi o tę, którą pan porzucił. Ona się dla pana nie nadawała.

Zmarszczywszy brwi, Declan pochylił się niżej i wpatrywał we własną dłoń.

- Czyżby pani na mojej dłoni widziała Jessicę? To fascynujące. Czy ona wyjdzie w końcu za Jamesa, jak pani sądzi?

- Panu na tym zależy? Ona pana też nie kochała.

. Trudno... świetnie... - powiedział i zaśmiał się krótko.

-- Miłość dopiero do pana przyjdzie i będzie to tak wielkie uczucie, że położy pana na obie łopatki. Ale to będzie dobra miłość... - Wciąż głaskała kciukiem wewnątrz jego dłoni, lecz wzrok przeniosła na twarz. Jej oczy zdawały się zapadać w głąb i Declan wiele w nich mógł wyczytać.

- Pana łączą silne więzy z rezydencją Manetów. To są naprawdę bardzo stare i silne więzy. Życie i śmierć. Krew i łzy. Ale także radość, jeśli okaże się pan dość silny i dostatecznie mądry. Pan jest inteligentnym mężczyzną, Declanie. Niech pan użyje swojej inteligencji i stara się mieć oczy szeroko otwarte. Proszę patrzeć przed siebie i za siebie i spróbować się odnaleźć. Pan nie jest sam w tym domu.

Poczuł suchość w gardle i sięgnął po herbatę. Nie drgnął w nim żaden mięsień.

- Wiem, że mój dom jest nawiedzony - powiedział.

- To właśnie powstrzymywało innych przed zamieszkaniem w nim. Mówili, że chodzi im o pieniądze, o czas i tym podobne rzeczy, ale to nie była prawda. Wystraszyli się tym, co się w tym domu dzieje. Stary dwór czekał na pana.

Dreszcz przebiegł mu po grzbiecie, jakby ktoś ugodził go lodowatą strzałą.

- Dlaczego?

- To już musi pan sam odkryć. - Lekko ścisnęła jego dłoń, potem wypuściła i wzięła szklankę z herbatą.

Choć zamknął dłoń, nadal czuł jej dotyk.

- A więc pani jest czymś w rodzaju medium?

Rozbawiona wstała, aby przynieść dzbanek herbaty. Postawiła go na stole.

- Od czasu do czasu zdarza mi się widzieć dziwne rzeczy. To taka mała kuchenna magia - dodała, napełniając herbatą szklanki. - I wcale nie czyni ze mnie czarownicy. Jestem po prostu kobietą. - Zobaczyła, że Declan przygląda się srebrnemu krzyżykowi, który nosiła na łańcuszku, splątany z innymi koralami na szyi. - Dopatruje się pan w tym jakiejś sprzeczności? A jak pan myśli: od kogo jest ta moc, która mnie czasem nachodzi?

- Nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

- Nie wykorzystujemy wszystkich talentów, jakimi dobry

Bóg nas obdarzył. Marnujemy Jego dary. - Przechyliła głowę i Declan zobaczył, że panna Odette nosi także kolczyki. Grube, niebieskie kamienie dyndały, zwisając z drobnych płatków jej uszu. - Słyszałam, że pan zatrudnił Jacka Tripadoego do robót hydraulicznych.

Niełatwo mu było powrócić ze świata metafizyki do rzeczywistości, ale się przemógł, choć przez cały czas wewnątrz jego dłoni wibrowało od dotknięć jej palców.

- Tak. Polecił mi go mój przyjaciel, Remy Payne.

- Ach, ten Remy... - twarz jej się rozjaśniła i od razu zniknęła z niej wszelka tajemniczość. - Niezły z niego numer - dodała. - Jack jest naszym dalekim powinowatym... jest kuzynem bratowej mego szwagra. Myślę, że będzie dobrze pracował, ale gdyby policzył za robotę więcej, niż powinien, niech mu pan powie, że panna Odette zechce wiedzieć, dlaczego.

- Jestem pani bardzo zobowiązany. A czy przypadkiem nie zna pani jakiegoś murarza? Chodzi mi o takiego, który potrafi robić bardziej wyszukane rzeczy.

- Znajdę panu kogoś takiego. Czuję, że wyda pan mnóstwo pieniędzy, żeby doprowadzić dwór do pierwotnego stanu i żeby go potem utrzymać w takiej formie.

- Nie brak mi pieniędzy, proszę pani. Mam nadzieję, że pani wpadnie kiedyś do mnie. Z przyjemnością oprowadzę panią po domu. Nie umiem wprawdzie piec kukurydzianego chleba, ale z zaparzeniem herbaty nie będzie kłopotu.

- Ma pan miłe maniere, *cher!* Pańska mama dobrze pana wychowała.

- Może potwierdziłaby to pani na piśmie i własnoręcznie podpisała. Chciałbym wysłać to mamie.

- Miło mi, że mieszka pan blisko. Proszę mnie odwiedzać, kiedy tylko przyjdzie panu na to ochota.

Wstał, uznawszy to za sygnał, że pora się pożegnać.

- Dziękuję, panno Odette. Mnie też miło, że jest pani bliską sąsiadką.

Spojrzała na niego i w tym momencie słońce rozjaśniło jej twarz. Nachylenie głowy, wyraz rozbawienia w ciemnych oczach, ironiczne skrzywienie warg - wszystko to przywiodło mu na myśl bar w Dzielnicy Francuskiej.

- Ona jest taka do pani podobna... - szepnęła.

- Wiem o tym. Widzą, że moja Lena wpadła panu w oko.
Głupio mu się zrobiło, że wysnęła mu się taka uwaga.
Ratując sytuację, uśmiechnął się i zażartował:
- Przecież ustaliliśmy, że ja lubię dziewczyny, więc...
Wstała i lekko stuknęła w stół, aby zaakcentować, że ma poczucie humoru.
- Bardzo pana lubię, Declanie - wyznała z uśmiechem.

On też ją polubił. Do tego stopnia, że mimo poprzednich zastrzeżeń zdecydował się kupić parę krzeseł, aby panna Odette miała gdzie usiąść, kiedy do niego wpadnie. Pomyślał, że poszuka czegoś odpowiedniego w sobotę, i wrócił do kuchni, by przygotować ściany do tapetowania. Postanowił, że kupi krzesła po południu, zanim pójdzie na kolację z Remym i Effie, a ukoronowaniem wieczoru będzie wizyta w barze Et Trois. A jeśliby się okazało, że Lena tego wieczoru nie pracuje, po prostu wyjdzie z baru i rzuci się pod pierwszy pędzący samochód.

Pracował jeszcze długo po zapadnięciu zmroku; potem napił nie piwa i zjadł paczkowanego kurczaka, reklamowanego jako „Kolacja dla Głodnego Mężczyzny”. W końcu usiadł na koźle do cięcia drewna i podziwiał postępy, jakie zrobił w odnowieniu kuchni.

Ściany były już oczyszczone z tapety, naprawione i przygotowane do malowania. Naznaczył ołówkiem miejsca, które zajmą szafki; do ich wykonania zamierzał zabrać się nazajutrz. Odważył się nawet spróbować swoich sił przy łączeniu zaprawą cegieł w kominku i wydawało mu się, że całkiem nieźle sobie radził. Udało mu się też dotrzeć do starej sosnowej podłogi, którą odkrył pod wierzchnimi warstwami, i teraz osłonił specjalną ochronną folią. Ostatecznie ustalił, jakie zrobi w najbliższym terminie zakupy, i wyznaczył miejsce, gdzie stanie nowa elektryczna kuchenka i lodówka. Postanowił, że gdyby mu się nie udało znaleźć odpowiedniej szafki na porcelanę - u zamierzał ustawić ją wzdłuż dłuższej ściany w kuchni - to także spróbuje sam ją wykonać. Czuł, że ma dobrą passę.

Z butelką wody do picia poszedł na górę, wziął - co stało się już tradycją- dziewięćminutowy prysznic, potem wyciągnął

się na łóżku z zamiarem przejrzenia zapisków, rysunków i książek. Tymczasem w połowie studiowania planów przebudowy frontowego salonu zasnął.

Zbudził go płacz dziecka. Był zziębnięty i otaczała go zupełna ciemność. Żałosne kwilenie niemowlęcia wciąż brzmiało mu w uszach. Usiadł, a serce waliło mu jak młotem. Nie miał pojęcia, gdzie się znajduje; wiedział tylko, że siedzi na podłodze zamiast na łóżku. Było tak zimno, że oddech zamieniał się w białą pierzastą mgiełkę i ulatywał w mroczną noc.

Obrócił się i wstał. Macając rękami dookoła, szukał drogi jak ślepiec. Wyczuwając wolną przed sobą przestrzeń, zrobił ostrożnie krok do przodu.

Lilie... Wstrząsnął nim dreszcz, gdy rozpoznał zapach. Teraz już wiedział, gdzie jest. Znajdował się na dole w pokoju, który dzieliła od jego sypialni cała długość holu. Ostatnimi dniami unikał wchodzenia do niego - podobnie jak do pokoju na drugim piętrze - a teraz właśnie w nim się znajdował. Szurając nogami, zrobił jeszcze jeden krok i chociaż wiedział, że to granicy z szaleństwem, miał nieodparte wrażenie, że nie jest sam.

- Możesz mnie straszyć, ile chcesz, ale i tak mnie stąd nie wypędzisz - powiedział na głos.

W pewnej chwili natrafił palcami na coś twardego. Z jękiem cofnął rękę, zaraz sobie jednak uświadomił, że dotknął ściany. Dla uspokojenia wziął kilka głębokich oddechów i trzymając się ściany, ruszył przed siebie. Uderzył jeszcze w jakąś przeszkodę, namacał dłońią szybę i wreszcie, znalazłszy gałkę w drzwiach na ganek, szeroko je otworzył.

Stycziowe powietrze wydało mu się ciepłe w zetknięciu z jego wyziębioną skórą. Postąpił krok do przodu i chwycił się poręczy. Poczul się jak we wnętrzu jaskini. Musiał przyznać rację powiedzeniu, iż nie ma gorszych ciemności od panujących na wsi.

Gdy jego oczy przyzwyczyły się do mroku, odwrócił się i dokładnie zamknął za sobą drzwi do pokoju, z którego wyszedł.

- To jest teraz mój dom - powiedział cicho trochę już uspokojony. Przeszedł ganek, otworzył drzwi do sypialni i wkroczył do środka.

*

- Naprawdę chodzisz we śnie? - z niedowierzaniem zapytał Remy, dobierając sobie ryżu.

- Tak! Zdarzało mi się to już nieraz w dzieciństwie. Gdy miałem jedenaście lat, lunatyczne sny nękały mnie przez sześć miesięcy. - Chociaż, mówiąc to, Declan lekceważąco wzruszył ramionami, nie udało mu się zmniejszyć wagi wypowiedzianych słów. Wcale nie zamierzał zbytnio się nad tym rozwodzić, a jeśli już, to co najwyżej wspomnieć o tym jedynie mimochodem, tymczasem stało się inaczej.

Kolacja, którą Effie urządziła w apartamencie Remy'ego, mieszczącym się w eleganckiej, ogrodowej dzielnicy, okazała się bardzo udana. Declan dobrze się bawił w towarzystwie przyjaciół, ale opowiadając im o postępach, jakie poczynił w pracach adaptacyjnych we dworze, nieoczekiwanie zwierzył się ze swoich nocnych przygód.

- To musi być przerażające uczucie - zauważyła Effie - zbudzić się i zobaczyć, że człowiek znajduje się nie tam, gdzie powinien.

- Tak. W tym jest na pewno coś metafizycznego. Najśmieszniejsze, że w końcu wylądowałem właśnie w tych pokojach, które wywołują we mnie najwięcej lęku. A może to jest w jakiś sposób logiczne? Może ma jakieś ukryte znaczenie.

- Póki pozostajesz w obrębie domu, nie jest najgorzej - odezwał się Remy. - Wolę nie myśleć, co by się stało, gdybyś - nie daj Boże - chodząc we śnie, znalazł się w pobliżu mokradeł.

- Pięknie to sobie wymyśliłeś... Dziękuję!!

- Ależ, Remy! - Effie karcąco pacnęła go po ręce. - A ty - zwróciła się do Declana - powinieneś wybrać się do lekarza. Dostaniesz lekarstwo, które pozwoli ci lepiej sypiać.

- Być może, chyba jednak nie warto. Mieszkam w rezydencji już tydzień, a te przykre rzeczy zdarzyły mi się tylko dwa razy. A poza tym nie sądzę, żeby zażycie paru uspokajających pigułek mogło poradzić na siły nadprzyrodzone.

- Moim zdaniem nie są to żadne duchy, tylko przeciągi i odgłosy typowe dla starego i zmurszałego domu.

Remy się uśmiechnął.

- Effie nie wierzy w duchy - stwierdził z satysfakcją.

- Ani też w karty do tarota, czytanie z listków herbaty ani

w żadne inne, podobne nonsensy. - Chociaż mówiła w sposób afektowany, zabrzmiało to jak obrona.

- Moja dziewczyna jest bardzo zasadnicza: wierzy tylko w „tu i teraz”.

- Twoja dziewczyna ma dużo zdrowego rozsądku - odparowała Effie. - Dec! Zupełnie zrozumiałe, że możesz mieć jakieś dziwne odczucia, skoro mieszkasz na odludziu i całkiem sam w wielkim, starym domu. I mogłabym się założyć, że się nie odżywasz właściwie. Powinieneś zamieszkać na jakiś czas tutaj z Remy, przynajmniej póki się nie przyzwyczaisz do nowego otoczenia.

~ Tobie radzi, ale sama nic chce ze mną mieszkać - obruszył się Remy.

- Zamieszkać z tobą, kiedy się pobierzemy, nie wcześniej.

- Ależ, moja droga, do maja jest jeszcze tak daleko... Brak mi ciebie. Tęsknię, gdy nie jesteś ze mną... - I z czułością ucałował jej dłoń.

- Wiesz, co ci powiem, Effie - wtrącił się Declan - lepiej ty przyjdź do mnie i zostań ze mną kilka nocy. Oczywiście układ czysto platoniczny - dodał z uśmiechem, widząc zwięzione gniewem oczy Remy'ego. - Jestem pewny, że już po jednej czy dwóch nocach zmieniałabyś zdanie o duchach.

- Przykro mi, Dec, ale jestem wielkomięską dziewczyną i nie zmienię zdania, gdy chodzi o zabobony. Ciekawi mnie jednak, co ty robisz w tym wielkim domu, kiedy nie pracujesz.

- Czytam. A skoro już o tym mowa, muszę się wybrać do twojej biblioteki, bo chcę zdobyć więcej informacji o Manetach i ich dawnej rezydencji. Może będziesz mogła mi pomóc. A czym się jeszcze zajmuję na co dzień? Próbuję coś robić w ogrodzie, no i chodzę na spacer. Wybrałem się nawet z wizytą do panny Odette.

- Odwiedziłeś pannę Odette? - zainteresował się Remy, kończąc kolację. - To niezwykła osoba, prawda?

- Tak. Szczerze ją polubiłem. Ale pomijając wszystko inne, dom wymaga tyle roboty, że zmęczony całodzienną pracą zwykle zasypiam już około dziesiątej wieczór. Wprawdzie zainstalowałem sobie wreszcie telewizor, ale jakoś nigdy go dotychczas nie włączyłem. Natomiast dziś po południu kupiłem stół, krzesła i jeszcze parę innych rzeczy. Wciąż popełniam ten sam

błąd - zganił sam siebie - gdy wchodzę do sklepu z antykami, nie mogę się oprzeć kupowaniu.

Nie pozwolimy, żebyś się zamykał w domu i zaharowywał od świtu do nocy - oświadczyła Effie. - Oczekuję, że, począwszy od dziś, będziesz co najmniej raz w tygodniu przyjeżdżał do miasta i spotykał się z nami. A ty, Remy, powinieś odwiedzać Declana w sobory i pomagać mu w pracy. Twój problem, Dec, polega na tym, że za dużo czasu spędzasz samotnie - zakończyła, odsuwając się od stołu. - A teraz powiedz, czy masz ochotę na placek.

Być może Effie miała rację - pomyślał Declan, szukając miejsca do zaparkowania. A jeśli nawet nie miała racji, to i tak ją podziwiam za to, że potrafi jasno sprecyzować swoją opinię. Declan zgadzał się w duchu z twierdzeniem, że powinien spróbować urozmaicić sobie życie. Mógłby raz lub dwa razy na tydzień przyjeżdżać do miasta i fundować sobie prawdziwy obiad. Mógłby co jakiś czas zapraszać Remy'ego i Effie do restauracji na jakąś, niekoniecznie wystawną kolację. Nie zaszkodziłoby też, gdyby spędzał wieczór na czytaniu czegoś innego niż tylko podręczniki...

Co więcej, musi się wkrótce zmobilizować i przebić przez tę psychiczną blokadę, która nie pozwala mu wchodzić do pokoju na drugim piętrze.

Nie znalazł miejsca do parkowania blisko Et Trois i zatrzymał się kilka domów dalej. Ale kiedy wszedł do baru i zobaczył Lenę za ladą, uznał, że ten dłuższy spacer sowicie mu się opłacił.

Nie udało mu się tego wieczoru zdobyć wolnego krzesła, wcisnął się więc między klientów i stanął przy ladzie w rogu baru. Muzyka grała głośno i żwawo; tak też zachowywała się liczna dziś gromada gości.

Oprócz właścicielki pracowali tej nocy w barze jakaś blondynka i facet z włosami w dredach, którego Declan już wcześniej poznał. Wszyscy troje mieli ręce pełne roboty i uwijali się jak w ukropie.

Lena spojrzała w jego stronę, gdy komuś podawała dwa beczkowe piwa i taniego szampana.

- Dziś też pijesz coronę? - spytała.

- Nie, dla odmiany tym razem poproszę o colę.

Wyglądała tak samo ładnie, jak ją zapamiętał. Dokładnie tak samo! Tylko że tej nocy była ubrana na niebiesko. Miała na sobie bluzkę, której odpięte guziki odsłaniały głęboki dekolt, a rękawy zrolowane były do łokci. Wargi znów umalowała na ognistoczerwony kolor, ale tym razem włosy szesała do tyłu i spięła po bokach srebrnymi grzebyczkami; w uszach dyndały błyszczące kolczyki w kształcie kół. Postawiła przed nim wysoką szklanę.

- Gdzie się podziewasz? - spytała.

- Chyba jestem na miejscu - odparł zdziwiony.

- Ach, nie! - zaśmiała się. - Od razu widać, że nie jesteś z Nowego Orleanu. Kiedy pytamy, gdzie się podziewasz, to znaczy, że chcemy wiedzieć, jak ci się powodzi.

- Bardzo dobrze, dziękuję. A ty gdzie się podziewasz?

- Świetnie! Widzę, że szybko się uczysz. Jeśli chodzi o mnie, też czuję się bardzo dobrze, ale teraz jestem ogromnie zajęta. Daj mi znać, gdybyś zechciał jeszcze coś do picia.

Na razie nie miał zamiaru wracać do domu. Gdy się zwolnił barowy stołek, wspiął się nań i usiadł.

Lena obserwowała go z daleka. W jej oczach Declan wyglądał jak wielki urodziwy kot: spokojny, cierpliwy i tylko odrobinę groźny.

Długo się bawił swoją colą, potem poprosił o ponowne napełnienie szklanki i nie opuszczał stołka, nawet gdy bar zaczął pustoszeć.

Znowu do niego podeszła.

- Czy czekasz na kogoś, przystojniaku?

- Tak - odparł, patrząc jej prosto w oczy. - Czekam.

Ściereczką wytarła płamę na ladzie.

- Słyszałam, że byłeś z wizytą u mojej babci.

- Zgadza się. Byłem przed dwoma dniami. Jesteś do niej podobna.

- Tak mówią. - Lena wetknęła koniec ściereczki w tylną kieszeń spodni. - Poszedłeś do niej po to, żeby zademonstrować swój jankeski wdzięk i żeby ona wstawiła się do mnie za tobą?

- I tak, i nie. To był tylko uboczny cel, bo głównie poszedłem ją odwiedzić, ponieważ jest moją sąsiadką; pomys-

lałem więc, że skoro starsza kobieta mieszka sama, może chętnie pozna kogoś, kto jest w pobliżu i mógłby pomóc w potrzebie. Ale kiedy ją poznałem, zdałem sobie sprawę, że pani Simone nie potrzebuje ode mnie żadnej pomocy.

- To ładnie z twojej strony, że ją odwiedziłeś. Babci tak naprawdę przydałaby się od czasu do czasu jakaś pomoc... Dupris, mój drogi! - zawołała kolegę, lecz oczy miała wciąż skierowane na Declana. - Bądź tak uprzejmy i zamknij dziś za mnie lokal, dobrze? Wychodzę do domu.

Torebkę trzymała za ladą barową. Teraz ją wyjęła, gotowa do wyjścia. Zaśmiała się, gdy Declan szeroko otworzył przed nią drzwi.

Słyszałam, że ciężko pracujesz przy remoncie swego domu.

- Tak. Haruję dzień i noc - potwierdził. - Zacząłem od kuchni i sporo już zrobiłem. A ciebie nie widuję ostatnio koło stawu. Wypatruję co rana, a ty nie przychodzisz.

- Rzeczywiście, ostatnio jakoś się nie składało... - Prawda była taka, że Lena umyślnie trzymała się z daleka, bo chciała się przekonać, czy Declan z własnej inicjatywy przyjdzie jeszcze do baru. Teraz szła obok niego lekkim, spacerowym krokiem.

- Nie wiem, czy wiesz, Leno, że spotkałem Rufusa i nawet mnie polubił.

- Moja babcia też cię polubiła.

A co z tobą?

Mnie, rzecz jasna, także lubią-zażartowała.

Roześmiał się dopiero po chwili, gdy Lena otwierała wysoką żelazną bramę. Weszli na małe brukowane podwórkę; stał tam żelazny stół i dwa krzesła.

Leno... - zaczął i wziął ją za rękę.

- Tu mieszkam - weszła mu w słowo. Ruchem ręki wskazała schody, prowadzące na ganek na pierwszym piętrze.

Jak widzisz, udało mi się sprytem i wdziękiem skusić cię na długi spacer. Ale czy teraz nie moglibyśmy...

Nie! - Przymknęła go palcem w pierś. - Nie zaproszę cię też górę. W każdym razie nie dzisiaj. Myślę, że jakoś z tego wybrniemy i w końcu się dogadamy. - Wspięła się na palce, lekko się zakotłosała, objęła go za szyję i przycisnęła wargi do jego ust.

Czuł, że zaraz zrobi mu się słabo. Miał wrażenie, jakby chodził po solidnym gruncie, który nagle zaczął się usuwać spod stóp. Albo jakby spadał z wysokiego, stromego brzegu. Jego zmysły rejestrowały tysiące wspaniałych doznań. Jedwabisty dotyk jej warg i języka, ciepło skóry, urzekający zapach perfum... W pewnej chwili go puściła, zanim zdążył pomyśleć, że trzeba się rozstać.

- Dobry w tym jesteś - mruknęła i koniuszek palca przytknęła do jego warg. - I ja miałam przecucie, że tak będzie. Dobranoc, kochanie!

- Poczekaj chwilę! - zawołał. - Nie był aż tak zszokowany, żeby nie móc normalnie reagować. Złapał ją za rękę. - Tamto było jedynie drobną wprawką. - I w stylowy sposób wziął ją w ramiona.

Czuł uśmiechnięte wargi Leny na swoich ustach, wędrował dłonią w górę po jej plecach, aż zanurzył się we włosach.

Lenę dręczyła niepewność, nie przestawała myśleć o tym, jaki on jest naprawdę. Wprawdzie jego usta wydawały się spokojne i cierpliwe, ale czuła w nich budzącą się żądzę. Jego dłonie, choć delikatne, mocno ją trzymały.

Nie pamiętała zbyt dobrze, jak smakuje mężczyzna, ale smak tego mężczyzny przenikał jej do krwi i czuła go całą sobą.

Ktoś otworzył drzwi do baru obok i głośne dźwięki muzyki wylały się na ulicę. Po chwili drzwi znowu zamknięto. Gdzieś tuż za nią rozległ się warkot samochodu, a chwilę potem ponownie, tym razem przez otwarte okna, buchnęła muzyka.

Lenę ogarniały fale ciepła; jej dłonie, dotąd spoczywające na ramionach Declana, zaczęły krążyć dokoła i wreszcie połączyły się na jego szyi.

- Jesteś w tym naprawdę bardzo dobry - powtórzyła i otarła policzek o jego twarz raz, a później jeszcze dwa razy. - Ale i tak nie wejdiesz na górę dzisiejszej nocy. Muszę to jeszcze przemyśleć i dobrze się zastanowić.

- W porządku! I tak wciąż będę do ciebie wracał.

- Wszyscy do mnie wracają - powiedziała, a w myśli dodała: ale na krótko, i uwolniła się z jego objęć. — Idź już do domu, Declanie.

- Poczekam tutaj, aż wejdiesz do środka.

Uniosła brwi zdziwiona.

- A może jednak ty jesteś tym właściwym? - Ponieważ to, co powiedział, było miłe, pocałowała go w policzek, po czym skierowała się w stronę schodów i weszła na górę.

Otworzywszy mieszkanie, obejrzała się: wciąż jeszcze stał.

- Życzę ci słodkich snów, kochanie! - zawołała.

- Byłaby to bardzo pożądana zmiana - mruknął, kiedy zamykała za sobą drzwi.

5

Manet Hall
2 stycznia 1900

To było kłamstwo. To musiało być kłamstwo, zimne i okrutne. Nie uwierzy, nigdy nie uwierzy, że jego słodka Abby od niego uciekła, że go zostawiła i porzuciła ich dziecko.

Lucian siedział na brzegu łóżka. Był oszołomiony i ten stan go nie opuszczał, od kiedy wrócił do domu. A w domu wszyscy byli ogromnie poruszeni i ani śladu jego żony. Rzekomo uciekła z innym mężczyzną. Tak mu tłumaczyli; podobno jakaś jej stara miłość. Spotykała się z tym człowiekiem w tajemnicy, ilekroć Lucian wyjeżdżał w interesach do Nowego Orleanu.

Same kłamstwa.

Dobrze wiedział, że był jedynym mężczyzną w życiu Abby. Wziął anioła za żonę. Była dziewicą do momentu, gdy weszła do ich małżeńskiego łóżka.

Coś jej się musiało stać... Otworzył i zaraz zamknął dłoń, w której trzymał zegarek z broszką; ofiarował go jej w dniu, gdy poprosił, by została jego żoną. To straszne...

Ale co mogło ją skłonić, żeby opuściła dom w nocy? Może ktoś zachorował? - pomyślał. Nie mógł usiedzieć w miejscu; wstał i bez przerwy chodził po pokoju. Tam i z powrotem.

Nie, to niemożliwe! Pognał jak wariat na moczary, aby pytać, domagać się odpowiedzi, błagać jej rodzinę i przyjaciół, żeby powiedzieli, czy wiedzą, co się z nią stało. Okazało się, że nadal wszyscy jej szukają po drogach, moczarach i polach.

Niemniej w okolicy ludzie zaczęli już snuć różne domysły i plotkować. Mówiono, że młoda żona Luciana Maneta uciekła z innym mężczyzną. Docierały do niego także niepokojące

szepty: „A czegoż innego mógł się po niej spodziewać? Przecież to była zwykła akadyjska dziwka... Możliwe nawet, że ich mała dziewczynka została poczęta gdzieś na bagnach, a potem - Nie! - powtarzał sobie. - To tylko okrutne, podłe kłamstwa! I nic więcej!

Drzwi się otworzyły i weszła Josephine, nawet nie starała się dla przyzwoitości zapukać. Uważała, że skoro dom jest jej własnością, może zawsze i o każdej porze wchodzić tam, gdzie jej się podoba.

- Lucian?

Obrócił się.

- Znaleźli ją? - Musiał wcześniej wrócić do domu, żeby się przebrać, bo podczas poszukiwań zabłócił ubranie. Teraz na jego zabrudzonej twarzy pojawił się promyk nadziei.

- Nie znaleźli! - Matka ze złością zatrzasnęła za sobą drzwi. - Nie znaleźli i nigdy nie znajdą. Ona uciekła i pewnie teraz śmieje się z ciebie razem ze swoim kochankiem.

• Niemal sama już w to uwierzyła i wkrótce uzna, że naprawdę tak było.

- Abby nie uciekła.

- Jesteś głupcem. Byłeś nim wtedy, gdy się z nią ożeniłeś, i głupcem pozostałeś. - Podeszła do szafy i z rozmachem ją otworzyła. - Czy nie widzisz, że brakuje niektórych jej sukni? Przecież pokojówka ci o tym zameldowała.

Widział tylko niebieską suknię balową, przybraną falbankami i ozdobnymi rozetkami, z której była taka dumna.

- Pokojówka nie ma racji - upierał się, ale w jego głosie wyczuła drżenie.

- To ty jej nie masz. A co z biżuterią? - Josephine zdjęła 7, półki skórzane pudełko i podniosła pokrywkę. - Gdzie są te perły, które jej dałeś na Gwiazdkę? Gdzie brylantowa bransoletka, którą jej kupiłeś, gdy urodziła dziecko?

- Pewnie ktoś je ukradł...

Z wyrazem obrzydzenia Josephine całą zawartość szkatułki wysypała na łóżko.

- Twoja żona zabrała ze sobą te klejnoty, które najbardziej błyszczały. Dziewczyna jej pokroju nie ma oczywiście zielonego pojęcia, jakim blaskiem lśnią prawdziwe brylanty. Ona cię

omotała, Lucianie! Przyniosła wstyd twojej rodzinie i twemu nazwisku, a teraz nas wszystkich zhańbiła.

- Nie! - krzyknął. Zacisnął powieki i poczuł ból w piersi, jakby mu się serce krajało w kawałki. - Abby nigdy by mnie nie porzuciła i nie zostawiła Marie Rose.

- Bez względu na to, ile uczucia miała dla tego dziecka, wątpię, czy ona i jej kochanek chcieliby się obarczać takim maleństwem. A między nami mówiąc, synu, skąd wiesz, czy to dziecko jest twoje?

Lucian spurpurowiał ze złości.

- Jak możesz zadawać mi takie pytanie, przecież żyłaś z nią pod jednym dachem? Jak możesz mówić o niej takie rzeczy?

Josephine z zimnym wyrachowaniem pomyślała, że chyba udało jej się zasiać w nim ziarno wątpliwości. Teraz się postara umocnić w nim zwątpienie.

- Owszem, mieszkałam z nią pod jednym dachem, ale nie byłam jak ty zaślepiona żądzą ani odurzona czarami, jakie na ciebie rzuciła. Uważam, że za to, co się stało, ponosisz taką samą winę jak ona. Bo gdybyś zadowolił się tylko zaspokajaniem swoich potrzeb fizycznych i podobnie jak inni mężczyźni płacił jej za te usługi lub dawał w prezencie jakieś błyskotki, nie doszłoby teraz do takiego skandalu.

- Miałbym jej płacić jak prostytutce? Jak Julian swoim kobietom? - Lucian postąpił krok do przodu. Był wściekły. Cały trząsł się ze złości. - Moja żona nie jest dziwką! - wykrzyczał.

- Wykorzystała ciebie - szatańskim szeptem syknęła matka. - Pozbawiła cię godności, a teraz podeptała honor całej rodziny. Przyszła do naszego domu jako służąca, a odeszła w hańbie, uciekając nocą niczym złodziej, porzucając płaczące niemowlę.

Chwyliła syna za ramiona i potrząsnęła nim.

- Próbowalesz zmienić to, czego się zmienić nie da. Za dużo od niej oczekiwałeś. Nigdy by nie mogła zostać panią tego domu, jak ja nią jestem. Dobrze chociaż, że miała na tyle rozumu, by to pojąć. Teraz, gdy odeszła, musimy chodzić z dumnie podniesionymi głowami, póki nie ucichną plotki. I pamiętać, że jesteśmy Manetami, więc także ten cios przeżyjemy. - Odwróciła się i podeszła do drzwi. - Oczekuję, że doprowadzisz

się do porządku i zasiądziesz z rodziną do kolacji. Zbyt długo trwa to zamieszanie.

Po wyjściu matki Lucian usiadł na łóżku i zaciskając w dłoni broszkę swojej żony, rozplakał się.

Manet Hall, Luizjana

Zima 2002

- Muszę ci to wygarnąć, stary! - Remy wziął się pod boki i chodził dookoła kuchni. - Narobiłeś tutaj niesłychanego bałaganu.

- Pogadamy, gdy przyjdiesz tu za dwa tygodnie! - odkrzyknął Declan z sąsiadującej z kuchnią jadalni, gdzie urządził coś, co nazywał stolarskim warsztatem.

Effie uniosła koniec płachty, która zakrywała podłogę dla ochrony przed zaplamieniem podczas malowania.

- Co jak co, ale podłogę będziesz miał naprawdę piękną. Jest jak płótno odpowiednio zagruntowane, tak że malarz może namalować na nim taki obraz, jaki mu będzie odpowiadał.

- Effie! Nakop tego kretyna i przeprowadź się tutaj. Proponuję ci, żebyś zamieszkała ze mną... - żartował Declan.

- Przestań podrywać moją dziewczynę - burknął Remy, ukazując się w drzwiach. Declan stał przy elektrycznej pile, pas z narzędziami miał zawieszony na biodrach i ołówek stolarski wetknięty za ucho. Patrząc na niego, Remy miał wrażenie, że przyjaciel nie golił się co najmniej od trzech dni. I niech go diabli, ale ten niedbały wygląd „złotej rączki” z własnego nadania bardzo do niego pasował. - Czy jest coś, co chciałbyś, żebym dla ciebie zrobił, czy mamy tylko przyglądać się z boku i podziwiać twój męski wygląd?

- Na pewno by mi się przydał jakiś robotnik albo i dwóch... - Przejechał piłą po drewnie; rozległ się głośny warkot i w powietrze uniosła się chmura drzewnego pyłu. Declan lubił ten dźwięk, wyłączył jednak piłę i spojrzał na przyjaciół. - Naprawdę macie ochotę mi pomagać? - spytał.

- Oczywiście! Możemy pracować za... piwo - odparł Remy, obejmując ramieniem Effie.

*

W cztery godziny później kuchnia była już wymalowana, a oni siedzieli w trójkę na ganku. Effie wydawała się tonąć w za dużej starej, drelichowej koszuli, którą Declan jej dał zamiast roboczego fartucha. Na nosie miała piegi z farby. Piwo było zimne i orzeźwiające, a ze stojącego na kuchennej ladzie odtwarzacza stereo rozlegały się powolne dźwięki muzyki w wykonaniu grupy Foghat.

Declan starał się wydobyć drzazgę, która mu utkwiała w palcu, w dodatku w kciuku, ale choć ją wyjął, miejsce zranione nadal go bolało.

- Nie wiecie, co to za krzak, który tak kwitnie? - spytał, wskazując w stronę czegoś, co przypominało busz, a kiedyś było parkiem.

- To kamelia - powiedziała Effie. - Wiesz, Dec? Ten park to jeden wielki grzech wobec natury.

- Wiem! Muszę się do niego zabrać.

- Nie możesz wszystkiego robić naraz. Powinieneś znaleźć kogoś, kto zna się na ogrodnictwie i mógłby doprowadzić park do porządku.

- Znam kogoś takiego: duży Frank i mała Frankie! - zawołał Remy. - Oni to zrobią - zapewnił, pociągając duży łyk piwa. - Oboje świetnie pracują.

- Czy mają rodzinne przedsiębiorstwo? - spytał Declan, który miał zaufanie do tego typu przedsiębiorstw. - Ojciec i syn?

- Nie! Brat i siostra.

- Co ty powiesz? Brat i siostra, i oboje mają na imię Frank?

- Tak! Są dziećmi faceta, który nazywa się Frank X., co jest skrótem od imienia Xavier, i chyba za daleko się posunął w swoim egocentryzmie, bo swoim dzieciom nadał własne imię. Dam ci ich telefon. Powiesz, że dzwonisz z mego polecenia.

- Zajmę się teraz sprzątnięciem - zadeklarowała Effie, patrząc na swoje beznadziejnie splamione farbą ręce. - Czy nie masz nic przeciwko temu, żebym rozejrzała się po twoim domu?

- Możesz tu robić, co ci się żywnie podoba, kochanie - odparł Declan i z galanterią ucałował jej dłoń.

- Całe szczęście, że ja pierwszy ją spotkałem, a nie ty - skomentował te czułości Remy, gdy Effie opuściła ganek i weszła do domu.

- Żebyś wiedział! - burknął Declan.

- Mam jednak wrażenie, że ty myślisz o innej kobiecie. Bo jak wytłumaczyć fakt, że ciągle spoglądasz w stronę bagien?

- Przecież nie mogę mieć Effie, bo najpierw musiałbym cię zabić, dlatego zabiegam o względy panny Odette. Czy to nic dowód, że cenię, sobie twoją przyjaźń?

- Ach, więc tak się rzeczy mają... - zaśmiał się Remy. - Muszę przyznać, że Lena potrafi mężczyznę podniecić. W każdym razie! Chyba nie myślisz, że mam źle w głowie. Możesz się nie martwić: jedyna, której pragnę, to Effie. - Westchnął głęboko, tak jak wzdycha ktoś bardzo z siebie zadowolony. - A nawiasem mówiąc, Lena i ja mieliśmy się kiedyś ku sobie.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - Declan odstawił piwo i z niepokojem spojrzał na przyjaciela. - Ty i Lena?

Remy mrugnął potakująco.

- Jakieś piętnaście lat temu, pewnego gorącego i parnego lata... Ach, to wciąż boli... - jęknął i pomasaował się w okolicy serca. - Miałem wtedy siedemnaście lat i właśnie skończyłem liceum, z czego by wynikało, że Lena musiała mieć piętnaście... Otóż spędzaliśmy wówczas pamiętne wieczory na tylnym siedzeniu mego starego wozu; był to samochód Chevy Cavalier...

Remy zauważył, że Declan nagle spowaźniał i głęboko się zamyślił.

- Hej! - zawołał. — Nie smuć się. Przecież to ja ją pierwszy poznałem. Przez sześć miesięcy byłem śmiertelnie w dziewczynie zakochany. Myślałem, że umrę, jeśli jej nie zdobędę. Wiesz, jak to jest, kiedy się ma siedemnaście lat.

- Wiem nawet, jak to jest, kiedy się ma trzydzieści jeden lat - zauważył Declan.

Remy zachichotał.

- Więc łąziłem za nią, wzdychałem, chciałoby się powiedzieć, że całowałem ślady jej stóp. Zabierałem ją do kina, na długie przejażdżki samochodem. Zaprosiłem ją nawet na uroczystość rozdania świadectw maturalnych. Boże, jaka ona była ludna! Potem pewnej księżycowej nocy czerwcowej udało mi się ją w końcu rozebrać. To stało się na tylnym siedzeniu mego

cavaliera i to był jej pierwszy raz... - Spojrzał poważnie na Declana. - Wiesz, mówią, że kobieta nigdy nie zapomina swego pierwszego mężczyzny. W każdym razie masz teraz ułatwione zadanie.

- Mam nadzieję, że potrafię lepiej robić te rzeczy niż jakiś napalony nastolatek. - Choć w duchu przyznawał, że przy niej nieraz czuje się jak nastolatek. - I jak się ten wasz romans skończył?

- Nasze drogi się rozeszły. Wyjechałem na Północ do szkół, a ona została tutaj. Żar uczuć sam się z czasem wypalił i zostaliśmy przyjaciółmi. Teraz jesteśmy dobrymi kumplami, Dec. Lena należy do najbardziej lubianych przeze mnie osób.

- To brzmi jak ostrzeżenie. Czy chcesz zaliczyć wszystkie dziewczyny, Remy?

- Nie o to chodzi. Po prostu nie zniósłbym, gdyby dwoje ludzi, których uważam za swoich przyjaciół, wyrządziło sobie krzywdę. A ty i Lena wieleście przeżyli. Wiesz, jak to się mówi: kobieta z przeszłością i mężczyzna po przejściach...

- Moje dawne przejścia już mnie nie obchodzą.

- Być może. Bóg jeden wie, jak bardzo Lena się starała, żeby jej przeszłość też pozostała na zawsze zamkniętym rozdziałem. Jej matka... - Przerwał, bo rozległ się przeraźliwy krzyk Effie.

Remy zerwał się z miejsca, przewrócił butelkę i piwo rozlało się na podłogę. Przebiegł kuchnię i szybciej od Declana dotarł do drzwi.

- Effie!-wołał.-Gdzie jesteś?

- Ona jest na piętrze - wyjaśnił Declan i skręciwszy w lewo, wbiegł na kuchenne schody. - Effie jest na górze! - powtórzył.

- Remy! Chodź tu! Prędko! - krzyczała Effie.

Siedziała na podłodze ze skrzyżowanymi ramionami. Gdy Remy przykucnął obok niej, rzuciła mu się na szyję.

- Co ci się stało, dziecinko? Jesteś ranna?

- Nie! Ale się przeraziłam, bo widziałam coś strasznego... - przykryła twarz ręką. - To było tam! Na łóżku!

Declan spojrział przez na wpół otwarte drzwi. W pokoju nie było żadnego łóżka, chyba tylko to, które i on widział w swojej wyobraźni. Powoli rozwarł drzwi do końca. Zobaczył kurz na podłodze i ślady w miejscu, gdzie Effie, wchodząc, go stała.

- 8 Promienie słońca, wpadające przez okno, oświetliły pokój i wi-
dać było wyraźnie drewnianą podłogę i spłowiałe tapety na
ścianie. I nic więcej.
- Co tu widziałaś, Effie? - spytał.
 - Tam na łóżku leżała kobieta... Żebyście widzieli jej
twarz... Ona była martwa.
 - Kochanie! - Remy, nie przestając wpatrywać się w pokój,
głaskał Effie po głowie. - Tam niczego nie ma. Spójrz teraz.
Tam absolutnie niczego nie ma.
 - Ale ja ją widziałam...
 - Powiedz mi, co zobaczyłaś. - Declan ukląkł obok niej. -
No, co tam widziałaś, mów!
 - Widziałam... - Wstrząsnął nią dreszcz. Słowa z trudem
przechodziły jej przez usta: - Pomóż mi, Remy! - Była prze-
rażliwie blada, ale wstała i podeszła do drzwi.
 - Kochanie! Ty cała dygoczesz. Chodź, zejdziemy na dół.
 - Nie! Nie! Zaczekaj! - Patrzyła szeroko rozwartymi ocz-
mi. Serce mocno jej biło... Po dłuższej chwili uważnego
się przywidziało.
 - Posłuchaj, Effie - odezwał się Declan. - Czy łóżko, które
zobaczyłaś, było staromodne, z baldachimem? Czy ozdabiały
je niebieskie draperie? Czy obok stała komoda z szufladami
i toaletka z trzema lustrami? Czy widziałaś damską saszetkę
i niebieski fotel, kinkiety ze światłem gazowym, świece na
półce nad kominkiem i obraz w bogatej ramie?
 - Tak. Skąd o tym wiesz?
 - Ponieważ ja również to wszystko widziałem. Zaraz pierw-
szego dnia po moim przyjeździe. Czułem też zapach lilii.
 - Prawda! - potwierdziła Effie i łza spłynęła jej po policz-
ku. - Stały tam białe lilie w wysokim flakonie. Pomyślałam na-
wet, że to trochę dziwne, choć z drugiej strony całkiem miłe,
że masz tu takie kwiaty. Przez chwilę zwątpiłam, czy to możli-
we, żebyś tak pięknie urządził pokój i nawet nam o nim nie
wspomniał. Weszłam do środka i wtedy zobaczyłam ją na
łóżku. Przepraszam... Muszę chyba zaczerpnąć świeżego po-
wietrza...
- Remy bez słowa wziął ją na ręce i niósł w stronę schodów.

- Ach, ty mój rycerzu... - mruzczała.

- Okropnie mnie wystraszyłaś, kochanie! Declanie, bądź tak miły i przynieś wodę mojej dziewczynie.

Declan przez chwilę jeszcze wpatrywał się w pokój, a potem podążył za przyjaciółmi na dół, nalał wody do szklanki i zaniósł na ganek, gdzie siedział już Remy, kołysząc na kolanach Effie.

- I co teraz sądzisz o duchach? - spytał ją.

Łyknęła wody i znad krawędzi szklanki obserwowała Declana.

- Przecież ja to wszystko widziałam jedynie w wyobraźni!

- Tak? Biały szlafrok na szeszlunku, komplet oprawionych w srebro szczotek do włosów, ubrania, jakaś broszka ze złota i emalii!

- To był zegarek połączony z broszką - wyjaśniła rzeczowym tonem - ale w żaden sposób nie potrafię wytłumaczyć, skąd to wiem.

- Czy możesz mi coś jeszcze opowiedzieć o tej kobiecie?

- Twarz miała posiniaczoną i całą we krwi. Ach, Remy...

- Już cicho - głaskał ją po włosach i przytulał. - Przestań o tym myśleć! Declanie, daj jej spokój!

- Nie! Niech pyta. - Z głową złożoną na ramieniu Remy'ego Effie spokojnie patrzyła Declanowi w oczy.

- To jest takie dziwne, strasznie dziwne... Myślę, że kobieta była młoda, ale trudno wiedzieć na pewno. Miała ciemne włosy. Mnóstwo ciemnych, wijących się włosów. Była w nocnej koszuli, całej w strzępach. Widziałam straszliwe rany na jej szyi. Jakby... Boże! Jakby została uduszona. Wiedziałam, że nie żyje. Krzyknęłam, nogi się pode mną ugięły, ale jakoś zdołałam stamtąd wyjść.

- Trzeba się koniecznie dowiedzieć, kim była ta kobieta - powiedział Declan z powagą. - Przecież musi być jakiś sposób, żeby się dowiedzieć, kim ona była: członkiem rodziny, służącą, gościem... Jeśli ta młoda kobieta tu właśnie umarła gwałtowną śmiercią, sądzę, że tu się powinien znaleźć jakiś tego ślad.

- Mogę się zająć zbadaniem tej sprawy - zaproponowała Effie. Udało jej się nawet uśmiechnąć. - Właśnie na tym między innymi polega moja praca.

- A mnie się wydaje - wtrącił się Remy - że gdyby tu doszło do morderstwa, to w ciągu tylu lat musielibyśmy coś o tym słyszeć. A ja nigdy się ze wzmianką o tym nie spotkałem. Kochanie, zabieram cię do domu - zwrócił się do Effie.

- Chętnie ci na to pozwolę - odparła i wyciągając rękę do Declana, poprosiła: - Jedź z nami. Uważam, że nie powinienes sam tu zostać.

- Nie masz racji. Nie tylko powinienem, ale i chcę tu zostać.

Czując taką potrzebę - pomyślał, kiedy przyjaciele odjechali. Wiedział, że nie ograniczy się do przebudowy dworu Manetów, ale zrobi wszystko, by Manet Hall stał się jego prawdziwym domem. A jeśli zamordowaną dziewczynę łączyła bliska więź z tym miejscem, to ten związek obejmuje również jego. Chciał się dowiedzieć, jak się nazywała, i poznać jej historię. Skąd się tu wzięła? Dlaczego umarła? Być może takie było jego przeznaczenie: przybyć do tego domu i wyjaśnić jego tajemnicę.

O ile dziwne zjawiska dziejące się w tym dworze innych nabywców odstraszały, to jego właśnie do tego miejsca przyciągają.

- Nie boję się duchów i mogę z nimi żyć - powiedział do niebie, gładząc dłonią bok pierwszej ukończonej szafki. - Nie spocznę, póki nie odkryję prawdy.

Kiedy jednak ostatecznie uznał, że trzeba zakończyć pracę w tym dniu i pójść do łóżka, na wszelki wypadek zostawił światło na całą noc.

Przez następnych kilka dni był zbyt zapracowany, żeby myśleć o duchach, o chodzeniu we śnie czy nawet o wyjściu wieczorem do miasta, jak sobie obiecywał. Zjawili się wynajęci do pracy fachowcy: elektryk i hydraulik wraz z załogami. Roboty ruszyły pełną parą. W domu tyle było hałasu i taka gromada ludzi, że nie mogło być mowy o pojawieniu się duchów.

Frank i Frankie okazali się tak do siebie podobni jak ich imiona: oboje mieli muskularne ramiona i gliniastego koloru włosy. Gdy ciężkim krokiem przemierzali ogród wzdłuż i wszerz, usta im się nie zamykały. Nie wiadomo tylko, czy wyrażały uznanie, czy dezaprobatę dla tego, co tu widzieli. Mózgiem zespołu była chyba mała Frankie, bo po godzinnej

inspekcji terenu ona właśnie złożyła Declanowi ofertę oczyszczenia parku z zarośli i chwastów za określoną sumę. Wycenili tę pracę tak wysoko, że Declan się zastanawiał, czy zarobione u niego pieniądze nie mają stanowić podstawy ich przyszłej emerytury. Zaufał jednak Remy'emu, który ich polecił, i mimo wszystko zatrudnił rodzeństwo.

Przybyli uzbrojeni w łopaty, motyki i niebotycznej długości nożyce. Z jadalni, gdzie Declan budował szafki, słyszał ich to podnoszące się, to znów opadające głosy, a od czasu do czasu jakieś gwałtowne uderzenie i huk, jakby się coś waliło. Kiedy po jakimś czasie wyjrzał przez okno, stwierdził, że chaszczki i zarośla znikają w oczach.

Murarz, którego przysłała panna Odette, był roslim, lecz niesłychanie szczupłym Murzynem o imieniu Tibald. Wyznał Declanowi, że już jego pradziadek pracował kiedyś u Manetów jako robotnik rolny. Obeszli z Tibaldem cały dom dookoła, zapisując w małym zeszycie z oślimi uszami wszystko, co było do zrobienia. Kiedy doszli do sali balowej, Tibald spojrzął na sufit, i na jego twarzy pojawił się dziwnie marzycielski wyraz.

- Kiedy patrzę na ten sufit - powiedział - nie mogę się oprzeć wrażeniu, że jego wystrój powinien wyglądać całkiem inaczej. Nie sądzę, żebym mógł zaakceptować ten rodzaj sztukaterii, jaki tu zastosowano.

- Więc był pan tu już wcześniej?

- Tak! Państwo Rudickerowie zaangażowali mnie do prac sztukatorskich, które miano tu przeprowadzić. Przypuszczam, że od nich odkupił pan ten dom. Rudickerowie mieli bardzo ambitne projekty związane z odbudową dworu, nigdy ich jednak do końca nie zrealizowali. Zapowiadali, że sprowadzą wykonawców aż z Savannah. Tak przynajmniej słyszałem...

- Dlaczego?

Przez chwilę Tibald tylko spoglądał w sufit i uśmiechał się.

- Mieli wielkie, wspaniałe pomysły - powiedział potem - i nie wyobrażali sobie, żeby tutejsi rzemieślnicy potrafili podołać tej pracy. Sądzieli, że im więcej wydadzą pieniędzy, tym większa będzie ich chwała. Jeśli pan rozumie, co mam na myśli.

- Tak, rozumiem. Ale ja inaczej na to patrzę. Uważam, że wynajmując miejscowych fachowców, mogę liczyć na to, że

oni bardziej się zaangażują w to, co robią. Ale czy pan jest gotów podjąć się remontu i sądzi, że da sobie radę?

- Ja, proszę pana, wykonywałem bardzo ambitne prace murarskie, na przykład w Harvest House przy River Road. Mam w samochodzie fotografie tego, co zrobiłem, i myślę, że mogą mi posłużyć za referencje. Może pan chciałby rzucić na nie okiem albo zajść do Harvest House i obejrzeć moje dzieła. Oni po/walają na zwiedzanie domu. Zapraszają nawet wycieczki i organizują różne ciekawe imprezy. Poza tym mogę się pochwalić pięknymi sztukateriami w Nowym Orleanie: w Baton Rouge i Metairie. Mogę panu podać dokładne adresy.

- Chciałbym obejrzeć te fotografie, o których pan wspominał.

Wystarczyło mu jedno spojrzenie na zdjęcia różnych gzymsów, ścian i medalionów przed remontem i po nim, by się przekonać, że ma do czynienia z prawdziwym artystą. Dla formalności poprosił jednak Tibalda o złożenie pisemnej oferty, co ten obiecał zrobić pod koniec tygodnia.

- Przyznaję, że bardzo chciałbym przyłożyć rękę do nowego wystroju sali balowej w tym domu - powiedział murarz, uważnie przypatrując się budynkowi. - Czy planuje pan też jakieś roboty na drugim piętrze? - spytał.

• Tak. Z czasem chciałbym tam też przeprowadzić remont.

- Może powinien pan najpierw porozmawiać z moją siostrą, Lucy, ona by go oczyściła.

- Na razie nie myślę o zatrudnieniu gosposi.

Tibald się roześmiał. Wyjął paczkę gumy do żucia Big Red; najpierw zaproponował gumę Declanowi, a potem sam się poczęstował. Złożył gumę na pół, zanim włożył ją do ust.

Widzi pan - wyjaśnił - mówiąc o oczyszczaniu, nie miałem na myśli sprzątnięcia. Chodziło mi o to, że moja siostra wie, jak oczyścić dom z duchów. W pańskim dworze straszny. -I żując gumę, dodał zamyślony: - Szczególnie na drugim piętrze.

- Skąd pan o tym wie?

Czuję oddech duchów na karku. Pan tego nie czuje? Kiedy państwo Rudickerowie zajęli się remontowaniem domu, stracili dwóch robotników. Ci faceci chcieli po prostu przegonić złe duchy, ruszyli za nimi w pogoń i... nigdy nie wrócili. To

mógł być jeden z powodów, dla których Rudickerowie starali się wynajmować do pracy ludzi mieszkających daleko stąd. - Tibald wzruszył ramionami i dalej żuł gumę Big Red. - Być może tym także się tłumaczy fakt - ciągnął opowiadanie - że Rudickerowie nigdy nie zrealizowali swych wspaniałych pomysłów na odbudowę dworu.

- A czy pan wie, co się wydarzyło na drugim piętrze?

- Niestety, nie! I nie znam nikogo, kto by to wiedział. Znam natomiast parę osób, które by za żadne skarby nie weszły na to piętro, żeby nie wiem ile im pan zapłacił. Jeśli na drugim piętrze trzeba wykonać jakieś prace murarskie, niech pan najpierw zatrudni moją siostrę Lucy.

Obaj się odwrócili, słysząc nadjeżdżający samochód.

- Widzę samochód panny Leny. Jest z nią także panna Odette - powiedział Tibald, szeroko się uśmiechając. A już po chwili staroświecki mg* zatrzymał się tuż obok jego wozu.

- Dzień dobry paniom! - Tibald podszedł do samochodu, aby otworzyć drzwi pannie Odette. - Jak się panie mają?

- Świetnie, Tibaldzie. A jak twoja rodzina?

- Dziękuję, nie narzekam.

Lenie otworzył Declan, a gdy dziewczyna wysiadła z samochodu, zwrócił uwagę na jej intrygująco obcisłe dzinsy. Nosiła je z bluzką turkusowego koloru.

- Babcia uznała, że czas złożyć ci wizytę. - Spojrzała na podjazd i ze zdziwieniem zauważyła stojących w szeregu kilka pikapów. - Co tu się dzieje, *cher*? Czyżbyś wynajął całą armię pomocników?

- Może nie armię, jedynie batalion - odparł i poczuł otaczający ją zapach jaśminu. Ona pachnie nocą... - pomyślał. Starał się pamiętać o dobrych manierach, lecz nie wiedział, co zrobić z gumą do żucia; chyba wypadłoby ją połknąć. - Czy obejrzą panie dom? - spytał.

- Z miłą chęcią. Ale do tego jeszcze dojdziemy. Tibaldzie, pozdrów, proszę, ode mnie Marzie, dobrze?

- Oczywiście, panno Odette! Dziękuję! Ale muszę już iść. Panu, panie Fitzgerald, przyślę ofertę, tak jak się umówiliśmy.

* MG - Morris Garage, znana marka angielskich samochodów,

Proszę mi mówić Declan. Dobrze! Czekam na pańską ofertę. Witam, panno Odette! - Declan się pochylił i pocałował ją w rękę. Starsza pani miała na sobie kretonową suknię koloru dojrzałej dyni i ciemnozielony sweter, mający ją chronić przed zimowym chłodem. Włożyła też skarpetki, ale tym razem w odcieniu odpowiednim do reszty stroju. Pachniała lawendą i brzęczała mnóstwem łańcuszków i bransoletek. Wszystko to tworzyło aurę, która relaksująco wpływała na Declana. - Witam panią w Manet Hall - dodał - i przepraszam za stan, w jakim się na razie mój dom znajduje.

Pochylony nad dłonią panny Odette, nie zauważył, że porozumiewawczo mrugnęła do Leny.

- Z przyjemnością obejrzymy twój dom, najpierw jednak omówimy inne nasze sprawy. Słyszałam, że wynajęłaś wielkiego Franka i małą Frankie - mówiąc to, wskazała w stronę ich pikapu. - Ciekawa jestem, jak się spisują.

- Wydaje mi się, że robią, co do nich należy, choć nie wiem doprawdy, jak i kiedy.

Przyglądał się pstrokaciznie i bałaganowi panującemu ciągle we frontowej części parku.

- Muszę przyznać, że nie udało mi się zastać ich przy jakiejś pracy, ale nim zdążyłem się obejrzeć, już kilka ciężarówek załadowanych po brzegi ściętymi chwastami i chaszczami wyjechało z parku. Czy chciałaby się pani przejść po terenie?

- Tak, mam na to wielką ochotę. Leno, kochanie, wyjmij z bagażnika butelki na duchy. Na początek porozwieszamy je na tych dębach.

- Butelki na duchy? Cóż to takiego?

- Dzięki nim złe duchy będą się trzymały z daleka.

Lena zaczęła wyciągać z bagażnika butelki do połowy napełnione wodą.

- Więc pani sądzi, że mam powody, by bać się złych duchów?

- Chodzi tylko o to, żeby im przeszkodzić, tyle możemy zrobić. - I z dwiema butelkami Odette podeszła do drzew.

- Butelki na duchy... - powtórzył Declan, podnosząc jedną. - Widziałem już takie powieszane przed jakąś wiejską chałupą. Jak one działają?

- To taka stara magiczna sztuczka - wyjaśniła Lena. - Brzęcząc, odstrasza złe duchy.

Chcąc to sprawdzić, Declan uderzył o siebie dwie butelki. Dźwięk, jaki wydały, był całkiem przyjemny dla ucha i wcale nie brzmiał odstrasza.

- Wierzysz w czarną magię?

- Wierzę, że ważne jest przeszkodzenie duchom i że przynajmniej tyle możemy w tej sprawie zrobić - powtórzyła za panną Odette i odeszła, by dołączyć do swojej babci, a Declan, patrząc na nią, podziwiał jej drobną i kształtną figurę.

Czymkolwiek były: czarną magią czy po prostu starymi butelkami, podobał mu się, ich wygląd, gdy zwisały z drzew w jego ogrodzie. A kiedy znowu stuknął dwiema o siebie, spodobał mu się także ich brzęczący głos.

Okrażenie domu i wejście do środka zajęło im niemal godzinę, bo po drodze musieli porozmawiać z ekipą robotników porządkujących park, spytać o zdrowie ich rodzin, wymienić uwagi o pogodzie i przedyskutować plany dotyczące parku.

Kiedy w końcu wprowadził panie do kuchni, Odette go pochwaliła za jej wystrój.

- Podoba mi się ciepła tonacja kuchennych ścian. Przypomina ładnie wypieczoną kruszonkę na cieście. Mężczyźni przeważnie nie uznają w kuchni innych kolorów niż białe. Natomiast ten, który ty wybrałaś, świetnie się komponuje z sośnową podłogą.

- W przyszłym tygodniu moje szatki będą gotowe do zawieszenia - powiedział, wskazując w stronę jadalni. - Zrobiłem je także z sosny. A z przodu wstawię szyby.

Odette przesunęła palcami po powierzchni szafek.

- Dobra robota, Declanie - stwierdziła. - Masz talent.

- Dziękuję!

- I widzę, że praca sprawia ci radość.

- Na pewno! Chciałyby panie przejść do salonu? Jest tam stół, więc będziemy mogli napić się herbaty. - Coś ciężkiego grzmotnęło w sufit tuż nad nimi. Spojrzał w górę. - Przepraszam za hałas - powiedział.

- Tego rodzaju prace zawsze się łączą z przykrymi odgłosami. Remont nie jest cichym zajęciem. Jeśli nie masz nic prze-

ciwko temu, to same się przejdziemy po domu i sądzę, że znajdziemy salon.

- Nie możecie go nie zauważyć. To jedyny pokój, w którym mam stół.

- Uważam, że Declan jest bardzo miłym młodym człowiekiem - powiedziała Odette, gdy obie z Leną opuściły jadalnię.

- O tak!

- I przystojny...

- Nawet bardzo.

- Ma na ciebie oko, kochanie.

- Chyba ma. -I Lena się zaśmiała.

- Czy zamierzasz coś w tej sprawie zrobić?

- Wciąż się nad tym zastanawiam. Boże! Cóż to za piękny dom! - Lena przesunęła ręką po ścianie. - Drzwi są dość szerokie, by mogło tędy przejechać auto. Ale płakać się chce, gdy się widzi, jak bardzo budynek jest zaniedbany.

- Zaniedbany? Nie powiedziałabym. Wydaje mi się, że on po prostu czekał. A tu, spójrz tylko, oto przykład typowo męskiego sposobu bycia. Facetowi wystarczy jeden stół i dwa krzesła...,— powiedziała, gdy weszły do salonu. - Mogłabym się założyć, że od kiedy tu przyjechał, nie zrobił sobie niczego przyzwoitego do jedzenia.

- Babciu! - Lena spojrzała na nią z wyrzutem. - Chyba nie chcesz, żebym wiedziona współczuciem ugotowała mu kolację? - Rozbawiona podeszła do okna. - Cóż za piękny widok stąd się roztacza! Wyobraź sobie, jaki musiał być wspaniały wtedy, gdy dom był u szczytu swojej świetności. Końmi wjeżdżało się w aleję, a te śmieszne stare samochody z ledwością wspinały się pod górę podjazdem.

- Nie martw się. Dwór znowu będzie piękny, tylko potrzebuje kobiety. Tak jak potrzebuje jej ten młody człowiek...

Lena przez chwilę bawiła się małym kluczykiem zawieszonym na szyi.

- Przecież ci mówiłam: wciąż się zastanawiam. Ale w tym salonie chłodno - dodała. - Powinno się zapalić w kominku.

- Zaraz to zrobię - powiedział Declan, wnosząc dzbanek z herbatą, która zbyt długo już naciągała, i plastikowe kubki.

6

Bardzo było miło - pomyślał Declan. Nie licząc Remy'ego i Effie, po raz pierwszy przyjmował u siebie prawdziwych gości. Miłą atmosferę stwarzała obecność kobiet w salonie, a także wesoło trzaskający ogień w kominku i późne popołudniowe słońce, przebijające się przez zakurzone szyby w oknach.

- Wkrótce znowu cię odwiedzę, Declanie, bo chcę zobaczyć kuchnię, gdy będzie gotowa.

- Mam nadzieję, że często będzie pani do mnie przychodziła. A teraz z przyjemnością pokażę pani dalsze części domu.

- Pokaż je Lenie, bo na mnie już czas. Wrócę do domu spacerkiem.

- Zawiozę cię, babciu - zaproponowała Lena.

- Nie! Zostań. - Choć powiedziała to obojętnym tonem, w jej oczach pojawił się chytry uśmiešek. - Mam ochotę się przejść, no i zbliża się pora mojej popołudniowej drzemki. - Gdy zaczęła się podnosić, Declan wstał i podał jej rękę, co przyjęła z uśmiechem. - Masz bardzo dobre maniery - zauważyła. - Przyjdź jeszcze kiedyś do mnie, gdy nie będziesz zbyt zajęty. Zrobię ci placki ziemniaczane w sosie, bo nie chcę, żebyś jeszcze bardziej zeszczupłał. W końcu spadnie z ciebie ubranie...

- A ja chcę panią zawiadomić, że mam już czynny telefon. - Pogrzebał w kieszeniach; znalazł kawałek papieru i ołówek, od razu więc zapisał jej swój numer. - Jeśli będzie pani czegoś potrzebowała, proszę dzwonić!

- To naprawdę dobry sposób porozumiewania się. - Podsta-
wiła mu policzek do pocałowania. Kiedy odprowadzał ją do
drzwi, dała mu znak ręką, żeby się pochylił, i szepnęła do
ucha: - Cieszę się, że to ty podrywasz moją Lenę. Wiem, że
o nią zadbasz, a inni by tego nie zrobili.

- Czy w ten sposób daje mi pani do zrozumienia, panno
Odette, że nie mam u pani żadnych szans?

Zaśmiała się i pogłaskała go po policzku.

- Ach, gdybym była trzydzieści lat młodsza, Lena nie mia-
łaby żadnej szansy. A teraz idź już i pokaż jej dom.

Patrzył, jak mija drzewa, na których dyndały butelki na
duchy.

- Lubisz moją babcię, prawda? - spytała Lena, stojąc
w drzwiach do salonu.

- Jestem chory z miłości do niej. Ona jest wspaniała. Myślę,
że spacer do domu może być trochę dla niej za długi. Czy
nie powinnaś jej...?

- Nie znasz mojej babci. Jeśli chce spacerować, to spaceru-
je. Nie ma sposobu na powstrzymanie jej przed czymkolwiek,
na co ma ochotę. - Lena podeszła do drzwi frontowych i sta-
nęła obok niego. - Popatrz, kto tu idzie. Rufus! I to on ją od-
prowadzi do domu. Mogłabym przysiąc, że ten pies ma jakiś
radarowy zmysł...

- Długi czas miałem nadzieję, że Rufus się tu zjawi i ciebie
przyprowdzi. Wiesz, że w tym tygodniu już dwa razy wy-
bierałem się do twego domu, ale jakoś udało mi się to sobie
wyperswadować.

- Dlaczego?

- Można to uznać za wytrwałość albo za chęć narzucania
się. - Sięgnął dłonią do jej włosów i bawiąc się, nawijał sobie
lok na palec. - Ale doszedłem do wniosku, że jeśli wytrzymam
do momentu, aż ty pierwsza do mnie przyjdiesz, to nie powin-
naś już mieć wtedy żadnych zastrzeżeń.

- Kiedy chcę, żeby mężczyzna odszedł, po prostu mu mó-
wię, żeby sobie poszedł.

- A czy mężczyźni zawsze robią to, co im każesz?

Na jej wargach pojawił się specyficzny koci uśmiech, który
sprawił, że Declan miał ochotę polizać jej mały czarny pie-
przyk.

- Przeważnie tak - odparła. - Powiedz, mój drogi, czy wreszcie zechcesz mnie oprowadzić po swoim wielkim domu, czy nie.

- Ależ chętnie. - Ujął ją pod brodę i pocałował. - A tak przy okazji, muszę ci powiedzieć, że uzyskałem zgodę panny Odette, by ciebie podrywać. - Wziął ją za rękę i poprowadził w stronę schodów.

- Wydaje mi się, że należałoby zabiegać raczej o moje pozwolenie, a nie jej.

- Mam zamiar tak ci zawrócić w głowie, że się nie wywiniesz. Spójrz na tę klatkę schodową. Czy nie jest bajkowa?

- Tak! Na pewno! - Przejechała po poręczu palcami; długie paznokcie miała pomalowane na czerwono. - Twój dom, Declanie, to rzeczywiście wspaniałe miejsce. Wprawdzie jeszcze całego nie obejrzałam, ale z tego, co już zobaczyłam, wnioskuje, że chyba nie jesteś zwykłym zamożnym adwokatem.

- Jestem byłym adwokatem. Nie rozumiem, do czego zmierzasz.

- Zastanawiam się, czy masz tyle pieniędzy, żeby nie tylko doprowadzić ten dom do dawnej świetności, ale jeszcze go potem utrzymać w tym stanie. Czy chcesz w nim zamieszkać?

- Tak. Mam taki zamiar.

- Wobec tego nie wystarczy cię uważać za zamożnego człowieka, bo jesteś czymś więcej: jesteś po prostu bogaczem.

- No cóż! Nie odczuwam braku pieniędzy, choć wiadomo, że szczęścia się za nie nie kupi.

Zatrzymała się na podeście.

- Ach, mój drogi - zaśmiała się - chyba chodzi ci o to, że nie wiesz, gdzie tu można robić zakupy.

- Możesz w każdej chwili pomóc mi w wydawaniu części tych pieniędzy.

- Może to zrobię... - Spojrzała w dół przez poręcz na obszerne foyer. - Wkrótce trzeba będzie pomyśleć o meblach. Znam różne miejsca, gdzie mógłbyś je nabyć.

- Chcesz powiedzieć, że masz kuzyna, który...

- Tak, mam, jednego czy dwóch... - Zainteresowało ją, kto tak strasznie hałasuje i klnie po drugiej stronie długiego holu.

- Hydraulik - wyjaśnił Declan. - Kazałem mu zacząć od łazienki przy mojej sypialni. Wyobraź sobie, że łazienka była...

jak by to określić - była cała w kolorze awokado. Okropność! Jeśli znasz kogoś, kto miałby ochotę na naprawę brzydkie wyposażenie łazienki, daj mi znać.

Na próżno usiłował odciągnąć Lenę od drzwi prowadzących do pokoju, który w myślach nazywał teraz pokojem duchów. Jednym ruchem przekręciła gałkę i weszła do środka; Declanowi zaparło dech.

- Ależ tu zimno... - powiedziała i objęła się rękami, ale nie potrafiła powstrzymać dreszczu wstrząsającego jej ciałem. - Chyba powinieneś zachować te tapety. Mają śliczny deseń w fiołki i pączki róż.

Była już w połowie drogi na ganek, kiedy przystanęła. Dreszcze przeszły w dygotanie. Opanowało ją uczucie ogromnego smutku.

- Strasznie ponure miejsce, prawda? Trzeba tu wprowadzić dużo światła... i życia...

- W tym pokoju ukazuje się duch kobiety. Myślę, że została tutaj zamordowana.

- Naprawdę tak myślisz? - Zwróciła ku niemu pobladłą twarz i -spojrzała rozszerzonymi oczami. - Nie wyczuwam przemocy, tylko bezbrzeżny smutek. Pustkę i smutek. - Jej głos brzmiał ochryple.

Nie zastanawiając się dłużej, Declan wszedł do środka i zbliżył się do niej.

- Czy dobrze się czujesz?-spytał.

- Tylko mi zimno.

Zaczął rozmasowywać jej ramiona, ale przy dotknięciu poczuł jakby mały elektryczny wstrząs.

Lena się roześmiała i cofnęła o krok.

- Nie sądzę, żeby takie zabiegi babcia miała na myśli, gdy ci powiedziała, że możesz mnie podrywać.

- Uważam, że to ten pokój. On tak na nas działa. Jest w nim coś dziwnie niepokojącego.

- Mnie duchy nie niepokoją i ciebie też nie powinny. Nie mogą ci przecież zrobić nic złego... - Skierowała się do wyjścia i siłą się powstrzymywała, by nie przyspieszyć kroku.

Przechodziła potem przez inne pokoje, ale nigdzie nie doznawała takiego uczucia smutku, lęku i beznadziejności jak to, które skłoniło ją do opuszczenia pierwszej sypialni.

Stanąwszy w drzwiach do pokoju Declana, uśmiechnęła się.

- Tutaj nie wyczuwam takiej surowości. Masz bardzo dobry gust, *cher*. - Wsunęła głowę do łazienki, gdzie robotnicy hałasowali i narzekali na robotę.
- Wiesz - mówił jeden. - Brak mi słów na określenie faceta, który robił tę łazienkę.
- Lepiej uważaj, koleś - odezwał się drugi. - Czy twoja mama wie, że się bez przerwy przechwalasz?

Lena oparła się o framugę i przez kilka minut rozmawiała z hydraulikami, a Declanowi nie pozostało nic innego, jak tylko stanąć z tyłu i patrzeć.

Czy to nie wzbudzające - zapytywał sam siebie - że się tak po sztubacku w niej zadurzyłem? A kiedy przez ramię na niego spojrzęła, przeszył go dreszcz od stóp do głów.

- Powinienem ci teraz pokazać salę balową. W przyszłości będzie ona wizytówką tego domu.
- Oczywiście, że chciałabym ją zobaczyć. - Ale gdy ruszyli w stronę sali, Lena, wskazując na schody, spytała: - Co jest tam, na górze?
- Ach, tam? Jeszcze więcej pustych pokoi, izby gospodarcze i pomieszczenia dla służby.
- Chodźmy je obejrzeć!
- Nie ma tam nic specjalnego... - Usiłował złapać ją za rękę, ale szybko zaczęła wchodzić na górę.
- Czy można stamtąd wejść do altanki widokowej na dachu? Nieraz patrzyłam na nią z dołu i wyobrażałam sobie, że tam jestem.
- Łatwiej jest wejść tam z... Nie rób tego! - krzyknął. Rozkazujący ton powstrzymał jej dłoń w momencie, gdy przekrecała zmatowiałą mosiężną gałkę w drzwiach do pokoju dzieciennego.
- Co się stało? Ukrywasz tam jakąś kobietę zakutą w dyby? A może chowasz w tym miejscu sekrety zamknięte na trzy spusty?
- Nie! Tylko że... - Czuł, że ogarnia go panika i lęk chwyta za gardło. - Tylko że.... z tym pokojem jest coś nie w porządku - wydukał.
- Jak z większością pokoi w tym domu - odparła i otworzyła drzwi.

Od razu się przekonała, że miał rację. Uderzyło ją takie samo jak przedtem, przejmujące uczucie smutku, zagubienia i samotności. Patrzyła na puste ściany, podłogę i okna, na wszechobecny tu kurz i zaniedbanie i czuła, że serce jej się kraje z żalu. Doznanie strasznego zimna nie minęło, nawet gdy zaczęła mówić. Miała wrażenie, że ów przenikliwy chłód wieje na jej skórę niby mroźny dech i jakby palcami przebiera we włosach.

- Myślę, że tu jest centrum: stąd się bierze całe zło - oświadczyła, chociaż nie miała pewności, co przez to należy rozumieć i skąd o tym wie. - Czy ty też tak czujesz?

Declan stał w drzwiach, chwijając się tak bardzo, że musiał chwycić się futryny, by się utrzymać. Być może jego strach nie miał uzasadnienia, niemniej przenikał go na wskroś. To jest mój dom - ponuro sobie uświadamiał. Mój przeklęty dom... Zrobił krok do przodu, potem następny.

Pokój z nim zawirował. Usłyszał krzyk Leny i zobaczył przerażenie malujące się na jej twarzy. Zdawało mu się, że widzi, jak jej usta się poruszają i wymawiają jego imię. Potem ogarnęła go ciemność i tylko białe punkty tańczyły mu przed oczami.

- Declanie! Ocknij się, *cher!* Spójrz na mnie, kochanie!

Ktoś gładził go po włosach, po twarzy. Czuł czyjeś usta dotykające jego warg. Otworzył oczy, ale widział wszystko jak przez mgłę, więc znów je zamknął.

- Nie! Chyba mi tego nie zrobisz! - Lena klepała go po policzkach drżącymi palcami. Nadal miał twarz pobladałą, jakby uciekła z niej wszystka krew, a oczy wpadnięte w głąb. - Hej! Declanie! Spróbuj na mnie popatrzeć!

- Co się, u diabła, stało?

- Zemdląłeś!

Otworzył oczy i wpatrywał się w jej twarz. Uczucie wstydu walczyło o lepsze z potęgującymi się mdłościami.

- Wybacz! - powiedział. - Mężczyźni nie mdleją. Czasem nam się zdarza, że tracimy przytomność, ale nigdy nie mdlejemy.

Odetchnęła z ulgą. Przecież mógł sobie rozbić głowę; na szczęście nic poważniejszego mu się nie stało: oprzytomniał i wraca do siebie.

- Przepraszam cię, ale straciłeś przytomność. Na amen! Uderzyłeś głową o podłogę tak mocno, że się odbiła jak piłka. - Pochyliła się nad nim i wargami dotknęła małego skaleczenia na czole. - Będziesz miał bliznę, dziecinko. Nie zdołałam cię uchwycić, kiedy padałeś, ale myślę, że gdyby mi się udało, ściągnąłbyś na ziemię nas oboje.

Przysunęła się bliżej i głaskała palcami jego blade policzki.

- Często ci się coś takiego zdarza?

- Przeważnie wtedy, gdy się przedtem zaleję w trupa, co mi się od czasów college'u raczej nie przytrafia. Teraz, Leno, muszę się jak najszybciej stąd oddalić, by uniknąć następnej kompromitacji.

- Dobrze. W porządku! Dasz radę stanąć? Nie sądzę, bym mogła cię ciągnąć, *cher!* Jesteś dla mnie za ciężki.

- No tak, rozumiem. - Podniósł się na kolana, spróbował wziąć oddech, ale mu się to nie udało. Miał uczucie, jakby coś potwornie ciężkiego usadowiło mu się na piersi, a serce co chwila przestawało bić, próbując złapać rytm. Zatoczył się i usiadł.

Lena otoczyła go ramieniem w pasie i starała się podźwignąć.

- Spróbuj zrobić jeden krok, teraz dwa... Żebyś tylko mógł dotrzeć na dół i położyć się.

- W porządku! Nic mi nie będzie. - W uszach mu dzwoniło i gdy tylko wydostał się z pokoju, od razu skierował się ku schodom. Opadł na stopień i włożył głowę między kolana. - O Jezu! - szepnął.

- Jeszcze trochę, kochanie - zachęcała, głaszcząc go po włosach.

- Przede wszystkim zamknij drzwi do tego przeklętego pokoju! Proszę cię! Po prostu je zatrzasknij!

Pospiesznie wykonała polecenie.

- Niech ci tylko wróci oddech, wtedy pomogę ci zejść na dół i... do łóżka!

- To właśnie pragnąłem usłyszeć od pierwszej chwili, gdy cię ujrzałem.

Skurcz, jaki przedtem poczuła w brzuchu, zelżał.

- Widzę, że już ci lepiej, prawda?

- Tak, o wiele lepiej. - Wrócił mu oddech i młodości usta-

piły. - Teraz koniecznie muszę kogoś pobić, albo może upolować jakiegoś małego ssaka, by znów poczuć się mężczyzną.

- Pozwól, niech zobaczą twoją twarz. - Odchyliła jego głowę do tyłu i przez chwilę obserwowała. - Wciąż jesteś bładny, ale wracają ci kolory. Muszę przyznać babci rację: ty się po prostu nie odżywasz jak należy. Co na przykład jadłeś dzisiaj rano?

- Wyobraź sobie, że jadłem kółka Cheerios, które reklamują jako śniadanie czempionów. - Udało mu się uśmiechnąć. -I co? Widać nie zadziałały.

- Zaraz zrobię ci kanapkę.

- Naprawdę? - Swoją troską sprawiła mu ogromną radość. - Naprawdę chcesz coś dla mnie ugotować?

- Kanapka nie jest gotowaniem.

- W świecie pojęć, w którym ja się obracam - jest! Ale wiesz, Leno, tamten pokój...

- Porozmawiamy o nim później. Najpierw musisz coś zjeść.

Niewiele produktów u niego znalazła. Jedno zerknięcie do lodówki, najwyraźniej kupionej z drugiej ręki, wystarczyło, by ocenić sytuację. Lena obrzuciła Declana długim i współczującym spojrzeniem:

- Ile ty masz lat, Dec? Dwanaście?

- Nie, ale widzisz - odpowiedział, wzduszając ramionami - jestem facetem, a zwyczaje żywieniowe facetów nie zmieniają się z wiekiem. Moje też się nie zmieniły. Mam masło fistaszkowe, które doskonale pasuje do galarety... - rozejrzał się po pokoju. - Tylko gdzie ja je mam?

Lena znalazła plasterki szynki, dwa jaja, anemicznie wyglądający serek i pół torebki gotowej sałatki.

- Wygląda na to, że mimo wszystko będę ci musiała coś ugotować. Gdzie kuchenka?

- Tu obok - odparł i poklepał kuchenkę mikrofalową po wierzchu.

- No, dobrze! Jakoś sobie poradzę. A gdzie miski, noże, widelce?

- Ach! - sięgnął do pudła z ostatnimi zakupami i wyjął plastikowe naczynia.

- Kochanie! To jest naprawdę żalosne... Usiądź, proszę, Lena się tobą zajmie... Tylko ten jeden raz-dodała.

Dec usiadł na koźle do piłowania drewna i obserwował krzątanie się Leny. Ona wbiła jaja do miski, wkroiła szynkę i ser, a na koniec dołożyła trochę sałatki z torebki.

- Czy masz jakieś zioła, *cher*? Jakies przyprawy?

- Mam sól i pieprz, tylko dwie, ale bardzo ważne przyprawy. - A gdy westchnęła z żalem, wyjaśnił: - Trzeba ci wiedzieć, że w poszukiwaniu soli odkrywano całe kontynenty.

- Coś mi się zdaje, że ty od dziecka miałeś w domu kucharkę.

- Tak, miałem. I co z tego?

- Ciekawe więc, jak sobie radziłeś, kiedy się wyprowadziłeś z domu i zacząłeś samodzielne życie.

- Kupowałem dania na wynos, zamawiałem potrawy z dostawą do domu i używałem mikrofalowej kuchni. Mając do dyspozycji te trzy możliwości, żaden mężczyzna nie musi głodować.

Wstawiła miskę do kuchenki mikrofalowej, zaprogramowała ją i wróciła.

- Skoro mieszkasz za miastem, najlepiej zrobisz, jeśli zatrudnisz jakąś kucharkę.

- Powiedz, ile żądasz.

- Śmieszny z ciebie facet, Dec. - Przypatrzyła się jego twarzy i stwierdziła z zadowoleniem, że kolor cery był już normalny, a spojrzenie znowu bystre. Jeśli o nią chodzi, to skurcz, który dał o sobie znać w chwili, gdy Declan się przewrócił, całkowicie ustąpił. - Jak to się stało - spytała - że nie masz przy sobie żadnej kobiety?

- Miałem kobietę, ale się okazało, że jej tak naprawdę wcale nie pragnąłem.

- Czyżby? - zdziwiła się. Tymczasem kuchenka zasygnalizowała, że program został wykonany. Lena otworzyła piekarnik, jeszcze raz dokładnie wymieszała wszystkie składniki, po czym na nowo zaprogramowała kuchenkę. - Co się stało?

- Remy nic ci nie mówił?

- On mi wszystkiego nie mówi. No więc jak to było z tobą i tą kobietą?

- Byłem zaręczony i, wyobraź sobie, na trzy tygodnie przed ślubem zerwałem zaręczyny. Postąpiłem podle, fakt, i sporo ludzi w Bostonie wciąż z tego powodu na mnie pomstuje.

Lena pomyślała, że on usiłuje obrócić całą sprawę w żart, ale nie bardzo mu to wychodzi.

- Czy dlatego opuściłeś tamte strony?

- Nie, ale dzięki temu uświadomiłem sobie, że mogę wyjechać.

- Nie kochałeś jej?

- Nie kochałem.

- Mówisz to ze smutkiem... - Wyjęła z kuchenki miszkę z zapiekanką i podała Declanowi wraz z czystym plastikowym widelcem. Zauważyła w jego oczach wzburzenie, lecz jakby połączone z żalem.

- A ona ciebie kochała?

- Nie! Wiesz, co nas łączyło? Tylko to, że dobrze wyglądaliśmy jako para, że byliśmy do siebie przyzwyczajeni, a ona myślała, że pragnie tych samych rzeczy co ja.

- Ale ty nie pragnąłeś tego, co ona?

- Nie. Nigdy nie pragnęliśmy tego samego. W miarę jak zbliżał się rozstrzygający dzień, coraz wyraźniej widziałem, że moje życie stale się zawęża, aż w końcu ograniczyło się do małej szczelinki, w której brakowało miejsca, powietrza i światła. Zdałem też sobie sprawę, że mam taki sam niechętny stosunek do poślubienia Jessiki jak do podjęcia praktyki adwokackiej, podczas której musiałem się zajmować prawem cywilnym. Pomyślałem, że jeślibym musiał spędzić resztę życia z Jessicą i z adwokaturą, to wolałbym skoczyć z mostu. Ale otworzyła się szansa alternatywna: okazało się, że mogę wydstać się z mojej wąskiej szczeliny i wyjechać...

- Chyba większej odwagi wymagało opuszczenie tamtego miejsca niż skoczenie z mostu - orzekła, szczesując mu włosy z czoła.

- Być może. Twoja zapiekanka jest bardzo smaczna - pochwalił, dobierając sobie jeszcze jedną porcję. - A dlaczego ty nie masz mężczyzny?

- Kto ci powiedział, że nie mam? - spytała, przechylając głowę.

Złapał ją za rękę.

- Muszę to wiedzieć: masz czy nie masz?

Spojrzała na jego dłoń, a potem znów na twarz.

- Niby dlaczego musisz?

- Ponieważ nie mogę przestać o tobie myśleć. Nie mogę wyrzucić cię z głowy. A że zalazłaś mi za skórę, to nawet stamtąd też nie mogę... Ilekroć cię widzę, serce podchodzi mi do gardła.

- W tym także jesteś dobry: umiesz mówić kobietom słowa, które je podniecają. - Gdyby chodziło tylko o to, że ją Dec podnieca, mogłaby uczynić zadość jego i swoim seksualnym potrzebom, i oboje byliby zadowoleni. Ale Dec jest skomplikowanym człowiekiem, myślała, i bycie z nim też nie byłoby rzeczą prostą. - Zjedz wreszcie tę zapiekankę - ponagliła go i zmieniła temat: - Nie rozumiem, dlaczego zacząłeś remont od kuchni, skoro jesz tylko masło fistaszkowe i w twoim gospodarstwie nie ma ani jednego naczynia.

- Mam naczynia, ale nie do zmywania, tylko do jednorazowego użytku. Mimo to uważam, że kuchnia jest sercem domu. Ten, w którym ja wzrastałem, był wielkim, starym, cudownym domem z dużymi, wspaniałymi pokojami. Mieliśmy co prawda kucharkę, ale nie w tym rzecz. Kuchnia była miejscem, gdzie się zbieraliśmy, gdy dochodziło do kryzysu w rodzinie albo trzeba było celebrować jakąś uroczystość, albo gdy po prostu mieliśmy coś do omówienia. T pragnąłbym, by taką funkcję pełniła kuchnia także w tym domu.

- To miłe... - Oparła się o szafkę i przez chwilę go obserwowała. - Czy chciałbyś się ze mną kochać, *cher*? - spytała nieoczekiwanie.

Poczuł gwałtowne przyspieszenie pulsu, ale udało mu się zgrabnie zeskoczyć z kozła.

- Oczywiście, że chcę, tylko zaczekaj, aż się pozbędę hydraulików.

Uwielbiał, gdy się śmiała.

- Chyba jednak nie chodzi ci o to, że mamy się kochać w tej chwili. Prawda? Nie jestem nawet pewny, czy pytanie było szczerze. Pozwolisz, że to sprawdzę. - Przytknął dwa palce do nadgarstka. - Jest tętno, a więc żyję, czyli pytanie było szczerze.

Zaprzeczyła ruchem głowy, pustą miskę wrzuciła do pudła, którego używał jako pojemnika na śmieci.

- Jesteś interesującym mężczyzną, Dec, i bardzo cię lubię.

- Chwileczkę! - Rozejrzał się dookoła i chwycił leżący na desce śrubokręt. - Proszę, to dla ciebie - powiedział.

- A do czego mi on potrzebny?
- Jeśli uważasz, że możemy być tylko przyjaciółmi, lepiej od razu wbij mi go w serce.

- Wiesz co, Dec? Jestem pewna, że Jessica do dziś pluje sobie w brodę, że pozwoliła ci się wymknąć. A ja bardzo bym chciała, żebyśmy byli przyjaciółmi. - Obróciła śrubokręt w ręce i odłożyła na bok. - Ale tak naprawdę jeszcze nie wiem, czy chcę, żebyśmy byli tylko przyjaciółmi, czy czymś więcej. Muszę to przemyśleć.

- W porządku. Pomyśl nad tym! - Przytrzymał jej ramiona i przesunął po nich dłońmi aż do pleców.

Nie próbowała mu się wyrwać. Podniosła twarz tak, by ich usta mogły się spotkać. Spodobało jej się to płynne przejście od ciepłej temperatury do gorącej, jakie zaproponował ten mężczyzna, który nie chciał działać pośpiesznie. Lena wiedziała, co to jest pożądanie. Znała żądze, jakie budziła w mężczyznach, i swoje własne. Uważała, że niekiedy może je zaspokoić tylko szybki, gorący seks w ciemności. Od czasu do czasu w taki właśnie sposób wychodziła naprzeciw swoim potrzebom.

To jednak, co odczuwała tym razem, było znacznie silniejsze: przypominało wzbierającą w sercu tęsknotę. Taka tęsknota mogła nieść ze sobą cierpienie, jakiego zwykle pożądanie nigdy nie powodowało.

Nie mogła się powstrzymać przed objęciem jego twarzy obiema dłońmi, przyzwalając w ten sposób na przedłużenie pocałunku. Z piersi wyrwało jej się leciutkie westchnienie.

- Angelino! - Zmieniając ułożenie warg w pocałunku, Dec wdarł się głębiej w jej usta i wymówione przez niego imię było bezdźwięczne jak szept.

Tysiące ostrzegawczych świateł zapaliło się w jej mózgu, ale je zignorowała. Poddała się tej jednej szalonej chwili namiętności i tęsknoty, by się za moment nagle ze wszystkiego wycofać.

- To, co robimy, wymaga jeszcze przemyślenia - oświadczyła i mocnym ruchem dłoni, przyciśniętej do jego piersi, odepchnęła go od siebie. Na próżno Dec próbował znów ją przyciągnąć i przytulić. - Uspokój się, kochanie! - uśmiechnęła się do niego leniwym, sennym uśmiechem. - Jak na jeden dzień wystarczy; dostatecznie mnie już dzisiaj podnieciłeś.

- To był dopiero początek...
- Wierzę, lecz muszę już iść. - Odetchnęła, poprawiła fryzurę i dodała: - Dziś wieczór pracuję w barze.
- Wobec tego przyjdę tam i odprowadzę cię po pracy do domu.

Chociaż głos miał spokojny, w jego oczach szalała burza. Burza, która - tak to sobie wyobrażała - pozwoliłaby jej doznać szalonej rozkoszy, lecz potem skończyłaby się katastrofą.

- Nie uważam, by to był dobry pomysł...
- Ależ, Leno! Tak bardzo chcę być przy tobie. Pozwól mi spędzać ze sobą wolny czas.
- Czy to znaczy, że chcesz umówić się ze mną na randkę?
- Na randkę? - powtórzył zaskoczony.
- Tak! A wiesz, jak ją sobie wyobrażam? Otóż przychodzisz pod moje drzwi, zabierasz mnie na wytworną kolację, potem idziemy na dancing, a po dancingu odprowadzasz pod drzwi, no i całujesz na dobranoc. Więc jak? Zdobyłbyś się na coś takiego?

- Oczywiście! O której godzinie chcesz, żebym po ciebie przyszedł?

Uśmiechnęła się i przecząco potrząsnęła głową.

- Tej nocy pracuję, ale w poniedziałek będę miała wolne, bo w poniedziałkowe noce lokal nie jest zbyt oblegany. Przyjdź po mnie o ósmej.

- A więc widzimy się w poniedziałek o ósmej - potwierdził uradowany i znów porwał ją w ramiona. Tym razem nie było już łagodne przejście do żaru namiętności, ale raczej skok głową w dół w przepastne głębiny.

O tak! - powiedziała sobie w duchu. Znosi się na niezły dreszczyk emocji, zanim nastąpi klęska.

- To tylko mały zadatek, żebyś nie zapomniała o naszej randce.

- Nie zapomnę - zapewniła go, a w myśli dodała: „Może to nie tyle przypomnienie, ile znak ostrzegawczy. Dec wcale nie jest taki uległy, jakiego udaje”. Kierując się do wyjścia, rzuciła w jego stronę: - Do zobaczenia, *cher!*

- Poczekaj, Leno, nie wyjaśniliśmy sobie jeszcze tego, co się stało w pokoju na górze.

- Z czasem dojdziemy i do tego! - odrzyknęła, wycho-

dząc. Swobodnie odetchnęła dopiero wtedy, kiedy znalazła się w pewnej odległości od dworu Manetów. Myśląc o Declanie, doszła do wniosku, że on wcale nie jest taki łatwy do sterowania, jak sądziła. Jego dobre maniery nie stanowiły jedynie cienkiej warstwy ogłady, ale coś, czym był na wskroś przesiąknięty. Podobnie było z jego erotyzmem i ze stanowczością w postępowaniu. Te jego cechy składały się na osobowość, którą podziwiała i darzyła szacunkiem.

Nie chodzi o to - przekonywała siebie, wsiadając do samochodu - że nie potrafi sobie z nim poradzić. Przecież świetnie umiała postępować z mężczyznami, a nawet więcej: miała do tego wybitny talent. Ten mężczyzna okazał się jednak o wiele bardziej skomplikowany, niż się z pozoru wydawał. Był też o wiele bardziej interesujący od tych, których spotykała wcześniej.

Lena wiedziała, jak ją mężczyźni oceniają gdy na nią patrzą i nie przejmowała się tym, ponieważ miała do zaoferowania o wiele więcej niż to, co oni w niej widzieli czy chcieli zobaczyć. Miała otwartą głowę i silny charakter, i z obu tych cech umiała korzystać, by osiągnąć wszystko, czego chciała. W życiu kierowała się takimi samymi zasadami, jakie stosowała w swoim barze. W jednym i drugim wypadku miało być kolorowo, ale mimo pozornego chaosu musiał tam panować dobrze przemyślany porządek.

Opuszczając Manet Hall, zerknęła do tylnego lusterka, by raz jeszcze spojrzeć na rezydencję. Niepokoiło ją że Declan Fitzgerald potrafił wstrząsnąć jej zasadami, tak jak to się nikomu nie udało w przeszłości. Na zapas się martwiła, że niełatwo jej będzie zaleczyć rany, gdy Declan od niej odejdzie. Mężczyźni - co wiedziała z doświadczenia - zawsze odchodzą. Chyba że ona odeszłaby pierwsza.

Dec, zasypiając, myślał o Lenie i cały oddał się marzeniom sennym. W jego śnie Lena przybrała realny kształt: leżała pod nim i wykonywała mocne szybkie ruchy biodrami. Czuł jej wilgotną skórę, niczym płynne złoto. Widział ciemnoczekoladowe oczy i czerwone, mokre wargi. Słyszał, jak oddycha, jak wciąga i wypuszcza powietrze, zachłystując się małymi łykami rozkoszy. Wdychał jej kusicielski jaśminowy zapach, który

przywodził na myśl grzech, haremy i taniec cieni. Tęskniąc, zapadał w coraz głębszy sen.

I wtedy nagle zobaczył ją, jak pędzi korytarzem, trzymając w ramionach naręcze prześcieradeł. Jej wspaniałe bujne włosy były szesane do tyłu i spięte, a kuszące ciało przykryte od szyi po kostki workowatą suknią w małe, spłowiałe kwiatki. Usta miała nieumalowane, zaciśnięte; Declan słyszał jej myśli, jakby to były jego własne.

Chciała jak najszybciej położyć na miejsce czyste prześcieradła. Pani Manet była już na nogach i wszędzie zaglądała, a madame nie lubiła, by jej młodsze pokojówki biegały po korytarzach. Jeśli się nie pośpieszy, pani Manet ją zauważy. Bała się tego. Służba dłużej się utrzymywała na posadzie, gdy była niewidoczna. Tak przynajmniej twierdziła mademoiselle LaRue, gospodyni, a ta nigdy się nie myliła. Dziewczynie bardzo zależało na tej pracy. Jej rodzina liczyła na pieniądze, które przynosiła do domu. A poza tym lubiła zajęcia we dworze - najpiękniejszym domu, jaki kiedykolwiek widziała. Była szczęśliwa, że może, choć w ograniczonym stopniu, nim się zajmować i o niego dbać. Przedtem wiele razy przyglądała się budynkowi, ukryta w cieniu bagien. Podziwiała go, marzyła o tym, że kiedyś uda jej się zajrzeć w okna i zobaczyć jego piękne wnętrza. A teraz była w nim i w pewnym sensie czuła się nawet odpowiedzialna za to piękno. Uwielbiała czyścić do połysku meble, zamiatać podłogi, patrzeć, jak błyszczy szkło, gdy je dokładnie wytrze.

W jego śnie dziewczyna wybiegła z korytarza przez ukryte drzwi na pierwszym piętrze i pędziła przed siebie, przyglądając się po drodze tapetom, dywanom, meblom i szkłom. Weszła do ubieralni, włożyła prześcieradła do kredensu, ale kiedy się odwróciła, coś zajęło jej uwagę i na palcach podeszła do okna.

Declan widział to samo, co ona: dwóch młodych mężczyzn jadących konno wzdłuż alei wysadzonej okazałymi dębami. Podobnie jak ona czuł gwałtowne bicie serca, gdy jej spojrzenie padło na młodego mężczyznę na kasztance o lśniącej sierści. Włosy młodzieńca miały kolor złota i unosiły się na wietrze, gdy galopował. Trzymał się w siodle prosto jak żołnierz.

Szary zakiet okrywał jego szerokie ramiona, na nogach miał czarne błyszczące buty.

Dziewczyna zapatrzyła się na niego i pomyślała, że oto księżę wraca na swój zamek.

Westchnęła, jak wzdychają dziewczęta, gdy się głupio zakochają. On uśmiechnął się jakby do niej, ale wiedziała, że to widok domu wywołał tę radość, która okrasiała jego przystojną twarz uśmiechem. Z bijącym sercem wybiegła z pokoju i wpadła z powrotem w drzwi wiodące do pomieszczeń dla służby.

Młody panicz wrócił do domu - myślała. Ciekawe, co się teraz wydarzy.

Declan zbudził się pełen niepokoju. Otaczała go ciemność i chłód. Dookoła czuć było wilgoć i kurz, pod sobą miał twarde deski podłogi.

Co do diabła? - oszołomiony i zły, wyciągnął przed siebie rękę i trafił w ścianę. Wstał i posuwając się wzdłuż niej po omacku, starał się dojść do rogu, a stamtąd do drzwi. Od razu się zorientował, że na ścianie nie ma tapet. Nie znajdował się więc w pokoju duchów, tylko w jednym z korytarzy prowadzących do pomieszczeń dla służby, podobnie jak dziewczyna z jego snu. Wydało mu się dziwne, że zmierza tam, dokąd ona idzie.

Niezbyt mu się podobało, że, potykając się w ciemności, szuka drogi wyjścia, wołał jednak to niż spędzić tutaj następnych kilka godzin w oczekiwaniu na nadejście świtu.

Posuwał się do przodu centymetr po centymetrze; gdy w końcu natknął się na futrynę drzwi, cały był zlany potem.

Wydostawszy się stamtąd, zmówił dziękczynną modlitwę i wciągnął do płuc świeże powietrze. Po chwili w słabym świetle rozpoznał zarys korytarza na pierwszym piętrze. Włosy miał pełne pajęczyn, ręce i stopy mocno zabrudzone. Powiedział sobie, że gdyby tego rodzaju przypadki powtarzały się częściej, pójdzie do lekarza i poprosi o jakieś tabletki na sen. Z nadzieją, że tę nocną przygodę ma już za sobą, umył się i napił zimnej wody, by ochłodzić rozpalone gardło. A potem zamknął się w swojej sypialni.

7

Declan odebrał z rąk Effie paczkę książek i trochę zmieszany pocałował ją w policzek.

- Nie musiałaś się fatygować taki szmat drogi, żeby mi przynieść książki. Poszedłbym po nie do ciebie.

~ Z przyjemnością się tu wybrałam. Miałam być na zebraniu, ale je odwołano, dysponowałam więc wolnym czasem. Chodzi o to, że... chciałam sobie udowodnić, że nie spanikuję i nie ucieknę po wejściu do tego domu.

- No i jak? Wszystko dobrze?

- Tak! - potwierdziła energicznie. - W porządku. - Zaniepokoiły ją jednak cienie pod oczami Declana. - Ale ty źle wyglądasz. Co się stało?

- Nie śpię dobrze. - Wolał nie opowiadać o swoich snach i lunatycznych spacerach ani o dziwnych dźwiękach, które go często budziły w środku nocy. - Chodźmy do kuchni, chciałabym się czymś pochwalić. Napijesz się lemoniady? Nie ma w niej wprawdzie cytryny, ale najważniejsze, że jest mokra i zimna.

- Chętnie się poczęstuję. - Dotknęła jego ramienia, jakby tym gestem chciała wyrazić uznanie i dać mu odczuć, że go rozumie. - Mam tylko pół godziny, ale chciałabym ci przekazać pewne informacje; udało mi się zebrać trochę faktów i usłyszeć parę plotek na temat twego domu. - Zajrzała do frontowego salonu. - A tu co się dzieje? - spytała zaskoczona.

Na podłodze wałały się papiery i porozrzucane książki, a dookoła pełno było farb i próbek materiałów.

- Przygotowuję się do następnej roboty. Pomyślałem, że znacznie odnowiać pokój przeznaczony na salon. Moi goście będą mieli gdzie posiedzieć i porozmawiać, gdy będzie gotowy. Ale ciekaw jestem, jakiego rodzaju informacje zdobyłaś dla mnie.

- Dotyczą rodziny Manetów. Z ustaleniem faktów nie było kłopotu - relacjonowała, kiedy przechodzili przez hol. - Henry Manet ożenił się z Josephine Delacroix. Oboje wywodzili się z bogatych i znakomitych kreolskich rodzin. Henry zajmował się polityką. Krążyły słuchy, że jego ojciec wzbogacił się na dostawach dla wojska podczas wojny secesyjnej. Rodzina Manetów należała do zagorzałych republikanów także w okresie rekonstrukcji. Mówiono, że nadużywała władzy i wpływów, aby kupować głosy i przekupywać polityków. O Boże! Dec, jak tu pięknie! - zawołała, wchodząc do kuchni. Zachwyconym wzrokiem patrzyła na nowe szafki, których budowę Declan właśnie zakończył. - Wiesz, one są bardzo ładne!

Declan stał, wetknąwszy kciuki w tylne kieszenie spodni, i chytrze się uśmiechał.

- Mówisz takim tonem, jakbyś była zaskoczona.

- Bo jestem, ale mile; moje uznanie dla ciebie. Musisz wiedzieć, że mój Remy z trudem potrafi wbić w ścianę gwóźdź, kiedy trzeba zawiesić obraz. - Przejechała ręką po drewnie, otworzyła i zamknęła drzwiczki. - Te szafki są absolutnie wspaniałe. Pewnie jesteś z nich bardzo dumny.

- Owszem, przyznaję, że jestem z siebie zadowolony. Faceci, którzy mają dostarczyć ładę kuchenną, właśnie wyszli. Wybrałem solidną płytę. Będzie wyglądała jak łupkowa. Zamówiłem też ogromną chłodziarkozamrażarkę. Inna rzecz, że nie wiem, po co to zrobiłem, i chyba muszę sam to sobie wyjaśnić. Kupiłem też nową płytę kuchenną z czterema palnikami i zmywarkę do naczyń. Mam zamiar wszystko obudować, więc wkrótce zobaczycie jedynie piękne drewno.

Umieścił książki na desce ze sklejki leżącej na szafkach.

- Chcesz w końcu tę lemoniadę czy nie?

- Chętnie się napiję. - Minęła go, żeby przejść do jadalni. Declan skończył tu już dwie górne półki i zaczął robić trzecią.

- Ależ one będą piękne! Chyba pracujesz w dzień i w nocy? - I tracisz na wadze - dodała w myśli. - Masz wymizowaną twarz.

- To i tak lepiej niż chodzić we śnie. - Był zdenerwowany. Czuł, że znowu musi włożyć ręce do kieszeni, żeby nie drżały. - Powiedz mi coś więcej o moim domu i o Manetach.

- Proszę bardzo! - Dała spokój z roztkliwianiem się nad nim i przeszła do faktów.

- Zacznę od tego, że pierwsi właściciele tego majątku podczas wojny stracili większość swoich pieniędzy. Nie chcieli jednak opuścić tego miejsca; woleli rozparcelować ziemię i sprzedać działki albo oddać je w dzierżawę za połowę plonów. Politycznie byli w opozycji do Manetów. Zniszczył ich pożar, w którym dom spalił się do cna, i to ich ostatecznie skłoniło do opuszczenia tego miejsca. Manetowie odkupili od nich ziemię i zbudowali nowy dwór. Mieli dwóch synów bliźniaków: Luciana i Juliana. Obaj uczyli się w Tulane. Lucian świetnie sobie radził, natomiast Julian, jeśli zdobył jakiś dyplom, to tylko za picie i hazard. Lucian miał zostać w przyszłości dziedzicem i zarządzać majątkiem rodziny. Jednak prawie wszystkie pieniądze Manetów gdzieś się rozeszły. Uratował ich przed ruiną znaczny spadek, jaki otrzymała Josephine. Obaj synowie zmarli, zanim skończyli dwadzieścia trzy lata.

- W jaki sposób umarli? - zaciekawiał się Declan, wręczając Effie szklankę lemoniady.

- Na ten temat krąży wiele pogłosek i spekulacji. - Upiła lemoniady i mówiła dalej: - Najczęściej powtarzane są plotki, że się nawzajem pozabijali. Nikt nie wie, dlaczego. Ich rodzina twierdziła, że poniósł ich temperament. Podobno Lucian na zlecenie matki udał się do Nowego Orleanu, aby przywieźć do domu brata, gdy ten zasiedział się w jednym z burdeli. Julian nie dał się zabrać i wybuchła kłótnia. Jeden z nich, wszystko wskazuje na to, że był to Julian, wyciągnął nóż. Walczyli ze sobą, wrywali sobie nóż i obaj zostali ranni. Julian zmarł na miejscu, a Lucian niecały tydzień potem w domu. Mówią, że wyszedł z łóżka, spacerował po parku i wpadł do stawu, w którym utonął.

Ten staw, pomyślał Declan, dusi się od pływających po nim liści lilii wodnej i o świcie paruje.

- Wyobrażam sobie, że był to trudny do przeżycia cios dla rodziców.

- Tak! Ojcu po paru latach wysiadło serce, Josephine żyła

kilka lat dłużej, ale fortuna się od niej odwróciła. Wprawdzie dom i nieco ziemi wciąż jeszcze do niej należały, ale nie miała gotówki. I znowu ludzie spekulują, że to Julian, hazardując się, przegrał większą część matczynych pieniędzy i nigdy jej tej straty nie wynagrodził.

- Remy wspomniał, że w tej rodzinie była jakaś wnuczka, ale nie wiem, czyją była córką: Luciana czy Juliana.

- W tej sprawie też są tylko domysły. Chociaż istnieją dowody na to, że Lucian w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym ósmym roku poślubił Abigail Rouse i że w następnym roku urodziła im się córka, to nie ma jednak żadnych dowodów potwierdzających, że Abigail nie żyje. Po śmierci Luciana Manetowie oficjalnie wyrzekli się tego dziecka i nie uwzględnili go w testamencie. Dziewczynkę chyba wychowywali Rouse'owie. Nie mogłam niczego znaleźć o Abigail Rouse poza świadectwem jej urodzenia i ślubu.

- Może po śmierci Luciana wyrzucili ją z domu?

- Być może. Rozmawiałam o tym z Remy. - Effie podeszła do okna i spoglądała na zaniedbany ogród. - Remy nie ma pewności, ale przypomina sobie, że słyszał plotkę, jakoby Abigail miała uciec z jakimś innym mężczyzną. Z kolei historii, które opowiada rodzina Rouse'ow, całkowicie się różnią od tego, co ci zrelacjonowałam. Oni podejrzewają Manetów. Uważają, że to była jakaś ukartowana i obłudna gra z ich strony. Jeśli porozmawiasz z kimś z rodziny Rouse'ow albo Simone'ów, będziesz miał dokładniejszy obraz tego, co mogło się wówczas wydarzyć.

- Nie wyobrażam sobie, żebym mógł uzyskać dokładną informację o dziewczynie, która uciekła albo umarła sto lat temu.

- Mój drogi, tu jest Południe. W naszych stronach coś, co się wydarzyło sto lat temu - to tak jakby się działo wczoraj. Abigail miała siedemnaście lat, gdy wyszła za mąż za Luciana. Pochodziła z bagien i jego rodzina nie była w stanie zaakceptować tego mezaliansu. Wątpię, czy jej życie w domu Manetów było usłane różami. Całkiem możliwe, że uciekła... Z drugiej strony... ja jednak coś czy kogoś widziałam w tym pokoju na górze. I choć nie wierzę w tego rodzaju rzeczy, w każdym razie przedtem nie wierzyłam... - Effie walczyła

z przenikającymi ją dreszczami - to teraz sama nie wiem, co mam o tym myśleć. Bardzo jednak chciałabym się czegoś na ten temat dowiedzieć.

- Wypytam pannę Odette i Lenę. Umówiłem się z nią na poniedziałek.

- Ach, tak? - Ta wiadomość poprawiła jej nastrój. - Wygląda więc na to, że będziemy mieli więcej plotek i spekulacji. Ale teraz muszę już iść. Jutro przyślę ci tu Remy'ego. Nie tylko po to, żeby ci pomógł w pracy, ale także dlatego, że chcę go mieć na parę godzin z głowy. Czeka mnie przymiarka sukni ślubnej i muszę jeszcze załatwić parę innych drobiazgów potrzebnych pannie młodej.

- Już ja go tu zatrudnię, nie bój się!

- Może potem razem przyjechalibyście do miasta - zaproponowała, kierując się do wyjścia. Miała ochotę wziąć go pod pachę i wyciągnąć stąd. - Moglibyśmy zjeść kolację, a potem pójść do kina.

- Przestań się o mnie martwić.

- To silniejsze ode mnie. Wciąż boleję nad tym, że jesteś tak daleko od nas i całkiem sam w domu, w którym znajduje się ten straszny pokój... - Spojrzała z niepokojem w górę schodów. - Na samą myśl o nim dostaję dreszczy.

- Duchy nikomu nie robią krzywdy - powiedział, całując ją w czoło. - Przecież są martwe...

Ale gdy w nocy słyszał szum wiatru, plusk deszczu i brzęczenie butelek w ogrodzie, wcale mu się nie wydawały martwe.

W niedzielę zrobił sobie wolne. Spał długo i zbudził się, gdy niebo zaczęło się już rozjaśniać. Potem jeszcze godzinę spędził w łóżku z książkami, które mu przyniosła Effie. Zaznaczyła w nich strony, które powinny go szczególnie zainteresować. Dokładnie obejrzał i przestudiował stare fotografie przedstawiające domy i dwory, jakie w dawnych czasach stawiano na plantacjach. Ogromnie się ucieszył, gdy natknął się na stare czarno-białe zdjęcie przedstawiające Manet Hall z okresu jego świetności na przełomie wieków.

Fotografie Henry'ego i Josephine Manetów już nie sprawiły mu takiej radości, ale obejrzał je z czystej ciekawości. Pani Jo-

sephine była niezaprzeczalnie piękną kobietą w stylu obowiązującym w tamtych latach. Miała na sobie suknię balową, obszytą różami, z głęboko wyciętym stanikiem. W uniesione do góry włosy wpięła wysoki grzebień.

W sukni z nieprawdopodobnie wąską talią jej kibić wydawała się szczupła i wiotka, co podkreślała jeszcze zamasyżystość brokatowych spódnic i bufiastość krótkich rękawów, stykających się niemal z długimi białymi rękawiczkami.

Twarz pani Josephine cechował jednak odpychający wyraz chłodu, który - zdaniem Declana - nie wynikał ani ze sztywnej pozy, ani ze złej jakości fotograficznej odbitki. Ten chłód psuł miłe wrażenie, jakie sprawiała delikatna sylwetka pani Manet, i nadawał jej prawdziwie groźny wygląd.

Najbardziej zafrapowała Declana fotografia Luciana Maneta. Był przekonany, że widział tę twarz we śnie: przystojny młody mężczyzna z uniesionymi wiatrem złotymi włosami, pędzący galopem na kasztance przez szpaler omszałych dębów. Czyżby działała tu siła sugestii? Może on podświadomie pragnął, by twarz ze snu okazała się autentyczna, i teraz narzucił ją nieszczęsnemu Lucianowi? Tak czy owak skóra mu cierpła, gdy o tym myślał.

Postanowił, że na pocieszenie wybierze się do Nowego Orleanu i sprawi sobie przyjemność, chodząc po sklepach z antykami i polując na okazję korzystnego zakupu. Tymczasem skończyło się na tym, że w niecałą godzinę później znalazł się w drodze do baru Et Trois. Jak zwykle w niedzielne popołudnia panował tu duży ruch. Goście stanowili mieszankę turystów i miejscowych. Declan ucieszył się, że potrafi już ich rozróżniać. Grająca szafa rozbrzmiewała skoczną melodią Beau Soleil i podrywała do tańca nawet tych, którzy siedzieli przy stolikach i barze, zajęci rozmową. Smakowity zapach smażonych potraw przypomniał żołądkowi Declana, że nie jadł śniadania. Rozpoznał blondynkę, która obsługiwała go podczas poprzedniej bytności, i podszedł do niej. Przywitawszy się, spytał z uśmiechem o Lenę.

- Jest w biurze - usłyszał - drzwi na prawo od sceny.
- Dziękuję.
- Zawsze do usług, przystojniaku!

Zapukał do drzwi oznaczonych tabliczką: Wstęp wzbronio-

ny, po czym uchylił je i wetknął głowę. Lena siedziała przy biurku i pracowała na komputerze. Włosy miała spięte z tyłu; kusiło go, by ją pocałować w kark.

- Cześć! Gdzie przebywasz?! - zawołał po tutejszemu. Odchyliła się do tyłu i leniwie rozłożyła ramiona.

- Szybko się uczysz. Co robisz w moich progach, *cher*?

- Byłem w pobliżu i pomyślałem, że może zgodzisz się pójść ze mną na obiad: takie małe preludium przed jutrzejszym spotkaniem.

Lena wiele o nim myślała; o wiele więcej, niż miała ochotę się do tego przyznać. I nagle zjawił się przed nią: wysoki, smukły, męski...

- Męczę się nad księgowością.

- Przerwałem ci zajęcia; nie jesteś zła? - Nie czekając na odpowiedź, wszedł i przysiadł na brzegu biurka. - Kupiłem ci prezent.

Wtedy dopiero zauważyła, że ma ze sobą małą paczuszkę.

- Nie widzę, jak by nowy samochód mógł się zmieścić w tej paczce.

- Spokojnie! Dojdziemy i do samochodu...

Na chwilę zatrzymała wzrok na jego twarzy, a potem wzięła od niego torebkę. Powoli wyciągnęła z niej pudełko zawinięte w złoty papier i przewiązane wstążką z białą kokardą. Celowo przeciągała otwarcie pudełka, bo uważała, że oczekiwanie przyjemności jest równie miłe jak sama przyjemność.

Kokardę i wstążkę starannie złożyła i wsunęła z powrotem do torebki, a po wyjęciu pudełka porządnie poskładała papier, w który było zawinięte.

- Ciekawe, ile czasu zajmuje ci rozpakowywanie prezentów na Boże Narodzenie - głośno się zastanawiał.

- Lubię robić wszystko spokojnie i bez pośpiechu. - Otworzyła pudełko i... poczuła, że jej wargi drżą, ale starała się zachować obojętny wyraz twarzy. Dostała jeszcze jeden komplet składający się z solniczki i pieprzniczki, które tym razem wyobrażały uśmiechniętą parę raków.

- Muszę przyznać, że przystojna z nich para - stwierdziła z uśmiechem.

- Tak myślałem. Mieli także aligatory, ale raki wydały mi się sympatyczniejsze.

- Czy ten prezent jest częścią twojej kampanii oczarowywania mnie, *cher*?

- Żebyś wiedziała! Sprawdź, jak te pojemniki działają!

- Nieźle! - A spróbowałszy palcem, jak wysypuje się sól z uśmiechniętego brzydala, dodała: - Wcale nieźle.

- Dobrze! Skoro przeszkodziłem ci w pracy i w dodatku udało mi się ciebie oczarować, to dlaczego nie zgodzisz się, że- bym cię jeszcze nakarmił? W ten sposób zrekompensuję ci ewentualne straty.

Usiadła wygodniej w obrotowym krześle i parę razy się okręciła.

- Nie wiem dlaczego, ale za każdym razem, gdy cię widzę, czuję, że powinnam szybko się oddalić.

- Możesz spróbować ucieczki, rychło się jednak przekonasz, że próżny twój trud, bo moje nogi są dłuższe i zawsze cię dogonię. - Pochylił się nad biurkiem i spojrzał w dół, unosząc lekko brwi. Lena miała na sobie bardzo krótką spódniczkę. Jego nogi są dłuższe, pomyślał, ale z pewnością nie wyglądałyby ani w połowie tak dobrze, gdyby je oblekł w przezroczyste pończochy. - Swoimi też mogłabyś pokonać dużą odległość - przyznał. - Co to ma znaczyć, że jesteś tak wystrojona?

- Wcale nie jestem wystrojona. Po prostu byłam na mszy, a tak się ubieram do kościoła. - Uśmiechnęła się. - Sądząc po twoim imieniu, też jesteś katolikiem, co?

- Tak. Przyznaję się, jestem.

- A byłeś dziś na mszy, Declanie?

Nie potrafił wytłumaczyć, dlaczego tego rodzaju pytania zawsze go ogromnie złościły.

- Nie jestem pilnie praktykujący - bąknął.

- Ach tak? - Zacisnęła wargi. - Rozczarujesz tym moją babcię.

- Ale przez trzy lata byłem ministrantem. To się chyba liczy.

- Jakie masz imię z bierzmowania?

- Powiem ci, jeśli się zgodzisz pójść ze mną na obiad. - Sięgnął po raki i poruszał nimi, udając, że tańczą na biurku. - Proszę cię, Leno! Chodź! Zobaczysz, jak będzie fajnie, zabawimy się; robi się ładny dzień...

- No dobrze - zgodziła się. Popelniasz błąd! - ofuknął ją jej

praktyczny umysł; mimo to wstała i wzięła do ręki torebkę. - Możesz mi zafundować obiad, ale szybki. - Odłożyła segregator i wyłączyła komputer.

- Z bierzmowania mam Michael - dotrzymał słowa, wyciągając do niej rękę. - Declan Sullivan Michael Fitzgerald. Już bardziej irlandzki nie mógłbym być, bo chyba miałbym wtedy zieloną krew.

- A ja jestem Louisa. Angelina Marie Louisa Simone.

- To brzmi bardzo po francusku.

- *Bien sur!* Z pewnością! Ale mam ochotę na włoski obiad. - Wsunęła rękę w jego dłoń. - Zafunduj mi włoski makaron.

Declan wiedział, nauczony doświadczeniem poprzednich wizyt w Nowym Orleanie, że w tym mieście trzeba się naszukać, by znaleźć lokal, w którym serwują kiepskie jedzenie. Dlatego wcale się nie zmartwił, gdy Lena zaprowadziła go do małej bezpretensjonalnej restauracji. Wystarczyło raz pociągnąć nosem, by mieć pewność, że czeka ich wspaniała uczta.

Lena pomachała do kogoś ręką, wskazując na pusty stolik, i bez kłopotu otrzymała pozwolenie na zajęcie go.

- Ale pamiętaj, Declanie! To nie jest randka - powiedziała ni stąd, ni zowąd.

- Nie jest? - Robił, co mógł, żeby wyglądać niewinnie, i niemal mu się to udało,

- Oczywiście, że nie! - Rozluźniła się i założyła nogę na nogę. - Randka, proszę cię, jest wtedy, kiedy jesteśmy umówieni na konkretną godzinę i ty przychodzisz po mnie do domu. Dzisiejsze spotkanie się nie liczy, bo tylko wpadłeś do mnie po drodze. Nasza pierwsza randka będzie dopiero jutro. Mówię ci to na wypadek, gdybyś uznawał zasadę trzech randek.

- My, faceci, wolelibyśmy, żebyście wy, kobiety, nic o tym nie wiedziały.

- Jest mnóstwo rzeczy — mówiła, wydymając wargi - o których wy wolicie myśleć, że my o tym nie wiemy. - Patrzyła mu prosto w oczy, co nie przeszkodziło jej podnieść rękę na powitanie ciemnowłosego mężczyzny, który zatrzymał się przy ich stoliku. - Hej! Witaj, Marco! - zawołała.

- Lena! Miło cię widzieć! - pocałował ją w rękę i po chwili wręczył jej menu.

- Ten pan jest kolegą i przyjacielem Remy'ego z college'u w Bostonie - przedstawiła go. - Nazywa się Declan. Przeprowadziłam go tu, żeby zobaczył, jak się w Vieux Carre przygotowuje włoskie jedzenie.

- Nic lepszego nie mogłaś zrobić. - Uścisnął dłoń Declanowi i podał menu. - Dziś moja mama gotuje - dodał.

- No to czekają nas wspaniałe potrawy - oznajmiła Lena. - A jak tam twoja rodzina, Marco? - spytała.

I Declan był świadkiem takiej oto scenki: Lena przesunęła się na krzesło, uniosła twarz i spojrzała na Marca. Zachowywali się tak, jakby znajdowali się sami na bezludnej wyspie i łączyła ich jakaś intymna więź. Nie miał wątpliwości, że było w tym coś seksualnego, ale w końcu uznał, że także - a może głównie - szczerą troską z jej strony.

- Ta dziewczyna jest dobra jak złoto - mówił Marco. - Wyobraź sobie, że w piątek moja Sophie wygrała nagrodę w konkursie ortograficznym.

- Gratuluję, masz naprawdę zdolne dziecko.

Rozmawiali przez chwilę, a Declan zabawiał się obserwowaniem twarzy Leny. To podnosiła, to znów opuszczała brwi, a czasem je ściągała, marszcząc. Patrzył, jak porusza ustami, uwydatniając mały pieprzyk nad górną wargą. Kiedy odwróciła się w jego stronę, potrząsnął głową.

- Przepraszam, czy coś do mnie mówiłaś? Patrzyłem na ciebie i się zagubiłem...

- Ci z Północy potrafią gładko mówić - zauważył Marco.

- I jaki on ładny, prawda? - spytała Lena.

- Bardzo miły. - A zwracając się do Declana, dodał: - Lena zdecydowała się na owoce morza i makaron linguini. Czy pan już wie, co zamówić, czy potrzebuje pan jeszcze trochę czasu?

- Nie bierz tego samego, co ja - poprosiła Lena, pukając palcem w menu, którego Declan jeszcze nie przeczytał. — Jeśli oboje zamówimy to samo, ominie mnie wielka frajda, bo nie będę mogła podbierać ci z talerza co lepszych kasków. Może byś spróbował nadziewanych małż? Mama Marca świetnie je przyrządza.

- A więc proszę o nadziewane małże - powiedział. - Był przekonany, że spróbowałby nawet rozartej tektury, gdyby Lena tego od niego zażądała. - Napijemy się wina?

- Nie, ponieważ ty prowadzisz samochód, a ja muszę dziś jeszcze pracować.

- O, jaka surowa!!! San Pelligrino? - spojrzał pytająco na Marca.

- Przyniosę panu butelkę.

- A więc...? Jakie masz na dziś plany, *cher*? - spytała, gdy Marco się oddalił.

- Chciałbym jeszcze odwiedzić kilka sklepów z antykami. Szukam oszklonej gablotki do kuchni i drobiazgów, które by można do niej wstawić. Zastanawiałem się także, czy nie wstąpić w drodze powrotnej do panny Odette. Jak myślisz? Co by ją ucieszyło? Chciałbym jej przynieść jakiś upominek.

- Nie musisz jej niczego przynosić.

- Ale chciałbym.

Lena założyła ramię na oparcie krzesła, a drugą ręką stuknęła palcami po blacie stołu, nie spuszczać z Declana oczu.

- Najlepiej zrobisz, jak jej zanieziesz butelkę dobrego czerwonego wina. Ale powiedz mi, *cher*! Czy ty czasem nie wykorzystujesz mojej babci, żeby przez nią dotrzeć do mnie? Co?

Zauważyła błysk gniewu w jego oczach: stały się ciemniejsze, a ich spojrzenie gorętsze, niż tego po nim oczekiwała. Powinna była wiedzieć, że pod jego pozornie gładkimi manierami kryje się coś ostrego i gwałtownego. To zrobiło na niej wrażenie, ale jeszcze bardziej wstrząsnęła ją błyskawiczna zmiana jego nastroju: z łagodnego na wściekły, a po chwili z powrotem na łagodny.

Uznała, że mężczyzna, który potrafi sobą w taki sposób sterować, ma żelazną wolę. I to też dawało jej do myślenia.

- Nie masz racji - strofował ją Declan - bo jest całkiem na odwrót: korzystam z ciebie, aby zdobyć pannę Odette. To ona jest dziewczyną moich marzeń.

- Jeśli tak, to przepraszam. Przykro mi.

- I powinno ci być przykro...

Lena czekała, by podano im wodę mineralną i chleb. Rozzłościł ją jego ton, głównie dlatego, że sama czuła, iż zasłużyła na małego klapsa. Pochyliła się ku niemu.

- Przepraszam za moje słowa - mówiła cicho. - To było brzydkie. Faktem jest, Declanie, że mam dziwną łatwość mówienia nieprzyjemnych rzeczy: po prostu przykre słowa same wylatują mi z ust. I nie zawsze żałuję, że je powiedziałam. Nie mam słodkich manier, brak mi opanowania i powściągliwości. Nie jestem też z natury ufna. Mam swoje dobre strony, ale mam równie wiele złych. I dobrze mi z tym...

Declan postanowił pójść za jej przykładem i przyznał samokrytycznie:

- Ja z kolei jestem jednostronny w zainteresowaniach, lubię rywalizować i bywam humorzasty. I z natury mam podłe usposobienie. Na szczęście jednak tak się dobrze składa dla ludzkości, że niełatwo mnie skłonić do czynienia zła. Nigdy się przy swoim nie upieram, jeśli chodzi o małe sprawy. Kiedy jednak na coś się zdecyduję i wiem, że naprawdę tego chcę, wtedy zawsze znajdę sposób, by to osiągnąć. A ponieważ teraz chcę ciebie, więc będę cię miał.

Chyba się myliła. Declan bynajmniej nie złagodniał. W jego oczach wciąż czaiła się złość. Ale że jedyną osobą, z którą Lena zawsze starała się być szczerą, była ona sama, nie usiłowała nawet udawać, że to jej nie podnieca.

- Mam wrażenie, że mówisz tak tylko po to, żeby mnie rozświecić.

- Nigdy w świecie! To tylko uboczny zysk... - Rozluźnił się i podał jej koszyczek z chlebem.

Choć nadąsana, wzięła kromkę.

- Kiedy się zdenerwuję, tracę apetyt, ale niech będzie! — Wzruszyła ramionami i zaczęła jeść, - Dzisiaj lepiej się nie wybieraj do mojej babci, bo po południu jej nie zastaniesz. Mówiła, że odwiedzi swoją siostrę.

- Wobec tego wpadnę do niej któregoś dnia w tygodniu. Mam już w domu lady kuchenne. Wczoraj Remy mi pomógł zawiesić szafki. Myślę, że w ciągu dwóch tygodni skończymy robotę.

- To świetnie, że ci wszystko dobrze idzie. - Męczyła ją pewna myśl i po jego rozbawionej minie poznała, że on się tego domyśla. - Czy odważyłeś się jeszcze raz wejść na drugie piętro? - spytała w końcu.

- Tak. - Najpierw musiał sobie wprawdzie dodać otuchy

sporym łykiem whisky, ale jednak tam wrócił. - Tym razem nie upadłem na twarz, ale nie obeszło się bez paniki, choć na ogół jej nie ulegam. Dowiedziałem się sporo o rodzinie Manetów, lecz wciąż brakuje mi pewnych ogniw. Może ty pomożesz je uzupełnić.

- Chciałbyś się dowiedzieć czegoś więcej o Abigail Rouse?

- Tak. Głównie o nią mi chodzi, Co o niej wiesz?

Lena nie słuchała uważnie, co do niej mówi, bo zajęła się znowu Markiem, który właśnie przyniósł zamówiony przez nich makaron. A kiedy popadli w ospałą dyskusję o jedzeniu, Declan uświadomił sobie, że tu, na Południu, życie toczy się wolniej.

- Powiedz mi wszystko, co wiesz o Abigail - ponowił prośbę, gdy zostali sami.

Lena nabrała porcję makaronu, zrolowała go na widelcu i włożyła do ust.

- Mama Realdo - orzekła z uznaniem - to prawdziwa bogini w kuchni. Przekonaj się sam! - poleciła mu i pochyliła się, żeby spróbować z jego talerza.

- Jest wspaniały - przyznał Declan. - Najlepsze jedzenie, jakie jadłem od czasu twojej zapiekanki z kuchenki mikrofalowej.

Uśmiechnęła się długim, ciepłym uśmiechem i po chwili wróciła do jedzenia.

- Znam historie - wreszcie zaczęła mówić o Manetach - które powtarzano w mojej rodzinie. Nikt jednak niczego nie wie na pewno. Abigail była pokojówką we dworze. Miejscowi bogacze chętnie zatrudniali akadyjskie dziewczyny, żeby im sprzątały, podawały do stołu i myły naczynia. Podobno Lucian Manet, gdy wrócił ze szkół do domu, zakochał się w niej. Żeby się pobrać, młodzi musieli uciec, ponieważ ich rodziny nie wyrażały zgody na małżeństwo. No bo gdzież im do siebie...? - Lena rozłamała kromkę chleba i skubała po kawałeczku. - Łączenie ludzi należących do różnych klas społecznych - mówiła dalej, patrząc mu w twarz - nie jest rzeczą łatwą. Ale Lucian mimo wszystko wprowadził swą ukochaną do rezydencji, co na pewno nie było łatwe. Josephine Manet miała opinię kobiety twardej, dumnej i zimnej. W dodatku niektórzy zaczęli już liczyć miesiące na palcach, ale okazało się, że bez powodu, bo

dziecko Luciana i Abigail urodziło się dopiero po dziesięciu miesiącach.

- Pokój na górze musiał być pokojem dzieciennym - wtrącił Declan. - Tam pewnie mieszkało ich dziecko.

- Najprawdopodobniej tak było. Mieli też nianię do dziecka, która potem wyszła za mąż za jednego z braci Abigail. Większość opowieści o rezydencji pochodzi właśnie od niej. Ponoć na dwa dni przed końcem roku Lucian wyjechał w interesach do Nowego Orleanu, a gdy wrócił, okazało się że Abigail zniknęła. Powiedziano mu, że uciekła z pewnym mężczyzną, też wywodzącym się z bagien, z którym się już przedtem miała rzekomo potajemnie spotykać. Ale to chyba kłamstwo. Niania, która nazywała się Claudine, twierdziła, że Abigail nigdy by nie porzuciła męża i dziecka. Podejrzewała, że musiało jej się przytrafić coś bardzo złego, coś strasznego, i nawet robiła sobie wyrzuty, że wyszła wtedy z domu. Tej bowiem nocy, kiedy zniknęła Abigail, Claudine udała się nad rzekę na spotkanie ze swoim chłopcem.

Martwa dziewczyna leżąca na łóżku z baldachimem w zięjącym chłodem pokoju - pomyślał Declan, i makaron utknął mu w gardle, tak że musiał się czym prędzej napić wody.

- Czy nikt nie szukał Abigail? - spytał po chwili.

- Jak to nie...? Rodzina poszukiwała jej wszędzie, gdzie tylko mogła. A Lucian podobno nie ustawał w przetrząsaniu bagien do samej śmierci. Jeśli nie tam, to szukał jej śladów w mieście. Nigdy mu się jednak nie udało natrafić na najmniejszy choćby trop. No i sam też nie żył zbyt długo. Gdy Luciana zabrakło, a jego brat bliźniak, którego matka zawsze faworyzowała, zmarł już wcześniej, pani Josephine kazała zanieść dziecko do rodziców Abigail. Aleś ty zbladł, Dec!

- Źle się poczułem... jakoś blado... Ale mów dalej!

Lena odłamała kawałek chleba, posmarowała go masłem i podała Declanowi. Babcia miała rację, pomyślała, facet powinien więcej jeść.

- A teraz posłuchaj! Tym porzuconym dzieckiem Abigail i Luciana była babcia mojej babci, czyli moja praprababka. Manetowie się tej dziewczynki wyparli, twierdząc, że jest bękartem i nie ma w sobie ich krwi. Zanieśli ją do Rouse'ow

w jednej sukience, którą miała na sobie, i z niewielką torebką zabawek zabranych z kołyski. Jedyną cenną rzeczą, jaka jej została z rezydencji, była broszka z zegarkiem. Claudine ją jej dała, mówiąc, że kiedyś należała do Abigail.

Declan wyciągnął rękę i przykrył nią opiekuńczo dłoń Leny.

- Czy ta broszka gdzieś jeszcze jest?

- Oczywiście! U nas takie rzeczy przekazuje się z pokolenia na pokolenie. Moja babcia ofiarowała mi ją na siedemnaste urodziny. Dlaczego pytasz?

- To jest emaliowany zegarek, zwieszający się z małej broszki w kształcie złotych skrzydeł?

- Tak! Skąd wiesz? - Lena dostała wypieków.

- Widziałem ją. - Zimny dreszcz przebiegł mu po plecach. - Broszka leżała na toalecie w sypialni, która zapewne była sypialnią Abigail. Tak naprawdę ten pokój jest pusty - ciągnął dalej - a te meble to widma. Tam właśnie Effic widziała martwą dziewczynę leżącą na łóżku z baldachimem. Manetowie ją zabili, prawda?

Coś w tonie jego wypowiedzi, tak stanowczym i zimnym, sprawiło, że nie oponowała.

- Tak właśnie ludzie myślą - przyznała. - W każdym razie tak się uważa w mojej rodzinie.

- Czy to się stało w pokoju dziecięcym?

- Tego nie wiem. Napędziłeś mi strachu, *cherl*

- Tobie? - przeciągnął dłonią po twarzy. - Chyba już wiem, kim jest duch, który błąka się po moim domu. Biedna Abigail chodzi po holu i czeka na powrót Luciana.

- Ale skoro zginęła w rezydencji, to kto ją zabił?

- Tego właśnie powinienem się dowiedzieć, żeby Abigail mogła... no wiesz... spoczywać w pokoju.

Lena spostrzegła, że z twarzy Deca zniknęła bladość. Jego twarz zmęźniała i jakby stężała, tyle w nim było hartu i zdecydowania.

- Ale dlaczego właśnie ty masz się tym zajmować?

- A dlaczego nie? Zabójcą musiał być ktoś z rodziny Manetów: matka, ojciec lub brat. Potem zakopali dziewczynę gdzieś daleko i ogłosili, że uciekła. Muszę się więcej o niej dowiedzieć.

- Myślę, że ci się uda, bo wyglądasz na uparciucha, *cher*. Nie wiem dlaczego, ale bardzo mi się to podoba. Porozmawiaj z moją babcią. Może ci więcej powie albo skieruje do kogoś, kto wie. - Odsunęła pusty talerz. - A teraz zamów nam cappuccino.

- Masz ochotę na deser?

- Nie! Deseru już nie zmieszczę. - Otworzyła torebkę i wyjęła paczkę papierosów.

- Nie wiedziałem, że palisz.

- Palę tylko jedną paczkę na miesiąc. Wystukała jednego papierosa i przeciągnęła po nim palcami.

- Jedną paczkę papierosów na miesiąc? Czy to w ogóle ma sens?

Wetknęła papierosa do ust, skrzesała ogień wąską srebrną zapalniczką i westchnęła głęboko, by po chwili mocno się zaciągnąć.

- To prawdziwa przyjemność, *cher*. W paczce jest dwadzieścia papierosów, a miesiąc ma trzydzieści lub trzydzieści jeden dni, z wyjątkiem lutego, oczywiście. Bardzo go za to kocham. Mogłabym, rzecz jasna, wypalić całą paczkę w ciągu jednego dnia i potem szaleć przez resztę miesiąca. Ale mogę też je sobie wydzielać oszczędnie i powoli, bo nie kupię nowej paczki przed pierwszym następnym miesiącem.

- A ile „cudzesów” wypalasz w tym czasie?

Jej oczy lśniły przez mgłę dymu.

- To byłoby naciąganie, a ja takich rzeczy nie robię. Przyjemność jest niczym, kochanie, jeśli nie masz dość silnej woli, by się powstrzymać do momentu, kiedy będziesz mógł się nią w pełni rozkoszować. - Przejechała koniuszkiem palca po grzbiecie jego dłoni i sama nie wiedząc, po co to robi, potarła bokiem stopy jego nogę pod stołem.

- A czy ty masz silną wolę? - spytała.

- Wkrótce się o tym przekonamy - odparł.

Wrócił do domu o zmroku. Tył samochodu załadował skarbami, które upolował w sklepach z antykami. Najlepszą zdobyczą był kredens kuchenny; ubłagał i przekupił sprzedawcę, żeby mu go dostarczyli już następnego dnia.

Zaniósł tyle rzeczy, ile zdołał za pierwszym wejściem i wszystko ustawił w foyer. Zamknął za sobą drzwi, a potem przez dłuższą chwilę, stał bardzo cicho i bez ruchu.

- Abigail! - zawołał i słuchał, jak jej imię odbija się echem po całym domu. Czekał.

Nic się nie działo. Nie wtargnęła tu żadna fala zimnego powietrza, nie słychać było, by cokolwiek się gwałtownie przemieszczało, ale stojąc u podstawy schodów, Declan wiedział, że nie jest tu sam, choć nie umiałby wyjaśnić, skąd to wie.

8

Declan zbudził się, gdy za oknem szalała burza z piorunami, ale był rad, że budzi się we własnym łóżku. Błyskawice raz po raz chłostały niebo. Ich rozbłyски, niczym światło nowo rodzącej się gwiazdy, co chwila rozjaśniały pokój. Spojrzał na zegarek i zobaczył, że za minutę będzie północ. To chyba pomyłka, pomyślał, bo przecież gdy się położył, minęła już pierwsza w nocy. Zastanawiał się, czy burza nie odcięła mu prądu, i zaświeceił lampę przy łóżku. Nagłe światło omal go nie oślepiło.

- A niech to diabli! - zawołał. Przetarł oczy i sięgnął po butelkę wody mineralnej, którą postawił na stole obok łóżka. Potem wyszedł na balkon, aby przyjrzeć się burzy.

Widok wart był zachodu: zacinający deszcz, rozwidlające się błyskawice i wiatr, z jękiem i wyciem smagający okoliczne drzewa. Butelki mające odstraszać duchy głośno brzęczały, a dzikie grzmoty toczyły zacięte boje z ognistymi piorunami.

Nagle do jego uszu doszedł płacz dziecka.

Butelka z wodą wysliznęła mu się z dłoni i upadła na ziemię. Woda się wylała i zmoczyła jego stopy.

- Przecież nie śnię - powiedział do siebie i wyciągnął rękę, by uchwycić się mokrego szczebelka balustrady. Nie zachowywał się jak lunatyk w transie, był rozbudzony, w pełni świadomy tego, gdzie się znajduje. A jednak słyszał płacz dziecka.

Zmusił się, by opuścić balkon, i wrócił do sypialni, zlany potem. Sprawdził latarkę, a następnie boso, bez koszuli, wyszedł z pokoju, w którym czuł się bezpiecznie, i skierował

w stronę drugiego piętra. Bał się, że za chwilę ogarnie go panika. Spodziewał się kurczów brzucha, braku tchu i gwałtownego bicia serca. Ale nic takiego nie nastąpiło. Panika się nie pojawiła: stawiał normalne kroki, w drzwiach też nie zobaczył niczego nadzwyczajnego: ot drzwi jak drzwi z mosiężną zmatowiałą gałką, która wymagała wypolerowania. Dziecko już nie płakało.

- Przynajmniej na razie - zastrzegł się — wszystko jest w porządku.

Dłonie miał spocone, ale czuł raczej zdenerwowanie niż strach. Sięgnął do gałki, przekręcił i drzwi się z jękiem zawiasów otworzyły.

W kominku płonął niewielki ogień. Błyski jego płomieni i światło świec tworzyły piękne desenie na ścianach pomalowanych na bladobrzoskwiniowy kolor. Na oknach wisiały ciemnobłękitne, pięknie udrapowane zasłony, a pod nimi widać było koronkowe firanki. Posadzka błyszczała jak lustro. Zdobily ją dwa wzorzyste dywany w tonacji brzoskwini i błękitu. W pokoju stało żelazne łóżeczko z opuszczanymi bocznymi ściankami, zasłane białą pościelą.

Na bujaku siedziała młoda kobieta z niemowlęciem w ramionach. Declan widział dziecięcą rączkę na obnażonej matczynej piersi, jak plamę bieli na złocistym tle. Kobieta miała rozpuszczone włosy, które opadały jej na ramiona i kładły się na poręczy bujaka. Poruszała wargami, ale nie wiedział, czy śpiewa dziecku kołysankę, czy opowiada mu bajkę. Nie słyszał dźwięków, ale widział, jak karmiąca kobieta czule wpatruje się w dziecko, a jej twarz promienieje miłością.

- Nigdy byś jej nie opuściła - powiedział cicho Declan. - Nie byłabyś do tego zdolna.

Podniosła wzrok i spojrzała w stronę drzwi, w których stał. To trwało zaledwie jedną, zapierającą dech sekundę. Declan pomyślał, że może go usłyszała i do niego przemówi. A kiedy się uśmiechnęła i wyciągnęła do niego rękę, postąpił krok w jej stronę. Ale kolana mu zmiękły, gdy zobaczył mężczyznę, który minął go jak powietrze, przeszedł przez pokój i zbliżył się do kobiety. Włosy miał złociste, był wysoki i szczupły, odziany w coś w rodzaju szlafroka koloru ciemnego szkarłatu jak burgundzkie wino. Ukłął przy bujaku i koniuszkiem palca

głaskał policzek dziecka, a potem gładził jego malutkie paluszki ugniatające pierś matki.

Kobieta, Declan się domyślił, że jest nią Abigail, położyła rękę na dłoni mężczyzny i przytuleni, w delikatnym świetle, trzymali się w uścisku. Dziecko zachłannie ssało pierś matki usteczkami pełnymi mleka, a kobieta leciutko się kołysała.

- Nie! Ty ich nie opuściłaś. Nigdy byś tego nie zrobiła... - mówił szeptem. - Dowiem się, co Manetowie ci zrobili, co wyrządzili całej waszej trójce. Odkryję prawdę.

Kiedy to mówił, drzwi się za nim nagle zatrzasnęły i znalazł się w ciemności, którą rozjaśniały jedynie błyskawice i strumień światła jego latarki. Jakiś straszny ciężar niczym skała spadł mu na piersi i odciął dopływ powietrza do płuc. I wtedy zobaczył, że pokój jest nie tylko pusty, ale także lodowato zimny, i strach chwycił go za gardło. Nerwowo szarpał gałkę u drzwi, ale mokra od potu dłoń ześlizgiwała się z oblodzonej powierzchni mosiądzu i nie mógł jej przekreślić. Próbował krzyczeć i wrzeszczeć, prosić i modlić się - na próżno; z gardła wydobywało mu się jedynie zduszone charczenie. W głowie mu się zakręciło, opadł na kolana i zaczął zapamiętałe majstrować przy gałce, jednocześnie szarpiąc i ciągnąc drzwi.

Kiedy mu się w końcu udało je otworzyć, wypełził na czworakach, a potem dłuższą chwilę przeleżał twarzą w dół na podłodze i serce waliło mu jak młotem. A tymczasem na dworze wciąż szalała burza i wśród grzmotów i piorunów przewalała się nad domem.

- Do diabła! - zaklął Declan. - Jestem cały i zdrowy. Nic mi się nie stało. Zejdę z tego piętra, wrócę do sypialni i położę się spać. - Ale czy uda mi się zasnąć? - zaniepokoił się. Dygocząc, podniósł się i zaczął schodzić w dół. Z przeżytego koszmaru wyciągnął dwa wnioski: Po pierwsze, że jeśli to, co widział w pokoju dziecinnym, było prawdą, a nie wymysłem jego fantazji, Abigail Rouse-Manet nie opuściła dworu Manetów z własnej i nieprzymuszonej woli. A po drugie: że on, Declan, będzie teraz miał więcej niż jednego ducha na karku.

Najprawdopodobniej popełniłam błąd - pomyślała Lena, wciągając na siebie małą czarną sukienkę - i to nie pierwszy... Bo jeśli chodzi o Declana Fitzgeralda, miała już na sumieniu

kilka drobnych potknięć. To ją irytowało, ponieważ rzadko się co do mężczyzn myliła.

Jeśli się czegokolwiek nauczyła od matki, to właśnie tego, jak postępować z mężczyznami. Na ogół jednak pouczenia matki odnosiły odwrotny do zamierzonego skutek. Najczęściej postępowanie Leny było przeciwieństwem tego, jak zachowywały się Lilibeth w takiej sytuacji. Dzięki zręcznym unikom udawało się Lenie nie angażować uczuciowo przez niemal trzydzieści lat. Nie miała zamiaru oddawać się w ręce mężczyzny, oczywiście w sensie metaforycznym. Myślała o tym, malując pomadką usta, i uśmiechała się do lustra nieco afektownie. Bo tak naprawdę Lena nie miała nic przeciw temu, aby znaleźć się w rękach właściwego mężczyzny, pod warunkiem, że byłaby w odpowiednim nastroju i miała na to ochotę.

Jej zdaniem kobieta, która nie znajduje w seksie radości, po prostu nie ma na tyle sprytu, by znaleźć dobrego partnera. Mądra kobieta potrafi wybrać mężczyznę, który chce i umie rozpoznać, jakiej rozkoszy jego partnerka pragnie, i wie, jak jej takie przeżycie zapewnić. A z kolei kobieta, która zazna z partnerem rozkoszy, chętnie postara się o to, by i on przeżył z nią dobry, mocny seks. I w ten sposób wszyscy są w tej konkurencji zwycięzcami.

Problem Leny polegał na tym, że Declan miał szczególny talent do wprawiania jej w permanentny stan podniecenia. Przedtem jej się nie zdarzało, by do tego stopnia rządziły nią hormony.

Była też przekonana, że najważniejszą sprawą dla kobiety, jeśli chodzi o seks, jest możliwość sterowania nim. To ona powinna decydować, kiedy, gdzie, z kim i jak. Tak jest najmądrzej i najbezpieczniej. A mężczyźni? Oni są po prostu lubieżni z natury i nie można ich za to winić.

Natomiast kobiety, które twierdzą, że nic próbują podniecać mężczyzn, są albo zimne, albo kłamliwy. Gdyby mogła uwierzyć, że ona i Declan zmiierzają jedynie w stronę zwykłego romansu, który zaczyna się i kończy na pocałunkach, nie miałaby powodu do zmartwienia. Ale Declan był człowiekiem bardzo skomplikowanym. Składał się ze zbyt wielu warstw, przez które ona nie potrafiła się przebić; nie umiała go rozgryźć.

Co więcej - i to o wiele bardziej ją martwiło - jej stosunek do niego także nie był jednolity. Miała więc do czynienia z czymś skomplikowanym i tajemniczym, przekraczającym zwykłe pożądanie. Podobał jej się również jego wygląd i jankeskie brzmienie głosu. Ponadto udało mu się trafić w Leny czuły punkt, dzięki temu, że okazywał wyraźną sympatię jej babci. No i doprowadzał do wrzenia temperaturę krwi. Musiała to przyznać... Bardzo umiejętnie używał do tego swoich warg. I jeszcze coś: kiedy się nie pilnował, w jego oczach pojawiała się spójrzanie zranionej samy. A ona uwielbiała pocieszać zranione serca.

Powiedziała sobie, że najlepiej będzie działać z rozmysłem i bez pośpiechu. Wyjęła flakonik perfum i kryształowym korkiem przeciągnęła po skórze. Tak! Będzie się starała rozwijać ten romans powoli i spokojnie. Nie ma sensu wybierać się w daleką podróż, jeśli samo podróżowanie nie sprawia przyjemności. Przeciągnęła koreczkiem po sutkach i wyobraziła sobie, że dotykają jej tam jego palce i usta. Zdawała sobie sprawę, że już dawno, bardzo dawno nie pragnęła mężczyzny w tak oczywisty sposób. A ponieważ było już za późno, by montować byle jaki, anonimowy seks na pośpiesznie rozłożonym prześcieradle, mądrzej zrobi, gdy lepiej pozna partnera i pozwoli mu myśleć, że to on namówił ją na pójście do łóżka.

- Przyszedłeś w samą porę, *cher!* - zawołała, gdy zapukał do drzwi. Rzuciła jeszcze okiem na swoje odbicie w lustrze, posłała sobie całusa i podeszła do frontowych drzwi.

Bardzo dobrze prezentował się w garniturze. Wyglądał elegancko, jak ktoś z wyższych sfer. To mężczyzna wysokiej klasy - pomyślała. Ścisnęła w palcach kłapę jego marynarki.

- Mmm... - mlasnęła. - Aleś się wyszykował, *cher!*

- Przepraszam cię - wydukał. - Na twój widok krew odpłynęła mi z głowy, więc najlepsze, na co mogę się zdobyć, to wykrzyknąć: Ach!!!

Rzuciła mu przeciągłe spojrzenie spod rzęs i powoli się okręciła na wysokich, eleganckich szpilkach.

- Widzę, że podoba ci się moja kreacja.

Suknia przylegała do ciała, błyszczała i przyciągała wzrok.

- O tak! - powiedział. - Jest świetna! - A jego zmysły niemal zatańczyły z radości.

Pokiwała na niego palcem.

- Podejdz do mnie! - Zrobiła krok do tyłu, wsunęła mu rękę pod pachę i stanęła naprzeciw starego lustra w srebrnej ramie. - Spójrz! Czy nie wyglądamy dobrze razem? - spytała i zaśmiała się do jego odbicia. - Dokąd mnie zabierasz, *cher*?

- Zobaczysz! - Chwycił dużą, czerwoną, jedwabną chustę i udrapował ramiona Leny. - Nie będzie ci chłodno?

- Musi mi być ciepło, bo jeśli byłoby inaczej, pomyślałabym, że suknia nie działa jak należy... - Wyszła na balkon i sięgnęła po jego dłoń. Potem zerknęła w dół na białą limuzynę zaparkowaną przed domem. Rzadko jej się zdarzało zanieść z wrażenia, ale teraz przez dobrych dziesięć sekund nie mogła wydobyć głosu.

- Kupięś nowy samochód, kochanie?

- Nie, tylko go wynajęłam. Chodziło mi o to, żebyśmy oboje mogli pić szampana, ile tylko zechcemy.

Lena pomyślała, że ta pierwsza randka dobrze wróży na przyszłość. Szanse Declana jeszcze bardziej wzrosły, gdy kierowca w uniformie otworzył jej drzwi samochodu i, kłaniając się, zaprosił do środka. Tam zobaczyła dwa srebrne wiaderka: w jednym stała butelka szampana w lodzie, a drugie pełne było szkarłatnych tulipanów.

- Róże są banalne - wyjaśnił. Wyjął jeden kwiat i jej wręczył. - A ty nie...

Obracając tulipan w ręce, spytała:

- Czy tak czarujesz dziewczyny w Bostonie?

- Nie mam żadnych innych dziewczyn poza tobą - odparł i podał jej kieliszek szampana.

- Fascynujesz mnie, *cher* - powiedziała, pociągając łyk.

- To część mego planu - stuknął się z nią kieliszkiem - a musisz wiedzieć, że w planowaniu jestem dobry.

Przysunęła się bliżej do oparcia fotela i założyła nogę na nogę specjalnie powolnym ruchem, tak by zwrócić na niego uwagę.

- Jesteś niebezpiecznym mężczyzną, Dec. A wiesz, dlaczego? Dlatego, że nie dajesz tego po sobie poznać, chyba że ktoś ci się dokładnie przyjrzy i dostrzeże to, co ukrywasz pod zewnętrzzną ogładą.

- Nie bój się, Leno. Na pewno cię nie skrzywdzę.

- Oczywiście, że nie, do diaska! - zaśmiała się dźwięcznym, urokliwym śmiechem. - To jest dopiero początek naszej wspólnej drogi, kochanie. Dopiero początek... I na razie bardzo mi z tobą dobrze.

Zabrał ją do eleganckiej francuskiej restauracji, utrzymanej w staroświeckim stylu. Kelnerzy nosili czarne krawaty, światła były przygaszone, a stolik w rogu przewidziany dla gości szukających intymnego nastroju. Butelka szampana pojawiła się już w kilka sekund potem, gdy usiedli, z czego Lena wywnioskowała, że Declan wszystko to z góry ukartował i pewnie wiele innych rzeczy też.

- Słyszałem, że w tym lokalu jest wyśmienita kuchnia. Dom pochodzi z początku dwudziestego wieku i został zbudowany w stylu georgiańskim, neokolonialnym. Należał do pewnego artysty malarza i jeszcze trzydzieści lat temu był zwykłą, mieszkalną kamienicą.

- Czy zawsze badasz historię restauracji, w której jesz?

- Chodziło mi o atmosferę. To ważne, szczególnie w Nowym Orleanie. I oczywiście istotna jest też jakość kuchni. Słyszałem, że specjalnością tej restauracji jest *caneton a l'orange*, czyli kaczka z pomarańczami.

- Wobec tego jedno z nas koniecznie musi to zamówić. - Zaintrygowana odłożyła na bok menu. Declan jest nie tylko zabawny, seksowny i mądry, pomyślała, ale także bardzo interesujący. - Tym razem ty wybierasz.

Zamówił od razu całą kolację, począwszy od przystawek aż po deser w postaci czekoladowego sufletu. Zrobił to z wprawą bywalca przyzwyczajonego do jądania w wytwornych lokalach.

- Twój francuski jest całkiem dobry, w każdym razie jeśli chodzi o zamawianie potraw. Czy mówisz po francusku?

- Owszem, mówię, ale akadyjska francuszczyzna wali mnie z nóg.

- Byłeś kiedyś w Paryżu?

- Tak.

Pochyliła się w charakterystyczny sposób, opierając przedramiona o brzeg stołu i patrząc mu prosto w twarz.

- Czy Paryż rzeczywiście jest taki cudowny?

- Oczywiście! Jest wspaniały!

- Chciałabym się tam któregoś dnia wybrać. A w ogóle to planuję zwiedzić Paryż, Florencję, Barcelonę i Ateny. - Ten plan miał być spełnieniem jej gorących i kolorowych marzeń, a oczekiwanie było równie podniecające, co samo pragnienie. - Czy zwiedziłeś te miejsca?

- Wszystkie prócz Aten. Moja matka lubiła podróżować i kiedy dorastałem, każdego roku wyjeżdżaliśmy do Europy, a co drugi do Irlandii, gdzie mamy rodzinę.

- A które miejsca, w jakich byłeś, najbardziej ci się podobały?

- Trudno powiedzieć. Urzekło mnie zachodnie wybrzeże Irlandii, ale lubię także wzgórza Toskanii, kawiarnie uliczne w Paryżu, a w tym momencie moim ulubionym miejscem jest właśnie to, w którym jesteśmy.

- Mówisz tak, żeby mi sprawić przyjemność... No, dobrze! Wobec tego opowiedz mi o Bostonie.

- Boston jest miastem portowym w Nowej Anglii i ma wielkie znaczenie historyczne. - Gdy się roześmiała, na chwilę posmutniał. - Pewnie nie o to ci chodziło...

- No to opowiedz o swojej rodzinie. Masz rodzeństwo?

- Mam dwóch braci i siostrę.

- To spora rodzina.

- Chyba żartujesz! Moi rodzice byli raczej wstrzemięźliwi w realizowaniu biblijnego „rozmnażajcie się”, ale nie moi dziadkowie... Mama ma sześcioro rodzeństwa, a ojciec pochodzi z rodziny, gdzie było ośmioro dzieci. Także nikt z ich rodzeństwa nie miał mniej niż pięcioro potomstwa. Jesteśmy bardzo liczną rodziną.

- Tęsknisz za nimi?

- Chyba tak... - przyznał niechętnie. - Dopiero tu, z takiej odległości, zrozumiałem, że lubię swoją rodzinę.

- Myślisz, że będą cię odwiedzać?

- Z czasem na pewno. Teraz czekają, by moja matka znowu zaczęła ze mną rozmawiać; z nią wszyscy się liczą...

Lena spróbowała przystawki, jaką dla niej zamówił. A on, patrząc na jej rękę, zastanawiał się, dlaczego ta dziewczyna nie nosi żadnych pierścionków ani bransoletek, skoro ma bardzo ładne, wąskie, delikatne, można nawet powiedzieć: wytworne dłonie. Jedynymi jej ozdobami były srebrny kluczyczek wiszący

na gładkiej, śniadej szyi i małe, lśniące, srebrne kolczyki w uszach. I choć zdawał sobie sprawę, że palce i nadgarstki Leny nawet gołe są piękne, zastanawiał się, czy brak ozdób nie jest z jej strony jakąś kobiecą gierką, zmierzającą do tego, by mężczyzna łatwiej zauważał u niej każdy najmniejszy szczegół, każdy ruch i gest. Przynajmniej on tak właśnie reagował.

- Dlaczego sądzisz, że twoja mama jest na ciebie wściekła?

Ocknął się z zamyślenia, by podjąć konwersację.

- Nie powiedziałbym, że jest wściekła, raczej zirytowana, obrażona i zawiedziona... Gdyby naprawdę była na mnie zła, już by się tu zjawiała, stanęła twarzą w twarz i nie dała mi spokoju, póki bym się nie poddał jej przerażająco silnej woli.

- Czy ona chce twego szczęścia?

- Na pewno! Kochamy się z mamą jak dwoje idiotów, tylko że byłaby bardziej zadowolona, gdyby moje szczęście szło w parze z jej punktem widzenia.

Lena uniosła głowę i znowu zobaczył błysk srebra przebijający się przez jej gęste, ciemne loki.

- Czemu nie dasz matce do zrozumienia, że rani twoje uczucia?

- Co takiego? Nie rozumiem.

- No bo przecież jeśli się nie dowie, że cię rani, to nie przestanie tego robić.

- Zawiodłem ich.

- Wcale nie! - krzyknęła trochę już zniecierpliwiona, choć w duchu niewątpliwie mu współczuła. - Chyba nie sądzisz, iż twoja rodzina chce, żebyś był nieszczęśliwy i rozgoryczony, żebyś się ożenił z kobietą, której nie kochasz, i pracował w zawodzie, którego nie lubisz.

- Tak! Nie! Szczerze mówiąc, nie wiem.

- Wydaje mi się więc, że powinieneś ich o to zapytać.

- A czy ty, Leno, masz rodzeństwo?

- Nie mam. Ale dziś wieczór będziemy mówić o tobie. Mnie zostaw sobie na kiedy indziej. Powiedz, czy znalazłeś to, czego szukałeś w sklepach z antykami.

- Kilka rzeczy znalazłem. - Wolał rozmawiać o zakupach niż o rodzinie, choć nie zawsze potrafił odpowiadać na jej podchwytliwe pytania. Przekomarzając się, doszli do momen-

tu, gdy na stole pojawiło się główne danie zamówionej kolacji.

- Skąd wiesz, co masz kupić, skoro pokój nie jest jeszcze wykończony? - nie przestawała go nękać.

- Po prostu wiem. — Wzruszył ramionami. - Nie potrafię ci tego wyjaśnić. Kupiłem między innymi wspaniałą sekretkę do salonu, z którego jest widok na rzekę. Tam właśnie zamierzam rozpocząć następne prace renowacyjne i mam nadzieję, że nie będą nawet w przybliżeniu tak trudne jak w kuchni. W salonie trzeba będzie odnowić głównie ściany i podłogi. Chcę najpierw wyremontować wnętrza, a potem balkony i podwójne schody, a na końcu zająć się malowaniem. Jeśli będę miał szczęście, to może już na początku kwietnia uda się wymalować cały dwór. A wtedy będzie można w nim zamieszkać, nim nadejdą letnie upały.

- Dlaczego narzucasz sobie takie duże tempo? Przecież dom nie ucieknie.

- Nie pamiętasz, co ci o sobie mówiłem? Jestem jednostronny, jeśli chodzi o zainteresowania, i zbyt ambitny.

- Ale to nic znaczy, że nie mógłbyś się trochę zrelaksować. Ile godzin w tygodniu poświęcasz na pracę?

- Nie wiem. Przeciętnie pracuję od dziesięciu do dwunastu godzin dziennie. - Uśmiechnął się i wziął ją za rękę. - Czy ty się naprawdę o mnie martwisz? Mógłbym mieć więcej wolnego czasu, gdybyś chciała spędzić go ze mną.

- Aż tak się o ciebie nie martwię. - Nie zabrała mu jednak dłoni i pozwoliła, by trzymał ją w swojej twardej, pełnej odcisków ręce. - Posłuchaj! Wkrótce będą ostatki. Jeśli nie weźmiesz sobie wolnego czasu, żeby się choć w ten dzień zabawić, to równie dobrze mógłbyś nadal przebywać w Bostonie. - Spojrzała na podwójny suflet, który kelner postawił pośrodku stołu.

- Ojej! Jaki wspaniały! - zawołała. Pochyliła się nad potrawą i zamknąwszy oczy, przez chwilę upajała się zapachem. A gdy podniosła wzrok i rozejrzała się wokół, spytała ze śmiechem: - A gdzie twoja porcja?

Zaprosił ją na dancing do klubu, gdzie grali powolnego fokstrota i jazzowe swingi z lat trzydziestych. Mile ją zasko-

czył umiejętnościami tanecznymi: wirował z nią po parkiecie, aż jej nogi odmówiły posłuszeństwa.

- Wciąż mnie zadziwiasz czymś nowym...

- Wiadomo... - Przyciągnął ją do siebie i przesunął dłonie po jej ciele, by w końcu zagarnąć biodra.

Lena poczuła, że ciśnienie gwałtownie jej rośnie i burzy się krew. Przyłgnęła do niego i oboje poruszali się w takt muzyki, wsłuchując się w łkający głos tenorowego saksofonu.

Trzymając Lenę w objęciach, opuścił ją nisko, a ona, mimo że puls jej walił jak szalony, śmiała się i pozwoliła opaść swojej głowie do tyłu tak, że włosami niemal zamiotła parkiet. Wtedy Dec zbliżył twarz ku niej, musnął wargami brodę dziewczyny, lekko dotknął zębów, po czym znowu poderwał ją do góry i krążył z nią razem w koło, do reszty podbijając jej serce.

Światła nad parkietem jarzyły się dymnobłękitnie, kroki partnera były posuwiste i płynne, więc Lena miała wrażenie, jakby się poruszała pod wodą. Tęsknota i pragnienie czułości ogarnęły ją nagle z taką mocą, że zdawały się wnikać w jej trzewia. Z na wpół zamkniętymi oczami pieściła dłonią jego włosy, a potem przyciągnęła go do siebie jeszcze o parę centymetrów, tak by się ich usta spotkały.

- Pasujesz do mnie, Leno - szepnął. - Oboje do siebie pasujemy.

Potrząsnęła głową i przytuliła policzek do jego twarzy.

- Jeśli umiesz się kochać choć w połowie tak dobrze jak tańczyć - powiedziała - to chyba ciągnie się za tobą nieskończenie długi sznur uśmiechniętych kobiet.

- Pozwól, żebym cię przekonał, co potrafię - odparł. Le-ciutko nagryzał płatek jej ucha i z satysfakcją poczuł, że cała drży. - Pragnę cię pieścić - szeptał. - Wiem, co poczuje, gdy będę dotykał twojej skóry. Śniłem o tym.

Mając wciąż przymknięte powieki, próbowała postawić tamę wzbierającym w niej pragnieniom.

- Tylko ze mną zatańcz! Robi się późno, więc proszę tylko o jeszcze jeden taniec.

W limuzynie oparła głowę na jego ramieniu. Muzyka, wino, przyćmione światła - wszystko to wciąż szumiało jej w głowie. Czowała, że się zatracza w tym romansie, a uświadomienie sobie,

że Declan do tego właśnie zmierzał, bynajmniej nie wpłynęło na poprawę jej stanu, przeciwnie -jeszcze go pogorszyło.

Lena na tyle już poznała Declana, by wiedzieć, że należy do osób dbających o szczegóły. Dla niego istotne były zarówno sprawy wielkiej wagi, jak i drobne detale. I dotyczyło to w takim samym stopniu domu, który wybrał, jak i kobiety, której pragnął.

Podobała jej się ta jego cecha.

- Umiesz zadbać, by w twoim towarzystwie dziewczyna dobrze się bawiła - stwierdziła z uznaniem.

- Spotkajmy się jutro wieczorem, a będziesz mogła jeszcze raz się o tym przekonać.

- Niestety, jutro wieczorem pracuję.

- Wobec tego w najbliższy wolny wieczór.

- Pomyślę o tym. Nie jestem bojaźliwa, Declanie. Brzydę się tchórzostwem. Ale jestem ostrożna. - Usiadła tak, by mogła na niego patrzeć. - Zbytnej ostrożności co prawda także nie pochwalam, ale jeśli chodzi o ciebie, uważam, że jest ona wskazana i świadczy o mądrości, a ja lubię być mądra.

Gdy limuzyna zaparkowała przed domem, Lena przeciągnęła palcem po jego policzku i poprosiła:

- A teraz odprowadź mnie do drzwi i pocałuj na dobranoc.

Zabrał ze sobą srebrne wiaderko wypełnione szkarłatnymi tulipanami i postawił je przed drzwiami, a potem objął obiema dłońmi jej twarz.

To był słodki całus. Słodszy, niż przypuszczała. Była przygotowana na namiętny pocałunek, mający przełamać wszelkie opory, jakie miała, tak gorący, by stopić jej serce jak wosk. Tymczasem Declan postanowił zakończyć ten wieczór tak samo słodko i delikatnie, jak go zaczął: romantycznie.

- Może spotkalibyśmy się przed twoim pójściem do pracy? - zaproponował. - Zabrałbym cię na piknik.

Patrzyła na niego trochę zagubiona.

- Na piknik?

- Zapowiada się ciepły dzień. Rozłożymy koc nad stawem. Możesz przyprowadzić ze sobą Rufusa jako przyzwoitkę. Lubiej patrzeć, jak wskakuje do wody.

- Do diabła! - zaklęła. I teraz ona objęła jego twarz obiema

dłońmi. - Chciałabym, żebyś już poszedł do tej wielkiej białej limuzyny.

- W porządku! Już idę. Zamierzałem poczekać, aż wejdiesz do domu.

- Wracaj do limuzyny - powtórzyła. - Zapłać kierowcy i powiedz mu, że jest wolny. A potem przyjdź do mnie na górę!

Zacisnął dłonie na nadgarstkach Leny i czuł, jak jej bije puls.

- To potrwa pięć minut. Tylko nie zmieniaj zdania! Dwie minuty - poprawił się. - Możesz sprawdzić z zegarkiem w rękę.

Popędził schodami w dół, a ona zabrała kwiaty i weszła do środka. Jeśli to jest błąd, pomyślała, nie będzie ani mój pierwszy, ani ostatni.

Zapaliła świece i puściła płytę z Billie Holiday. Seks wymaga spokoju - upomniała samą siebie. Jeśli łączy dwoje dorosłych osób, wolnych, z nikim niezwiązanych i oprócz pożądania towarzyszy mu także jakieś uczucie, powinno się go celebrować.

Bez względu na to, czy została do grzechu namówiona, czy nie, decyzję podjęła sama. Nie miało sensu żałować czegoś, do czego jeszcze nie doszło. Gdy usłyszała pukanie, roześmiała się. Że też puka, zamiast po prostu wejść do środka! Ma dobre maniere i gorącą krew. Interesujące połączenie... nie do odrzucenia.

Otworzyła drzwi i krusząca serce melodia Billie Holiday wypłynęła na zewnątrz. Przed nią stał Declan. Trzymał ręce w kieszeni i uśmiechał się.

- Cześć!

- Witaj, przystojniaku! - Chwyliła go za krawat i wciągnęła do środka. - Wejdz szybko! - Ciągnęła go z takim impetem, że cofając się, mogliby wylądować prosto w sypialni.

Ale Declan położył ręce na jej biodrach i przytulił do siebie.

- Podoba mi się ta muzyka - powiedział i poprosił ją do tańca. - Jeśli uda mi się coś poza tobą zobaczyć, to ci powiem, czy mi się u ciebie podoba.

- Chyba brałeś lekcje, jak rozmawiać z kobietą, która za tobą szaleje.

- Nie brałem lekcji. Mam wrodzony talent... - Przemknął wargami po jej ustach, całując każdy kącik z osobna, a także ten seksowny mały pieprzyk nad górną wargą. - Czy wiesz, że ulice Bostonu są usłane moimi zwycięskimi podbojami do tego stopnia, iż powstały straszliwe korki w ruchu drogowym i radni z magistratu poprosili, żebym opuścił miasto? Otarł się o jej policzek swoim. - Nawet we śnie czuję twój zapach i budzę się, pragnąc ciebie.

Serce Leny zadrżało, bo oto poczuło ciepło po długim okresie marznięcia.

- Od pierwszej chwili, gdy wstąpiłeś do mego baru, wiedziałam, że będą z tobą kłopoty, ale nie zdawałam sobie sprawy, jak wielkie. - Wyciągnęła się i naprężyła mięśnie pod dotykiem jego ręki przesuwającej się wzdłuż pleców.

- O, tak! Sprawię ci mnóstwo kłopotów - zgodził się i uniósłszy ją, wpił się w jej usta, miażdżył je swoimi wargami, aż oboje zajęczeli. - Którędy tam? - spytał.

- Hmm... Znam wiele dróg...

Cała krew, jeśli się jeszcze jakaś zachowała, spłynęła teraz z jego głowy do łędźwi.

- Którędy droga do twojej sypialni? To tylko miałem na myśli.

Zaśmiała się krótko i nadal ssała jego dolną wargę.

- Drzwi na lewo! - rzuciła po chwili.

Gdy niósł ją przez pokój, przed oczami migwały mu najrozmaitsze kolory, widział stare drewniane meble, ale niemal wszystkie jego zmysły angażowała kobieta, którą trzymał w ramionach. Czuł jej ciężar, dotykał kształtów, sycił się zapachem. Dostrzegł wyraz zaskoczenia, jaki pojawił się na jej twarzy, kiedy ją postawił obok łóżka, zamiast na nim położyć.

- Jeśli ci to nie robi różnicy, wołałbym się z tym jeszcze nie spieszyć - wyjaśnił. Wędrował koniuszkiem palca po jej szyi, a potem dookoła piersi, których piękny zarys uwydatniała suknia. - Bo widzisz, z tym jest tak samo jak z rozpakowywaniem prezentu.

- W porządku, zgadzam się.

Oczekiwała pośpiechu. Spodziewała się z jego strony szybkich rąk i głodnych ust w parze z pożądaniem, jakie odczytywała w jego spojrzeniu. Kiedy jej ręce połączył ze swoimi

i wargami niby miękkim jedwabiem przylgnął do jej ust, przypomniała sobie, jak bardzo potrafił panować nad swoim temperamentem poprzedniego dnia. Przypuszczała, że jego zdolność kontrolowania siebie dotyczy także innych namiętności.

Z tego, że Lena nie jest nastawiona na łatwy romans, zdał sobie sprawę w momencie, gdy zobaczył, jak zareagowała na tulipany, które jej przyniósł. Wtedy w jej oczach nie dostrzegł radości z niespodzianki, tylko czającą się nieufność. Teraz, kiedy zwolnił tempo, jej wzrok wyrażał jedynie przyjemność, jaką daje pocałunek, i nic więcej. Zrozumiał, że nie wystarczy po prostu zaciągnąć ją do łóżka, lecz trzeba także uwieść w taki sposób, by podejrzliwość w stosunku do niego zastąpiło uczucie rozkoszy. Usta miała ciepłe i chętne. Nietrudno było połączyć je ze swoimi i bawić się leniwym prześlizgiwaniem się języków, podczas gdy ich ciała kołysały się, jakby wciąż jeszcze tańczyli. Wyczuł chwilę, kiedy jej palce stały się w jego rękę wiotkie, i wiedział, że płyną na jednej fali. Powolnym ruchem ściągnął w dół zamek błyskawiczny jej sukni i rozpoczął wędrówkę palcami po nowo odkrytych obszarach ciała. Wyprężyła plecy w łuk i tylko to ją różniło od kota, że nie mruzczała...

- Masz dobre ręce, *cher*, i bardzo seksowne wargi - stwierdziła. Chwilę przyglądali się sobie nawzajem, po czym rozluźniła węzeł jego krawata. - Zobaczmy, jak się przedstawia reszta twojej osoby. - W rozbieraniu mężczyzny jest szczególnie smaczek - pomyślała. Usuwanie pokładów garderoby i bielizny, by w końcu dojść do gołej skóry, trochę potrwało, ale w tym właśnie czasie rosły jej oczekiwania i zaostrzała się ciekawość.

Gdy Lena rozpiniała koszulę Declana, on opuścił ramiączka jej sukni, tak że trzymała się teraz tylko na zmysłowo podniesionych sutkach. Muskał jej usta, wcale się przy tym nie śpiesząc. Cały czas działał z rozmysłem.

Odsłoniła mu tors i przesuwając rękami po piersi, lekko mruzczała, co miało wyrażać uznanie dla tego, co zobaczyła. Pod palcami czuła mocne bicie jego serca.

- Jak na adwokata jesteś niezłe zbudowany - zauważyła.

- Byłego adwokata - sprostował.

To było jak umieranie - myślał. Umieranie centymetr po centymetrze, gdy przebiegały po nim te długie, szczupłe,

wąskie palce z czerwonymi paznokciami. Lekko szczypała jego bicepsy i pieściła językiem wargi.

- Tyle kryje się w tobie niespodzianek - chwaliła go - a ja lubię silnych mężczyzn. - Stukała paznokciami w klamrę paska od spodni, uśmiechając się przy tym kobieco i trochę po kocjemu. - Zobaczmy, czym jeszcze mnie dziś zaskoczysz. Znowu tańczyli ten najstarszy taniec i w jakiś sposób ona przejęła prowadzenie. Zadrżały mu mięśnie brzucha, gdy zerwała z niego pasek i rzuciła przez ramię za siebie. Declan w wyobraźni widział już, jak kładzie ją na łóżko i dając upust gwałtownemu pożądaniu, wbija się w nią. Był pewny, że ona by się na to zgodziła, że by go przyjęła. Więcej - tego właśnie oczekiwała.

Postąpił jednak inaczej. Zanim zdołała rozpiąć mu spodnie, chwycił obie jej dłonie i podniósł do ust. Patrząc ponad nimi, widział jej zdziwione i nieco podejrzliwe spojrzenie.

- Mam uczucie, jakbym zostawał w tyle i nie nadażał za twoimi potrzebami - powiedział rozbawionym tonem. - Ale że byłem ciekaw, co masz pod suknią, postanowiłem to sprawdzić.

Przesuwał wargami po ramionach dziewczyny, próbując zsunąć z niej sukienkę. Błogosławił prawo przyciągania ziemskiego, gdy wyśliznęła mu się z rąk i spadła na ziemię u jej stóp. Lena nosiła czarną koronkową bieliznę i była spełnieniem wszelkich męskich fantazji: śniada skóra, rozwichrzone włosy, pełne, wysokie piersi, z trudem utrzymujące się w strojnym koronkowym staniczku; szczupła kibić, łagodnie zaokrąglone biodra i figi też z czarnej koronki, no i zgrabne nogi w przezroczystych czarnych pończochach i zabójczych szpilkach.

Jego oddech stawał się coraz gorętszy. Był już blisko, bardzo blisko... Nagle koniuszkiem palca natrafił na tatuaż po wewnętrznej stronie jej uda, tuż nad koronkowym zakończeniem pończoch.

- Co to jest? - spytał.

- To jest mój smok strzegący bramy wejściowej. - Cała drżała, nawet ją samą to drżenie zaskoczyło. - Wielu mężczyzn sądzi, że może go minąć, że uda im się przejść mimo... I wielu się sparzyło...

Przejechał palcem wzdłuż wąskiej alei między koronką a udem.

- Może jednak spróbowałbym poigrać z ogniem?

Przyciągnął Lenę do siebie i smakował jej usta. Gdy i tego było mu mało, obrócił ją, aby popróbować zębami jej ramion aż po kark. Z twarzą zanurzoną w jej włosach powędrował dłońmi w górę i nappełnił ręce piersiami okrytymi czarną koronką.

Wygięła się do niego łukiem i oplótła ramionami jego szyję. Nagłe przejście od łagodnych pieszczot do gwałtownych oszołomiło ją i dziko podnieciło. Gotowa była mu się oddać. Chciała, by ją wziął... Czuła, że on gorąco pragnie ją posiadać, i uważała się za wystarczająco podnieconą, by mu sprostać.

Declan opuścił rękę w dół, rozchylił jej nogi i wdzierając się w głąb, niemal doprowadził ją do orgazmu. Jednak do tego nie dopuścił. Przejechał palcami po jej udach i szybkim ruchem rozpiął podwiązkę.

Wstrzymała oddech. Wyprężyła się.

- *Mon Dieu!* - krzyknęła.

- Gdy będę w tobie, nie będziesz już zdolna myśleć o niczym innym. - Rozpiął drugą podwiązkę. - Ale muszę cię jeszcze popieścić, tak jak sobie wymarzyłem. - Przesuwając wargami po ramieniu, opuścił ramiączka jej staniczka. Odwrócił ją twarzą do siebie, wpił się palcami we włosy, odchylił jej głowę do tyłu. - Angelino! - szepnął. - Jesteś moja tej nocy.

Próbowała zaprotestować, zaprzeczyć.

- Należę tylko do siebie - powiedziała cicho.

Wziął ją na ręce, podniósł i po chwili z powrotem położył na łóżku.

- Tej nocy będziemy do siebie należeli. - Zamknął jej usta swoimi wargami, wstrzymał słowa, znieczulił mózg.

Odwróciła głowę, by wziąć oddech, i próbowała się uspokoić. Ale on zsunął się w dół do jej piersi i całował je przez stanik i ciało wokół. Długie płynne szarpnięcia, jakie odczuwała głęboko w łonie, spowodowały, że się rozluźniła, a wola jej osłabła. W końcu poddała się, wmawiając sobie, że ulega własnym chęciom, a nie jemu.

Wyczuł, że już się nie broni, że mięknie. Zrozumiał to, słysząc niski, gardłowy jęk, który wyrażał rozkosz i zgodę. Wziął więc to, o czym marzył, czego pragnął od pierwszego momentu, gdy ją zobaczył w owej porannej mgle.

Ciało Leny wydało mu się bezcennym skarbem: pachnąca skóra, piękne kobiece kształty. Karcił się jej smakiem, próbując powolnymi łykami i długimi haustami. Potem jej piersi uwolnił od stanika i wziął we władanie swoich rąk i ust. Krew w nim wrzała i huczała jak szalejący pożar, ale on pozwalał, by ten pożar trwał i obejmował ich oboje.

Kiedy zrolował koronkowe figi i ściągnął je z bioder, Lena wygięła się łukiem i otworzyła przed nim. Najpierw jej dotykał, obserwując twarz w świetle świec. A gdy zamknęła oczy i jej wargi drżały w półgłośnym jęku, wszedł w nią palcami, wśliznął je w gorący mokry welwet wnętrza, a ona się uniosła i krzyknęła. Doprowadziła go do szału. Pieszcząc jej łono ustami, doprowadził ją do szczytowania. Jej ciało stało się samym bólem, rozkoszą i radością. Poczła coś, co jak świetlna strzała przeszło ją na wylot i wybuchło w niej.

Objęła go ramieniem, zacisnęła dłoń wokół członka; był twardy jak kamień. Chciała poczuć go w swoim wnętrzu tak, jak pragnęła następnego oddechu.

- Teraz! Pragnę cię! - Czowała, że on drży tak samo jak ona. Kiedy znalazł się nad nią, w jego oczach ujrzła swoje odbicie. - Chcę, żebyś mnie wypełnił. Wypełnij mnie po brzegi! — prosiła.

Jeszcze się trzymał na krawędzi samokontroli, ale gdy jej nogi mocno go oplotły, wszedł w nią - powoli, bardzo powoli. Wśliznął się głębiej, gdy się uniosła, by wyjść mu naprzeciw. Trwał z nią w tej pozycji, wstrzymując oddech, i cały się w niej zatracił. Słysząc było tylko westchnienia i pośpieszne posapywanie. Patrzyli sobie w oczy i poruszali się powoli i leniwie, a rozkosz rozlewała się w nich ciepłą falą. Ich usta się spotkały, a gdy poczuł jej ruchliwe wargi na swoich, podniósł głowę i zobaczył, że Lena się uśmiecha. Ich ciała kołysały się zgodnym rytmem gładkich jak jedwab ruchów frykcyjnych. Declan słyszał smutne tony łkającego saksofonu, dochodzące z salonu, i nagły wybuch głośnej muzyki z jakiejś imprezy na ulicy. Wszystkie te dźwięki mieszały się w jego głowie z jej coraz szybszym oddechem.

Stężała pod nim, głowę odchyliła do tyłu, odsłaniając jego wargom nagość szyi. Mocniej do niego przywarła i długo jeszcze dreszcze wstrząsały jej ciałem. Powtórnie zanurzył twarz

w jej włosach i tym razem pozwolił już sobie pójść razem z nią na sam szczyt.

Potem leżał, obserwując światło igrające na suficie, i zatopiony w niej gładził ręką jej plecy.

- Czy pozwolisz mi zostać - spytał - czy mam zawołać taksówkę?

- Zostań - szepnęła, wpatrzona w cienie na ścianie.

Zbudził się o świcie. We śnie Lena przytuliła się do niego, ale zauważył, że zgięła ramię i spała z dłonią zwiniętą na sercu w pięść. Tak jakby strzegła swojego serduszka - pomyślał. Mały srebrny kluczyk leżał z boku.

Miał ochotę podnieść jej rękę, delikatnie odwinąć palce i odsłonić serce, by się znalazło bliżej niego. Wtedy zrozumiał, że swoje serce już dla niej stracił, i stało się to w chwili, gdy ją zobaczył. Uświadomienie sobie tego wywołało w nim szok, bo już dawno temu doszedł do wniosku, że nie jest zdolny do miłości, i święcie w to wierzył. Oczywiście mógł kochać i kochał, ale tylko rodzinę i przyjaciół. Od czasu kryzysu, jaki przeżył z powodu Jessiki, kiedy to każdy - nie wyłączając jej samej - uważał, że ona świetnie do niego pasuje, Declan był przekonany, że zniszczył swoją jedyną szansę na trwałą i zadowalającą związek z kobietą.

Było to trudne do przełknięcia dla mężczyzny, który wierzył w rodzinę, dom i małżeństwo. Ale przełknąwszy tę gorzką pigułkę, zrozumiał, że on był w głównej mierze odpowiedzialny za te wszystkie niepowodzenia, które od wielu miesięcy go prześladowały i towarzyszyły mu niczym wierny pies.

Teraz patrzył na kobietę, która była odpowiedzią na dręczące go pytania, ale bał się, że nie zechce ich wysłuchać.

Będzie więc musiał ją do tego skłonić i zrobi to - tak czy inaczej, prędzej czy później - ponieważ naprawdę myślał to, co jej powiedział poprzedniej nocy, że będą do siebie należeli. I wierzył, że tak się stanie.

Zastanawiał się, czy jej nie obudzić i nie przypomnieć, jak dobrze im było razem. Nie mógł wymyślić lepszego sposobu na rozpoczęcie dnia, szczególnie że Lena była ciepła, miękka i mocno do niego przytulona.

Po zastanowieniu się doszedł jednak do wniosku, że nie byłoby w porządku, gdyby ją teraz obudził, skoro prawie wcale tej nocy nie spali; tym bardziej że zaczynała pracę później od niego. Wyśliznął się z łóżka nie bez żalu, że musi się od niej oderwać. Lena się poruszyła, westchnęła przez sen i przemieściła na ciepłe, wygrzane przez niego miejsce.

Declan wziął spodnie i poszedł pod prysznic. Zawsze uważał, że wiele można o człowieku powiedzieć, oglądając jego łazienkę. Łazienka Leny była pedantycznie czysta i wypięszczona. Wiszące na białych uchwytych grube ręczniki w szarozielonym kolorze miały deseń w drobne romby, taki sam jak terakota na podłodze. Na parapecie okiennym stały bujne zielone rośliny, a z wąskiego, bladozielonego flakoniku wychylały główki trzy żonkile. Były jeszcze inne buteleczki i flakoniki, a także pudełka - wszystkie bajecznie kolorowe. Znajdowały się w nich pachnące olejki, płyny do pielęgnacji twarzy i ciała oraz sole kąpielowe. Zauważył, że Lena lubi mydła w dobrym gatunku i trzyma je w ładnym pojemniku.

Stojąc pod prysznicem, stwierdził, że gorąca woda leci w jej łazience dłużej niż u niego, i uśmiechał się błogo, biorąc gorący natrysk przez bite piętnaście minut. W rezultacie powstało tyle pary jak w tureckiej łaźni.

Gdy wyszedł z łazienki, Lena jeszcze spała. Rozciągnęła się na prześcieradle, a poranne słońce oświetlało jej szczupłe nagie plecy. Stanowczo odrzucił myśl, by wśliznąć się z powrotem do jej łóżka, i zajął się szukaniem kawy. Zwrócił uwagę, że mieszkanie jest wysokie, a posadzki ciemne i drewniane. Niebieskawy kolor ścian sprawiał, że przypominały spłowiwały dzins. Kominek obramowany był takim samym ciemnym drewnem jak posadzka, ale półka nad kominkiem miała jaśniejszy kolor. Dawało to dobry efekt i Declan jej tego pozazdrościł. Niemniej stwierdził, że drewniana oprawa kominka jest podniszczona, a farba się łuszczy. Domyślał się, dlaczego Lena pozostawiła półkę w stanie niezmienionym - najwyraźniej kierował nią szacunek do historii i charakteru tego mebla.

By ożywić spłowiałe ściany, zawiesiła kolorowe, oprawione w ramki plakaty. Zorientował się, że były to po prostu plakaty reklamowe: na jednym piękne kobiety sprzedawały szampana, na innym smukli panowie proponowali cygara.

Na środku pokoju stała kanapka obita jasno granatowym materiałem, a na niej leżało kilka poduszek. Z jakichś tajemniczych powodów kobiety zwykły kłaść na kanapy i łóżka sterty kolorowych poduszek.

Podziwiał swoisty styl, jaki nadała temu wnętrzu. Z jednej strony stare, trochę podniszczone meble, z drugiej - elementy ozdobne w żywych, nawet jaskrawych kolorach. I podobało mu się, że tulipany od niego postawiła na stoliku do kawy.

Gdy wszedł do kuchni, wybuchnął śmiechem. Nieczęsto się spotykało na ścianach kuchni czarno-białe fotografie nagich mężczyzn i kobiet. Ucieszył się, gdy w końcu znalazł kawę.

Zamknął drzwi, by głośnie praca młynka do kawy nie dotarła do sypialni. Gdy kawa się już parzyła, Declan stanął przy kuchennym oknie i obserwował dzielnicę, w której mieszkała Lena.

Po chwili drzwi się otworzyły i weszła Lena w krótkim czerwonym szlafrocжку. Declan zwrócił uwagę, że miała zaspiane oczy i leniwy uśmiech na twarzy.

- Przepraszam, starałem się stłumić hałas młynka do kawy.

- Nie słyszałam go. - Wciągnęła głęboko powietrze. - Ale czuję rezultat. Robisz śniadanie, *cher*?

- Masz ochotę na tost? To najlepsze, co potrafię.

- Myślę, że ubiegłej nocy miałam już przedsmak tego, co ty potrafisz najlepiej. - Wciąż uśmiechnięta, powoli do niego podeszła i objęła go za szyję. - Daj jeszcze jednego całusa - poprosiła i podała mu usta.

Kiedy się zbudziła i nie zastała Declana w łóżku, była pewna, że wyszedł. Z reguły nie pozwalała mężczyznom zostawać na noc, bała się, że łatwo by im przyszło wymknąć się ukradkiem i wyjść. Woląла wcześniej wysłać ich do domu i spać sama niż nazajutrz budzić się samotnie. Ale potem zauważyła jego koszulę, marynarkę i buty i ucieszyła się. Może nawet za bardzo, bo uważała, że gdy mężczyzna ma nad nią tak wielką władzę, to najwyższy czas, by coś mu z tej władzy ująć. Najlepszym zaś sposobem jest zamącić mu w głowie seksem.

- Szkoda, że po prostu mnie nie obudziłeś.
- Prawdę mówiąc, nawet o tym myślałem. Ale doszedłem do wniosku, że skoro masz tej nocy pracować, to powinnaś się dobrze wyspać. Dziesięć minut to stanowczo za mało. Jeśli się jednak i tak zbudziłaś...
- Właśnie wstałam i mam wielką ochotę napić się kawy - oświadczyła ze śmiechem. Otworzyła drzwiczki kredensu i rzuciła mu przez ramię jedno ze swoich tajemniczych spojrzeń. - Jeśli mnie ładnie poprosisz - powiedziała - to zrobię ci śniadanie.
- Jak mam cię prosić? Na stojąco, na klęcząco czy na leżąco?
- Nie podlizuj się, Declanie! Zrobię ci tosty. *Le pain perdu* - dodała, widząc, że mu mina zrzędła. - Francuski tost to grzanki zapiekane w jajku. Mam odpowiednią do tego bagietkę. - Mówiąc to, podała mu biały gruby kubek czarnej kawy.
- Dziękuję! A skoro tak dobrze się znasz na kuchni, to nie będziemy musieli zatrudniać kucharki, kiedy się pobierzemy i będziemy mieli sześcioro dzieci.
- Aż sześcioro?
- Tak! Bo czuję się zobowiązany do podtrzymywania tradycji rodu Sullivanów-Fitzgeraldów. Przy okazji chcę ci powiedzieć, że bardzo mi się podoba twoja kuchnia. Zaskoczyły mnie zwłaszcza fotografie. Kuchnia jest dość niezwykłym miejscem na zawieszanie zdjęć golasów.
- Dlaczego? Gotowanie też jest sztuką, szczególnie jeśli robi się to dobrze, a w pewnych okolicznościach może nawet mieć podtekst erotyczny.
- Wyjęła niebieską miskę. Declan obserwował, jak rozbija jajo o brzeg miski, wlewa do niej białko i żółtko, a wszystko robi jedną ręką.
- Teraz widzę, co miałaś na myśli. To rzeczywiście sztuka. Zrób to jeszcze raz.
- Zachichotała i rozbiła następne jajo.
- Może pójdziesz do pokoju i puścisz sobie jakąś muzykę? To nie potrwa długo.
- Jedli w pokoju przy małym stoliku z opuszczaną kłapą, wciśniętym pod jedno z okien.
- Gdzie się nauczyłaś gotować? - spytał.

- Od babci. Próbowala także nauczyć mnie szyć, ale nie miałam do tego serca.
- Dziwię się, że nie otworzyłaś restauracji zamiast baru.
- Bo lubię gotować tylko wtedy, kiedy mam na to ochotę, a nie chciałabym robić tego zawodowo i całymi dniami.
- Rozumiem. A jak doszło do tego, że otworzyłaś bar?
- Chciałam prowadzić jakiś własny biznes. Kiedy pracuje się u kogoś, ten ktoś rozkazuje: rób to, nie rób tego, przyjdź tu, idź tam, i to mi się nie podobało. A więc poszłam do szkoły biznesu i zastanawiałam się, co byłoby dla mnie najodpowiedniejsze. Z góry założyłam, że nie będę sprzedawać pamiątek, prowadzić sklepu z upominkami ani handlować ciuchami. Pomyslałam sobie, że wszystkie te rzeczy dobrze się sprzedają w Nowym Orleanie, ale jest coś, co jest jeszcze lepsze, a mianowicie rozrywka. Dobrze spędzony czas w lokalu to mały i nieszkodliwy grzech i dlatego ludzie tak chętnie odwiedzają na przykład sieć barów Big Easy. Właśnie stąd wziął się mój pomysł na Et Trois.
- Od kiedy masz ten bar?
- Czekaj, niech policzę... Już szósty rok - odparła po chwili. Zjadła swój tost i bez żenady wbiła widelec w jeden z czterech, które ułożyła na jego talerzu.
- A więc otworzyłaś bar, mając dwadzieścia trzy lata.
- A ty skąd wiesz, ile mam lat?
- Od Remy'ego.
- Spojrzała w sufit.
- *Et la!* Chyba obedrę go za to ze skóry... Mężczyzna powinien wiedzieć, że nie należy trzepać językiem o wieku kobiety. Co jeszcze ci naopowiadał?
- Declan nagle skupił się na swoim śniadaniu.
- Wiesz, twoje tosty są naprawdę wspaniałe. Co do nich dodałaś?
- Przez dobrych dziesięć sekund Lena się nie odzywała. A potem oznajmiła:
- Już wiem, o co chodzi. Mężczyźni po prostu nie potrafią się powstrzymać od chwalenia się swoimi miłosnymi podbojami.
- Declan poczuł się nieswojo zarówno ze względu na siebie, jak i na swego przyjaciela.
- Nie myśl o nim źle. Było całkiem inaczej. To, co mi

Remy powiedział, wypływało z nostalgii. Wspomina cię bardzo serdecznie. Wiele dla niego znaczyłaś i wciąż znacysz.

- Wiem i to go tłumaczy... Czuję to samo w stosunku do niego. A czy ty, Dec, pamiętasz swoją pierwszą dziewczynę? Tę pierwszą, z którą się kochałeś na tylnym siedzeniu swego wozu? Czy dobrze ją wspominasz?

- Tak! Nazywała się Sherry Bingham i była ładną, małą blondyneczką. Kochałem się w niej na zabój przez całe gimnazjum.

Lenę ujęło to, że od razu wymienił imię dziewczyny, że je pamiętał... Choć kto wie? Może je zmyślił, ale i tak to ładnie z jego strony.

- I co się z nią stało? - spytała.

- Rzuciła mnie dla piłkarza. Był lewym obrońcą. Jezu! Ten chłopak w ogóle nie miał szyi, a jego iloraz inteligencji był chyba nie większy od... ołówka. Wciąż jestem na nią zły. Ale wracając do ciebie, muszę ci powiedzieć, że jesteś bardzo dobra, jeśli chodzi o unikanie osobistych pytań. Tylko nie zapomnij, że byłem adwokatem... Chciałbym wiedzieć, jak ci się udało zacząć ten biznes. Dwadzieścia trzy lata to raczej młody wiek na założenie własnego interesu. T w dodatku wychodzisz na swoje, podczas gdy większość takich lokali plajtuję w ciągu trzech lat.

- I co ci ta wiedza da, panie radco?

- No, dobrze! Jeśli nie chcesz, to nie mów. - Wzruszył ramionami i nadal zajadał grzanki. - Mogę po prostu przyjąć, że obrabowałaś bank, że cię finansuje marła, że uwiodłaś poprzedniego właściciela, a gdy ci zapisał budynek w testamencie, to go zamordowałaś... Albo że prowadzisz tam nielegalny hazard lub w którymś pokoju trzymasz prostytutkę...

- Nie! Ciężko na ten lokal zapracowałam. Jednak muszę przyznać, że twoje wersje bardziej mi się podobają. W porównaniu z nimi moja jest nudna. Pracowałam po lekcjach i w czasie letnich wakacji, oszczędzałam grosz do grosza - a potrafię oszczędzać, gdy potrzeba. Potem poszłam do normalnej pracy; byłam barmanką, serwowałam napoje, a po pracy chodziłam do szkoły biznesu. Właśnie skończyłam dwadzieścia dwa lata, kiedy nagle zmarł mój dziadek. Spadł z drabiny i złamał, cholera, kark... - Kiedy to mówiła, jej

oczy zaszyły łzami. - Myślę, że wciąż jeszcze mam do niego o to żal.

- Współczuję ci - przy krył jej dłoń swoją. - Był ci bardzo bliski?

- Kochałam go bardziej niż jakiegokolwiek mężczyznę na świecie. Nazywał się Pete Simone. Zawsze mnie śmieszyło, że tubalnie się śmieje i ma bardzo wielkie dłonie. Grał na skrzypcach i nie rozstawał się z czerwoną bandanką. Taki był... - Zatrzepotała powiekami, by strącić łzy. - Po śmierci dziadka okazało się, że jest wysoko ubezpieczony. Jego polisa opiewała na sumę znacznie wyższą, niżby to wynikało z jego finansowej sytuacji. Połowa była zapisana na mnie, a połowa na babcię, ale ona zrzekła się na moją korzyść i kazała mi podjąć całość. A jak babcia się uprze, to żadna siła nie zmusi jej do zmiany zdania. A więc zainwestowałam te pieniądze i w rok później otworzyłam swój lokal.

- Nie ma w twoim opowiadaniu niczego nudnego. A tak w ogóle prowadzisz bardzo dobry bar, Leno.

- To prawda. - Wstała, zebrała talerze. - Ubierz się, *cher*, jeśli chcesz, żebym cię odwiozła do domu.

Kiedy przyjechali pod Manet Hall, poprosił, by weszła do środka, ale nie dała się namówić. Musiał się zadowolić jednym pocałunkiem, po którym zaraz wysadziła go z samochodu i odjechała.

Gdy zjawił się w domu o godzinie dziewiątej rano w zmiętym ubraniu, Wielki Frank tylko się uśmiechnął i mrugnął do niego porozumiewawczo:

- Coś mi się widzi, że zeszłej nocy spotkało pana wielkie szczęście, panie Dec - powiedział.

Tak, właśnie coś takiego mi się przydarzyło - pomyślał Declan i wszedł do domu, żeby zabrać się do roboty.

Lena nie może się z nim spotkać ani tego wieczoru, ani następnego, muszą mu wystarczyć telefoniczne rozmowy. Poczul się jak nastolatek, gdy wędrował po domu z komórką w ręce i wysilał mózg, by znaleźć taki temat do rozmowy, który by jak najdłużej zatrzymał Lenę przy telefonie.

- Zbliżają się ostatki - tłumaczyła mu - i spodziewam się

zwiększonego ruchu. W tej sytuacji nie ma czasu na to, by gdziekolwiek wyjść i się zabawić.

Zdawał sobie sprawę, że to, co ona mówi, jest próbą, że go sprawdza, a poza tym pewno buja i kręci. Postanowił, że pozwoli jej nawijać, ale tylko do czasu, a potem ostro się do niej zabierze.

Któregoś popołudnia wpadł do niego Remy. Miał na sobie garnitur od Hugo Bossa i sznur złotych koralików. Od razu zdjął je z siebie i nałożył na Declaim.

- Kiedy się wreszcie zjawisz w mieście? - spytał.

- Planowałem włączyć się do świątecznego szaleństwa w czasie weekendu.

- Mój drogi! Mamy ostatki, a więc teraz każdy wieczór jest weekendem.

- Ale nie tutaj. Wejdz i zobacz, co się u mnie dzieje. - Wprowadził go do salonu, gdzie Tibald stał na drabinie i pracowicie zdobił sztukaterią sufit.

- Cześć, Tibald! - Remy włożył ręce do kieszeni i odchyliwszy głowę do tyłu, zawołał: - To rozumiem! To jest robota!

- O tak, na pewno. A co słyhać u Effie?

- Męczy mnie przygotowaniem do wesela. Po prostu zmusza mnie do ucieczki w alkohol. Wczoraj odebraliśmy tort. I pomyślałby kto, że to sprawa życia i śmierci, a chodziło o to, czy tort ma być udekorowany pączkami, czy rozwiniętymi kwiatami róży.

- Najlepsze, co mężczyzna może w takiej sytuacji robić, to potakiwać i zgadzać się na wszystko, co się podoba narzeczonej. Ale najważniejsze, żeby się zjawił w dniu ślubu przed ołtarzem.

- Szkoda, że nie powiedziałeś tego wcześniej, bo już zdążyłem się opowiedzieć po stronie dużych pełnych róż, kiedy się okazało, że ona wołałaby pączki. - Wyciągnął mały słoiczek tylenolu z kieszeni. - Czy masz coś, czym mógłbym to zapić, Dec? Ta kobieta doprowadziła mnie do potwornej migreny.

Declaim znalazł już na wpół opróżnioną butelkę wody i podał przyjacielowi.

- Czy przyszedłeś mnie odwiedzić, czy po prostu uciekłeś od Effie?

- Musiałem od niej uciec przynajmniej do czasu, gdy nieco ochłonie. - Połknął pigułki i popił wodą. Gdy natknął się na leżącą na ziemi płachtą malarską, spytał: - Sam malujesz ściany czy kogoś do tej roboty wynająłeś?

- Sam je pomalowałem. - Zadowolony przejechał palcami po gładkiej powierzchni ścian w kolorze paryskiej zieleni. - Pracowałem tu przez ostatnie trzy dni - i noce też, dodał w myśli - i wydaje mi się, że zieleń stworzy w tym pokoju lepszy, spokojniejszy nastrój niż wzorzysta tapeta. Podobają mi się teraz te ściany.

- Podziwiam cię. Jesteś jak Bob Vila i Martha Stewart* w jednej osobie. Czym się teraz zajmiesz?

- Biblioteką. Jeszcze mam co prawda małe detale do wykończenia tutaj i w kuchni, ale w przyszłym tygodniu będzie już na rozkładzie biblioteka. Potem na jakiś czas zamierzam przenieść się na zewnątrz. Możesz mi dać ze dwie aspiryny?

- Oczywiście! - Remy wręczył mu pastylki i wodę. - Co dla ciebie stanowi większy problem: praca czy kobiety?

- Właściwie po trochu i jedno, i drugie. Wyjdźmy na balkon. Zobaczmy, jak sobie radzą Frankowie w parku z tyłu.

- Słyszałem - powiedział po drodze Remy - że parę dni temu eskortowałeś naszą Lenę wielką białą limuzyną. Ta dziewczyna ma klasę, co?

- Ja też się uważam za faceta z klasą - oświadczył Declan. - Oddał wodę Remy'emu i otworzył drzwi na balkon.

- Widzę, że zaczynasz z nią na serio romansować.

- Myślę o czymś więcej: chcę się z nią ożenić - powiedział Declan, akurat w momencie, gdy Remy przechylał butelkę do ust, by się napić. Zachłysnął się z wrażenia i gwałtownie wypłuł wodę.

- Aleś się opluł! - skomentował Declan. - Radzę ci mocniej trzymać butelkę.

- Jezus Maria! Dec! Więc ty i Lena się pobieracie?

- Chciałbym, żeby nasze wesele odbyło się tu, we dworze, tej jesieni. Może we wrześniu. - Przebiegł wzrokiem po balkonie i parku. Zastanawiał się, co to za ptak, który właśnie wy-

* Bob Vila - znany dekorator wnętrz; Martha Stewart zajmuje się udzielaniem porad we wszystkich sprawach dotyczących domu.

śpiewywał swoje trele. - Dom nie będzie jeszcze wykończony, ale to też ma swój wdzięk. Oczywiście, gdyby przekonywanie Leny zajęło mi więcej czasu, wówczas pobierzemy się na wiosnę.

- Wziąłeś niezłe tempo!

- Chyba nie. Chodzi tylko o to, żeby móc je utrzymać. - Uśmiechnął się, widząc zmieszaną twarz Remy'ego. - Zdaje się, że miałeś na myśli Lenę, a ja sądziłem, że ci chodzi o dom. Bo, widzisz, ja Leny jeszcze nie poprosiłem o rękę, więc może mi po prostu powiedzieć „nie!”. Spójrz na ogród. Wychodzą już cebulki żonkili, tulipanów i lilii, tak przynajmniej twierdzi Frank. Zagrzebane pod chwastami i pędami winorośli mogły w ukryciu kwitnąć przez wiele lat. A teraz? To już jest coś...!

- Wiesz, Dec. Wydaje mi się, że przydałby ci się jakiś mocniejszy środek niż tylenol.

- Nie myśl, że zwariowałem. Jestem po prostu mocno w Lenie zakochany. Zaczynam myśleć, że byłem w niej zakochany, zanim jeszcze ją poznałem. I pewnie dlatego nikt inny tak naprawdę się dla mnie nie liczył. W każdym razie nie tak jak ona... Ona była tu cały czas, tylko ja jej nie znałem.

- Chyba jednak to ja potrzebuję czegoś mocniejszego...

- W kuchni mam whisky. Lód jest w chłodziarce. Nowa lodówka będzie dostarczona jutro.

- Zrobię coś do picia dla nas obu.

- Dla mnie coś małego i słabego. Mam jeszcze sporo pracy - oświadczył Declan, a myślami był daleko stąd.

Remy przyniósł dwa kieliszki i sam pociągnął duży łyk.

- Wiesz, Dec - powiedział, przypatrując się przyjacielowi - kocham cię jak brata.

- Wcale w to nie wątpię.

- Będę się zwracał do ciebie tak, jakbym mówił do brata, gdybym, rzecz jasna, takowego miał, ale niestety jestem nękany tylko przez plagę sióstr.

- Powiedz prawdę! Myślisz, że straciłem rozum?

- Nie! W niektórych sytuacjach, co ja mówię - w większości sytuacji mężczyzna myśli nie mózgiem, ale penisem. Dopiero po jakimś czasie, gdy myślenie dociera do głowy, facet zaczyna jaśniej widzieć sytuację.

- Dziękuję, tatusiu, że mi wytłumaczyłeś, jak się sprawy mają. Doceniam to.

Remy potrząsał głową i dużymi krokami przemierzał balkon tam i z powrotem.

- Lena jest bardzo seksowną kobietą-stwierdził.

- Nikt tego nie podważa.

- Ona po prostu wydziela pewne substancje zwane feromonami, cokolwiek to, do cholery, jest. Inne kobiety, żeby podniecić mężczyznę, przyskają na siebie perfumy, a ona dzięki tym feromonom podnieca cię przez sam fakt, że oddycha.

- Chcesz przez to powiedzieć, że jestem zaślepiony z miłości albo ogłupiały od pożądania?

- Tak. Dokładnie tak! - Remy opiekuńczo położył dłoń na ramieniu Declana. - Żaden mężczyzna nie będzie cię za to winił. Dodaj jeszcze, mój drogi, że masz za sobą parę trudnych miesięcy w dziedzinie męsko-damskich stosunków. I że z natury trudno ci przychodzi obarczanie winą innych... Biorąc to wszystko pod uwagę, nie wierzę, żebyś od czasu, gdy zerwałeś z Jennifer, regularnie uprawiał seks.

- Co ty z tą Jennifer, głupku? Ona się nazywa Jessica. - Declan, rozbawiony, ale i wzruszony, pochylił się nad balustradą. - To nie jest zadurzenie się. Myślałem, że tak jest i że oprócz zadurzenia jest we mnie sporo pożądania, ale to nie jest to. Nie chodzi też o brak kontaktów seksualnych ani o myślenie penisem. W tej sprawie chodzi tylko o serce, o moje serce.

- Ach, bracie! - Remy łyknął raz jeszcze whisky. - Dec! Zlituj się! Przecież nie jesteś tu nawet miesiąc.

- Mówiąc takie rzeczy, ludzie zawsze powołują się na czas, jakby czas miał jakieś znaczenie. - Ponieważ jednak krytyczna cząstka jego mózgu też miała pretensje do zbyt krótkiego trwania znajomości z Leną, Declan zirytował się, słysząc tę opinię od swego najbliższego przyjaciela. - Czyżby istniało jakieś prawo - bronił się - które ustala, że nie możesz się zakochać, dopóki nie minie jakiś rozsądny i racjonalny okres? Że w tym czasie obie strony powinny się spotykać towarzysko, bywać ze sobą i jeśli to możliwe - nawiązać też stosunki płciowe, a wszystko po to, aby zapewnić im zdolność do życia w harmonii? Przecież jeśli tak było i w ten sposób działało, jak wytłumaczysz rosnącą liczbę rozwodów?

- Gdy będziemy debatować na ten temat jak adwokaci, nie skończymy do przyszłego wtorku.

- Pozwól mi więc powiedzieć, co następuje: Nigdy przedtem nie żywiłem wobec nikogo takiego uczucia, nigdy w całym swoim życiu! Nawet nie sądziłem, że jestem do tego zdolny. Przypuszczam, że po prostu coś w moim wnętrzu nie działało przedtem, jak powinno.

- Na miłość boską, Dec!

- Nie byłem w stanie pokochać Jessiki. - W jego głosie znów zabrzmiało poczucie winy. - Po prostu nie mogłem, chociaż próbowałem. Niewiele brakowało, a byłbym gotów zrezygnować z miłości i poprzestać na związku opartym na sympatii, wzajemnym szacunku i podobnym pochodzeniu. Myślałem, że niczego innego nie mogę się od życia spodziewać, że już nic więcej nie dostanę ani nie potrafią z siebie dać. Ale tak nie jest. Nigdy czegoś takiego nie czułem, Remy! I muszę ci powiedzieć, że miłość bardzo mi się podoba.

- Jeśli pragniesz Leny, to i ja jej dla ciebie pragnę. Ale sprawa polega na tym, Dec, że bez względu na to, co ty czujesz, nie ma żadnej gwarancji, że ona czuje podobnie.

- Być może Lena złamie mi serce. Ale o całe niebo lepiej mieć za dużo uczuć niż nie mieć ich wcale. - Powtarzał to sobie bez końca, od kiedy zdał sobie sprawę, że jest zakochany w Lenie. - Tak czy inaczej muszę spróbować. - Obracał w palcach kieliszek whisky, którą miał wypić. - Lena nie wie, co ma o mnie sądzić - mruknął. - Będzie zabawnie, gdy pozwolę jej to odkryć.

Tej nocy Declan usłyszał płacz: gwałtowny i przerywany szloch mężczyzny. Rzucił się we śnie, uginał pod ciężarem wielkiego żalu i nie był w stanie zmienić tej sytuacji. Nie czuł się na siłach pocieszać ani samemu szukać pocieszenia.

Nawet gdy zapadła cisza, ból pozostał.

10

Bagna Rouse
Marzec 1900

Lucian nie umiałby odpowiedzieć na pytanie, dlaczego tu przyszedł i wpatrywał się w wodę. Dookoła rozciągały się gęste zielone cienie i noc rosła w siłę, pożerając resztki dnia. A on przyszedł, jak przychodził niemal co dzień, aby wędrować wśród mokradeł, jakby liczył, że może się na nią natknąć, może ją zobaczy idącą wzdłuż rzeki, tam gdzie rosną bagienne kwiaty.

Pewnie by się zaśmiała, wyciągnęła do niego rękę i znowu byłoby dobrze. Chociaż nie! Nigdy już nie będzie dobrze... Bał się, że traci zmysły i rozpacz zaciemnia mu umysł, tak jak mrok zaciemnia dzień. Bo jak inaczej wytłumaczyć to, że nocą słyszy głos Abby, słyszy, jak do niego szepcze? Nic innego mu nie pozostało, jak tylko odciąć się od tego dźwięku, jej głosu i bólu, jaki się z nią wiązał.

Patrzył na błękitną czapkę: wyleciała z trzciny i uniosła się w przestworza jak duch - piękny, czysty, doskonały. Prześliznęła się nad wodą koloru herbaty i zniknęła w cieniu drzew. Daleko... Zawsze od niego daleko...

Jego Abby też odeszła. Odleciała od niego jak ten ptak - widmo. Wszyscy to powtarzali: rodzina, przyjaciele. Słyszał, jak służba szepcze między sobą, że Abigail Rouse uciekła z jakimś chłystkiem, porzuciwszy męża i córeczkę bękarta.

Mimo że nie ustawał w poszukiwaniu jej w Nowym Orleanie, w Baton Rouge, w Lafayette i mimo że krążył po bagnach w najbardziej wyludnionych godzinach nocy, jakby sam był

duchem, to jednak uwierzył w to, co ludzie mówili: Abby porzuciła jego i dziecko.

Chodził po bagnach obecnym ciałem, lecz daleki duchem. Przechodził tędy każdego dnia jak w transie. I niech mu Bóg wybaczy, ale już nie wierzył, że może być ojcem tego dziecka. Wątpił, czy w żyłach tej dziewczynki, tak uderzająco podobnej do Abigail, płynie jego krew. Myślał o tym w skrytości ducha i ze wstydem, ale nawet samo patrzenie na dziecko sprawiało mu niewysłowiony ból.

Nie wchodził już na górę do dziecinnego pokoju. Nienawidził siebie za to, ale samo wchodzenie po schodach na drugie piętro było dla niego jak tonięcie w morzu rozpacz: mówiono, że dziecko nie jest jego.

Nie! W przygasającym świetle dnia, w obliczu nadchodzącej nocy, która ożywała dookoła, Lucian stał z twarzą zasłoniętą dłońmi. Nie mógł i nie chciał wierzyć w to, co o niej mówili. On i Abby poczęli to dziecko w atmosferze miłości, ufności i pożądania. Gdyby to miało być kłamstwem...

Opuścił ręce, podszedł do wody. Była ciepła jak uśmiech Abby, delikatna jak jej skóra. Nawet jej kolor stał się głębszy i był już niemal czarny jak kolor oczu Abby.

- Lucianie!

Zamarł, ledwo się utrzymując na śliskim brzegu.

- Abby! - Zbliżała się szybkim krokiem, przeciskając się przez listowie wierzby; włosy rozsypane wokół ramion wiły się w czarnych jak noc lokach. Jego serce zamierające z żalu obudziło się i gwałtownie zabiło.

Potem ostatnie błyski zachodzącego słońca padły na jej twarz i w Lucianie znowu zamarło życie.

Claudine chwyciła go za ręce. Lęk sprawił, że jej palce były zimne jak lód. Widziała, co się kryło w jego oczach: śmierć.

- Abby by tego nie chciała! - krzyknęła. - Nie pozwoliłaby, żebyś odebrał sobie życie i skazał swą duszę na wieczne potępienie!

- Abby mnie porzuciła.

- Nie! To nieprawda! Oni cię oszukują. Oni kłamią, Lucianie. Abby cię kochała. Kochała ciebie i Marie Rose nade wszystko na świecie.

- Więc gdzie ona jest? - Wściekłość, skrywana dotąd w niemym żalu, teraz wybuchła z całą mocą. Chwycił Claudine za ramiona i potrząsał nią. Jakaś ciemna i sekretna cząstka jego osobowości chciała walić Claudine pięściami w twarz. Zmasakrować ją za związek z Abigail i za swoją własną bezbrzeżną rozpacz. - Gdzie ona jest?! - ryknął znowu.

- Abby nie żyje! - Claudine krzyknęła i jej głos szeroko się rozszedł w ciepłym, lepkim powietrzu. - Oni ją zabili. Tylko śmierć mogła sprawić, że opuściła ciebie i Rosie!

Odsunął ją na bok i zatoczył się, aż oparł się o pień dębu.

- To szaleństwo!

- Mówię ci, bo wiem. Czuję to. Miałam sny.

- Ja też miałem sny. - Łzy piekły go w oczy, sprawiły, że widział jak przez mgłę. - Ja także miałem sny.

- Lucianie, musisz mnie wysłuchać. Byłam tam tej ostatniej nocy. Abby przyszła do pokoju dziecinnego, żeby nakarmić córeczkę. Znałam Abby od najwcześniejszego dzieciństwa. Nie było w niej nic poza miłością do ciebie i Marie Rose. Nie powinienam była wychodzić z rezydencji tamtej nocy. - Claudine skrzyżowała ręce na piersi, jakby chciała scalić dwie połowy swego złamanego serca. - Do końca życia będę prosiła Abby o wybaczenie, że nie było mnie wtedy przy niej.

- Ale Abby zabrała swoje stroje i biżuterię. Mama ma rację... - Lucian zacisnął usta, sądząc, że będzie to wyrażało jego siłę, a było tylko dowodem słabnącej wiary. - Muszę się zgodzić z tym, co mówi mama.

- Twoja mama nienawidziła Abby. Mnie wyrzuciła z pracy już następnego dnia. Boi się trzymać mnie w domu, boi się, że mogłabym odkryć prawdę...

Odwrócił się, a jego twarz, zmieniona wściekłością, była tak przerażająca, że Claudine odsunęła się na bok.

- Chcesz, abym uwierzył, że to matka zabiła moją żonę i ukryła tę zbrodnię, ten grzech, tę okropność, pozorując ucieczkę Abby?

- Nie wiem, co tam się wtedy stało, ale wiem na pewno, że Abby nie uciekła. Mama Rouse udała się nawet w tej sprawie po poradę do Evangeline.

Lucian machnął ręką.

- To bzdura, nie wierz w żadne czary i magie.

- Evangeline ma jednak szczególną moc. Powiedziała, że widzi krew, ból, strach i brzydki, potworny grzech. Widzi śmierć i grób wodny. Dodała jeszcze, że ty, Lucianie, składasz się z dwóch połówek, z których jedna jest czarna jak otchłan piekła.

- Więc może to ja ją zabiłem? Co? Przyjechałem nocą do domu i zamordowałem żonę?

- Nie, Lucianie! Chodzi o dwie połowy, które dzieliły to samo łono. Zwróć uwagę na swego brata bliźniaka.

Chłód przeniknął Luciana, ogarnęły go mdłości, w głowie mu huczało.

- Nie chcę tego więcej słuchać! Idź do domu, Claudine, i trzymaj się z daleka od dworu! - Sięgnął do kieszeni, wyjął zegarek z broszką i wcisnął jej do ręki. - Weź to i trzymaj dla małej. - Nie mógł już nawet nazwać córki po imieniu. - Powinna mieć coś, co należało do jej matki. - Z rozpaczą w oczach spoglądał na ten symbol, który Claudine trzymała w dłoni, a który oznaczał, że skończył z Abigail na zawsze.

- Zabijasz ją po raz drugi dlatego, że w nią nie wierzysz - z goryczą stwierdziła Claudine.

- Trzymaj się ode mnie z daleka! - ostrzegł ją powtórnie i ruszył w stronę Manet Hall, w stronę piekła, które sam sobie wybrał. - Trzymaj się z daleka!

- Ty wiesz! - krzyknęła za Lucianem. - Dobrze wiesz, że Abby była ci wierna. - Przyciskając zegarek do piersi, Claudine ślubowała, że przekaże go wraz z prawdą o matce córce Abigail.

Manet Hall

Luty 2002

Declan stał na balkonie i przyglądał się, jak budzi się do życia nowy dzień. Świt różowił jutrzenką na niebie; za nią widać było odcienie koloru fiołkowego. Z dnia na dzień robiło się coraz cieplej. Jeszcze nie nadszedł marzec, a zima już ustępowała.

Park, który zaledwie przed miesiącem był żalosną ruiną, te-

raz powracał do dawnej świetności. Nadmiernie wybujałe pędy winorośli, wszędobylskie chwasty, uschnięte drzewa i połamane kawałki cegieł - wszystko to zostało wywiezione. Krok po kroku odsłaniały się coraz nowe spacerowe ścieżki, przeróżne strojne krzewy, a nawet cebulki i kłaczka roślin, które okazały się zbyt uparte, by zginąć.

Stara żelazna altana dziko obrosła czymś, co według Franka nazywało się glicynią. Obok był spory klomb pełen okazałych azalii, na których pokazały się już pełne nadziei pączki.

W parku Declan miał jeszcze magnolie, mirty, kamelie i jaśminy. Spisywał wszystko, co zapamiętał z relacji obojga Franków, którzy drewnianymi głosami zdawali mu sprawę, w jakim stanie park się znajduje. Gdy im opisał pnącze, jakie chciałby widzieć na narożnych kolumnach, powiedzieli, że pewnie chodzi o powój. Spodobało mu się brzmienie tej nazwy, sugerujące, że roślina się wije.

Declan uważał, że jego organizm zdołał się już przystosować do pięciu czy sześciu godzin przerywanego nocnego snu. A może to, co go przepełniało, było jakąś niezdrową energią? W każdym razie coś mu kazało iść do przodu, zmuszając do systematycznej pracy tak, by mógł doprowadzić do końca odbudowę tego domu, który był jego domem, chociaż w jakiś tajemniczy sposób nie tylko do niego należał.

Jeśli tą, która się po tym domu miotła, była Abigail, to miała piekielnie kapryśny charakter. Bywały chwile, gdy Declan czuł się w jej towarzystwie komfortowo, a w domu panował spokój. Ale bywały też okresy, gdy strach jeżył mu włosy i czuł, że jest obserwowany.

Tak, to by była odpowiednia dla mnie kobieta - mówił sobie w duchu, popijając poranną kawę. Raz czaruje uśmiechem, a już po chwili rozdziela na lewo i prawo klapsy.

Kiedy tak rozmyślał o duchu Abigail, nagle zobaczył Lenę i wielkiego czarnego psa, wyłaniających się spoza drzew. Nie zwlekał ani chwili, odstawił kawę i ruszył schodami na dół.

Spostrzegła go znacznie wcześniej, niż Declan ją zobaczył. Ukryta wśród drzew, osłonięta poranną mgłą, stała i leniwie drapiąc w głowę Rufusa, obserwowała Declana; przyglądała się także domowi. Zastanawiała się, co takiego było w tym miejscu i w tym mężczyźnie, że tak ją do nich ciągnęło. Prze-

cież nie brakowało w Nowym Orleanie pięknych starych domów; wiele ich stało wzdłuż River Road i w okolicy Baton Rouge. T Bóg świadkiem, że wielu ta także było przystojnych mężczyzn, i jeśli tylko kobieta miała na to ochotę, mogła wybierać do woli.

Ale to właśnie ten, a nie inny dom wzbudzał jej zainteresowanie i podniecał wyobraźnię. Teraz odnosiła wrażenie, że podobne uczucia udało się wzbudzić w niej temu mężczyźnie, który właśnie zbiegał po szerokich kamiennych schodach. Miał na sobie podniszczoną koszulę i jeszcze bardziej sfatygowane dżinsy. Jakby zmizerniał, a policzki wydawały się szorstkie od nocnego zarostu.

Lena nie lubiła odczuwać braków ani gwałtownych potrzeb. A kiedy te potrzeby dotyczyły mężczyzny, wówczas była pewna, że tylko wprowadzą zamęt.

Budowała swoją egzystencję cegła po cegle i podobał jej się tryb życia, jaki wiodła. Mężczyzna, który by się w nim pojawił, nawet gdyby się okazał przyjacielski, w najlepszym razie zainicjowałby zmiany w istniejącym układzie, a w najgorszym rozwalił całą konstrukcję, doprowadzając ją do ruiny.

Od czasu owej nocy, kiedy zaprosiła Declana do łóżka, trzymała się od niego z daleka. Chciała jemu i sobie udowodnić, że może i potrafi zachować dystans. Teraz jednak mile się do niego uśmiechała, choć ten uśmiech przypominał trochę minę kota, który dostał się do mysiej norki. Stała w miejscu, natomiast Rufus popędził w stronę Declana, by go przywitać. Skoczył do góry i mokrym językiem oblizał mu twarz, a potem padł na ziemię brzuchem do góry i czekał, by go Declan podrapał. Lena wiedziała, że w taki właśnie sposób Rufus wyznawał swoją miłość: dawał znać, że kocha bez zastrzeżeń.

Ten facet czaruje nawet psy - pomyślała, gdy Dec przykucnął, żeby podrapać Rufusa. Wywiera na wszystkich zbyt wielki urok, żeby to mogło komukolwiek, a już jej szczególnie, wyjść na dobre.

- Rufus! Do nogi! - krzyknęła, przywołując psa. Psisko ruszyło w jej stronę, uruchamiając mięśnie i łapy z takim impetem, że omal nie podcięło Declanowi nóg. Niewiele brakowało, a usiadłby na tyłku. Lena, śmiejąc się, rzuciła trzymaną w rękach piłkę wysoko w górę i zręcznie ją złapała. Rufus

usiłował oczywiście zaatakować piłkę, i w rezultacie widać było tylko szalejącą czarną futrzaną plamę. Potem Lena rzuciła piłkę w kierunku stawu. Pies natychmiast skoczył do wody, popłynął i chwycił piłkę w zęby, zanim wpadła do stawu.

- Mając takie umiejętności, oboje kwalifikujecie się do drużyny baseballowej Bo Soxów - pochwalił Declan. A gdy pies, brodząc po wodzie, kierował się w stronę brzegu, Declan stanął w rozkroku, ujął Lenę pod łokcie i podniósł ją. Przez moment patrzył, jak zaskoczona mruga oczami; potem przywarł wargami do jej ust i całą mocno przytulił.

Złapała go za koszulę, nie dla równowagi, chociaż jej stopy dyndały kilkanaście centymetrów nad ziemią, ale dlatego, że pod koszulą był ON: wspaniale umięśniony, namiętny i męski. Usłyszała ujadanie psa; Rufus trzykrotnie gromko zaszczekał, a potem zalał ją wodą, którą z siebie strząsnął. Lena wcale by się nie zdziwiła, gdyby woda natychmiast wyparowała z jej skóry.

- Dzień dobry! - zawołał Declan. Postawił ją na ziemi i dodał po tutejszemu: - Gdzie przebywasz?

- Podrywacz! — rzuciła w jego stronę i przeciągnęła dłonią po włosach, by poprawić fryzurę. Postanowiła jednak poważnie potraktować oba jego pozdrowienia i odpowiedziała: - Gdzie przebywasz? - a potarłszy palcami jego szorstki policzek, dodała: - Powinieneś się ogolić, *cher!*

- Gdybym wiedział, że udasz się dziś rano na spacer w moje strony, nie omieszkałbym się ogolić.

- Wcale nie szłam w twoją stronę - odparowała. Podniosła piłkę, którą Rufus położył u jej stóp, i znów ją rzuciła. - Ja się tu tylko bawię z psem mojej babci.

- A jak ona się czuje? Powiedziałaś mi kiedyś, że zostajesz u niej, gdy coś jej dolega.

- Czasami miewa depresję, nic więcej! - A niech to diabli! - pomyślała, ale wzruszyła ją jego natychmiastowa reakcja i szczerą troską o babcię. - Brakuje jej Pete'a. Miała siedemnaście lat, gdy się pobrali, i pięćdziesiąt osiem, kiedy on umarł. Przeżyli razem ponad czterdzieści lat. Wystarczająco długo, by mogli się do siebie przyzwyczaić.

- Myślisz, że Odette by się ucieszyła, gdybym potem do niej wstąpił?

- Wiem, że ona lubi twoje towarzystwo. - Ponieważ Rufus niecierpliwie walił ogonem, kolejny raz rzuciła mu piłkę.

- Wspomniałaś kiedyś, że twoja babcia ma siostrę. Czy jest jeszcze ktoś w rodzinie?

- Tak! Babcia ma jeszcze dwie siostry i brata, i wszyscy żyją.

- A dzieci?

Twarz Leny spochmurniała.

- Ma tylko mnie - odparła i zaraz spytała: - Byłeś może w mieście na którejś z ostatnich imprez?

Tematu rodziny lepiej nie poruszać - Declan wydedukował z jej zachowania i dał sobie z tym spokój.

- Nigdzie nie byłem - odpowiedział. - Ale miałem zamiar dziś wieczór pójść się zabawić. Czy dziś pracujesz?

- Do środy popielcowej czeka mnie tylko i wyłącznie praca. Przed wielkim postem ludzie lubią sobie popić.

- W takim razie dla ciebie robi się już późno. Wyglądasz na zmęczoną.

- To dlatego, że nie przepadam za wczesnym wstawaniem, a babcia jest prawdziwie rannym ptaszkiem. A kiedy ona wstaje, wszyscy inni też muszą... - Uniosła ramiona i przeciągnęła się. - Ty chyba też należysz do rannych ptaszków. Prawda, *cher*?

- Ostatnio rzeczywiście wstaję wcześniej. Może teraz miałabyś ochotę wstąpić do mnie. Zapraszam na kawę. Przy okazji zobaczysz, jak spędzałem czas, kiedy nie mogłem go spędzać z tobą.

- Byłam zajęta.

- To już mówiłaś.

- Mówię to, co myślę - powiedziała i ściągnęła brwi, co wyraźnie świadczyło o zdenerwowaniu.

- Wcale nie twierdzę, że jest inaczej, więc nie wiem, czemu się złościysz. Przecież nie mam do ciebie pretensji, Leno. - I wyciągnął dłoń, żeby ją żartobliwie pociągnąć za włosy. Był rozbawiony i zachwycony, widząc, jak się mieni na twarzy i nie potrafi ukryć irytacji. - Niemniej byłoby mi przykro, gdybyś myślała, że jedna noc z tobą mi wystarczy.

- Tylko ja sama zdecyduję o tym, czy będę z tobą spała i kiedy - oświadczyła dumnie.

- A mnie byłoby przykro, a nawet bardzo przykro, gdybyś myślała, że jedyne, czego od ciebie chcę, to zwabić cię do łóżka. - Mówił łagodnie, ale mocno trzymał ją za ramię.

- Mężczyźni nie mają prawa mnie dotykać, chyba że im na to pozwolę - burknęła, próbując uwolnić się od jego ręki.

- Nigdy dotąd nie dochodziło między nami do starć, prawda? - Zarówno w jego palcach, jak i głosie wyczuwała twardość stali. - Opanuj się! Wszczywanie walki ze mną nie spowoduje, że zostawię cię w spokoju. Nie chciałaś się w tym tygodniu ze mną widzieć? W porządku! Jestem cierpliwy, ale nie myślę służyć za wycieraczkę przed twoimi drzwiami, Leno! I niech ci się nie wydaje, że możesz się po mnie przejść, ilekroć wychodzisz z domu.

Zrozumiała, że złością nic nie wskóra. Nie wątpiła jednak, że udałoby jej się wyprowadzić go z równowagi i osłabić jego samokontrolę, a nawet sprowokować do ostrej wymiany zdań. To byłoby interesujące i pewnie zabawne, ale szansa, że tę walkę wygra, była pięćdziesiąt na pięćdziesiąt, więc wolała nie ryzykować.

Zmieniła taktykę. Pogłaskała go po policzku.

- Nie przejmuj się tak, *cher!* Czemu się denerwujesz? Trochę mnie zezłościłeś, i to wszystko! O tak wczesnej porze zawsze jestem w niezbyt dobrej formie, a ty od razu stawiasz sprawę na ostrzu noża. Przecież w żadnym wypadku nie chciałabym ranić twoich uczuć. - Jej głos brzmiał teraz jak płynny jedwab. Wspięła się na palce i pocałowała go w policzek.

- Jakie więc są twoje zamiary, Angelino?

W tonie, w jakim zwrócił się do niej pełnym imieniem, było coś, co kazało jej zachować ostrożność. Wyczuła w jego słowach jakby ostrzeżenie.

- Ależ, Declanie, mój drogi, przecież ja ciebie lubię, naprawdę lubię. A tamtej nocy po prostu ściałeś mnie z nóg. Muszę przyznać, że było nam ze sobą bardzo dobrze, ale chyba nie próbujesz zrobić z tego coś większego, niż w istocie było?

- A twoim zdaniem czym to było?

- Sądzę - wzruszyła ramionami - że bardzo przyjemną dla nas obojga odmianą, czymś w rodzaju małego interludium, takim przerywnikiem... Poprzestaśmy więc na tym i bądźmy znowu przyjaciółmi.

- Oczywiście, można i tak, ale moglibyśmy również pójść inną drogą. - Przyciągnął ją do siebie, podniósł tak, że musiała stanąć na palcach, i wpił się w jej usta. Tym razem nie można było doszukać się w tym pocałunku cierpliwości ani rozsądku; nie można też było nazwać go marzycielskim połączeniem ust i warg. To, co teraz między nimi zaszło, przywodziło na myśl płonąca żagiew, i oboje zdawali sobie z tego sprawę.

Podczas gdy ona jeszcze się broniła, Rufus wydał ostrzegawczy pomruk, który po chwili przeszedł w warczenie. Declan całkowicie go zignorował. Zagarnął dłonią jej włosy, odciągnął głowę do tyłu i głębiej się wcisnął w usta. Gniew, ból i pożądanie burzyły się w nim, nadając szczególnie smak jego pocałunkowi.

Nie mogła mu się oprzeć. Musiała się poddać gwałtownemu atakowi podniecenia i emocji, który wyzwolił w niej, zdawałoby się, uszione pragnienia. Otoczyła ramionami Declana i wyszła naprzeciw namiętnemu spotkaniu się ich ust.

Rufus cicho zajęczał, przysiadł i gryząc piłkę, bawił się nią.

- To jeszcze nie koniec! - obwieścił Declan i władcym ruchem przesunął dłońmi po jej ramionach.

- Może i nie... - zgodziła się.

- Przyjdę dziś wieczór po ciebie i odprowadzę do domu po zamknięciu lokalu. A w środę, już po ostatkach, gdy nareszcie nastanie spokój, chciałbym, żebyś przyszła do mnie. Zjemy razem kolację.

- Czyżbyś planował sam ją ugotować? - spytała, zdobywając się na uśmiech.

Przytknął wargi do jej brwi i śmiejąc się, odparł:

- Zaskoczę cię...

- Nic innego nie robisz - powiedziała, odchodząc.

Była zła na siebie nie dlatego, że przegrała tę batalię, ale dlatego, że stchórzyła. Bo ten spór z Declanem wziął się właśnie z tchórzostwa.

Mozolnie przedzierała się przez mokradła, a Rufus pobiegł przodem w stronę drzew i buszował w gęstym zielonym poszyciu w nadziei, że uda mu się wystraszyć jakiegoś królika albo wiewiórkę.

Lena zatrzymała się w miejscu, które -jak daleko sięgała jej

pamięć - nazywało się Bagnem Rouse. Ten tajemniczy zakątek, wolno płynąca, zacieniona drzewami woda, wystające kolanka cyprysu i ciężka, przytłaczająca woń - wszystko to należało do jej świata, podobnie jak kręte uliczki i ożywiony nastrój francuskiej dzielnicy.

Bagna były światem jej dzieciństwa. Tędy biegała jako mała dziewczynka, ucząc się odróżniać strzyżyka od wróbla, omijać gniazda węża miedzianki, rozpoznając je po ogórkowym zapachu, i wreszcie zarzucać linę, by złowić raka.

Z domem na bagnach łączyły ją więzy krwi, natomiast z dzielnicą francuską - zawodowe ambicje. Do tego pierwszego wracała nie tylko wtedy, gdy jej babcia cierpiała na depresję, ale także wówczas, kiedy sama przeżywała okres załamania.

Mignął guzkowaty łeb aligatora, który przepływał tuż obok. Pomyślała o jego złowroziej paszczy, kryjącej się pod powierzchnią wody. Bez trudu mógł nią ściągnąć człowieka na dno. Wystarczyło jedno szybkie obrzydliwe kłapanięcie i... po tobie, jeśli zabrakło ci orientacji i nie byłeś dość czujny.

Przyszedł jej na myśl Declan Fitzgerald i to, co się działo pod jego maską... Wołałaby, żeby Declan był po prostu zepsutym, bogatym chłopcem, dziedzicem rodzinnej fortuny, pragnącym się tylko zabawić i zaszaleć. Wtedy mogłaby się razem z nim zabawiać, po czym go oddalić, gdy oboje byłiby sobą znudzeni.

O wiele trudniej jest oddalić kogoś, kogo się szanuje. A ona podziwiała w nim siłę, determinację i poczucie humoru. Gdyby mogła go traktować jedynie jako przyjaciela, jakże ogromną sprawiłoby jej to radość, bo jako kochanek Declan był sprawcą nieustającej udręki. Za wiele od niej żądał; już teraz wysysał z niej wszystkie soki. Szczególnie przerażało ją to, że nie mogła tego procesu powstrzymać. Bawiąc się kluczykiem wiszącym na szyi, ruszyła w stronę domu na bagnach. Będzie, co ma być - powiedziała sobie w duchu - bo zawsze jakoś to jest...

Kiedy zbliżała się do domu, przywołała uśmiech na usta, bo już z daleka spostrzegła babcie krzątającą się w przykuchennym ogródku, z głową ocienioną starym słomianym kapeluszem.

- Babciu, czuję, że pieczesz chleb! - zawołała.

- Tak. Piekę ciemny, razowy chleb. Dam ci bochenek. -
Odette wyprostowała się i na chwilę przyłożyła rękę do krzy-
ża. - Mam jeszcze jeden bochenek, dodatkowy, który mog-
łabyś po drodze zabrać do dworu dla tego chłopca; on się źle
odżywia.

- Nie martw się. Jest dostatecznie zdrowy...

- Dość zdrowy, by chcieć coś z ciebie uszczknąć, co? -
I znów się pochylała nad grządką, stojąc mocno w solidnych,
roboczych butach. - Chyba dziś rano próbował się do ciebie
dobierać. Jest coś w twoim wyglądzie, co na to wskazuje.

Lena podeszła bliżej i usiadła na stopniu obok ścieżki.

- Co takiego jest w moim wyglądzie? - spytała.

- Bo widzisz... tak wygląda kobieta, na której mężczyzna
położył rękę, ale nie skończył swojej roboty.

- Sama potrafię tę robotę skończyć, jeśli tylko o to chodzi.

Odette parsknęła śmiechem, po czym ułamała gałązkę roz-
marynu, roztarła w palcach płaskie igielki i machając nią przed
nosem, napawała się przyjemnym zapachem.

- Po cóż miałabyś się drapać w miejsce, które swędzi, jeśli
ktoś może podrapać za ciebie...? To nic, że zbliżam się do sie-
demdziesiątki... Wciąż jeszcze potrafię się poznać na mężczyź-
nie, który jest chętny i umie te rzeczy robić.

- Ależ, babciu! Seks nie jest dla mnie najważniejszą sprawą
w życiu!

- Oczywiście, że nie, ale mógłby ci to życie uprzyjemnić. -
Znowu się wyprostowała, pocierając kręgosłup. - Wiem, kur-
czaczku, że nie jesteś taka jak Lilibeth.

Słyszając to pieszczotliwe zdrobnienie, które pamiętała z dzie-
ciństwa, Lena się uśmiechnęła.

- Na pewno taka nie jestem, babciu!

- Ale to, że nie jesteś taka jak ona, nie znaczy, że masz po-
zostać samotna. Możesz przecież trafić na mężczyznę, który
potrafi skrzesać w tobie właściwą iskrę.

Lena wzięła z rąk Odette gałązkę rozmarynu i pocierała nią
policzek.

- Nie sądzę, by Declan zadowolił się skrzeseaniem jednej
iskry. On pragnie rozpalić całe ognisko... - Potrząsnęła gło-
wą. - Skoro dotychczas udało mi się nie oparzyć, to będę dalej
tak postępowała.

- Zawsze taka byłaś, Leno. Uznawałaś tylko albo lewą, albo prawą stronę i nawet batem nie udawało mi się zapędzić cię na środek. Wiem, jesteś już dorosłą kobietą, ale dla mnie wciąż pozostajesz moją małą dziewczynką, więc posłuchaj, co ci powiem. Nie ma niczego złego w tym, że kobieta chce sama iść przez życie, jeśli robi to dla ważnej przyczyny. Ale jeśli decyduje się na samotność tylko ze strachu, że mogłaby popełnić błąd w wyborze partnera, to uważam, że postępuje zdecydowanie źle.

- A wiesz, co się może stać, jeśli się zakocham w Declanie? Pewnego dnia może mu się sprzykrzyć życie na bagnach i postanowi wrócić do Bostonu. Albo dojdzie do wniosku, że się już dość ze mną natańczył i czas zmienić partnerkę.

Odette głębiej wcisnęła kapelusz; na jej twarzy pojawił się wyraz irytacji.

- A nie martwisz się, że gdy deszcz będzie długo padał, to przyjdzie powódź i zaleje nas Missisipi? Na miłość boską, Leno, nie możesz myśleć takimi kategoriami. To do niczego nie prowadzi.

- Dobrze mi się żyło, dopóki nie było tu pana Declana Fitzgeralda. I będzie mi znowu dobrze, kiedy on stąd wyjedzie.

Poczula dziwne zniechęcenie i opuściła rękę, by popieścić Rufusa, który się tego domagał, pocierając głowę o jej kolano.

- Ten jego dom, babciu - przekonywała - ten dwór, który Declan z takim uporem chce przywrócić do dawnej świetności, jest w jakimś sensie symbolem. Jego historia najlepiej świadczy o tym, do czego może dojść, gdy łączy się ze sobą dwoje ludzi nienależących do tej samej sfery. Przecież w moich żyłach płynie krew Abigail, więc wiem.

- Nic nie wiesz! - odparowała Odetta. - Gdyby oni, to znaczy Abby Rouse i Lucian Manet, nie kochali się i nie poczęli dziecka, ani mnie, ani ciebie nie byłoby na świecie.

- Ale gdyby oni byli dla siebie przeznaczeni, Abigail nie umarłaby w tak dziwny sposób i jej duch nie straszylby teraz w tamtym domu.

- Ach, *chere!* - Głos Odetta wyrażał zarówno zniecierpliwienie, jak i ciepłe uczucie do wnuczki. - Przecież to nie Abby Rouse straszy.

- A więc kto?

- Mam nadzieję, że temu chłopcu uda się to odkryć. A ty powinnaś mu w tym pomóc. - Pociągnęła nosem. - Chleb już się upiekł - powiedziała, wyprzedzając o sekundę dzwonek minutnika. - Weźmiesz bochenek dla Declana i zaniesiesz mu do dworu.

- Nie! - stanowczo sprzeciwiła się Lena.

- W porządku! Jak nie, to nie! - zgodziła się Odette. - Sama mu zaniosę. - I figlarnie spojrzawszy przez ramię na wnuczkę, dodała: - Uważaj, bo ci go jeszcze sprzątnę sprzed nosa.

Declan otworzył wszystkie drzwi i okna na parterze i natychmiast szeroko się rozeszły z jego odtwarzacza dynamiczne i rytmiczne dźwięki rocka i bluesy Ry Coodera. Dostosowując tempo swojej pracy do muzyki, Declan pociągnął pierwszą cienką warstwę lakieru na świeżo oczyszczonej piaskiem podłodze w salonie.

Wszystko go bolało. Każdy mięsień i każda kość reagowały równie żywo jak gitara Coodera. Declan sądził, że ciężki fizyczny wysiłek, jakim było piaskowanie, choć w części osłabi jego gniew. Potem wierzył, że konieczność skupienia się i energia zużytkowana podczas lakierowania da podobny efekt. Ale gdy nastał różowy świt, okazało się, że jego nadzieje były płonne.

Ta kobieta mną manipuluje - z rozżaleniem myślał o Lenie. I robi to świadomie. Jednej nocy kładzie się na nim w łóżku i oplata go całym ciałem, a na drugi dzień ledwo się godzi porozmawiać przez telefon. W jednej chwili wyładowuje na nim całą złość, a w następnej prowokacyjnie go kusi. Noc, którą spędzili razem, usiłuje przedstawić jako klasyczny przypadek jednorazowego zblżenia.
"Niech to diabli!

- Ach, *cher*, czemu się od razu denerwujesz? - naśladował ją, mrużąc falsetem. - Jeszcze mnie naprawdę rozzłoszczonego nie widziałaś, dziecinko, ale zobaczysz, zanim się to wszystko skończy.

- Czy ty aby nie świrujesz?-ustyszał.

Gwałtownie się odwrócił, wylewając przy tym lakier, i niemal padł na kolana, gdy zobaczył, że w drzwiach stoi Odette i do niego się uśmiecha.

- Nie słyszałem, kiedy pani weszła.
 - Nic w tym dziwnego - odparła, po czym korzystając z przywileju swego wieku, pochyliła się nad odtwarzaczem i ściszyła muzykę. Zrobiła to w chwili, gdy Ry Cooder spowolnił tempo i jego gitara wyrażała już tylko żal, cierpienie i łzy. - Ja też lubię słuchać Coodera, ale nie tak głośno - orzekła. - Przyniosłam ci gościnniec z drogi... Bochenek ciemnego chleba, który sama rano upiekłam. Ale nie przeszkadzaj sobie i spokojnie kończ robotę. Zaniosem chleb do kuchni.
 - Proszę nie odchodzić! Niech pani chwilkę zaczeka!
 - Naprawdę nie musisz przerywać pracy, *cher!*
 - Nie! Bardzo proszę! To nie potrwa dłużej niż pięć minut. Mam coś do picia w lodówce, ale nie pamiętam, co... Może zechciałaby pani wejść do kuchni i sama się obsłużyć?
 - Chyba cię posłucham. Robi się duszno, choć to jeszcze nie marzec. A ty się mną nie przejmuj!
- Gdy doprowadził lakierowanie podłogi do momentu, że mógł je przerwać, przyłączył się do Odette. Stała przed oszkloną witryną kuchenną i przyglądała się eksponatom.
- Wiesz - powiedziała - moja mama miała taką samą starą formę do wypiekania wafli. A ja wciąż jeszcze używam drylownika do wiśni takiego, jaki widzę tutaj. Czy pamiętasz, jak się nazywają te naczynia? Nie mogę sobie przypomnieć.
 - *Fiestaware.*
 - Tak! Właśnie tak! Naczynia na świąteczne przyjęcie, na fiestę! Za stare słoiki Masona musiałeś pewnie sporo zapłacić, co?
 - Niestety, tak.
 - Ho, ho! - cmokała z podziwem. - Takie rzeczy nie mają ustalonych cen, wiem. Ale muszę przyznać, że wyglądają bardzo ładnie. Przyjdź kiedy do mnie i zajrzyj do mojej szopy. Kto wie, czy nie znajdziesz tam staroci, które by ci się przydały. - Po chwili odwróciła się i kiwając głową, podziwiała wyremontowaną kuchnię. - Ładna, Declanie! Odwaliłeś spory kawał roboty.
 - Całość będzie można podziwiać dopiero wtedy, gdy będą gotowe lady i obuduję płytami drewnianymi lodówkę, płytę kuchenną i inne urządzenia.
 - Udała ci się kuchnia, naprawdę. A salon, nad którym te-

raz pracujesz, jest tak piękny, że ładniejszego nie można sobie nawet wyobrazić.

- Kupiłem już część mebli, i to więcej, niż zamierzałem. Czy chciałaby pani usiąść, panno Odette?

- Tylko na parę minut. Mam coś, co przyniosłam z domu i co może ci się spodobać. Może postawisz to na półce nad kominkiem w salonie albo w którymś innym pokoju. - Usiadła przy stole i wyciągnęła z torby fotografię w starej, brązowej, skórzanej ramce. - To jest portret Abigail Rouse.

Declan wziął od niej zdjęcie i przyglądał się dziewczynie, która go straszyla w snach. Jaka podobna do Leny - pomyślał. To mogłaby być ona, tylko że miała bardziej delikatną, miękką, jeszcze nieuformowaną twarz. Policzki dziewczyny z fotografii były okrągłejsze, oczy o długich rzęsach bardziej naiwne i wydawała się nieśmiała.

Taka młoda, dumiał rozmarzony, i niewinna, mimo że ubrała się w dorosłą suknię wyjściową z wysokim kołnierzem przybranym futrem i włożyła nieco zalotnie, na bakier, elegancki aksamitny toczek z piórami... To jeszcze dziewczyna, a Lena jest już kobietą - myślał.

- Jaka piękna - powiedział na głos. - Piękna i młoda. Serce się kraje.

- Zdaniem mojej babci - odezwała się Odette - gdy to zdjęcie zrobiono, Abigail nie miała więcej niż osiemnaście lat. Nie mogła mieć więcej, bo przecież nie dożyła dziewiętnastych urodzin.

Kiedy to powiedziała, drzwi na górze nagle się zamknęły, i to z takim hukiem, jakby je ktoś z wściekłością zatrzaskał. Odette spojrzała na sufit:

- Wydaje mi się, że twój duch na górze bardzo się złości.

- To się dopiero dzisiaj zaczęło. Przed paru godzinami uciekł stamtąd pomocnik hydraulika. Wrywał, aż się kurzyło...

- Ale ty nie wyglądasz, żebyś się chciał dokądkolwiek wybierać.

- Nie! - Usiadł naprzeciw niej i gdy drugie z kolei drzwi z hukiem się zatrzaskały, raz jeszcze spojrzał na nieśmiały, pełen nadziei uśmiech Abigail Rouse-Manet.

- Nie! - powtórzył. - Ja nigdzie się stąd nie ruszę.

11

Miasto ogarnęło ostatek szaleństwa. Muzyka, maski, rozgardiasz - wszystko to złożyło się na dość zwariowaną imprezę, której atmosfera była radośnie niewinna i jednocześnie przepojona rozpasanym seksem. Declan wątpił, czy turyści, którzy przybyli tu z wielu stron, by uczestniczyć w paradzie, rozumieli - zakładając, że się nad tym zastanawiali - jakie znaczenie i cel ma to święto. Kierował nimi wyłącznie pęd, by użyć życia, zanim nastanie czterdziestodniowy post.

Declan też zapragnął wziąć udział w tej imprezie i wybrał się na spacer. Udało mu się nawet złapać jakieś błyszczące tanim złotem korale, które zrzucano z balkonu. W uszach dzwijało mu dzwonięcie mosiądzu i czyjś rubaszny śmiech.

Doszedł do wniosku, że jeśli wypije ze dwa drinki, to może mniej go będzie gorszył widok gołych piersi, którymi błyskała para rozbawionych nastolatek. Widać panny hołdowały jakiejś tutejszej tradycji, bo ostentacyjnie zdarły z siebie koszule.

Dzięki drinkom doznał też mniejszego, niż należałoby się spodziewać, szoku, gdy pochwyciła go zupełnie obca kobieta i pocałowała w usta tak, że językiem sięgnęła głęboko do gardła, niemal dotknęła migdałków; w dodatku, wtargnąwszy do jego ust, język owej kobiety przeniósł na sobie idiotyczną słodycz wielu „huraganów”^{*} i beztrioskie pijackie pożądanie.

- Dzięki! - zdołał powiedzieć, kiedy udało mu się uwolnić.

^{*} Huragan - oryg. *hurricane* - mocny alkoholowy napój, rodzaj koktajlu.

- Wróć tu zaraz - namawiała go kobieta w masce. - *Laissez le bon temps rouler!* - wołała po francusku. Ale on nie chciał, żeby zapanowały dobre czasy, kiedy do rytuału należało wdzieranie się obcych języków w jego usta. Wolał się dyskretnie wmieszać w uliczny tłum.

Albo się starzeję, albo to wina wpojonych mi bostońskich pryncypiów - pomyślał Declan. Zdecydowanie bowiem wolał poszukać jakiegoś spokojnego miejsca i stamtąd obserwować paradę - niż dać się porwać ciżbie.

Drzwi do Et Trois były szeroko otwarte, tak że hałas wypływający z wnętrza lokalu mieszał się ze zgiełkiem ulicy. Declan torował sobie przejście wśród stolików wystawionych dla biesiadujących gości na chodnik i tych, którymi zastawiona była sala, aż się wreszcie docisnął do miejsca przy barze.

W lokalu pełno było dymu papierosowego, głośnej muzyki i stukotu butów, gdy tancerze gromadnie wylegli na parkiet. Na scenie skrzypek ciągnął tak gorące tony, że Declan wcale by się nie zdziwił, gdyby smyczek wybuchnął w końcu płomieniem.

Lena jedną ręką napełniała kufel piwem beczkowym, a drugą wlewała do szklanki odmierzoną porcję whisky. Dwoje pozostałych barmanów też miało pełne ręce roboty; Declan dopatrzył się jeszcze czterech kelnerek obsługujących gości przy stolikach.

Kiedy ujrzał ofiarowaną Lenie parkę raków, uśmiechających się ze swego miejsca na półce za barem, poczuł jakąś niemądrą satysfakcję.

- Piwo z pianką! - zaanonsowała Lena i włożyła kufle w ręce gości. Gdy zauważyła Declana, podniosła do góry palec, obsłużyła jeszcze troje klientów i dopiero potem zaczęła się przesuwać w jego kierunku.

- Co cię tu sprowadza, przystojniaku?

- Ty, kochanie! Pełno tu dziś gości - dodał. - Zarówno w barze, jak i na chodniku.

- Na trotuarze... Tak tu mówimy - poprawiła go. Zgarnęła włosy do tyłu i wplotła w nie czerwone i złote korale. Mały srebrny kluczyk wisiał jak zawsze, strzegąc jej dekoltu, na którym dziś pojawiły się drobne kropelki potu. - Mogę ci dać drinka, *cher*, ale nie mam teraz czasu z tobą porozmawiać.

- Może mógłbym ci pomóc?
- W jaki sposób? - spytała, poprawiając włosy.
- W jaki tylko chcesz.

Ktoś się łokciami przebił do baru i wykrzyczał swoje zamówienie: tequila i piwo beczkowe Dixie! Lena sięgnęła po butelkę i trochę się przesunęła, by utoczyć piwa.

- Może mógłbyś pomóc w obsłudze stolików. Dasz radę, panie absolwencie college'u?

- Myślę, że tak.

- Widzisz tę rudą kelnerkę? Nazywa się Marcella - kiwnęła głową w tę stronę sali, gdzie był największy bałagan. - Powiedz jej, że cię wynajęłam do pomocy. Ona ci pokaże, co masz robić.

O północy Declan obliczył, że wyniósł do kuchni około pół tony pustych naczyń i wyrzucił do śmieci ogromny stos papierosowych niedopałków, dorównujący wielkością Górze Rainiera w Waszyngtonie. Przy okazji był szczypany w tyłek, kobiety się o niego ocierały i puszczały do niego oko. Zastanawiał się, dlaczego kobiety interesują się męskimi tyłkami; uważał, że ktoś powinien przeprowadzić badania na ten temat.

Stracił już rachubę, ile otrzymał propozycji. A o tej potężnej babie, która posadziła go sobie na kolanach, wolał nie myśleć: miał uczucie, jakby tłamsiła go stu pięćdziesięciokilogramowa poduszka nasączona whisky.

Około godziny drugiej nad ranem przyszła pierwsza refleksja: nie mógł się nadziwić, jak skłonne do grzechu jest ludzkie ciało. Zrewidował też swoje poprzednie opinie o kelnerach. Przekonał się, ile zręczności i wytrzymałości wymaga ich praca.

Zarobił sześćdziesiąt trzy dolary i osiemdziesiąt pięć centów w napiwkach, a jego ubranie było w takim stanie, że poprzyściął sobie, iż je przy najbliższej okazji spali.

O trzeciej wciąż panował wielki ruch i Declan doszedł do wniosku, że Lena wcale go nie unikała, a jeśli nie chciała się z nim spotkać, to miała ku temu przekonujące powody.

- O której zamykacie? - spytał, wynosząc do kuchni jeszcze jedną tacę pełną brudnych naczyń.

- Jak to kiedy? Po wyjściu ostatniego gościa - odparła. Wlała butelkowe piwo do specjalnych plastikowych kubków na wynos i wydała je kelnerce.

- Czy goście w ogóle mają zamiar kiedyś wyjść?

Uśmiechnęła się z roztargnieniem i przypatrywała się wciąż ogromnemu tłumowi.

- Trudno to przewidzieć, gdy obchodzimy ostatki. Ale nie widzę powodu, żebyś nie mógł pójść do domu, *cher*. My tu będziemy jeszcze godzinę lub dłużej.

- Zostanę z wami.

Znów wyniósł puste naczynia i wrócił z kuchni w samą porę; trójka bardzo pijanych młodych mężczyzn, a właściwie jeszcze chłopców, dostawiała się do Leny w sposób niezwykle agresywny.

Lena przywoływała ich do porządku, ale jej słowa wcale do nich nie docierały.

- Chłopcy, jeśli chcecie przeżyć do tłustego czwartku, to musicie zwolnić tempo - radziła. Podstawiła plastikowe kubki na wynos pod kurki z piwem i dodała; - Mam nadzieję, że żaden z was nie będzie prowadził samochodu, co?

- Oczywiście, że nie! - Jeden z nich, noszący podkoszulek z napisem UNIWERSYTET w MICHIGAN, ledwo widoczny spod istnej lawiny koralii, pochylił się nad Leną. - Mam pokój tuż obok przy ulicy Royal. Może poszłabyś ze mną, dziecko? Mogłabyś się rozebrać do naga i zrobić sobie kąpiel w jacuzzi.

- Propozycja jest ogromnie kusząca, *cher*, ale mam pełne ręce roboty - odpowiedziała.

- Mogę ci pomóc, jeśli chodzi o pełną rękę - zakpił, łapiąc się za krocze, na co jego dwaj towarzysze zareagowali wyciem i gwizdaniem.

Declan wysunął się do przodu i władcym ruchem położył rękę na ramieniu Leny.

- Chcę wam zwrócić uwagę, że podrywacie moją dziewczynę - oświadczył. Poczuł, że Lena zeszywniała pod jego dłonią, a w oczach chłopca z Michigan wyczytał bezczelne wyzwanie. W innych okolicznościach - pomyślał Declan, tak-
sując wzrokiem chłopaka - ten smarkacz, mający metr dziewięćdziesiąt wzrostu, mógłby okazać się potulnym stworzeniem, które codziennie rano grzecznie ściele swoje łóżko, pomaga starszym paniom w domach opieki, może nawet ratuje od śmierci małe szczenięta. Teraz jednak stoi tu pijany, agresywny i głupi...

A chłopiec z Michigan, jakby chciał potwierdzić przypuszczenia Declana, pokazał, na co go stać:

- Czemu się po prostu nie odchrzanisz, co? A może chcesz, żebyśmy to załatwili na zewnątrz? Proszę bardzo! Wyjdźmy stąd, a chętnie dam ci kopa w dupę.

- No, nie... Dlaczego miałbym gdzieś wychodzić czy bić się z tobą? - Głos Declana brzmiał zadziwiająco uprzejmie. - Przecież nic takiego się nie stało,.. Po prostu podzielasz mój dobry gust... Podoba ci się moja dziewczyna, prawda? Jest na co popatrzeć! Chyba nie próbujesz jej podrywać? Jesteś na to zbyt pijany i nawet jej wyraźnie nie widzisz, co?

- Widzę bardzo dobrze, ty cholerny dupku!

- Świetnie! Właściwie nie widzę przeszkód, żeby postawić tobie i twoim kolegom po drinku. Kochanie — zwrócił się do Leny - zapisz te piwa na mój rachunek. - Potem pochylił się nad barem i skinąwszy na chłopca w uniwersyteckim podkoszulku, spytał: - Masz pewnie teraz wiosenną przerwę, co? Jaki jest twój przedmiot kierunkowy? W czym się chcesz specjalizować?

Zbity z tropu i dobrze już wstawiony chłopiec patrzył na Declana, mrużąc oczy.

- A co cię to obchodzi?

- Jestem po prostu ciekawy. - Declan przysunął miseczkę z precelkami i poczęstował się jednym. - Moja kuzynka jest profesorem na anglistyce w Michigan. Nazywa się Eileen Brennan. Może ją znasz?

- Profesor Brennan jest twoją kuzynką? - Pyszałkowaty przedtem ton zmienił się radykalnie. Chłopiec zbaraniał i uznał, że w tej sytuacji powinien traktować Declana po koleżeńsku. - Wiesz, niewiele brakowało, a oblałaby mnie w ostatnim semestrze.

- Eileen jest twarda, zawsze się jej bałem; kiedy się na nią napatoczysz, powiedz jej, że Dec kazał się kłaniać. A tu jest twoje piwo.

Było już po czwartej rano, kiedy Lena zaprosiła go do swego apartamentu nad barem.

- Ładnie załatwiłeś tych głupoli z college'u. Tak ładnie, że

nie będę się na ciebie gniewała za niemądrą uwagę, iż jestem twoją dziewczyną.

- Ależ ty jesteś moją dziewczyną, tylko jeszcze tego nie przyjąłeś do wiadomości. A poza tym oblaskawienie tych chłopców nie sprawiło mi trudności. Moja kuzynka Eileen jest bardzo dobrze znana na uniwersytecie w Michigan. Raczej nie było szansy, żeby o niej nie słyszeli.

- Niektórzy mężczyźni napinaliby przy takiej okazji muskuły i rwali się do bicia. Wyszliby na zewnątrz i tarzali się po ulicy, by udowodnić, który z nich ma większego fiuta. - Na jej twarzy malowało się zmęczenie, gdy sięgnęła do włosów, żeby z nich wyjąć korale. - Przypuszczam, że po prostu wyszedł z ciebie adwokat - powiedziała. - Gdy dochodzi do konfrontacji, od razu umiesz znaleźć właściwe słowa.

- Wiedziałem, że chłopak ma nie więcej niż dwadzieścia dwa lata.

- Skończył dwadzieścia jeden w styczniu. Sprawdziłam ich karty.

- Właśnie, a ja nie walczę z dzieciakami. A poza tym nie lubię, gdy mi ktoś pakuje gołe knykcie w twarz. To naprawdę boli. - Uniósł jej brodę i spojrzał w oczy. - Miałaś dziś ciężki dzień, prawda?

- Do środy każdy taki będzie. Doceniam twoją pomoc, kochanie. Bardzo wiele z siebie dałeś. - Nawet więcej, niżby się zdawało - pomyślała. Facet potrafił bez trudu wejść w rytm pracy, jaki obowiązywał w jej lokalu, i bardzo dobrze się spisał. Oczarował klientów, tolerancyjnie potraktował tych, którzy mieli nieco lepkie ręce, i uniknął przykrew sytuacji, posilkując się dowcipem i w kąt chowając pychę. Im dłużej go znała, tym trudniej jej przychodziło go określić. Z tylnej kieszeni dzinsów Wyjęła kopertę.

- Co to jest?-spytał.

- Pieniądze, które dziś zarobiłeś.

- Jezu, Leno! Nie chcę twoich pieniędzy.

- Ale ja, mój drogi, nie uznaję darmochoy. Pracowałeś, więc ci za to płacę. - Wcisnęła mu kopertę do ręki. - Nie myślę tego jednak księgować - dodała. - Nie chcę żadnej papierkowej roboty.

- Dobrze! Niech będzie! - Włożył kopertę do kieszeni i postanowił, że kupi jej za to jakiś prezent.

- A teraz chyba należy ci się ode mnie dobry napiwek. - Objęła go za szyję i przyłgnęła do niego całym ciałem. Oczy miała szeroko otwarte i leciutko nagryzała jego wargę, by pozwoli przejść do pocałunku.

Declan przesuwiał dłonie wzdłuż boków jej ciała i zatrzymał się na biodrach. Podciągnął Lenę w górę, a ona oplótła go nogami w pasie.

- Uniesienie stóp do góry dobrze ci robi, prawda? - spytał.

- O, Boże! Tak! - jęczała.

Niosąc ją do sypialni, muskał wargami jej szyję i ucho, aż dotarł do ust.

- Wiesz, co mam zamiar zrobić?

- Myślę, że mam całkiem niezłe o tym pojęcie - odparła. Pożądała go, ale jej żądza była niczym w porównaniu z ulgą, jaką poczuła, gdy oderwała zbolące stopy od ziemi.

Położył ją na łóżku i usłyszał, jak radośnie westchnęła, gdy znalazła się w horyzontalnej pozycji. Ściągnął jej z nogi bucik i odrzucił na bok. Usiadł na łóżku i wtedy zdjął drugi.

- Za chwilę otrzymasz ode mnie coś, o czym wiele kobiet marzy.

Mimo zmęczenia zdobyła się na figlarny uśmiech.

- Wiem! Zabierzesz mnie na wyprzedaż u Saksa.

- O, nie! To będzie coś znacznie lepszego. - Przejechał palcem po podbiciu stopy. - Zrobię ci masaż nóg.

- Co takiego?

Uśmiechając się, zaczął uginać i gimnastykować stopy Leny, rozcierał palce i widział, jak jej oczy zachodzą mgłą rozkoszy.

- Ach, Declanie! Jakie ty masz wspaniałe ręce!

- Zrelaksuj się i postaraj czerpać jak najwięcej przyjemności z masażu. Refleksologiczna terapia Fitzgeraldow jest słynna w świecie. Oferujemy także masaż całego ciała - zarzutował.

- W to nie wątpię... - zadrwiła. Ale już po chwili poczuła, że bolesność ustępuje. Kiedy przeszedł do masażu łydek, najpierw przemęczone mięśnie drżały, a potem miejsce bólu zaczęło uczucie przyjemności.

- Czy po ostatkach weźmiesz sobie wolne dni? — zapytał.

Myślami dryfowała daleko i musiała się przemóc, aby skupić uwagę na tym, co mówił.

- Wezmę sobie wolne w środę popielcową.

- Proszę, proszę, co za próżniactwo! - Musnął niedbałym pocałunkiem jej kolano. - Muszę cię teraz rozebrać - oznajmił.

Gdy rozpiął dzinsy, leniwie się przeciągnęła. Nie sądził, by zdawała sobie sprawę, że jej głos brzmiał ochryple, a słowa nieco bełkotliwie.

- Co jeszcze masz zamiar masować, *cher?* - usłyszał.

Postanowił nie odmawiać sobie przyjemności i wypełnił dłonie krągłością jej piersi. Ucieszyło go, że spokojnie na to zareagowała: przeczesywała palcami włosy Declana i wyszła naprzeciw jego ustom. Zdjął z niej bluzkę i rozpiął stanik. Całując ją, wędrował wargami coraz niżej, a gdy doszedł do piersi, uniosła biodra w geście oddania.

Kiedy przewrócił ją na brzuch, zadrżała i jęknęła z bólu, ale po chwili ugniatania jej karku napięcie mięśni ustąpiło.

- Jest tak, jak sądziłem - powiedział. - Tu jest źródło bólu i stąd się bierze twoje napięcie. Podobnie zresztą u mnie.

- O Boże! - szepnęła. Gdyby w tym momencie spytać ją, czego pragnie najbardziej, powiedziałaaby, że właśnie tego, co on robi z nią teraz, by robił przez cały tydzień i żeby ani na moment nie przerywał. - Mógłbyś nieźle w ten sposób zarabiać - zauważyła.

- Od dawna wiedziałem, że byłoby to dla mnie odpowiednie zajęcie. Masz w okolicy karku jakieś zgrubienie, ale doktor Dec się tym zajmie i spróbuje cię wyleczyć.

- Zawsze lubiłam się bawić w lekarza - wyznała. Czekwała, żeby w jego zachowaniu coś się zmieniło, by przez jego ręce przemówiło pożądanie. Bardzo jest miły, myślała sennie, ale przecież to mężczyzna. Utnę sobie małą drzemkę; nie będę jednak miała nic przeciwko temu, żeby mnie obudził...

Budząc się, uświadomiła sobie, że w jej okna zagląda słońce. Półprzytomnie spojrzała na budzik przy łóżku i stwierdziła, że jest dwadzieścia po dziesiątej.

- Rano? - przypominała sobie mgliście. — Jak to się stało, że jest już rano?

Leżała w łóżku tak troskliwie opatulona, jakby babcia otu-

liła ją do snu. i była w łóżku sama. Przewróciła się na plecy, przeciągnęła i ziewnęła. Zdała sobie sprawę, i to ją lekko zaszokowało, że nic absolutnie jej nie dolega: ani szyja, ani stopy, ani krzyż.

Doktor Dec dobrze się spisał - pomyślała. Jest już pewnie w domu i klnie, że nie otrzymał od niej honorarium za swoje usługi. Nie mogła go o to winić, bo okazał się słodki i kochany, podczas gdy ona tylko leżała bez ruchu jak trup.

- Muszę mu to jakoś wynagrodzić - powiedziała do siebie, wychodząc z łóżka. Teraz jednak chciała szybko zaparzyć sobie kawę, a potem wziąć prysznic.

W kuchni od razu wpadł jej w oko szklany ekspres pełen kawy. Stał na ladzie z przyczepioną małą kartką. Zaniepokojona chwyciła ją, włączyła ekspres i czytała:

Musiąłem wyjść, bo rano przychodzą do mnie stolarze robiący ladę. Nie wiedziałem, kiedy się obudzisz, więc bałem się zostawić włączony ekspres do kawy. W każdym razie w tej chwili, czyli o siódmej dziesiątej, kawa jest świeżo zaparzona, tak że jeśli wkrótce wstaniesz, będzie w sam raz. A przy okazji muszę Ci powiedzieć, że bardzo ładnie wyglądasz we śnie.

Zadzwoń do Ciebie później.

Declan

- Czy nie jesteś najdziwniejszym facetem pod słońcem? - mruzczała pod nosem, uderzając się po dłoni listem Declana. - Czy nie pozostajesz wciąż nieodgadnioną zagadką?

Miała dziś w barze dyżur w porze obiadowej, musiała więc wcześniej zejść na dół, by sprawdzić, czy wszystko jest w porządku, i zbadać, jak przebiegają dostawy. Potem, by zaspokoić nękającą ją ciekawość, pojechała do dworu Manetów.

Drzwi były otwarte. Lena pomyślała, że nikt oprócz Declana, żaden z poprzednich mieszkańców dworu nie zostawiłby otwartych imponujących drzwi frontowych, aby każdy, kto chce, mógł wejść do środka. Ktoś powinien mu podszeptać, żeby pomyślał o systemie bezpieczeństwa, bo to, że się mieszka na wsi, nie ma znaczenia. Słyszała robotników hałasujących z tyłu domu, ale się nie śpieszyła, by tam pójść.

Jej uwagę pochłonął salon. Kucnęła i dotykała palcami lśniącej posadzki. Stwierdziwszy, że lakier jest już twardy i suchy, weszła do środka, ciekawie się rozglądając.

Declan naprawdę bardzo się postarał, pomyślała, ale on chyba w ogóle lubi dbać o swoją własność. Troszczy się o szczegóły, dowodząc, że są ważne. Wszystko się u niego liczy: kolor, rodzaj drewna, kominek, lśnienie szyb w oknach, które jak przypuszczała, sam umył. I zapewne sam też umebluje ten pokój, z właściwą sobie troską i dbałością o szczegóły.

- No i co o tym myślisz? - usłyszała.

Odwróciła się i w świetle padającym z okien zobaczyła Declana. Stał w drzwiach.

- Myślę, że ten dom ma szczęście, trafiając na ciebie, bo dobrze wiesz, jaki powinien być, i zrobisz wszystko, żeby przywrócić go do życia.

- Dziękuję! To miło z twojej strony - powiedział, podchodząc do niej. - Wyglądasz na wypoczętą.

- Mężczyzna nie powinien mówić kobiecie, że wygląda na wypoczętą, ale że wygląda wspaniale...

- Bo tylko taką cię zawsze widziałem. Ale dziś ponadto robisz wrażenie także wypoczętej.

- Starasz się być uprzejmy, co? - Zbliżyła się do kominka i spoglądała na półkę nad nim. Zainteresowała ją fotografia młodej kobiety w brązowej skórzanej ramce. - To Abigail - szepnęła i gdzieś głęboko w sobie poczuła przenikający ból.

- Dostałem tę fotografię od panny Odette. Jesteś trochę podobna do dziewczyny na zdjęciu.

- Nie, nigdy nie wyglądałam tak niewinnie jak ona - wyznała i coś jej kazało końcem palca przesunąć po młodej, pełnej nadziei twarzy Abigail.

Widziała już wcześniej tę fotografię. Nawet jej się wtedy dokładnie przyjrzała i prześledziła każdy szczegół. Była wówczas w takim stanie ducha, że ta historia i związana z nią tajemnica wydawały jej się romantyczne; chyba to młodość sprawiła, że nawet w tragedii potrafiła dopatrzeć się romantyzmu.

- Jakoś mi dziwnie - przyznała - że widzę ją tutaj. To tak, jakbym widziała część siebie.

- Bo obie, i ona, i ty, należycie do tego miejsca.

Otrząsnęła się, jakby chciała zrzucić z siebie to dziwne uczucie i pozbyć się smutku, który wzbudziło w jej sercu spojrzenie ciemnych, szczerych oczu Abigail. Odwróciła się i badawczo przyjrzała Declanowi. Miał na sobie ubranie robocze i pas na narzędzia, a na twarzy całonocny zarost. Coraz trudniej mogła go sobie wyobrazić w wizytowym garniturze w pasy, z elegancką skórzaną teczką. I coraz trudniej było jej sobie wyobrazić życie bez niego.

- Dlaczego dziś tak wcześnie ode mnie wyszedłeś? - spytała.

- Nie przeczytałaś mojej kartki? Oczekiwałem stolarzy, którzy robią w kuchni lady. Specjalnie ich prosiłem i dodatkowo opłaciłem, aby zgodzili się przyjść w dogodnym dla mnie terminie, czyli w sobotę rano. Więc musiałem tu być.

- Nie o to chodzi. Przyjechałeś do miasta i pracowałeś w barze. Ile czasu na to straciłeś? Myślę, że około sześciu godzin. Zrobiłeś mi także wspaniałe masaże stóp. Chyba nie powiesz, iż zająłeś się tym tylko dlatego, że nie miałeś w piątek wieczór niczego lepszego do roboty. Nie, mój drogi! Przyjechałeś do mnie po seks, a wyszedłeś bez niego. Wytłumacz, dlaczego.

Czuł, jak złość w nim wzbiera i psuje pogodny nastrój.

- Twardy z ciebie orzech do zgryzienia, Leno. Masz wybitny talent do zmieniania rzeczy prostych w skomplikowane.

- Bo rzeczy rzadko kiedy są tak proste, jak na to wyglądają.

- Dobrze, ale wyjaśnijmy sobie, dlaczego tak postąpiłem. Przyjechałem do miasta, gdyż chciałem zobaczyć ciebie. Obsługiwałem w barze, żeby tobie pomóc. Masowałem ci stopy, bo wyliczyłem, że stałaś na nich dwanaście godzin bez przerwy. Pozwoliłem ci potem spać, ponieważ widziałem, że potrzebujesz snu. Czyżby nikt ci nigdy bezinteresownie nie wyrządził przysługi?

- Mężczyźni z reguły tego nie robią, chyba że się spodziewają rewanżu i liczą na to, że za oddaną przysługę otrzymają inną w zamian... A ty, Declanie, na co liczysz?

Odczekał chwilę, żeby ochłonać z pierwszego gniewu.

- Chyba wiesz, że twoje słowa mnie obrażają. Jeśli koniecznie chcesz przestrzegać zasad wymagających zapłaty za pracę, to mam teraz dwadzieścia minut wolnego czasu. Mo-

żerny pójść na górę, odbyć stosunek i wyrównać nasze rachunki. Jeśli nie, to wybac, czeka mnie dziś masa roboty...

- Nie miałam zamiaru ciebie obrazić - zapewniła, choć zdawała sobie sprawę, że mija się z prawdą. - Po prostu ciebie nie rozumiem. Mężczyźni, z którymi przedtem łączyły mnie intymne stosunki, byliby wściekli, gdyby tak jak dziś rano między nami nic się nie wydarzyło. Więc się spodziewałam, że i ty będziesz zirytowany, i wcale bym nie miała ci tego za złe. Mogłabym to zrozumieć.

- Nie możesz jednak zrozumieć, że mi na tobie tak bardzo zależy, że postanowiłem zrezygnować z seksu, by dać ci kilka godzin snu.

- Tak, trudno mi to zrozumieć.

- A więc nie mam powodu do gniewu, bo to, co mówisz, nie jest obraźliwe, ale po prostu bardzo smutne. - Zauważył, że po tych słowach policzki Leny mocno się zaczerwieniły, i uświadomił sobie, że to oznaka wstydu. - Dla mnie nie wszystko sprowadza się do seksu. Seks jest oczywiście ważny, ale na pewno nie najważniejszy!

- Chodzi o to, że lubię wiedzieć, gdzie jest moje miejsce. Bo jeśli nie wiesz, gdzie jest twoje miejsce, jak możesz zdecydować, czy to, w którym jesteś, jest tym, w którym pragniesz być lub do którego zmierzasz?

- I ja ci tę swoją busolę spieprzyłem?

- Można to tak nazwać.

- Dobrze! Jestem zgodnym facetem, ale nie chcę, żebyś mnie traktowała tak jak tych, z którymi miałaś wcześniej do czynienia. Bo nasze stosunki będą oparte na wzajemności uczuć.

- Dlatego, że ty tak chcesz?

- Nie! Dlatego, że tak powinno być. I dlatego, że to jest słuszne! - Mówił głosem beznamiętnym, lecz stanowczym. - To, co zaistnieje między nami, nie będzie przypominało ani twoich, ani moich poprzednich doświadczeń. Może będziesz potrzebowała trochę czasu, żeby się do tego przyzwyczaić.

- Czy ty zawsze musisz stawiać na swoim? - spytała. - Po prostu ustanawiasz swoje zasady i przedstawiasz je tak denerwująco mentorskim tonem.

- Nie chodzi o zasady, ale o fakty - poprawił ją tonem, któ-

ry, jak sądził, ona uznałaby za denerwująco mentorski. - A denerwuję cię dlatego, że byłabyś pewniejsza siebie, gdybyś mogła się ze mną pokłócić. Ale już straciliśmy część tego czasu, który mogłem przeznaczyć na seks. Bo dobry seks, podobnie jak dobra kłótnia, wymaga czasu. I muszę mieć pewność, że mam ten czas zagwarantowany.

Wpatrywała się w niego, próbując sformułować miażdżące argumenty, ale po chwili dała spokój i szczerze się roześmiała.

- Dobrze, skoro już będziesz miał pewność czy gwarancję, to zacznijmy od kłótni, a potem możemy zaimprovizować jakiś seks na przeprosiny, i to będzie dodatkowa premia.

- Zgoda! Dobrze rozwiązanie! Czy musisz zaraz wracać, czy masz jeszcze kilka minut? Przydałaby mi się teraz pomoc, żeby wnieść i rozłożyć dywan, który kupiłem do pokoju. Miałem skorzystać z pomocy jednego ze stolarzy, ale ponieważ sporo im płacę, wolałbym, żeby pracowali przy ladach.

- A więc oszczędzasz? Ty, który masz forsy jak lodu?

- Gdy się człowiek buduje, nie może szastać pieniędzmi. Głównie jednak zależy mi na tym, żeby cię tu jeszcze zatrzymać i dłużej na ciebie popatrzeć.

- Sprytnie to pomyślałeś. - Tymczasem prawda była taka, że sama chciała z nim jeszcze zostać. - W porządku! Pomogę ci rozłożyć dywan i potem wyjdę. Gdzie on jest?

- W sąsiednim pokoju. - Wskazał na małe, ukryte drzwi, łączące oba pokoje. - Większość mebli, jakie dotąd kupiłem, tam właśnie składam. Ale że teraz przystąpię do remontowania biblioteki, muszę mieć miejsce na rzeczy, które stamtąd wyniosę, i część ich umieszczę w już wyremontowanych pokojach. Między innymi ten dywan.

Lena podeszła do drzwi, które przed nią otworzył, zajrzała do środka i aż ją zatkało z wrażenia. Toż to istna jaskinia Aladyna - pomyślała. A ten, kto ją wyposażył, jest chyba bogatym szaleńcem, mającym bardzo specyficzny gust. Stoły, kanapy, dywany, lampy i to, co jej babcia określiłaby jako różne duperele, reprezentowały wszystkie możliwe style i epoki i zgromadzone były w ogromnych ilościach.

- Boże Wszechmogący! Declanie! Skąd ty to wszystko masz?

- Trochę stąd, trochę stamtąd... Czasem mówię sobie

„nie!”, ale i tak tego głosu nie słucham. Przecież to jest duży dom - tłumaczył, przeciskając się między górami mebli - i potrzebuje wielu rzeczy. Początkowo myślałem, że należy się trzymać epoki, w jakiej ten dom został zbudowany. Potem jednak doszedłem do wniosku, że szybko się znudzę; wolę mieszać różne style.

Zauważyła mosiężnego hipopotama, stojącego na stoliku, w którym rozpoznała konsolę w angielskim osiemnastowiecznym stylu Hepplewhite'a. A więc Declan rzeczywiście konsekwentnie, w sposób zamierzony miesza style.

- Spójrz, Leno, na tę lampę - powiedział, dotykając z czułością abażura Tiffany mieniącego się wszystkimi barwami klejnotów. - Mam słabość do lamp - dodał.

- Wiesz, mój drogi, kiedy się tutaj rozglądam, wydaje mi się, że masz słabość do każdego cholernego mebla.

- Na pewno mam słabość do ciebie... A tu jest to, o co mi chodzi. - Poklepał długi, zrolowany dywan, opierający się o ścianę. - Myślę, że spróbujemy go ciągnąć po podłodze aż do sąsiedniego pokoju. Szkoda, że nie postawiłem dywanu gdzieś bliżej drzwi... Wtedy jednak, kiedy decydowałem się na zakup, nie wiedziałem jeszcze, gdzie co umieszczę. Teraz już wiem.

Wspólnymi siłami udało im się położyć zrolowany dywan na podłodze. Declan, schyliwszy się, ciągnął go, starając się omijać meble. Zatrzymał się tylko raz, aby przesunąć kanapę, a potem - by odsunąć stół. Lena dzielnie mu pomagała.

- Obawiam się, *cher* — powiedziała, kiedy oboje odpoczywali, klęcząc na dywanie i sapiąc ze zmęczenia - że za dwa miesiące znowu go będziesz rolował. Latem nikt tu nie zostawia dywanów na podłodze. Jest na to zbyt gorąco.

' - Mam czas martwić się o to w czerwcu.

Klęczała, opierając się na obcasach.

- Nie, mój drogi, zaczniesz myśleć o lecie już w kwietniu. -

I poklepała go żartobliwie po policzku. Potem zakasała rękawy i położyła dłonie na zrolowanym dywanie. - Do roboty! - zawołała.

Energicznie posuwali się na rękach i kolanach do przodu, pchając przed sobą dywan; powoli odsłaniał się deseń. Wprawdzie na razie migały przed oczami Leny tylko kolory i faktura,

ale to wystarczyło, aby zrozumieć, dlaczego Declan chciał mieć ten dywan w salonie.

Zieleń liści była delikatna i przypominała odcieniem kolor ścian salonu. Doskonale się też komponowała z bladoróżowymi kwiatami centyfolii, odcinającymi się od ciemnozielonego tła.

Kiedy już dywan był cały rozłożony, Lena wstała, aby ocenić go z daleka; Declan zajmował się jego wyrównywaniem i wygładzaniem powierzchni.

- Kupiłeś sobie istny ogród różany, Declanie. Mogę niemal poczuć zapach kwiatów.

- Wspaniały, co? Naprawdę dobrze w tym miejscu wygląda. Myślę, że wstawię tu jeszcze dwie sofy w amerykańskim stylu empirowym, no i biedermeierowski stół. Na razie na tym poprzestaną, a potem zobaczymy... - Spojrzał na stiukowy medalion na suficie. - Widziałem wielki żyrandol z dmuchanego szkła w stylu Dale'a Chuhuly. Powinienem go kupić.

- Może najpierw zobaczymy, jak się tu będą prezentowały te dwie sofy.

- Hm... Ale one są ciężkie. Lepiej poproszę Remy'ego, żeby mi je pomógł ustawić. Ma do mnie dzisiaj wpaść.

- Nie widzę potrzeby, skoro ja tu jestem.

- Boję się, żebyś sobie czegoś nie zrobiła...

Lena tylko na niego spojrzała i ruszyła do sąsiedniego pokoju, w którym Declan urządził tymczasowy skład mebli.

Właśnie ustawili drugą sofę na miejsce i Lena cofnęła się o krok, żeby ocenić, czy mebel dobrze tam wygląda, kiedy usłyszała płacz dziecka.

Popatrzyła pytająco na Declana, ale on wydawał się zagubiony w myślach.

- Czy któryś z twoich stolarzy, montujących lady, przypro-wadził ze sobą jakieś dziecko?

Declan przymknął powieki i usiadł na sofie.

- Więc ty też słyszysz płacz? - odezwał się po chwili. - Nikt inny go nie słyszy. Trzaskanie drzwiami prawie wszyscy zauważają. Także szum wody zaniepokoił już wiele osób, bo przecież nie ma tam nikogo, kto mógłby odkręcić kurki. Ale płaczącego niemowlęcia oprócz mnie nie słyszał dotąd nikt.

Dreszcz przebiegł jej po grzbiecie; badawczo spojrzała w stronę korytarza.

- Skąd ten płacz dochodzi?

- Zwykle z pokoju dziecinnego, choć zdarza się, że i z sypialni na pierwszym piętrze, która należała do Abigail. Ale najczęściej słyhać go w pokoju dziecinnym. Płacz ustaje, gdy podchodzę do drzwi. Remy był już tutaj dwukrotnie, ale nie słyszał płaczu, a ty go usłyszałaś.

- Muszę tam zajrzeć. Nie potrafię spokojnie usiedzieć, gdy słyszę takie żalosne kwilenie. - Przeszła do foyer, ruszyła schodami do góry i płacz ustał.

Przez moment wydawało się, że cały dom się uciszył. Potem jednak doszły ją hałasy z kuchni, muzyka płynąca z radia i głosy stolarzy.

- To dziwne - powiedziała. Stała na schodach, trzymając się poręczy. Serce jej waliło jak młotem. - Chciałam tam pójść i wziąć dziecko na ręce. Wprawdzie ludzie mówią, że dzieciom trzeba pozwolić się wypłakać, ale nie rozumiem, po co. Właśnie o tym myślałam, kiedy mała ucichła.

- To- niezwykle, że miałaś ochotę wziąć na ręce swoją praprababkę. Bo jestem pewien, że tym dzieckiem jest Marie Rose - oznajmił. - Może dlatego słyszysz jej płacz, bo jesteś tej samej krwi. A ja dlatego ją słyszę, że jestem właścicielem tego domu. Próbowałem dodzwonić się do poprzednich właścicieli, by spytać, czy i oni ją słyszeli, ale nikt nie odebrał telefonu.

- Może nie chcą ci powiedzieć prawdy.

- Jak mogliby, skoro nie zdołałem ich o nic zapytać? Czy ciebie to dziwne zjawisko przeraża?

Raz jeszcze spojrzała w górę schodów; sama już zadała sobie to pytanie.

- Właściwie powinno mnie przerażać, ale tak się nie dzieje. Powiedziałabym raczej, że fascynuje. Zastanawiam się... - I przerwała, bo na górze z hukiem zatrzasnęły się drzwi. - No nie, tego już żadne niemowlę nie mogłoby zrobić... - Nie zastanawiając się dłużej, pobiegła na górę

- Lena! - zawołał, ale ona już minęła podest. Nie miał wyboru: musiał pójść za nią.

Przechodząc przez hol, otwierała wszystkie drzwi po kolei.

Kiedy doszła do pokoju Abigail, poczuła, że ogarnia ją straszliwy chłód. Zszokowana, głośno westchnęła, a potem patrzyła niczym zahipnotyzowana, jak jej oddech zamienia się w parę. Przerażona skrzyżowała ręce na piersiach.

- Niemożliwe, żeby to coś mogło być niemowlęciem - szepnęła.

- Pewnie, że nie. Ten duch wyraźnie się wścieka - zgodził się Declan. A kiedy, chcąc ją ogrzać, otoczył ramionami i próbował ją stamtąd odciągnąć, drzwi zatrzasnęły im się przed nosem.

Lena aż podskoczyła z wrażenia. Wprawdzie zaśmiała się krótko nieco zdławionym śmiechem, nie potrafiła ukryć zderzenia.

- Niezbyt gościnny jest ten twój duch - zakpiła,

- Tego dotąd nie było - powiedział. Czuł, że go coś ściska za gardło i krew mu się ścina w sercu. Dwa razy głęboko wciągnął powietrze, żeby się uspokoić, i pomyślał, że kimkolwiek ten duch jest, nie ulega wątpliwości, że coś go cholernie rozgniewało.

- To jest pokój Abigail - Lena starała się rozwikłać zagadkę. - A nas, Akadyjczyków, stać na bardzo gwałtowne okazywanie gniewu, jeśli nam ktoś dokuczy.

- Moim zdaniem to nie jest gniew dziewczyny. Nie tej młodej ślicznotki z fotografii na dole...

- Aż tak dobrze się znasz na dziewczynach, *cher*?

- Wybacz, ale mam siostrę i ona też potrafi być wredna, gdy jej ktoś nastąpi na odcisk. To jednak, co się tutaj wyrabia, wskazuje na osobę, która się wściekle awanturuje i po prostu zije złością.

- Gdyby mnie ktoś zamordował i zakopał moje ciało w nieoznaczonym grobie, też bym zionęła złością. - Lena wyciągnęła rękę i uchwyciła lodowato zimną, mosiężną gałkę u drzwi. - Nie można jej przekreślić! - krzyknęła.

Declan przykrył swoją ręką jej dłoń i w tym momencie znowu poczuli zimny podmuch powietrza; zaraz potem gałka z łatwością dała się przekreślić. A kiedy otworzyli drzwi, zobaczyli zupełnie pusty pokój, pełen słońca i cieni.

- Muszę przyznać, że jestem tym wszystkim trochę przerażona - wyznała Lena, ale mimo to przestąpiła próg pokoju.

- Tak - zgodził się Declan - nie jest to zbyt przyjemne.
- Wiesz, co ja myślę, *cher*?
- Co?
- Myślę, że ten, kto przebywa tu sam noc w noc i wyjeżdża do miasta po dywany, stoły i lampy, by ten dom urządzić... - Odwróciła się i objęła Declana ramionami. - Myślę, że mężczyzna, który się na coś takiego odważa, to na pewno facet z jajami...
- Tak myślisz? - Odczytując jej słowa jako zaproszenie, pochylił głowę i pocałował ją w usta. - Przypuszczalnie mógłbym wykroić dodatkowe dwadzieścia minut na seks...
Zaśmiała się i mocno go uściśnęła.
- Wybacz, kochanie, ale ja muszę wracać do pracy. Robi się późno, a wiesz, jaki ruch jest u nas w barze w sobotnie wieczory. Ale jeśli by tak się zdarzyło, że będziesz w bliskim sąsiedztwie, powiedzmy, o trzeciej czy czwartej rano, myślę, że uda mi się wytrzymać i nie zasnąć, żeby... - Włożyła rękę między jego nogi i głaskała po spodniach. - Postaram się nie zasnąć i poczekam na ciebie, aby zapewnić tym twoim jajom gimnastykę.
Z trudem powstrzymał się od głośnego westchnienia.
- Nie, kochanie! - powiedział. - Spotkamy się w środę, kiedy będziesz miała wolne.
- W środę? - zdziwiła się. Wciąż jeszcze trzymała dłoń między jego udami i czuła zarys twardego przyrodzenia.
- Tak! Gdy będziesz miała wolne. - Po chwili zmiążdżył jej usta namiętym pocałunkiem, aby jej uświadomić, co do niej czuje. - Przyjedź wtedy do mnie. Zjemy razem kolację i zostaniesz na noc. - Przycisnął ją do ściany i próbował jej skórę zębami. - Koniecznie! Chcę cię mieć w nocy w swoim łóżku. W środę więc! Powiedz, że przyjdiesz i będziesz ze mną...
- Dobrze! - Uwolniła się z jego objęć. Jeszcze parę minut, pomyślała, i nie zdołaliby doczekać środy, bo oddałaby mu się od razu tu, na podłodze. - Muszę wracać. Nie powinnam była zostawać tak długo. Wychodząc z pokoju, spojrzała jeszcze w górę schodów i w dół na hol. - Chyba nigdy jeszcze nie spędzałam nocy w domu, w którym straszysz. O której godzinie mam przyjść?
- Jak najwcześniej!

- Postaram się. Nie odprowadzaj mnie do drzwi, *cher!* -
Uśmiechnęła się figlarnie. - W tym stanie, w jakim teraz je-
steś, chodzenie może sprawiać ci trudność. A więc do środy!
Jeślibyś zmienił zdanie, przyjdź do mnie do baru.

Przyłożyła koniuszek palca do warg, pocałowała go i wyce-
lowawszy nim w niego jak rewolwerem, wyszła.

To był trafny i znaczący gest - pomyślał Declan. Już nieraz
się zdarzało, że samo jej spojrzenie działało niemal tak zabój-
czo jak kula. Musi wytrzymać do środy, by móc znowu wysta-
wić się na jej strzał.

Zaczęło padać w sobotę wieczór i tak się deszcz zasiedziało, że nic ruszył się do końca weekendu. Zła pogoda zatrzymała Declana w domu. Był sam, słuchał bluesa *Blind Lemon* Jacksona i przy akompaniamencie tej muzyki rozpoczął remont w bibliotece.

Rozpalił ogień na kominku, aby poprawić sobie nastrój, ale także po to, by ogrzać pokój. Potem przysiadł z boku i przeciągał palcem po uszkodzonym kaflu. Rozważał, czy zostawić kafel, czy go wymienić na nowy. Niech zostanie tak, jak jest - zdecydował w końcu. Nic wszystko musi być doskonałe i trzeba się z tym pogodzić.

Zamierzał przywrócić dwór do życia, ale czy naprawdę ma tu wyglądać tak jak kiedyś? Już pewne rzeczy w domu pozmiała i dzięki temu poczuł się bardziej jego właścicielem.

Zastanawiał się, czy jeśli wymieni kafel na inny, to uhonoruje historię dworu Manetów, czy byłaby to próba stworzenia nowej jej wersji; przecież trudno uznać to miejsce za szczęśliwe. Gdy o tym myślał, przenikał go zimny dreszcz, chociaż ogień na kominku zaczął już buzować i grzał mu plecy. Wiedział, że dom jest zimny, nawet bardzo zimny, że pełno w nim tajemnic, złości i zazdrości i że jest naznaczony śmiercią.

Abigail weszła tu, aby wybrać sobie jakąś książkę. Czytanie sprawiało jej wielką przyjemność. Widok biblioteki z rzędami półek zapelnionymi książkami sprawiał, że myślała o tym pomieszczeniu z taką samą rewerencją jak o kościele.

Teraz, gdy Lucian zamknął się z ojcem w gabinecie, by rozmawiać o ziemi i zbiorach, a deszcz bębnił o szyby, mogła spokojnie spędzić tu popołudnie, oddając się lekturze.

Jeszcze nie była przyzwyczajona do nowej sytuacji, do tego, że może robić to, na co ma ochotę; wśliznęła się do biblioteki, jakby to była jakaś zabroniona przyjemność. Nie musiała składać prześcieradeł, odkurzać mebli ani zbierać ze stołu talerzy: nie była już służącą w tym domu, ale żoną dziedzica rodu.

Zoną. Pieściła się brzmieniem tego słowa. Wciąż jeszcze było dla niej nowe, błyszczące... Nowe też było życie, które w sobie nosiła. Tak nowe, że jeszcze nie zdążyła powiadomić o tym Luciana.

Okres jej się spóźniał, a przedtem nigdy się to nie zdarzało. Gdy budziła się rano, miała mdłości, i to przez trzy dni z rzędu. Ale postanowiła, że poczeka jeszcze jeden tydzień. Bała się, że gdyby za wcześnie zaczęła mówić o ciąży, zapowiedź mogłaby się nie spełnić, a ona bardzo chciała mieć dziecko, pragnęła dać Lucianowi potomka. Potożyła sobie rękę na brzuchu i wędrując wśród półek z książkami, snuła marzenia o pięknym synku lub córeczce, jakich wyda na świat...

A może, może, kto wie... może dziecko zmiękczy serce matki Luciana. Może przyniesie radość temu domowi, tak jak nadzieja na nie przyniosła radość jej duszy.

Wybrała sobie do czytania Dumę i uprzedzenia Jane Austen. Ten tytuł przemawiał do niej. Manet Hall pełen był dumy i uprzedzeń. Zagryzła wargi i wertowała książkę. Czytała powoli, ale starannie; Lucian powiedział, że to oznacza, iż delectuje się słowami. Dawniej mozolnie je dukala, ale już poczyniła znaczne postępy. Była z siebie zadowolona. Nagłe, odwróciwszy się, zobaczyła Juliana. Siedział w niedbalej pozie w jednym z foteli obitych tkaniną w kolorze czerwonego wina. W ręce trzymał kieliszek brandy, butelka stała obok. Abby nie miała wątpliwości, że szwagier ją obserwował.

Julian zawsze ją przerażał i napawał wstrętem. Uprzytomniła sobie jednak, że przecież nie jest już służącą. Jest żoną jego brata i powinna zachowywać się wobec niego po przyjacielsku.

- Witaj, Julianie! Nie zauważyłam cię.
Podniósł butelkę i dolał sobie brandy

- Nie wiem, czy sobie poradzisz - powiedział i upił sporo z kieliszka. - W tej książce są też długie słowa, nie tylko jednosylabowe...

- Umieć czytać - odparła, prostując grzbiet. - I bardzo to lubię.

- A co jeszcze lubisz, chere? — spytał złośliwie.

Zacisnęła palce na książce, widząc, że wstał, ale już po chwili uspokoiła się, gdy podszedł do kominka i oparł but na palenisku, a łokieć na półce nad nim.

- Uczę się jeździć konno. Lucian mnie uczy. Jeszcze niezbyt dobrze czuję się na koniu, ale już bardzo polubiłam jazdę. - Koniecznie chciała się zaprzyjaźnić z Julianem. Ten dom zastąpił ją ciepłą atmosferą, na radość i miłość.

Roześmiała się, a w pijackim śmiechu wyraźny był wpływ brandy.

- Nie wątpię, że potrafisz jeździć - szydził. - Potrafisz zajechać mężczyznę, wyciskając z niego siódme poty. Możesz próbować swoich sztuczek, uwodząc niewinnym spojrzeniem mego brata, bo on zawsze był głupcem. Ale ja wiem, kim jesteś i do czego zmierzasz.

- Jestem żoną twego brata. - Sądziła, że przecież musi być jakiś sposób, by zrobić pierwszy krok ku zgodzie i skończyć z nienawiścią. Postanowiła zrobić to dla Luciana i dla tego dziecka, które w niej rośnie. Podeszła bliżej do Juliana. - Nie pragnę niczego innego, jak tylko tego, by Lucian był ze mną szczęśliwy. I chyba jest szczęśliwy. Julianie, przecież w was płynie ta sama krew: jesteście bliźniakami. To nie jest w porządku, że się ciągle sprzeczamy. Chciałabym być ci siostrą, przyjacielem...

- Chcesz być moim przyjacielem, tak? ~ spytał, wychylając kieliszek do dna.

- Tak! Chcę tego dla dobra Luciana. Powinniśmy...

- Zobaczymy, jak bardzo jesteś przyjacielska. - Rzucił się w jej stronę i boleśnie chwycił ją za piersi.

Doznała strasznego szoku. To, co zrobił, dosłownie ją zmroziło. Poczuli się znieważona; jednocześnie wzbudziła się w niej gwałtowna chęć odwetu. Wyciągnęła dłoń i wyrzuciła go w policzek z taką siłą, że zataczając się, dał krok do tyłu.

- Ty draniu! - krzyknęła. - Bydlę! Jeśli jeszcze raz położysz

na mnie rękę, zabiję cię. Należę do Luciana. Jestem żoną twojego brata!

- Jesteś dziwką mego brata! - wołał za nią, gdy biegła w stronę drzwi. - Akadyjski kocmołuch! Pierwej cię martwą zobaczę, niż miałabyś zabrać mi to, co mi się prawnie należy. - Rozwścieczony, gwałtownie odsunął się od półki, a wtedy stoczył się z niej ciężki srebrny lichtarz i uderzył o krawędź kafla, odrywając róg.

Declan tkwił w bezruchu, nieobecny duchem. Gdy oprzytomniał, wciąż siedział przy kominku, plecami do buzującego ognia. Za oknami deszcz bił o ziemię i strumieniem spływał po szybach. Jest tak samo jak wtedy, jak w moim widzeniu - pomyślał. A może powinien określić ten stan jako omam czy halucynację... Przytknął dłoń do czoła, do miejsca, gdzie ból wbił mu się w czaszkę jak dzida.

A może to, co mnie nęka, to nie są duchy? - zadał sobie pytanie. Może mam jakiegoś cholernego guza mózgu? To byłoby nawet łatwiej zrozumieć. Wszystko wydało mu się sensowniejsze od wiary w duchy.

Drzwi, które się same zatrząskują, tajemnicze miejsca, w których panuje upiorne zimno, nawet chodzenie we śnie - z wszystkimi tymi zjawiskami dałoby się żyć. Gorzej, że widywał dawno nieżyjących ludzi, jakby znajdowali się wewnątrz jego głowy, że ich słyszał; rozróżniał słowa i dźwięki. A o wiele bardziej jeszcze niepokoiło go to, że czuł ich obecność.

Wstał i wtedy się okazało, że nogi mu osłabły, niemal się pod nim ugięły. Uchwycił się półki nad kominkiem i palcami wpił się w nią z taką siłą, że go zdziwiło, iż marmur nie pękł.

Rozumiał, że jeśli jest z nim coś nie w porządku - fizycznie bądź umysłowo - to trzeba się z tym uporać. Wszak Fitzgeraldowie nie chowają głowy w piasek, gdy pojawiają się problemy.

Kiedy mu się wydało, że się wystarczająco uspokoił, poszedł do kuchni poszukać aspiryny. Wyjął cztery tabletki, ale doszedł do wniosku, że ich zażycie nie na wiele się zda. To tak, jakby próbował siusianiem ugasić pożar lasu... Mimo wszystko połknął je, popijając wodą, a potem przyłożył zimną szklankę do czoła.

Przyszedł mu do głowy pomysł, aby polecieć do Bostonu i spotkać się z wujem. Najmłodszy brat matki był kardiologiem i na pewno zna jakiegoś dobrego neurochirurga. W ciągu kilku dni podda się odpowiednim testom i dowie się, czy ma bzika, czy jest nawiedzony, czy może umiera.

Ruszył do telefonu, ale nagle się zatrzymał i stał, kręcąc przecząco głową. Ależ ze mnie wariat - pomyślał. Dobrze, że nie zadzwoniłem do wuja, bo byłby to jeszcze jeden argument przemawiający za tym, że mam bzika. Jeśliby się spotkał z wujem Mickiem, wiadomość o jego zdrowotnych problemach rozeszłaby się po rodzinie niczym jakiś złośliwy wirus. A poza tym po cóż miałby jechać do Bostonu, przecież w Nowym Orleanie też są lekarze. Remy może mu podać nazwiska specjalistów, a przyjacielowi wytłumaczy, że chce mieć, na wszelki wypadek, lekarza, dentystę i innych terapeutów gdzieś w pobliżu, w zasięgu ręki. I to jest chyba logiczne.

Najpierw pójdzie do lekarza pierwszego kontaktu, a potem poprosi o skierowanie do specjalisty. Prosto, bezpośrednio, skutecznie...

Jeśli duchom nie udało się wypędzić go z dworu Manetów, nie zdoła tego dokonać żaden cholerny guz mózgu.

Gdy odstawił szklankę, drzwi na pierwszym piętrze z hukiem się zatrzasnęły, ale Declan wcale się tym nie przejął. Po prostu spojrzął w górę, na sufit, i ponuro się uśmiechnął.

- Tak? W porządku! Ja też jestem dziś w podłym nastroju! - wykrzyczał.

W środę był już w stanie całkowicie zapanować nad sytuacją. Możliwe, że oczekiwane spotkanie z Leną tak mu poprawiło nastrój. Do tego doszło jeszcze zadowolenie z pracy, jaką z powodzeniem wykonał w ostatnich dniach przed wielkim postem. Na następny tydzień zamówił wizytę u lekarza, którego mu polecił Remy. Kiedy podjął decyzję, bez trudu udało mu się odsunąć od siebie większość obaw o stan swego mózgu.

Nie miewał też żadnych halucynacji ani omamów; w każdym razie niczego takiego u siebie ostatnio nie stwierdził. Deszcze też w końcu ustały: chmury przesunęły się w stronę Florydy i ją teraz nękały. A w spadku po deszczach otrzymał

pierwsze delikatne kwiaty żonkili, które pojawiły się na trawnikach w parku.

Poranne komunikaty o pogodzie doniosły o trzydziestocentymetrowej warstwie śniegu, jaki spadł w Bostonie. Natychmiast zadzwonił do matki, żeby jej z tego powodu powiedzieć kilka złośliwych słów.

Słońce i wiosenne rozbudzenie się przyrody wpłynęły na zmianę poprzednich planów. Odłożył na później odnowienie biblioteki i przystąpił do remontów na otwartym powietrzu. Zaczął od wzmocnienia balkonu na pierwszym piętrze i wymiany zniszczonych desek.

Słuchając pieśni Raya Charlesa, poczuł się zdrowy jak koń. Zdecydował się zlecić Frankom posadzenie wczesnych roślin, bo sam nie miał na to czasu. W następnym roku, obiecał sobie, osobiście się wszystkim zajmie i posadzi tyle kwiatów, ile tylko da radę.

Na przyszłą wiosnę będą siedzieli z Leną w niedzielne poranki na balkonie. Będą jedli naleśniki i pili kawę z mlekiem. W te długie, upływające na nieróbstwie niedziele będą podziwiali zieleń trawników i napawali się urodą parku. A za kilka lat będą z tego balkonu pilnowali dzieci bawiących się na podwórku i w ogrodzie.

Declan bardzo chciał założyć rodzinę, a świadomość, że tego pragnie, dawała mu zadowolenie. Nigdy przedtem nie odczuwał takiej potrzeby. Teraz chciał cieszyć się tym, co ma, i jednocześnie z nadzieją patrzeć w przyszłość.

Był przekonany, że to, co czuje „do Leny, jest szczerym uczuciem i że plany, jakie snuje dla nich obojga, są oparte na zdrowych podstawach. Może jej pomagać w barze, jeśli by tego potrzebowała, ale będzie miał własną pracę i nią się zajmie.

Odwrócił dłonie i przypatrywał się ich wewnętrznej stronie, zwłaszcza odciskom, jakie mu się zrobiły od fizycznej pracy. Uważał, że te małe otarcia i blizny to jego medale za waleczność.

Postanowił, że wykorzysta nabyte doświadczenie i twórczą wyobraźnię, by przerabiać domy innym ludziom. Kiedy sąsiadom będzie potrzebny dobry przedsiębiorca budowlany, niech pomyślą o Declanie Fitzgeraldzie. „Gdybyście widzieli ten sta-

ry dom, zanim Declan się do niego zabrał" - tak będą mówili. - „Jeśli szukasz dobrego wykonawcy, kogoś, kto potrafi pracować jak należy, po prostu wezwij Deca. On cię urządzi”.

Zadowolony z pomysłu, uśmiechnął się i usunął z balkonu następną zgniłą deskę. Około godziny czwartej po południu zakończył odnawianie podłogi na frontowym balkonie i rozciągnął się na niej, kładąc się na brzuchu; zarządził sobie przerwę w pracy. Zasnął w momencie, gdy w jego odtwarzaczu stereo B.B. King* śpiewał bluesa o Lucilli...

Wciąż pogrążony we śnie, wstał i zszedł w dół rozklekotanymi schodami prowadzącymi na trawnik z frontu. Czuł pod stopami gęstą darń. Powietrze było parne i upalne, jak to bywa w połowie lata, a żar lejący się z nieba spływał mu na twarz i uderzał w głowę, mimo że chronił ją pod kapeluszem.

Inni znajdowali się wewnątrz, gdzie było chłodniej, ale on miał ogromną ochotę patrzeć na staw i lilie wodne. Wolał spokojnie usiąść w cieniu wierzby, pochylonej nad wodą, i czytać. Lubił słuchać śpiewu ptaków, a upał wcale mu tak bardzo nie przeszkadzał. Był prawdziwy, podczas gdy aura panująca we dworze wydawała mu się zimna i fałszywa. Serce mu pękało z żalu, gdy widział, jak dom, który kochał, niszczy od zalewającej go gorzycy.

Stanął nad brzegiem stawu i patrzył w dół na zielone talerze pływających liści lilii wodnych i kremowobiałe lilie, stanowiące ich ozdobę. Przyglądał się ważce, która przeleciała tuż obok niego, a słońce migotało na jej skrzydłach mieniących się tęczą barw. Słyszał plusk skaczącej do wody żaby i śpiewne nawoływanie czerwonego ptaka, zwanego kardynałem.

Odwrócił się, usłyszawszy swoje imię, i uśmiechnął się na widok ukochanej idącej aksamitnym trawnikiem. Dopóki będą razem - pomyślał, dopóki będą się kochali, dopóty ten dwór będzie stał.

- Declanie! Declanie!

Lena, wyraźnie przestraszona, chwyciła go za ramiona i mocno nim potrząsnęła. Zauważyła go, gdy wjeżdżała samochodem w prowadzącą do dworu aleję. Widziała, jak schodził

* B.B. King - znany śpiewak i gitarzysta bluesowy.

zdradliwymi schodami w dół i szedł w stronę stawu niezdarnymi, chwiejnymi krokami, tak niepodobnymi do jego zwykłego, spokojnego chodu. Miał otwarte oczy, lecz ich spojrzenie było szkliste i patrzył tak, jakby przebijał się przez nią wzrokiem i za nią widział coś czy kogoś innego.

- Declanie - mówiła stanowczym tonem i mocnym uściskiem ujęła jego twarz w obie dłonie. - Spójrz na mnie! Słyszysz mnie? To ja, Lena.

- Usiądźmy pod wierzbą - powiedział. - Tam nikt nas nie zobaczy.

Ale wokół nie było widać żadnej wierzby, tylko zgniły pień, który po niej pozostał. Lenę strach chwycił za gardło, lecz się przemogła. Kierując się instynktem, podniosła się na palce i przytknęła ciepłe wargi do jego ust. Odpowiedział jej pocałunkiem, który wydał jej się niemrawy i senny, jakby się tylko prześlizgiwał po jej wargach i nie był dla niej przeznaczony... Zrozumiała to, gdy po chwili nagle od niej odskoczył, a jego ciało jakby zeszytywniało. Zachwiał się i nie upadł tylko dlatego, że go podtrzymała.

- Stój spokojnie, *cher!* Oprzyj się o mnie, póki nie będziesz mógł utrzymać się na nogach.

- Przepraszam cię, ale muszę usiąść - szepnął i klapnął tam, gdzie stał, na trawę, kładąc głowę na kolana.

- Już dobrze, Dec! Czujesz się lepiej, prawda? - Uklękła obok niego i gładząc po głowie, mruzczała jakieś akadyjskie słowa pocieszenia. - Niech ci tylko wróci normalny oddech!

- Co mi się, u diabła, przydarzyło? Pamiętam, że byłem na balkonie i wymieniałem deski.

- Czy to jest ostatnia rzecz, jaką pamiętasz?

Patrzył gdzieś ponad staw, w górę.

- Nie wiem, jak się tu znalazłem.

- Szedłeś w dół schodami, tymi po prawej stronie domu. Bałam się, że się pod tobą załamiam i spadniesz. - Jej serce drżało, gdy sobie przypominała, jak niepewne były te schody. - One nie wyglądają na bezpieczne, Declanie! Powinieneś je jakoś zablokować.

- Tak. - Pocierał dłońmi twarz. - Jeśli już o tym mowa, wiesz, co powinienem zrobić? Zamknąć się w pokoju, którego ściany są obite miękkimi materacami jak dla furiatów.

- Na miłość boską, Declanie! Przecież nie jesteś wariatem?!
- Nie, ale jak lunatyk chodzę we śnie, i to w dzień, przy pełnym świetle. Mam halucynacje. Słyszę głosy. To przecież nienormalne.
- Takie jankeskie gadanie... Tu, w naszych stronach, takie rzeczy wcale się nic wydają ekscentryczne. Na przykład Sis-sy, moja ciocia babcia, odbywa długie rozmowy ze swoim mężem, Joem, który nie żyje od dwunastu lat. We wrześniu będzie kolejna rocznica jego śmierci. I nikt nie uważa jej za wariatkę.
- A o czym ona z nim rozmawia?
- O sprawach rodzinnych, o biznesie, o bieżących wydarzeniach, o pogodzie, a nawet o polityce, bo wujek Joe lubił narzekać na rząd. Czy czujesz się już lepiej, *cher*?
- Nic wiem. Ale chciałbym się dowiedzieć, co się potem działo. Przecież mnie widziałaś, więc powiedz, co robiłem.
- Po prostu zszedłeś ze schodów i skierowałeś się na przełaj przez trawnik w stronę stawu. Ale poruszałeś się całkiem inaczej niż normalnie, dlatego poznałam, że coś jest nie tak.
- Co przez to rozumiesz?
- Normalnie masz lekki, równy chód, a tym razem szedłeś jakoś inaczej. No i zatrzymałeś się przy stawie.
- Nie powiedziała mu, że przeżyła wstrząsającą chwilę, gdy była niemal pewna, że on ma zamiar wejść prosto do wody.
- Przez cały czas ciebie wołałam, aż się w końcu odwróciłeś i uśmiechnąłeś do mnie. - Ścisnęło ją w żołądku, gdy to sobie przypomniała. - Ale ten uśmiech wcale nie był przeznaczony dla mnie. Nie sądzę, byś mnie widział... I powiedziałeś, że chcesz usiąść pod wierzbą, gdzie nas nikt nie zobaczy.
- Przecież tu nie ma żadnej wierzby...
- Właśnie. - Wskazała na pień. - Jak widać, kiedyś tu była. Wydaje mi się, że w snach widzisz rzeczy, jakie zdarzyły się dawno temu. To jest rodzaj daru, Declanie!
- Gdzie mam go zwrócić? Chętnie to zrobię. - Potrząsnął głową. - Nic z tego wszystkiego nie rozumiem, bo kiedy się budzę, niczego nie pamiętam. Zaczynam myśleć, że powinienem na noc przywiązywać się do słupka baldachimu przy łóżku.
- Tej nocy ja ci go zastąpię.

- Próbujesz mnie pocieszyć jakimiś sadomasochistycznymi pomysłami?

- Myślisz, że nadawałabym się do tego?

- Nawet całkiem nieźle. - Westchnął, a potem zmarszczył brwi, widząc ciemną smugę na jej czole. - Masz tu coś, jakby sadzę... - zaczął, a ona szybko przechyliła głowę do tyłu, żeby tego nie stał.

- To popiół, którym ksiądz posypał nam dziś głowy.

- Ach, tak... Przecież dziś jest środa popielcowa. Chyba całkiem już zgłupiałem. Nie tylko nie wiem, gdzie jestem, ale straciłem także poczucie czasu.

Nie mogła dopuścić, by się znowu pogrążył w ponurych rozważaniach. Starła się więc mówić ożywionym głosem, może tylko trochę zbyt egzaltowanym.

- Od razu widać, że nie byłeś dzisiaj w kościele, a przecież w takie święto jesteśmy do tego zobowiązani.

Skrzywił się.

- Mówisz jak moja mama - powiedział. - Tymczasem ja po prostu o tym zapomniałem...

- A mnie się wydaje, że przydałyby ci się wszelkie dostępne błogosławieństwa. - Starła kciukiem popiół z czoła i usiłowała wetrzeć go w jego czoło.

- Przypuszczam, że w ten sposób popełniasz świętokradstwo, ale mimo wszystko dziękuję. Która jest godzina? - Popatrzył na zegarek i zaklął. - Muszę zanieść go do zegarmistrza, bo ciągle staje. Wiem, że jest po dwunastej w południe, a nie po północy.

- Jest około piątej. Mówiłeś, żebym przyszła wcześniej.

- Tak. Tak mówiłem. Może poszlibyśmy do domu i napili się wina?

Przez pierwszych kilka minut badawczo mu się przyglądała; robił wrażenie spokojnego i opanowanego, gdy wybierał odpowiednie wino. Potem wyjął z kredensu piękne stare kieliszki.

Teraz mogła się już w duchu przyznać, że Declan wcześniej bardzo ją przeraził. Była przekonana, że zamierzał wejść do stawu i utopić się pośród pływających po powierzchni wody liści lilii wodnych, tak jak to uczynił Lucian Manet.

I kiedy to sobie uświadomiła, nasunęły jej się różne dziwne myśli.

- Declanie...-zaczęła.
- Mam steki i grill - przerwał jej, nalewając wino. Czuł, że musi skupić się na wykonywaniu zwykłych codziennych czynności, pograć się w „tu i teraz”. - Jak każdy prawdziwy mężczyzna potrafię grillować steki. Ale jeśli powiesz, że nie jadasz czerwonego mięsa, będziemy musieli zadowolić się mrożoną pizzą.
- Skoro w ogóle jem mięso, jego kolor nie ma już znaczenia. Wyjdźmy z domu, siądźmy na dworze... Chcę się z tobą podzielić pewnymi myślami, które mi przyszyły do głowy.
- Niedaleko stały dwie drewniane skrzynki, których Declan używał zamiast krzeseł. Podeszli do nich i usiedli.
- A co byś powiedział, gdyby się okazało, że działają tu jeszcze inne siły, nie tylko duchy? - spytała Lena.
- To rzeczywiście bardzo pocieszająca myśl! Co jeszcze może tu grasować? Wampiry? Werwołfy? Może jakieś żywe trupy karmiące się ludzkim mięsem? Będę teraz spał znacznie lepiej, dziękuję ci...
- A co sądzisz o reinkarnacji?
- Chodzi ci o odradzanie się człowieka po śmierci? O wędrówkę dusz? - Wzruszył ramionami. - Nie wiem.
- A mnie się to zawsze wydawało zupełnie prawdopodobne i sprawiedliwe. Bo chyba zasługujemy na więcej niż jedną szansę. Nie uważasz? I może dlatego przypominasz sobie wydarzenia, które miały tu miejsce, ponieważ kiedyś już tu żyłeś. Kto wie, czy nie jesteś Lucianem i nie wróciłeś po tych wszystkich latach po swoją Abigail.
- To jest bardzo romantyczna hipoteza; mogę być Lucianem, jeśli ty będziesz Abby.
- Nie do ciebie należy wybór. A jeśli zamierzasz mnie wyśmiać, nie powiem już ani jednego słowa.
- W porządku! Nie złość się! - Ciągnął wisko i dumął, wpatrując się w przestrzeń. - A więc według ciebie dlatego się tu znalazłem i dlatego zdarzają mi się te dziwne przygody, ponieważ w swoim poprzednim życiu byłem Lucianem Manetem. Tak?
- Powiem więcej: moje wywody wcale nie są naciągane bardziej niż twierdzenie, że to miejsce jest nawiedzone, co, jak wiem, z łatwością przełknąłeś. Moja teoria tłumaczy, dlaczego

czułeś taką przemożną potrzebę kupienia tego właśnie domu i tak ciężko teraz pracujesz, żeby przywrócić mu dawną urodę. Wyjaśnia też fakt, że widziałeś meble, jakie Lucian miał w sypialni na górze.

- W każdym razie reinkarnacja brzmi o wiele lepiej niż guz mózgu... - zgodził się.

- Co takiego?

- Nic! - Kręcąc głową, napił się jeszcze wina.

- Czyżbyś się podejrzewał o guz mózgu? To nonsens, Declanie. — Jej głos zabrzmiał ostrzej, niż zamierzała, więc go stonowała. - To naprawdę bzdura, *cher!* Nic złego się nie dzieje ani z twoją głową, ani z żadną inną częścią ciała.

- Oczywiście, że nie. Tylko głośno myślałem...

Jednak po wyrazie twarzy Lena poznała, że on się po prostu boi. Wstała, podeszła do niego i usiadła mu na kolanach.

- Widzę, że się naprawdę martwisz, iż masz w głowie coś, co powoduje te dziwne omamy i twoje niezwykle zachowanie.

- Nie chodzi o to, że się martwię... Ale chciałbym poddać się specjalistycznym badaniom, aby pewne rzeczy wykluczyć.

- Nie jesteś chory, *cher.* - Pocałowała go w policzek, potem w drugi. Nigdy jeszcze żaden mężczyzna nie trafiał tak konsekwentnie i bez wysiłku do wrażliwszej strony jej natury. - Mogę ci to zagwarantować. Ale jeśli zasięgnięcie opinii jakiegoś wybitnego lekarza potwierdzi to, co mówię, i sprawi, że pozbędziesz się obaw, tym lepiej.

- Nie mów o tym Remy'emu. - Trzymał ją za rękę i czekał, by spojrzała mu w oczy. - On niedługo się żeni. Ma więc i bez tego o czym myśleć i czym się zajmować.

- To znaczy, że planujesz poddać się badaniom mózgu i chcesz udać się tam całkiem sam? My tu inaczej załatwiamy takie sprawy, *cher.* Jeśli nie chcesz, żeby Remy o tym wiedział - w porządku. Ale proszę, żebyś mi powiedział, na kiedy się umówiłeś, bo zamierzam pójść z tobą.

- Ależ, Leno, jestem już dużym chłopcem...

- Nie pójdziesz sam, pójdę z tobą. A jeśli się nie zgodzisz, powiem o tym Remy'emu i razem weźmiemy cię w obroty.

- W porządku! Powiadomię cię o terminie badań. Będziesz mogła trzymać mnie za rękę... Ale zanim do tego dojdzie, po-

stanowiłem przyjąć twoją teorię reinkarnacji. Jest dość dziwaczna, ale mniej sprawia kłopotu niż operacja mózgu.

- Mówią, że Lucian Manet był przystojnym mężczyzną. Podobno wyglądał jak młody złotowłosy bóg. - Przeczesała palcami zmierzwiłone włosy Declana. Patrzyła na jego gęstą, bujną ciemnoblond czuprynę i była pewna, że w letnim słońcu seksownie się mieni. - Ale ja myślę, że przewyższasz go urodą.

- Ach, tak? - Objął ją w pól. - Może mi coś więcej o tym powiesz?

- Nigdy specjalnie nie przepadałam za takimi typami. Złotowłosi bogowie bywają zwykle zbyt piękni jak na mój gust. - Pochyliła się, by go pocałować. - Ty natomiast naprawdę jesteś w moim guście, *cher!*

Mocniej ją do siebie przytulił. Siedział na drewnianej skrzyni, oparł brodę na ramieniu Leny i wyglądał przez balustradę balkonu.

- Kocham cię, Leno — szepnął.

- Jeśli próbujesz się przymilać, bo chcesz mnie skusić na pójścia do łóżka, zanim mnie nakarmisz...

Znowu przygarnął ją do siebie. Ale kiedy Lena spojrzała mu w twarz, przestała się uśmiechać.

- Kocham cię! - powtórzył. - Przedtem nie potrafiłem nawet zrozumieć, co te słowa znaczą, i nie spodziewałem się, że kiedykolwiek potrafię. — Trzymał ją mocno, choć próbowała się wykręcić i odsunąć.

- Najpierw musisz się uspokoić - powiedziała.

- Staram się, ale nie sądzę, żebyś, mówiąc o uspokojeniu się, myślała o tym samym, co ja. Bo ja chciałbym się uspokoić już teraz, tu, na miejscu i z twoim udziałem. I nie dbam o to, czy to jest pierwsze nasze spotkanie, czy już pięćdziesiąte, bo wiem, że ty jesteś tą, na którą zawsze czekałem.

- Przesadzasz, Declanie. Robisz z tego większą aferę, niż należy. - Głos jej drżał i ćmiło ją w żołądku. - Owszem, byliśmy razem na kolacji, poszliśmy do łóżka. Ale widzieliśmy się ze sobą raptem kilka razy.

- Mnie wystarczyło tylko raz na ciebie spojrzeć.

Jego oczy są takie głębokie - myślała, takie czyste jak powierzchnia jeziora o brzasku dnia.

- Nawet mnie dobrze nie znasz - mruknęła.

Znów ją mocno przytulił, jakby chciał jej przypomnieć, że jest w nim coś ze stali, i to twardej.

- Nie masz racji. Wiem, że jesteś mądra i silna. T to wystarczyło, żebyś stworzyła sobie niemal z niczego własny niezależny byt. Wiem, że jesteś odpowiedzialna, lojalna i kochająca. Wiem też, że ktoś cię boleśnie zranił i niewiele trzeba, by zerwać z tej rany świeży jeszcze strup. Zdaję sobie sprawę, że ja również robię ci przykrość, ponieważ nie jesteś gotowa wysłuchać tego, co mówię.

Każde uderzenie serca bolało Lenę tak, jakby ktoś walił pięścią w otwartą ranę.

- Przepraszam cię, Declanie, ale nie szukam miłości.

- Ja jej też nie szukałem, ona przyszła sama... widać było mi to pisane. Nie musimy niczego przyśpieszać. Nie miałem zamiaru nic ci mówić, lecz podświadomie bardzo tego potrzebowałem.

- Nie przejmuj się, *cher!* Ludzie stale się zakochują i przestają kochać. A to tylko chemia działa tak oślepiająco...

- Ten ktoś musiał cię jednak głęboko zranić...

Poczuła się sfrustrowana. Wyrwała się z jego objęć i odepchnęła go od siebie, a on tym razem pozwolił jej odejść.

- Mylisz się - powiedziała. - Żaden mężczyzna nie zламаł mi serca. Nie zrobił też tego duch mego ewentualnego kochanka. Czy w twoich oczach wyglądam na kogoś tak banalnie stereotypowego?

- Nie! W moich oczach wyglądasz na wszystko, co najlepsze na świecie.

- *Mon Dieu!* - Ten mężczyzna sprawiał, że coś gwałtownie chwyciło ją za gardło, przez które z trudem przebijał się głos. Świadomie zwalczyła to uczucie i opanowanym głosem mówiła dalej: - Lubię cię, Declanie, chętnie przebywam w twoim towarzystwie i bardzo pragnę cię w łóżku. Jeśli tobie to nie wystarcza, to lepiej już pójde i oszczędzę nam obojgu wielu przykrości i rozczarowań.

- Czy zawsze tak się złościysz, gdy ktoś mówi, że cię kocha?

Nikt jej nigdy tego nie mówił i niewiele brakowało, a byłaby się do tego przyznała. Prawda była inna. Nikt z tych, którzy jej to mówili, naprawdę tak nie myślał...

- Nie lubię, gdy się mnie popycha - powiedziała. - A jeśli ktoś tak czyni, robię wszystko, aby nie pójść w tym kierunku.

- Podziwiam cię za to. - Uśmiechnął się, wstał i poważnie dodał; - Ja też cię lubię, Leno, chętnie przebywam w twoim towarzystwie i bardzo pragnę cię w łóżku. Na razie mi to wystarczy. Jesteś głodna? Myślę, że pora włączyć grill.

To był trik z jego strony, myślała, albo jakaś swoista strategia, aby ją wyprowadzić z równowagi. I to mu się udało. Po prostu, mimo że się starała, nie umiała tego faceta rozszyfrować. A ta jego wieczna zmiana nastrojów była sprytnym sposobem, mającym ją skłonić, by nie ustawała w próbach.

Przyrządzał potrawy typowe dla człowieka, który w prawdziwej kuchni by sobie nie poradził: ziemniaki w mundurkach pieczone na grillu i steki. Przymilał się do niej, żeby się zgodziła zrobić sałatkę.

O miłości nie powiedział już ani słowa. Pytał ją, jak jej się pracuje, czy dużo straciła w ciągu tych dwóch dni, kiedy na dworze padało. Puścił muzykę, ale uważał, by grała cicho, i rozmawiał z nią przez drzwi kuchenne, gdy grill dymił, a ona kroїła jarzyny.

Zachowywali się jak dwoje przypadkowo spotkanych przyjaciół albo para bardzo wygodnickich kochanków. Jedli w ładnej kuchni przy świecach. Dom nie sprawił im przykrej niespodzianki. Duchy zachowywały się spokojnie. Mimo to, a może właśnie dlatego, Lena była przez cały czas podenerwowana.

Wyciągnął z lodówki kupione w piekarni ciasto. Lena raz tylko na nie spojrzała i westchnęła:

- Nie mogę!

- Może zostawimy je na później.

- Nie, nie mogę. Zrezygnowałam z jedzenia czekolady w wielkim poście. Nie tknę jej przez czterdzieści dni, choć mam na nią ogromną ochotę.

- Ach! - Włożył ciasto z powrotem do lodówki. - Zobaczę, czy mam coś innego.

- A ty z czego byś zrezygnowała?

- Na przykład z noszenia kobiecej bielizny. To jest trudne, ale sądzę, że do Wielkanocy bym wytrzymała.

- Jeśli tak mówisz, to ci zabieram mój popiół... - Pomyś-

łała, że skoro się z nią drażni, najlepszym na to sposobem będzie odpłacić mu tym samym. Kiedy szukał czegoś w lodówce, stanęła za nim, otoczyła go ramionami w pasie i przyłgnęła do niego całym ciałem. - Powinieneś z czegoś zrezygnować, *cher*, z czegoś, na co masz ogromną ochotę.

- Na pewno nie z ciebie,...

Pozwolił, by okręciła go w koło i pchnęła z powrotem w stronę lodówki. Znał ją. Kiedy użyła swoich warg, by wzburzyć w nim krew, wiedział, że posługuje się seksem, aby być o krok przed nim. Skoro ona nie zdaje sobie sprawy, że on potrafi ją kochać tak samo mocno jak jej pożądać, jego zadaniem jest to udowodnić.

- Powiedziałeś, że pragniesz mnie w swoim łóżku. - Śmiało i niecierpliwie wędrowała ustami po jego twarzy. - W twoim łóżku - powtórzyła.

- Dojdziemy tam - zapewnił ją.

Ciągnęła go w stronę drzwi. On natomiast usiłował przeciągnąć ją w drugą stronę, do kuchennych schodów. Po chwili doszedł jednak do wniosku, że może być bardziej interesująco, gdy obiorą dłuższą, okrężną drogę. Przycisnął ją do ściany w holu i próbował zębami smaku jej szyi. Potem ściągnął z niej przez głowę bluzkę i odrzucił na bok. Szczepili się ze sobą, stojąc, a następnie szybkimi ruchami obrotowymi przemieszczali wzdłuż ściany. Gdy się zatrzymali, Lena tak gwałtownie dobrała się do jego koszuli, że przy rozpinaniu zerwała guziki, które rozsypały się po podłodze. Zanim dotarli do schodów, pozbyli się reszty odzieży. Buciki wylądowały z trzaskiem na ziemi. Stanik Leny przeleciał przez poręcz, a dzinsy spadły na trzeci schodek od dołu. Gdy dobrnęli na podest, niemal brakło im tchu.

Lena drżała pod szorstkimi rękami Declana, rękami robotnika, gdy je przesuwiał po jej skórze.

- Pośpiesz się! - zawołała i wbiła zęby w jego ramię. Wezbrała w niej szaleńcza żądza, a burza gwałtownej namiętności nie pozwoliła już na nic zważać. -Boże! Szybciej!

Niewiele brakowało, a wziąłby ją tam, gdzie stali, ale wolał mieć ją pod sobą i czuć, jak się porusza i pręży łukiem. Zmiałdżył ustami wargi Leny, otoczył ramionami jej talię i unióś ją na wysokość paru centymetrów od ziemi. Przeszyła go nagle

prymitywna myśl, że nie ma już wyboru, że nie pozostaje im nic innego, jak tylko kopulować. Okryci cieniem, ruszyli w stronę sypialni. Gdy stanęli przed drzwiami, owionęło ich przenikliwie zimne powietrze; Leną wstrząsnął dreszcz.

- Declanie!-krzyknęła.

- To my! - powiedział głośno. - To jest nasze! - Słowa te wyrzekł głosem brzmiącym jak warczące ostrzeżenie i przez cały czas trzymał Lenę żelaznym uściskiem. I wtedy poczuli, jak chłód się kurczy i oddala.

Padli na łóżko, spleceni rękami i nogami, przepelnieni żądzą. Gdy wszedł w nią, wpiła się paznokciami w jego plecy. Wypełniła ją ciemna i desperacka rozkosz. Jakiś dziki impuls podciągnął ją w górę, tak że cała się zwinęła wokół niego i zgrała z szaleńczym tempem jego ruchów. Nie kontrolowała się, nie czuła takiej potrzeby ani chęci. Było w niej tylko przemożne pragnienie, by brać, brać i brać; a jednocześnie ogromna potrzeba dawania.

Przywarła do niego, cwałując przez burzę doznań, coraz bardziej przyspieszając, wstępując coraz wyżej ku tej upragnionej krawędzi.

Jak przez mgłę usłyszała bicie zegara: głębokie, ciężkie uderzenia. Przy dwunastym wstrząsnął nimi jednocześnie ostatni, przejmujący dreszcz.

Gdy zaczął się odsuwać, mocniej go przytrzymała.

- Mmm. Zostań jeszcze...

- Jestem zbyt ciężki - szepnął i musnął wargami jej szyję.

- Ale tak mi dobrze... Lubię to! - mruzczała, leniwie przechylając głowę, by mógł utorować sobie drogę do jej ust. Pomimo zmęczenia i zadrapań jej ciało poczuło się cudownie rozluźnione. - To nawet lepsze od czekoladowego ciasta.

Zaśmiała się i obrócił razem z nią, tak że się znalazła na nim, rozciągnięta w poprzek jego piersi.

- Teraz już nie muszę się martwić, że cię zmiażdżę...

- Dżentelmen z ciebie, jak zawsze. - Zadowolona i uspokojona, wróciła myślą do zegara. - Wiesz - napomknęła - zawsze lubiłam zegary wybijające godziny. Musisz go wyregulować: nie ma jeszcze północy.

- Wiem!

- Twój zegar ma bardzo podobne brzmienie do wielkiego starego zegara mego dziadka. Gdzie go umieścisz? W salonie?
 - Nie - odparł, gładząc jej włosy. - Nie mam tu zegara, który by wybijał godziny.
 - Żartujesz, *cher!* Przecież wyraźnie słyszałam, jak zegar wybijał dwunastą.
 - Zgadza się! Ja też to słyszałem, niemniej zapewniam cię, że tu nie ma zegara.
- Uniosła głowę i westchnęła:
- Ach, tak? Nie szkodzi, chyba cię to nie przeraża, co?
 - Nie, wcale mnie nie przeraża.
 - Więc i mnie także nie - powiedziała i spokojnie położyła głowę na jego piersi.

Declan uważał, że najlepszym sposobem na usunięcie przeszkód na drodze do osiągnięcia celu jest metoda małych kroczków. Nigdy nie należy walić łbem, ryzykując rozbicie czaszki, lecz zwalczać przeciwności, usuwając je po trochu, stopniowo, rozsądnie i nieustepliwie.

Wszystko jedno, czy chodzi o proces sądowy, o rozgrywki sportowe, czy też związek miłosny, zawsze trzeba mieć jasno wytknięty cel, aby odpowiednio do tego wybrać właściwe środki postępowania. Świadom tego, że rekonesans jest ważny w każdej strategii, Declan dowiedział się, do którego kościoła i na jaką mszę chodzi Lena i jej babka. Kiedy w niedzielę rano usiadł obok nich w ławce, Lena obrzuciła go długim, pytającym spojrzeniem, a Odette porozumiewawczo i konspiracyjnie mrugnęła.

Declan wierzył, że Pan Bóg zrozumie i doceni jego wysiłek i nie będzie mu miał za złe, że używa niedzielnej mszy jako środka do czerpania osobistych korzyści. Nie zamierzał jednak zwierzać się z tego szalonego zamiaru matce, nauczony doświadczeniem, że ma ona mniej elastyczne podejście do tych spraw niż Pan Bóg.

Starając się oczarować swoim wdziękiem szczególnie Odette, namówił obie panie, by dały się zaprosić na małą przekąskę do restauracji. Jeszcze jedno chłodne spojrzenie dostało mu się od Leny, gdy po przyjsciu do lokalu podał hostessie swoje nazwisko, zdradzając tym samym, że już wcześniej zrobił rezerwację na trzy osoby.

- Jesteś bardzo pewny siebie, prawda, *cher*?
Popatrzył na nią niewinnymi oczami byłego ministranta:

- Staram się być zawsze na wszystko przygotowany.
- Przecież nie jesteś już harcerzykiem, kochanie! - docięła mu.
- Pani wnuczka jest bardzo cyniczna - zareagował Declan, ofiarowując ramię Odette.
- Jaka jest, taka jest, ale na pewno jest mądra - odparła Odette i poklepała go po ręce; wszystkie jej bransolety nagle się rozdzwoniły. - Kobieta musi być mądra, kiedy ma do czynienia z przystojniakami gładkimi w mowie i obejściu. A mężczyzna, który przychodzi do kościoła, by móc spędzić niedzielne przedpołudnie z kobietą, też jest niegłupi - przyznała.
- Pomyślałem, że także mógłbym przyjść do kościoła, by się pomodlić.
- A o co byś się modlił?
- Na przykład o to, żeby pani zechciała uciec ze mną na Borneo.

Śmiejąc się, Odette usiadła na krześle, które Declan jej podsunął.

- Czy nie nazbyt śmiało sobie poczynasz?
- Tak! - I patrząc na Lenę, dodał: - Zamierzam śmiało sobie poczynać.

Zamówił szampana i przystawki z obficie zaopatrzonego bufetu. Siedzieli, słuchając kwartetu jazzowego, który grał dixieland, a Declan opowiadał o postępach w odnawianiu domu.

- Będę się starał pracować na dworze, dopóki utrzyma się dobra pogoda. Tibald w dalszym ciągu zajmuje się murarką, a ja usiłuję znaleźć malarza, który podjąłby się pomalować zewnętrzne ściany. Sam wolałbym tego nie robić. Facet, który malował salon, wszedł na chwilę do biblioteki i zaraz potem opuścił dom. - Declan popijał szampana ze smutną miną. - I nie sądzę, aby wrócił. To samo dotyczy glazurnika. Wyłożył łazienkę tylko do połowy i nagle spakował manatki i odszedł.
- Mogę się popytać w okolicy o jakiegoś rzemieślnika dla ciebie - zaofiarowała się Odette.
- Będę bardzo wdzięczny. Sądzę jednak, że będę musiał szukać gdzieś poza naszą parafią albo sam wykonać niektóre prace. Trochę za dużo się dzieje we dworze...

- Że też dorośli mężczyźni wystraszyli się i uciekają z powodu kilku drzwi, które się same zatrzasnęły... - drwiła Lena. - Trzeba mieć jakiś kregostup.

- Trzaskanie trochę się ostatnio nasiliło - wyjaśnił Declan. - W dodatku zegary wybijają godziny, choć żadnych wydzwaniających zegarów nie ma, muzyka gra w całkiem pustych pokojach. Malarz, który na chwilę wszedł do biblioteki, zauważył, że wewnętrzne drzwi same się otwierają i zamykają. A potem zdarzyła się ta przekomiczna sytuacja.

- Jaka sytuacja?

- Chodzi o glazurnika. - Declan blade się uśmiechnął. - Otóż glazurnik mi wyznał, że gdy pracował w łazience, usłyszał, że ktoś wchodzi do sypialni. Myślał, że to ja, więc zachowywał się swobodnie, mówił do mnie i układał kafle. W pewnej chwili stwierdził, że ten ktoś - sądził, że to ja - hałasuje, krzątając się po pokoju. Ponieważ nie odpowiadałem na jego pytania, przerwał na chwilę robotę i zajrzał do sypialni, ale nikogo tam nie było. Z tego, co mogłem od niego wydobyć, kiedy potrafił już logicznie myśleć, drzwi od łazienki same się zatrzasnęły, a w kominku polana same się zapaliły. Twierdził też, że poczuł, jak ktoś mu kładzie rękę na ramieniu. Musiałem biedaka niemal ściągać z sufitu, gdy tam przyszedłem...

- I co o tym sądzisz? - spytała Odette.

- Wydaje mi się, że im większe postępy czynimy w pracy nad odnawianiem domu, tym bardziej otwarcie i niebezpiecznie ożywa ta... paranormalna aktywność - tak bym ją nazwał. Dzieje się to szczególnie wtedy, gdy zmieniam dawny wystrój domu.

Lena nabrała pełny widelec mamałygi, popularnej na Południu potrawy, do której kubki smakowe Declana jeszcze nie przywykły.

- Nie bardzo rozumiem, co masz na myśli.

- Weźmy na przykład prace murarskie. Tam, gdzie te prace prowadzimy, wszystko jest w porządku. Gdy odnawiam dawne sztukaterie lub je kopiuję, nic się nie dzieje. Ale gdy wprowadzam zmiany, na przykład w urządzeniu łazienki czy układzie glazury, zaczynają się dziać naprawdę interesujące rzeczy. To jest tak, jakby to coś, co jest w tym domu, chciało nas ukarać za to, że nie trzymamy się pierwotnego planu.

- To rzeczywiście daje do myślenia - skostatowała Odette.
- Zastanawiałem się nad tym i podejrzewam, że sprawczynią jest Josephine Manet. - Nawet w lokalu, gdzie dźwięki dixielandu wyraźnie jeszcze rozbrzmiewały w powietrzu i wesoło musował szampan, imię, które wymówił, przejmowało strachem. - Josephine Manet, pani tego dworu. Wystarczy spojrzeć na jej fotografię, aby nabrać przekonania, że ta kobieta nie lubiła, by się jej sprzeciwiać. I nagle ja się zjawiam i odciskam swoje ślady na wszystkim, co kiedyś do niej należało.
- I decydujesz się tu zostać i mieszkać z nią? - chciała wiedzieć Odette. Obserwując go, widziała, że mu się szczęki zaciskają.
- Tak! Jestem zdecydowany nadal mieszkać we dworze i przerabiać go po swojemu. A jeśli ona zamierza stroić fochy z tego powodu, to jej sprawa.
- Co o tym sądzisz, babciu? - wtrąciła się Lena. - Czy postanowienie Declana świadczy o jego odwadze, czy uporze?
- Myślę, że Declan jest odważny i uparty. To dobre połączenie.
- Dziękuję, panno Odette! Sam jednak nie jestem pewien, czy w tym wypadku rzeczywiście chodzi o odwagę. Po prostu uważam, że to jest mój dom, i to wszystko. Z drugiej strony nie zdziwiłbym się, gdyby ktoś, kto zainwestował w dom tylko swój czas i pracę, zdecydował się odejść. Czy pani zdaniem będę miał kłopoty z Josephine?
- Wydaje mi się, że masz do czynienia z dwiema przeciwstawnymi siłami. Jedna cię tu przywiodła, a druga chce, żebyś sobie stąd poszedł. Wszystko się sprowadza do tego, która z tych sił ma więcej mocy. - Otworzyła swoją wyjściową torebkę i wyjęła z niej niewielki muślinowy woreczek. - Zrobiłam to dla ciebie.
- Co to jest?
- Taka mała kuchenna magia. Po prostu trzymaj woreczek w kieszeni. Może nie pomóc, ale na pewno nie zaszkodzi. - Sięgnęła po kieliszek i wpatrywała się weń z uśmiechem. - Kto to widział, żeby pić szampana na śniadanie?
- Jeśli zdecyduje się pani pojechać ze mną na Borneo - żartował Declan - będzie się pani mogła kąpać w szampanie.

- Ależ ja, *cher*, i tak go sporo piję. Może nawet więcej od ciebie.
- Zamówię dla nas drugą kolejkę.

Declan jest taki miły dla babci - myślała Lena. Flirtował z nią przez cały ten długi, trochę nudny poranek, póki się policzki Odette nie ożywiły rumieńcem. On stara się być dobry dla ludzi. Poświęcił swój czas i trud, by się dowiedzieć, co nam może sprawić przyjemność, potem zrobił wszystko, byśmy były zadowolone.

Był uważający, mądry, seksowny, bogaty, odważny i uprzejmy. No i wyznał, że jest w niej zakochany. Miała nadzieję, że zna go już na tyle dobrze, by być pewną, że nie powiedziała by tego, gdyby tak nie myślał. I to ją denerwowało. Bo poza innymi dobrymi cechami był jeszcze uczciwy i postępował w sposób niezwykle stanowczy.

Z łatwością mógł doprowadzić do tego, by się w nim zakochała. Właściwie pod tym względem była już na dobrej drodze i robiła postępy. Za każdym razem, kiedy próbowała przyhamować trochę głębiej wbić się obcasami w grunt, traciła równowagę. Te upadki były zarówno bolesne, jak i podniecające.

Ale co będzie, gdy dojdzie do katastrofy? Bo jeśli spadnie, utraci szansę, by się powtórnie wspiąć do góry. To już zrozumiała. Wiedziała też, że stosunki z mężczyznami wydawały się łatwe jedynie wtedy, kiedy jej niezbyt na nich zależało lub gdy interesowały ją tylko na krótko. Natomiast ilekroć w grę wchodziło trwałe uczucie, wszystko się zmieniało. Musiała przyznać, że teraz wiele się w jej życiu zmieniło: pragnęła Declana i za nim tęskniła. Do tego doszło poczucie zadowolenia i dumy, gdy byli razem. Bez trudu potrafiła sobie wyobrazić, z drugiej strony Declan mógłby domagać się od niej obietnic, których nie mogła mu dać. Nie mogła, bo nie tyle się bała, ile miała opory, że trudno by jej było ich dotrzymać. Gdy jednak zobaczyła, jak on nachylił się nad babcią i pocałował w policzek, obleciał ją strach (nie miało sensu udawać, że jest inaczej), że może skończyć się na tym, iż da mu wszystko, o co tylko poprosi.

*

Emablował ją. To popularne na Południu słowo wydawało się Declanowi szczególnie atrakcyjne. Przywodziło na myśl światło księżycy, huśtawkę wiszącą w drzwiach, kwaśną lemoniadę i wiejskie tańce.

Przez cały marzec interesowały Declana dwie sprawy: czas i związana z nim praca oraz Lena i dom.

Neurologiczne testy, jakie na wszelki wypadek przeprowadził, dały dobry wynik. Aby to uczcić, Declan wziął wolny dzień i poświęcił go na ulubione szukanie antyków.

Wiosna zaczarowaną pałeczką obudziła do życia kwiaty, a spacerowiczów zmusiła, by paradowali w samych koszulach, bez marynarek. Uwielbiane przez turystów, zaprzężone do powozów konie wesoło stukwały kopytami o bruk. Już wkrótce - pomyślał Declan, lato położy na nas ciężką rękę i powietrze zamieni się w gorącą melasę. I od razu mu się przypomniało, że musi poprawić we dworze klimatyzację i raz jeszcze rozważyć, czyby nie zainstalować w niektórych pokojach wentylatorów.

Ulegając swojej pasji kupowania antyków, uradował odwiedzinami kilku właścicieli sklepów ze starociami. W końcu zatrzymał się dłużej w antykwariacie o zaskakująco prostej nazwie: WCZORAJ. Obejrzał sporo rzeźb, lamp, różnego rodzaju przyborów i biżuterii. Ciekawostkę stanowiły stojące rzędem trzy zasłonięte budki, w których klienci mogli sobie zafundować wróżenie z kart tarota.

Pierwszą rzeczą, którą Declan poważnie się zainteresował, był pierścionek. Rubin czerwony jak krew i lodowato biały brylant tworzyły złączone ze sobą połówki serca umieszczonego na platynowej obrączce. W tej chwili, gdy wziął pierścionek do ręki, już wiedział, że chce go dla Leny. Możliwe, że głupotą było kupować pierścionek zaręczynowy właśnie teraz, gdy ich wzajemne stosunki jeszcze się nie wykrystalizowały. Niepotrzebną brawurą można by też nazwać fakt, że kupił pierścionek od razu, zanim obejrzał inne. Miał jednak głębokie przekonanie, że właśnie ten chciałby włożyć Lenie na palec. Pocięszął się myślą, że skoro mężczyzna może kupić dom pod wpływem chwilowego kaprysu, to nie ma powodu, by nie mógł w podobnych okolicznościach nabyć pierścionka.

- Biorę go - zdecydował.

- Jest piękny - pochwaliła właścicielka sklepu. - Ta pani, dla której jest przeznaczony, ma szczęście.

- Właśnie robię wszystko, by ją o tym przekonać.

- Polecam też panu bardzo ładne kolczyki, które świetnie pasują do tego pierścionka. Czy pan się orientuje, jaki kamień jest symbolicznie związany z miesiącem urodzenia tej pani? Czy jest nim właśnie rubin? - Pokazała parę kolczyków z wiśiorkami z rubinowych serduszek i brylantów.

- Nie wiem, jaki to kamień - odparł. Znał jednak datę urodzenia Leny. Zdobył ją od Odette, aby mieć pewność, że nie zapomni o urodzinach jej wnuczki. - Miesiąc, o jaki pani pyta, to lipiec.

- Jeśli lipiec - ucieszyła się - to właśnie rubin jest odpowiednim kamieniem. - Co za szczęśliwy zbieg okoliczności! - dodała.

- Żartuje pani - zaśmiał się. Ale gdy znowu spojrzął na pierścionek, poczuł małe mrowienie na grzbiecie. Pewne rzeczy są mi widać przypisane... - powiedział sobie w duchu. Wziął do ręki kolczyki i oczami wyobraźni zobaczył je na Lenie. Sprzedawczyni zaś mogła w swojej wyobraźni ujrzeć na jego czole napis: TEN KLIENT KUPUJE POD WPŁYWEM IMPULSU.

Declan pochylił się nad kontuarem i spróbował swoją jankeską zręczność w targowaniu się przeciwstawić typowo południowej umiejętności przebijania cen w handlu końmi. Domyślił się, że osiągnął przyzwoite warunki transakcji, bo sprzedawczyni zachowała uśmiech na twarzy, choć nie był już taki olśniewający jak przedtem.

- Czy coś jeszcze panu pokazać? - spytała.

- Nie, muszę już iść. Jestem chyba trochę... - I przerwał, gdy, patrząc na zegarek, stwierdził, że ten znowu zatrzymał się na dwunastej. - Wie pani, przydałby mi się zegarek, ale kieszonkowy. Mój stary zegarek coraz częściej mnie zawodzi, pewnie uderzyłem nim o coś, bo wykonuję teraz sporo prac ciesielskich.

- Mamy wspaniałe zegarki kieszonkowe z łańcuszkami. I powiem panu, że stare chronometry o wiele bardziej pobudzają wyobraźnię.

Zaprowadziła go do oszklonej szafki, a potem wyjęła szufladę i postawiła na ladzie.

- Zegarki takie jak te - zaczęła - to coś więcej niż tylko przyrządy do mierzenia czasu; każdy z nich ma swoją historię. Ten na przykład...

- Nie! - krzyknął. Wzrok mu się zaćmił. Rozmowy klientów i głosy ludzi słyszał jak odległy szum. Jednak jakaś cząstka jego osobowości pozostała wystarczająco przytomna, by zrozumieć, że dzieje się z nim coś dziwnego. Miał wrażenie jakby dusza oddalała się od ciała. Próbował ją powstrzymać, zawrócić, ale jedyne, co widział, to własną dłoń wyciągniętą po złoty zegarek z łańcuszkiem. Głos sprzedawczyni unosił się gdzieś w oddali, na granicy jego świadomości. Nagle usłyszał głos, który przebił inne: był czysty jak dzwon, kobiecy, młody, podniecony.

Kupuję ten zegarek. To dla męża na urodziny. Jego jest już zniszczony. Pragnę dać mu coś specjalnego. Ten jest taki ładny... Czy można prosić o wygrawerowanie napisu?

Wiedział dokładnie, co zobaczy, zanim jeszcze odwrócił zegarek i przeczytał na odwrocie:

*Lucianowi od jego Abby dla uczczenia naszego życia razem.
4 kwietnia 1899*

- Proszę pana, proszę pana! - usłyszał. - Czy pan się dobrze czuje? Może podać wody? Strasznie pan zbladł.

- Co takiego?

- Może przyniosę panu wody? Nie chciałby pan usiąść?

- Nie! - Zamknął dłoń, w której trzymał zegarek, i poczuł, że jego dziwny stan już ustępuje. - Nie, dziękuję! Nic mi nie jest. Kupię u pani jeszcze ten zegarek.

Gdy wchodził do biura Remy'ego, wciąż jeszcze był ogromnie wzburzony. Miał nadzieję, że jeśli spędzi jakiś czas w rzeczowej atmosferze handlowej dzielnicy, w klimacie prawa, prędej będzie się mógł uspokoić.

Chciał pobyc chwilę z przyjacielem, który wprawdzie uważał go ostatnio za niespełna rozumu, ale na pewno go kochał.

- Gdybyś mi powiedział, że masz zamiar do mnie wpaść — zaczął Remy, zamykając drzwi kancelarii - rozłożyłbym sobie pracę tak, by pójść z tobą na lunch.

- Ale ja zupełnie się nie spodziewałem, że będę dziś w twoich stronach.

- Pewnie znowu coś kupowałeś, co? - Remy wskazał głową torbę, którą Declan trzymał w ręce. - Człowieku, dlaczego nie sprowadzisz sobie rzeczy z Bostonu?

- Prawdę mówiąc, oczekuję stamtąd transportu w przyszłym tygodniu. Będą to jednak głównie książki. - Obrzucił wzrokiem kancelarię Remy'ego; zwróciły jego uwagę przede wszystkim grube segregatory, teczki, książki prawnicze i notatniki. Wszystkie te adwokackie atrybuty wydały mu się teraz bardzo odległe, w obecnej sytuacji zupełnie mu nieprzydatne. - Niewiele mebli, najwyżej kilka sztuk z tych, które miałem w gabinecie w Bostonie, przyda mi się teraz. Umieszczę je w bibliotece. - Wziął do ręki mosiężny przytrzymywacz do papierów i zaraz odłożył na biurko. Wsunął dłoń do kieszeni i bawił się, potrząsając drobnymi monetami.

- Czy powiesz mi wreszcie, o co ci chodzi, czy będziesz tak chodził tam i z powrotem, aż wykopiesz rów w dywanie? - zirytował się Remy. - Z marynarką udrapowaną na oparciu krzesła,- w rozluźnionym krawacie, ze zrolowanymi rękawami, Remy wiercił się niecierpliwie w miejscu, ściskając w dłoni chińską kulę dla uspokojenia nerwów. - Zaczynasz mnie męczyć.

- Mówiłem ci o dziwnych rzeczach, które dzieją się w moim domu, prawda?

- Tak. Miałem nawet informację z pierwszej ręki, że tak powiem, gdy wpadłem do ciebie w sobotę. Z pewnością poczułbym się lepiej, gdybyś mi wtedy powiedział, że muzyka fortepianowa, którą tak wyraźnie słyszeliśmy, pochodziła z radia, bo zapomniałeś je wyłączyć, a nie...

- To mi przypomina, że muszę się wystarać o pianino do salonu. Tam będzie chyba najwłaściwsze dla niego miejsce. Lubię czasem pograć, kiedy mi raz na jakiś czas przyjdzie na to ochota.

- Ach, więc wpadłeś do mnie, by mi powiedzieć, że zamierzasz kupić pianino?

- Nie! Chciałem ci opowiedzieć o zegarku, który dzisiaj nabyłem.

- I chcesz się nim pochwalić? Może mam jeszcze zawołać

asystentkę i kilku innych prawników, żebyś miał większe audytorium'?

- Przestań! Chodzi o to, że ten zegarek należał do Luciana Maneta.

- Nie żartuj! - Odłożył chińską kulę na bok. - Skąd o tym wiesz? Gdzie go zdobyłeś?

- W małym sklepie z antykami we francuskiej dzielnicy. - Wyjął pudełko i położył na biurku Remy'ego. - Obejrzyj go sobie!

Remy posłusznie zdjął pokrywkę.

- Elegancki - pochwalił. - Jeśli oczywiście miałeś zamiar kupić coś, co trzeba wygrzebywać z kieszeni, ilekroć chce się wiedzieć, która godzina. A jaki ciężki... - dodał, podnosząc zegarek.

- Nie czujesz niczego, co emanuje z tego zegarka?

- Niby co mam czuć?

- Spójrz, co wygrawerowano na odwrocie koperty.

- Nazwiska i daty się zgadzają - stwierdził Remy. - Masz niezwykle szczęście, że na niego trafiłeś.

- Szczęście? Nie sądzę. Poszedłem do sklepu, żeby kupić Lenie pierścionek, i nagle...

- O, la la! Poczekaj chwilę! Mówisz, że kupowałeś Lenie pierścionek?

- Przecież cię informowałem, że się będę z nią żenił. - Declan wzruszył ramionami. - Znalazłem odpowiedni pierścionek i go kupiłem. Mam nadzieję, iż nikomu nie przeszkadza, że nabyłem go trochę przed czasem. Ale nie o to chodzi...

- Owszem, chodzi, i to o coś cholernie ważnego. A czy Lena wie, jakie masz wobec niej zamiary?

- Powiedziałem jej, co czuję i czego pragnę. Dałem jej trochę czasu, żeby się nad tym zastanowiła. Ale czy możemy wrócić do sprawy zegarka?

- *Et la!* Zawsze byłeś uparty jak muł. Mów dalej!

- Otóż wchodzę do sklepu i decyduję się na kupno zegarka, bo mój ostatnio strasznie śpieszył. Postanowiłem kupić zegarek kieszonkowy, mimo że nigdy takiego nie używałem i nie miałem zamiaru używać. Potem zobaczyłem to złote cudeńko i od razu, nie wiem, jak to się stało, ale od razu wiedziałem, że był jego, że należał do Luciana Maneta, i że Abby kupiła mu

go na urodziny. Wiedziałem też, co jest wygrawerowane na kopercie, zanim przeczytałem napis. Dokładnie słowo w słowo. Miałem wrażenie, że słyszę te słowa w głowie.

- Nie wiem, co mam o tym myśleć - powiedział Remy, leniwie przeczesując palcami włosy. - Ale czekaj! Chyba coś o tym czytałem. Podobno są ludzie, którzy, dotykając jakiegoś przedmiotu, doznają czegoś w rodzaju olśnienia, które daje im pewną wiedzę o tym przedmiocie. Nie wiem, jak to się naukowo nazywa...

- Chodzi ci chyba o psychometrię. Kiedyś, mając sporo wolnego czasu, przeczytałem masę książek na tematy - że tak powiem - paranormalne... - tłumaczył Declan, a Remy patrzył na niego nieco zgorzony. - W praktyce jednak nigdy mi się nic takiego nie przydarzyło. Lena ma swoją własną teorię: jej zdaniem chodzi tu o reinkarnację.

- A wiesz, że ja też skłoniłbym się raczej do reinkarnacji niż do tej psycho.. coś tam - oznajmił Remy, włożywszy zegarek z powrotem do pudełka.

- Skoro tak, to znaczy, że mój dom, a teraz także ten zegarek przywołują do życia coś, co należy do dawno minionej przeszłości. Mnie się to wydaje bardzo dziwaczne.

- Boję się, że ta cała sprawa była dziwaczna od samego początku, *cher*.

- Wiesz, jaki mam w związku z tym problem? Bo jeśli przyjąć, że ja jestem Lucianem, w takim razie Lena to Abigail. Ale nie wiem, czy powinienem wprowadzić ją do tego domu, żeby wszystko się ułożyło tak, jak kiedyś miało być, czy raczej trzymać ją z dala od dworu Manetów i nadać całej sprawie nowy bieg.

W Vieux Carre Lena właśnie się przygotowywała do opuszczenia prywatnego apartamentu nad barem, by zejść na dół i rozpocząć popołudniowy dyżur za ladą. Gdy jednak otworzyła drzwi, okazało się, że zaczął się dla niej nowy rozdział starej jak świat historii.

- Witaj, dziecinko! - usłyszała i Lilibeth Simone szeroko otworzyła ramiona.

Lena, mocno zszokowana, nie była zdolna się cofnąć i wpadła w żelazny uścisk ramion matki, jak w potrzask. Wśród wielu

przykrych wrażeń, jakich w tym momencie doznała, uderzył ją zbyt mocny zapach perfum, który jednak nie zniwelował nieprzyjemnej woni dymu papierosowego. Miała przed sobą kobietę chudą i kościstą, z twarzą zniszczoną przez lata trudnego życia; na jej głowie widniały klejące się pokłady płynu do włosów w sprayu, próbujące utrzymać w formie loki ufarbowane na czarny jak smoła kolor. Wszystko to wywołało w Lenie ciemne uczucie lęku; bała się nie tyle matki, ile kłopotów, jakie jej obecność niechybnie zwiastowała.

- Wiesz, kochanie, najpierw zeszałam na dół i ten przystojny młody człowiek za barem powiedział, że wciąż jeszcze jesteś na górze. Tak się cieszę, że cię zastałam. - Matka wesoło paplała, a jej głos to się podnosił, to znów opadał. - Niech no się tobie przyjrzę. Słowo daję, przysięgam, za każdym razem, gdy cię widzę, stajesz się coraz ładniejsza. Moja ty słodka dziewczynko!... Muszę przysiąść na moment i złapać oddech. Taka jestem podniecona, gdy cię widzę, że nie mogę wprost ustać.

Mówi zbyt szybko, zauważyła Lena, i zbyt szybko się porusza. Matka chodziła w szpilekach bez pięt i jaskraworóżowych, ciasno opiętych kapronowych rajstopach. Jej podniecenie wskazywało na zażycie narkotyku; musiała wziąć sporą dawkę i chyba bardzo niedawno.

- Wystarczy spojrzeć na to, co uczyniłaś z tego lokalu... - Lilibeth z hukiem opadła na krzesło, a obok na podłodze postawiła walizkę w kwiecisty deseń. Klaskała w dłonie jak dziecko, a plastikowe bransolety, które zdobiły jej kościste nadgarstki, stuknęły, uderzając o siebie. - Muszę powiedzieć, że strasznie mi się tu podoba. I do twarzy ci z tym otoczeniem, dziecinko. Pasujesz do niego.

Matka kiedyś była ładna - myślała Lena, przypatrując jej się spod oka. Potwierdzały to zdjęcia. Ale cała jej uroda jakby gdzieś przepadła: jakby ją ktoś z niej ociosał, jakby zdarł, posługując się twardym narzędziem. W wieku czterdziestu czterech lat Lilibeth miała wypisane na swoim obliczu, że nadużywa alkoholu, ćpa bez umiaru i zbyt wielu mężczyzn przewinęło się przez jej życie.

Lena celowo zostawiła drzwi do mieszkania otwarte i stała na progu, jakby szukała oparcia w odgłosach ulicznego ruchu i zapachach płynących z piekarni naprzeciwko.

- Czego chcesz? - spytała bez ogródek.
- Dlaczego pytasz? To przecież jasne: chciałam cię zobaczyć. - Lilibeth roześmiała się tak przeraźliwym śmiechem, że Lena miała wrażenie, jakby ktoś przejeżdżał paznokciem po szkle, i ten dźwięk niemal drapał ją w mózg. - Jeszcze się zastanawiasz? Rwałam się, by się z tobą spotkać, dziecinko. Powiedziałam sobie: wiem, że moja Lena jest zajęta, ale choć na chwilę do niej wpadnę. Wsiadłam do autobusu i oto jestem! Usiądź przy mnie, kochanie, i opowiedz mi o wszystkim, co robisz.

Obrzydzenie. Tak określała Lena to, co czuła, i wcale się przed tym nie broniła. Obrzydzenie było lepsze od rozpacy, która wciskała się do jej serca.

- Nie mam czasu. Pracuję.

- No nie! Możesz chyba poświęcić chwilkę własnej matce? Przecież jakkolwiek na to patrzeć, jesteś właścicielką tego lokalu. Nie masz pojęcia, jak mnie rozpiera duma, dziecinko, że jesteś już taka dorosła i prowadzisz własny biznes. No i że tak dobrze ci się powodzi - dodała, rozglądając się po pokoju.

Lena zauważyła chytre spojrzenie matki; coś ją ścisnęło w dołku i poczuła, że serce jej twardnieje.

- Powiedziałam ci już, gdy byłaś ostatnim razem, że więcej nie dostaniesz ode mnie żadnych pieniędzy.

- Dlaczego raniśz moje uczucia? - Oczy Lilibeth napęłniły się łzami. - Przecież ja nie chcę nic więcej, tylko spędzić parę dni z moją małą dziewczynką.

- Nie jestem małą dziewczynką - odparła tępym głosem Lena. - A już na pewno nie jestem twoją dziewczynką.

- Nie bądź taka niemila, kochanie, skoro już przyszłam, pokonując tak dużą odległość, by znowu cię zobaczyć. Wiem, moja droga, że nie byłam dla ciebie dobrą matką, ale teraz ci to wynagrodzę. - Podniosła się i przycisnęła dłoń do serca. Lena spostrzegła, że paznokieć małego palca matki jest bardzo długi i lekko zakrzywiony. „Kokainowy paznokieć” - domyśliła się, ale nie czuła z tego powodu ani nadmiaru emocji, ani żalu. Tyle tylko, że teraz już wiedziała, jakiego narkotyku Lilibeth używa.

- Popęłniałam błędy, wiem, że tak było, kochanie. - W głosie matki Lena wyczuła ton przeprosin i skruchy. - Mu-

sisz mnie zrozumieć. Byłam taka młoda, kiedy przyszedł na świat.

- Ten argument już się zdewaluował: za często go używasz.

Lilabeth pogrzebała w błyszczącej czerwonej torebce i wyciągnęła zmiętą chusteczkę.

- Dlaczego jesteś taka niedobra dla swojej mamy? Dlaczego ranisz mi serce?

- Nie masz serca i nie jesteś moją matką.

- Jak to nie? Przecież przez dziewięć miesięcy nosiłam cię w swoim łonie.

Przez chwilę Lena współczuła matce, ale teraz jakby ktoś przekreślił w niej kontakt: współczucie przemieniło się w złość. Lilabeth podniosła głos i mówiła ostrym, nieprzyjemnym tonem.

- Przez dziewięć miesięcy było mi wciąż niedobrze, byłam gruba jak beka i nie mogłam się nigdzie ruszyć z tych przekłetych bagien. Godzinami leżałam w bólach, rodząc cię.

- I po tygodniu mnie porzuciłaś. Nawet dziwka spędza więcej czasu ze swoim dzieckiem, niż ty spędziłaś ze mną.

- Miałam tylko szesnaście lat...

I to właśnie ta świadomość, ten smutny fakt sprawiał, że Lena mimo wszystko znajdowała dla matki miejsce w swoim sercu. Ale do czasu. Teraz serce jej stwardniało od wielu bolesnych ciosów.

- Lecz już od dłuższego czasu nie jesteś szesnastolatką, prawda? Ja też nie! Ani myślę tracić czas na bezowocne dyskusje. Muszę iść do pracy, a ty musisz odejść.

- Ależ, dziecińko! - Lilabeth przestraszyła się i postanowiła zmienić taktykę, nadając znów głosowi łzawe i zdławione wzruszeniem brzmienie.

- Musisz dać mi szansę naprawienia zła. Chcę postarać się o pracę; właściwie mogłabym przez jakiś czas pracować u ciebie. To by dopiero było fajnie. Po prostu zostałabym z tobą ze dwa tygodnie, póki nie znajdę innego miejsca. Świetnie by się nam razem żyło: byłybyśmy jak dwie przyjaciółki od serca...

- Nie! Ani nie będziesz u mnie pracowała, ani nie możesz tu zostać. Już raz przed czterema laty popełniłam ten błąd i gdy cię przyłapałam na oszustwach i przekrętach, okradłaś mnie i gdzieś się ulotniłaś. Nie powtórzę tego.

- Ale wtedy byłam chora, wiesz, byłam uzależniona, a teraz już nie biorę, kochanie. Przysięgam ci! Nie możesz mnie tak po prostu wyrzucić. - Błagalnym gestem wyciągnęła do córki ręce. - Jestem kompletnie zrujnowana. Billy zabrał mi prawie wszystko, co miałam, i uciekł.

Lena mogła się tylko domyślić, że Billy był ostatnim z długiego szeregu wykorzystywaczy, nieudaczników i narkomanów, z jakimi się jej matka zadawała.

- Nawet teraz jesteś na haju! - krzyknęła. - Czy myślisz, że jestem ślepa, czy głupia...

- Ależ nie, wcale tak nie myślę! To prawda, że zażyłam coś małego, ale zrobiłam to tylko z nerwów, że znowu cię zobaczę. Wiedziałam, że będziesz na mnie wściekła... - Oczy miała pełne łez, które spływały jej po policzkach, niosąc ze sobą małe grudki tuszu. - Musisz dać mi szansę, żebyśmy mogła wynagrodzić ci przeszłość. Leno, kochanie, ja się zmieniłam!

- Ta sztuczka też się już zdewaluowała. W każdym razie, jeśli chodzi o mnie. - Lena z rezygnacją wyjęła z torebki pieniądze i odliczyła pięćdziesiąt dolarów. - Masz! - powiedziała i wcisnęła je Lilibeth do ręki. — Zabierz to, siądź do autobusu i jedź tam, dokąd cię tylko zabierze, byle jak najdalej stąd! I nie przychodź tu więcej! Tutaj nie ma dla ciebie miejsca.

- Nie możesz być dla mnie taka niedobra, dziecinko. Nie możesz być taka nieczuła.

- Owszem, mogę. Mam to we krwi. - Wzięła walizkę matki, przeniosła przez pokój i wystawiła za drzwi. - Pięćdziesiąt dolarów to wszystko, co ode mnie dostaniesz. Zabierz je i wynoś się stąd, bo jeśli sama tego nie zrobisz, to przysięgam Bogu, że cię wyrzucę!

Lilibeth pomaszerowała do drzwi. Pieniądze od razu zniknęły w jej torebce. Zatrzymała się i błyszczącym okiem raz jeszcze spojrzała na Lenę.

- Nigdy ciebie nie chciałam - mruknęła.

- Więc jesteśmy kwita, bo ja także nigdy ciebie nie chciałam. - Zatrzasnęła drzwi tuż przed nosem matki, potem przekręciła klucz i usiadłszy na podłodze, zapłakała.

*

Gdy wieczorem wyruszyła samochodem do dworu Manetów, była przekonana, że bolesne chwile ma już za sobą. Wprawdzie początkowo chciała odwołać umówione spotkanie z Declanem i kolację, na którą ją zaprosił, ale doszła do wniosku, iż równałoby się to uznaniu ważności matki i potwierdziło, że smutek przedostał się do jej serca mimo drzwi zamkniętych na klucz.

Musiała się przestawić na inne tory, zmienić nastrój, a nie zdobyłaby się na to, gdyby siedziała w domu i rozmyślała. A tak godzina po godzinie minie noc i rano Lilibeth zniknie nie tylko z jej życia, lecz także z pamięci.

Gdy dojechała do dworu, dom wydał jej się trochę inny. Wprowadzone zmiany, choć niewielkie, w jakiś sposób sprawiły, że wyglądał bardziej realnie. Przyjemnie było na niego patrzeć, przyglądać mu się w skupieniu i stwierdzać, że jednak czasem udaje się zmienić coś na lepsze.

Dawniej Lena myślała o dworze Manetów jak o jakimś bajkowym miejscu, którego początki pogrążone są w zamierzchłej przeszłości. Ostatnio jednak doszła do wniosku, że jest on czymś więcej: stanowi część przeszłości, także jej własnej.

Wystarczyło spojrzeć na ściany tego domu, przypominające szachownicę, na której nowe, niemalowane deski przeplatały się z łuszczącymi się i białymi ze starości, albo na okna, z których jedno lśniły czystością, a inne pokrywała gruba warstwa kurzu - by się przekonać, jak ogromne postępy zrobiono w odbudowie; Declan przywracał ten dwór do życia.

Chociaż ogród z frontu był wciąż jeszcze nieco zapuszczony, to jednak kwitły w nim już kwiaty, a na balkonie Declan postawił ogromną donicę pełną begonii. Na pewno sam je posadził - myślała, podchodząc do drzwi wejściowych. Declan lubił się przykładać do pracy, zwłaszcza gdy chodziło o jego własność. Zastanawiała się, czy i o niej nie myśli jako o jednej ze swoich dobrze zapowiadających się prac. Przypuszczalnie tak właśnie myślał. Nie była jednak pewna, czy ją to bawi, czy irytuje.

Weszła do środka. Sądziła, że skoro dwoje ludzi spało ze sobą raz czy dwa razy, to w stosunkach między nimi zbyteczne są wszelkie formalności.

Najpierw poczuła zapach lilii, przyjemny i mocny, przeno-

szący jak gdyby ogród do mieszkania. Potem zauważyła, że Declan ustawił piękny, antyczny stół i dwa krzesła z prostymi oparciami. W końcu stwierdziła z uśmiechem, że nabył także olbrzymią ceramiczną krowę i umieścił ją w przedpokoju. Niektórzy nazwą to głupotą, pomyślała, innym wyda się urocze, ale nikt już nie powie, wchodząc do tego starego holu, że jest szary lub pospolity.

- Declanie! - zawołała, ale nikt się nie odezwał. Weszła do salonu i wychodząc zeń, odnotowała jeszcze kilka innych nowości. Obeszła dookoła bibliotekę i mijając półkę nad kominkiem, zauważyła stojące na niej dwa ciężkie lichtarze. Dlaczego jej palce zdrząły - zastanawiała się - kiedy wyciągnęła dłoń, by ich dotknąć? Dlaczego te stare, zmatowiałe lichtarze wydały jej się tak dziwnie znajome? Nie było w nich niczego specjalnego, naprawdę. Może sporo kosztowały, ale jak na jej gust przeładowano je ozdobami. A jednak... każdy z nich lekko pogłaskała palcami. I musiała przyznać, że wyglądają tu bardzo dobrze, są na właściwym miejscu. Mogła sobie nawet wyobrazić, że czekają, by znowu w nich umieszczono wysmukłe białe świece. Zdawało jej się też, że wyczuwa zapach topiącego się wosku... Drżąc, cofnęła się i wyszła z pokoju.

Pięła się schodami w górę i przez cały czas wołała Declana. Gdy stanęła na pierwszym podeście, nagle otworzyły się drzwi ukryte w ścianie i oboje z Declanem jednocześnie zdławili w sobie krzyk strachu.

Dusząc się ze śmiechu, Lena wpatrywała się w gospodarza domu. Miał pajęczynę we włosach, brud rozsmarowany na policzkach i dłoniach, a w ręku trzymał migoczącą lampę błyskową.

- O Boże! *Cher!* Na drugi raz lepiej mnie od razu zastrzel i będziesz miał kłopot z głowy.

- Dokładnie to samo mógłbym tobie powiedzieć - warknął, po czym odetchnąwszy głęboko, zaczął strzepywać z włosów pajęczyny. - Tak ranie wystraszyłaś, że się pewnie o pięć lat postarzałem.

- Nie wiem, jak to się stało, bo cię parę razy wołałam i dopiero potem udałam się na poszukiwanie. Nie wiedziałam, że masz w tym domu jakieś tajemne przejścia.

- Nie, to tylko wejścia dla służby, Takie drzwi są tu na każ-

dym piętze, więc chciałem sprawdzić tamte pomieszczenia. I powiem ci, że są w całkiem niezłym stanie, tylko panuje w nich okropny bałagan. - Spojrzał na brudne ręce. - Może zrobisz sobie jakiegoś drinka czy coś w tym rodzaju. A ja pójdę się umyć i oczyścić.

- Dam się namówić nawet na zrobienie drinka dla nas obojga. Na co miałbyś ochotę?

- Może być piwo. - Teraz, kiedy szok minął, badawczo przyjrzał się twarzy Leny. - Co ci się stało, kochanie? - spytał.

- Nic. Po prostu okropnie mnie wystraszyłeś.

- Nie! Widzę, że jesteś zmartwiona.

- Może jestem zła - powiedziała z przekonującym uśmiechem - że nie przyszło ci do głowy pocałować mnie na dzień dobry.

- Wciąż mi nie ufasz i myślisz, że mam jedynie ochotę miło spędzać z tobą czas, i nic więcej... - Uniósł jej brodę i głęboko spojrzął w oczy. Patrzył tak długo, aż poczuła ból w gałkach ocznych. - Jeśli tak o mnie myślisz, to się mylisz. Ja cię kocham. - Odczekał chwilę, a gdy nic nie odpowiedziała, potakująco kiwnął głową.

- Zejdę na dół - oznajmiła i zaczęła schodzić. Potem przystanąła i nie oglądając się, dodała: - Wiem, Declanie, że nie chodzi ci tylko o miłe spędzenie czasu, ale nie jestem przekonana, czy potrafię dać ci to, czego szukasz. Nie wiem, czy to właśnie we mnie znajdziesz...

- Zapewniam cię, Angelino - odparł - że jesteś tym, czego szukałem całe życie.

Nie nalegał. Jeśli chciała udawać, że nie jest zmartwiona ani zgnębiona, to nie zaprzeczał. Kiedy zaczęło zmierzchać, wybrali się na spacer do parku.

- Zastanawia mnie ten dom - powiedziała Lena. - Minęło tyle lat. Ludzie przychodzili i odchodzili. Przeważnie odchodzili. A teraz ty się zjawileś i w ciągu kilku miesięcy zrobiłeś tu więcej niż inni od niepamiętnych czasów.

Odwróciła się i przyglądała domowi, który wciąż jeszcze wymagał wielu starań. Konieczne będzie wykonanie prac stolarskich i malowanie; tu i ówdzie trzeba wstawić nowe okienice. Ale stwierdziła, że dom nie wygląda już jak martwy. Bo

dopóki Declan się tu nie zjawił, dwór robił wrażenie nie tyle opuszczonego, co właśnie martwego.

- Przywrócić ten dom do życia to coś więcej niż tylko włożyć weń pieniądze i pracę.

- Czy mogłabyś w nim zamieszkać? - zapytał nieoczekiwanie.

W spojrzeniu, jakim go obrzuciła, był przestach, a nawet panika, natomiast jego wzrok pozostał spokojny i ufny.

- Mam własny dom - powiedziała.

- Nie o to pytam. Chcę wiedzieć, czy mogłabyś czuć się tu dobrze i swojsko i czy nie przeszkadzałoby ci, że masz dzielić to miejsce z... duchami albo ze wspomnieniami z przeszłości - nazwij to zresztą, jak chcesz.

- Gdyby mi przeszkadzało, nie przyszedłbym dziś wieczór, żeby zjeść z tobą kolację. To mi przypomina, że w końcu nie wiem, czym chcesz mnie ugościć.

- Mam zamiar upiec na grillu tuńczyka - oznajmił. - I już za chwilę się do tego zabiorę - dodał, wyjmując kieszonkowy zegarek, aby sprawdzić godzinę.

Lena patrzyła na ten zegarek jak zahipnotyzowana. Ścisnęła ją w dołku tak samo jak przedtem, gdy zobaczyła lichtarze.

- Skąd go masz?

- Znalazłem dzisiaj w sklepie z antykami. - Zaalarmowany jej tonem, zafascynowany nim, trzymał przed nią zegarek. - Wygląda znajomo, prawda?

- Nieczęsto się widzi teraz mężczyzn, którzy używają kieszonkowych zegarków.

- Zobaczyłem go i od razu wiedziałem, że jest mój. Myślę, że ty go dla mnie kupiłaś bardzo dawno temu... - Odwrócił zegarek, by mogła odczytać wygrawerowany napis.

- Należał do Luciana? - Instynktownie zacisnęła palce, ale się zmusiła, żeby je wyprostować i dotknąć grawerowania. - To bardzo dziwne, naprawdę bardzo dziwne, Declanie. Myślisz, że ja byłam kiedyś Abigail?

- Tak. Tak myślę.

Potrząsnęła głową.

- Czy nie sądzisz, że to byłoby trochę zbyt ładne, łatwe i za bardzo po naszej myśli?

- Przecież za tym kryje się również morderstwo, rozpacz,

samobójstwo i cały wiek trwająca wędrówka dusz. - Wzruszył ramionami i włożył zegarek do kieszeni. - Nie jest to ani ładne, ani łatwe, jeśli mnie pytasz o zdanie. Ale być może miłość jest dość cierpliwa, by czekać, aż znowu przyjdzie na nią czas.

- Boże, jak ty umiesz... przekonywać. Denerwuje mnie tylko, że to ja mam być tutaj tą jedyną rozsądną... Uwielbiam przebywać z tobą, Declanie.

W czasie rozmowy cały czas bawiła się kluczykiem wiszącym na szyi. To przyzwyczajenie - pomyślał. Pewnie wcale nie zdaje sobie z tego sprawy.

- Wiesz co, *cher*? Dobrze się czuję w twoim towarzystwie, podobasz mi się i lubię się z tobą kochać. To wszystko, co teraz mam ci do zaoferowania.

- A ja to wszystko z największą chęcią biorę - powiedział i wziął ją w ramiona.

Lena odwróciła się i przesunęła na drugą poduszkę. Słyszała śpiew: głęboki, męski głos sennie powtarzający refren. Westchnęła i przeciągnęła ręką po prześcieradle. Declana w łóżku nie było, ale pozostało jego ciepło.

Otworzyła oczy, lecz gdy padło na nie mgliste słoneczne światło, musiała je zmrużyć. Początkowo nie miała zamiaru zostawać u niego na noc; jednak jej intencje często ulegały zmianom, i to nawet o sto osiemdziesiąt stopni. Działo się tak wtedy, gdy chciała wyjść naprzeciw temu, czego on sobie życzył. Co więcej, zdarzało się, że jego pragnienia zataczały pełne koło i w końcu stawały się także jej życzeniami.

Chytry z niego facet - myślała, ziewając, i głębiej wtuliła się w poduszkę. Declan rzadko kiedy na nią naciskał, nigdy nie podejmował nierozsądnych decyzji i w końcu zawsze się okazywało, że racja jest po jego stronie. Nie pozostawało jej więc nic innego, jak go podziwiać. I to bardzo.

Mimo że wolałaby się obudzić we własnym łóżku, była jednak zadowolona, że tu została. Przyszła w ponurym nastroju i poirytowana; spotkania z matką zwykle tak się kończyły. Ale w ciągu kilku godzin udało jej się o wszystkim zapomnieć i z przyjemnością przebywała w towarzystwie Declana. To wystarczyło i musiało im obojgu na razie wystarczyć. Spotkanie z Lilibeth dość brutalnie przypomniało Lenie o przyrzeczeniach, jakie sobie złożyła: Po pierwsze - jeśli ma odnieść sukces, to tylko na postawionych przez siebie warunkach. Po drugie - będzie żyła tak, jak zechce. I po trzecie - nigdy, przeni-

gdy nie będzie pokładać nadziei w jakimkolwiek mężczyźnie ani zwierzać mu się ze swoich pragnień i niedostatków.

Prędzej czy później Declan zniknie z jej życia, tak jak każdy do tej pory. Tym razem jednak, bardziej niż kiedykolwiek przedtem, zależało jej, by być i pozostać z nim w przyjaźni. Postanowiła dołożyć wszelkich starań, żeby do tego doprowadzić. Musi więc być bardzo, bardzo ostrożna, żeby się w nim nie zakochać, i uważać, żeby go nie zranić, skoro on wierzy, że ją kocha.

Zmarszczyła brwi. Była całkiem pewna, że jej słuch nie zawodzi, że słyszy śpiew. Zdała sobie sprawę, że głos dochodzi z łazienki, że przebijając się przez szum wody, Declan śpiewał:

*Minęły lata, dziecino, i upłynęły w dał,
lecz ja się nie ożenię, wciąż w sercu noszę żal.
Wierny zostanę dziewczynie: kochałem ją długi czas.
Choć ona już nie żyje, nic nie rozdzieli nas.*

Dziwna to była pieśń i dziwne jej się wydawało, by mężczyzna wyśpiewywał coś takiego pod prysznicem. I nagle, wbrew własnej woli, zaczęła powtarzać w myśli refren tej pieśni, śpiewając razem z nim:

A kiedy bal przeminął i na dworze zajaśniał dzień...

Zdziwiona, skąd zna ten tekst, wstała i podeszła do drzwi łazienki. Znała te słowa, co więcej - świetnie też znała melodię: to była smutna, historia o wierności i śmierci i doskonale pasowała do romantycznej muzyki.

Serce jej mocno biło. Czuła, że podchodzi do gardła...

Tańczyła w świetle księżyca, a dom jaśniał na ciemnym tle nocnego nieba niczym gwiazda przewodnia. Dziewczyna miała na sobie spłowiała perkalową sukienkę, a młody mężczyzna wytworny smoking. I wszędzie unosił się upajający, słodki zapach lili. Powietrze ciężkie było od woni kwiatów, tak ciężkie, że trudno było oddychać. Kręciło jej się w głowie, gdy wirowała w kolo po ścieżkach i trawnikach ogrodu, a muzyka wciąż grała... Kręciło jej się w głowie od tańca, a także od tego, że była zakochana...

Lena zachwiała się, wyciągnęła rękę, by oprzeć się o drzwi, i w tym momencie drzwi się otworzyły, kłęby pary wydostały się na zewnątrz, a ona runęła przed siebie.

- Hej! - Declan złapał ją, nim upadła na podłogę. Był jeszcze mokry: woda skapująca mu z włosów padała na jej twarz, gdy niósł ją do łóżka.

- Nic mi nie jest. Po prostu straciłam... równowagę - tłumaczyła się.

- Ale jesteś blada jak płótno. - Szesał jej włosy do tyłu i ciepłymi rękami roztarł chłodne dłonie. - Co ci się stało?

- Nic! - Zmieszana i nieco zakłopotana, trąciła go łokciem, by ją posadził. - Za szybko wstałam. A kiedy sięgnęłam do drzwi łazienki, ty je akurat otworzyłeś i straciłam równowagę. Nic mi nie jest, *cher. Ca va*. Po prostu dla mnie to za wczesna pora, by wstawać i kręcić się po domu.

- Przyniosę ci wody.

- Nie przejmuj się mną, kochanie! Simone'owie nie są z tych, którzy mdleją. - Przejechała mu palcem po brodzie. Wszystko powoli przemijało i zacierało się w jej pamięci: pieśń, zapach lilii, nawet zawrót głowy, który spowodował, że się zatoczyła. - Choć przyznaję, że widok twojej przystojnej twarzy zapiera mi dech... Jak myślisz, czy w grzejniku zostało jeszcze trochę gorącej wody?

- Chyba nie. - Uspokoił się i usiadł przy niej. - Muszę wymienić grzejnik na nowy. Ale jeśli dasz mu pół godziny, to wyprodukuje dość wody na następny prysznic.

- A co mam zrobić z tą półgodzinną przerwą? - spytała i śmiejąc się, pociągnęła go do łóżka.

To był jej zdaniem znacznie lepszy sposób na rozpoczęcie dnia. Pochyliła się nad pierwszą dziś filiżanką kawy. Stała na stoliku, który Declan wystawił na balkon przy sypialni. Ponieważ wybór dań śniadaniowych był raczej mizerny, Lena przystała na miseczkę cukrzonych płatków kukurydzianych i ze zgorzaniem patrzyła, jak Declan pochłaniał swoje, dodatkowo je słodząc.

- Może lepiej od razu zjadłbyś wielki czekoladowy baton?

- Niestety, nie mogę, a to z tej prostej przyczyny, że nie mam. - Zaśmiał się i ten śmiech sprawił, że brakło jej tchu.

- Bardzo przyjemne miejsce urządziłeś tu, na balkonie - powiedziała. - Idealne na poranne rozmyślania.

- Będzie jeszcze lepsze, gdy wymienię niektóre deski i cały balkon odmaluję. Przyda się też więcej takich rzeczy jak doniczki, kwiaty, a może nawet jakaś huśtawka...

Dobrała jeszcze płatków.

- Chyba jesteś typem domatora, prawda, *cher*?

- Na to wygląda. - Bardzo go ta opinia ucieszyła. Nie spodziewał się, że to doceni.

- A co domator zaplanował na dzisiejszy dzień?

- Chciałbym skończyć pierwszą partię zewnętrznych schodów. Jeśli dobra pogoda utrzyma się przez weekend, będę pewnie mógł rozpocząć odnawianie frontowej ściany domu. Mają też dziś przyjść faceci, których zamówiłem do renowacji następnych łazienek. No i mam jeszcze do zrobienia trochę zakupów. Może wybrałabyś się ze mną?

- Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby mężczyzna miał takiego kręcka na punkcie robienia zakupów. - Kusiło ją, żeby zgodzić się na tę propozycję i razem polować na „skarby”. Miałaby w ten sposób swój udział w wybieraniu mebli. Takie wspólne kupowanie prowadziłyby też do powstania jeszcze jednego łączącego ich ogniwa. Bardzo chciała, żeby stali się prawdziwą parą, a nie tylko dwojgiem ludzi, którzy cieszą się razem przeżytych chwilą. Niemniej tym razem postanowiła mu odmówić.

- Interesują mnie tylko takie zakupy, które wiążą się z przymerzaniem bucików albo oglądaniem kolczyków. Wszystkie inne musisz robić sam, kochanie.

- Przypuszczam, że dałoby się twoje zakupy zmieścić między polowaniem na uchwyty do szuflad a wybieraniem metalowych narzędzi. Ale... zaczekaj chwilę... coś mi się przypomniało. - Wstał i udał się do mieszkania, a tymczasem Lena wygodniej się rozsiadła i, trzymając w obu dłoniach filiżankę z kawą, spoglądała przez balustradę na ogród i staw.

Wyrzucała sobie, że odwróciła jego uwagę od tego, co istotne. A może on po prostu udawał, że nie pamięta, co się tu rano zdarzyło. Przecież o mało nie zemdląca, i to po raz pierwszy w życiu. - Coś w tym domu - myślała, źle na nią działa. Podobnie zresztą jak na Declana. Jedna siła wciągają do środka,

a druga wypycha na zewnątrz. Była jednak zdecydowana twar- do stać w miejscu.

Czy to możliwe, że Declan miał rację i że naprawdę on był w poprzednim życiu Lucianem, a ona jego skazaną na zatraca- nie Abigail? I czy to oni tańczyli w świetle księżyca przy dźwiękach owej starej, smutnej melodii? A jeśli tak, jakie to ma znaczenie dla nich teraz, w ich obecnym życiu?

Kiedy Declan znowu się pojawił, niósł w ręku małe pudełko i położył je na stoliku obok jej miseczki z płatkami kukury- dzianymi.

- Ciągłe mi przynosisz prezenty, *cher!* Ciekawa jestem, co zrobisz, gdy naprawdę będą moje urodziny.

- Już coś wymyślę, nie bój się!

- Nie sądzę, by udało ci się wymyślić coś lepszego od spre- zentowanej mi solniczki z pieprzniczką, ale zobaczę, co przy- niosłeś tym razem. - Otworzyła pudełko, oczekując skromnego prezentu w postaci ładnej, śmiesznej broszki lub głupich kol- czyków, i aż straciła dech z wrażenia, gdy ujrzała dwa serdusz- ka z rubinów i brylantów.

- Tak jakoś przyciągnęły mój wzrok - tłumaczył się Dec- lan.

- Ty... ty... nie możesz mi czegoś takiego ofiarować! - Po raz pierwszy, od kiedy ją poznał, stwierdził, że Lena się jąka. - Po prostu nie możesz, nie możesz mi dawać takich kolczyków! Przecież to są prawdziwe kamienie! Czy myślisz, że jestem głupia i nie potrafię rozpoznać prawdziwych brylantów?

- Nie! - To interesujące, pomyślał, jak ona reaguje. Dostaje w prezencie brylanty i najpierw się zachwyca, a potem złośc- ci... - Myślałem, że będą dobrze na tobie wyglądać.

- Nie obchodzi mnie, czy jesteś bogaty i jak bardzo - mówiła zdenerwowanym głosem, zasłaniając pokrywką lśniące krwią i lodem kolczyki. - Nie dbam o to, ile pieniędzy trzymasz w akcjach i na kontach bankowych. Nie życzę sobie, że- byś mi kupował kosztowną biżuterię! Jeśli zechcę mieć brylan- ty i rubiny, sama je sobie kupię. Nie śpię z tobą dlatego, że chcę mieć świecidełka, ani dla zysku.

- No, ale te kupiłem okazji... - Gdy odwrócił się w krześ- le, napotkał jej wściekłe spojrzenie. Zerwała się i stojąc,- krzy- czała na niego. Próbował ją przekonać.

- A więc uważasz, że gdyby te kolczyki były szklane, wtedy byłabyś skłonna je przyjąć i wszystko byłoby w porządku. Pozwól, że ustalimy pewne zasady: Jeśli trafię na coś, co chciałbym ci kupić, to ile musi ta rzecz kosztować? No, ile? Mniej niż sto dolarów czy może sto pięćdziesiąt? Określ jakąś przybliżoną sumę!

- Nie potrzebuję, żebyś mi cokolwiek kupował!

- Leno! Gdybyś była w potrzebie, kupowałbym ci jedzenie, a nie biżuterię. Na miłość boską! Kupiłem kolczyki, bo były piękne i przywołały mi ciebie na myśl. Zastanów się! Przecież ten prezent do niczego cię nie zobowiązuje. Nie jest obwarowany żadnymi warunkami.

- Coś, co kosztuje tyle, ile dobrej jakości używany samochód, musi do czegoś zobowiązywać.

- Nie masz racji! Pieniądze to rzecz względna. Mam ich dużo, więc uważam, że powinienem coś z nimi robić. Ale do niczego cię nie zmuszam. Nie chcesz tych kolczyków? W porządku! - Wzruszył ramionami i podniósł do ust kubek z kawą. - Dam je komuś innemu.

Jej oczy zwęziły się z gniewu.

- Ejże, zrobiłbyś to?

- Oczywiście, skoro uważasz, że burzą twoje moralne zasady... Przecież nie ma sensu, żeby się zmarnowały...

- Chyba chcesz, żebym wyszła na idiotkę.

- Sama zachowujesz się jak idiotka. Moja rola w tym małym dramacie jest ograniczona. Chciałbym, żebyś te kolczyki miała; uważając, że są zapłatą za usługi, jakie mi świadczysz, obrażasz zarówno mnie, jak i siebie. Pomyśl, Leno! Kiedy mi mówisz, że nie chcesz, abym ci płacił za seks, to tak, jakbyś potwierdzała, że go od ciebie kupuję. Przecież to tylko cholerne kamienie...

- Ale bardzo piękne kamienie! - A pomyślała ze złością: Do diaska! Dlaczego ten facet bez przerwy wytrącają z równowagi. I jakie to do niego podobne, że stoi tu i spokojnie się przygląda, jak ona się wścieka i pieni ze złości.

Wciągnęła głęboko powietrze, co miało jej pomóc w uspokojeniu się, a on patrzył z cierpliwością i rozbawieniem.

- Przepraszam, byłam niegrzeczna i chyba przesadziłam...

Nie jestem przyzwyczajona, żeby mężczyźni wręczali mi brylanty i rubiny nad miseczką z płatkami kukurydzianymi.

- W porządku. Może wolisz, żebym zaczekał i wręczył ci je przy obiedzie nad jakimś okazałym stekiem?

Zaśmiała się i odgarnęła włosy do tyłu.

- Zdecydowanie jesteś za dobry dla mnie.

- Co to, u diabła, ma znaczyć?

Potrząsnęła głową i wzięła do ręki pudełko z kolczykami. Przez dłuższą chwilę przypatrywała się klejnotom, jak błyszczą na aksamitnej wyściółce puzderka, a potem je wyjęła i wpięła w uszy.

- Jak wyglądają?

- Wspaniale.

- Dziękuję - powiedziała i pochyliwszy się, pocałowała go w policzek. - Kolczyki mnie po prostu trochę wystraszyły, ale już mi przechodzi. I to dość szybko.

- To dobrze.

- Będę musiała szcesywać włosy do tyłu, żeby je było lepiej widać. Cholera! Muszę się w nich zobaczyć. - Wbiegła do pokoju- i stanęła przed lustrem. Odgarnęła włosy. - O Boże! Ależ one są bajeczne! Nigdy w życiu nie miałam niczego tak pięknego. Jesteś słodki, Declanie! Wiesz, jaki jesteś? Jesteś jednocześnie rozsądny, zwariowany i słodki.

- Gdy wyjdiesz za mnie - zapewniał, stojąc w drzwiach - będę ci dawał co tydzień brylanty na śniadanie.

- Przestań!

- Dobrze. Ale zapamiętaj, że ci to obiecałem.

- Muszę już iść. Chciałabym wstąpić po drodze do babci.

- To może mnie podwieziesz, bo coś mam dla niej.

Gdy ich oczy spotkały się w lustrze, jej spojrzenie wyrażało pobłażanie i odrobinę frustracji.

- Znowu jej kupiłeś jakiś prezent?

- Lepiej ze mną nie zaczynaj! -ostrzegł ją i cofnął się, aby zebrać miski ze stołu.

- Dlaczego musisz ciągle kupować ludziom prezenty? - Znała go już na tyle, by wiedzieć, iż te małe, płynne ruchy ramion znaczą, że się obraził i jest mu przykro. Żeby złagodzić obcesowość pytania, szybko go pocałowała.

- Mam pieniądze - wyjaśnił - i lubię kupować. Wolę wymieniać pieniądze na towar, że tak powiem, bo to daje więcej radości i jest bardziej interesujące niż paczka zielonych w portfelu.

- Sama nie wiem... Jeśli chodzi o mnie, lubię zielone papierki. Ale... - Dotknęła brylantów w swoich uszach. - Stane się chyba okropnie dumna z tych pięknych kamieni. Dobrze! Rób to, na co masz ochotę! Zawieź babci prezent, który dla niej kupiłeś. Upominek od ciebie, cokolwiek to będzie, na pewno rozjaśni jej dzień.

- Tak myślisz?

- Tak. Bo ona naprawdę bardzo cię lubi.

- To mi się podoba. - Odwrócił się i objął Lenę w talii. - A co powiesz o sobie? Czy ty też mnie lubisz?

Poczuła, jak miłe ciepło spływa jej po plecach, i tęsknie westchnęła.

- Trudno by było ciebie nie lubić.

- To mi się jeszcze bardziej podoba. Cieszę się. - I dotknął wargami jej ust.

Zaniósł prezent do samochodu.

Jakie to niecodzienne i urocze, przyznała Lena w duchu, że on myśli nie tylko o upominku, na który może sobie z łatwością pozwolić, ale dba również o to, w jakiej formie go daje. Pamięta zawsze o opakowaniu, o ładnych torebkach, kokardach i wstążkach, czym większość mężczyzn - w każdym razie tych mężczyzn, których do tej pory знаła - nigdy by sobie nie zawracała głowy.

Każda kobieta nazwałaby Declana Fitzgeralda niezwykle cenną zdobyczą, ale on chciał ją...

- Zadam ci pytanie - zaczęła, gdy uruchomiła silnik.

- Jakie pytanie? Jedno z tych: prawda czy fałsz? A może jedno pytanie, mnóstwo odpowiedzi, i trzeba wybrać właściwą. O to ci chodzi?

- Nie! Raczej spodziewam się wyczerpującej odpowiedzi, czegoś w rodzaju eseju.

Usiadł wygodnie, wyciągnął nogi, najdalej jak mógł. Dotychczas zawsze świetnie sobie radził z testami.

- No, strzelaj!

- Jak to się stało, że znając tyle wytwornych dam w Bostonie i te wszystkie piękne kobiety tu, w okolicy Nowego Orleanu, zwróciłeś uwagę właśnie na mnie?

- Stało się tak dlatego, że na widok żadnej z nich nigdy serce nie stanęło mi w gardle ani się do niej nie wrywało, jak koń wyścigowy na sygnał startera. A przy tobie tak się właśnie dzieje. Żadna z tych kobiet nie potrafiła spowodować, abym mógł sobie wyobrazić, że za jakieś dziesięć czy dwadzieścia lat wciąż jeszcze będę sięgał po jej dłoń, by ją trzymać w swojej. A jeśli chodzi o ciebie, to nie mam wątpliwości, że tak będzie. I wiesz, Leno, czego najbardziej pragnę? Chcę trwać przy tobie.

Nie patrzyła na niego, nie śmiała tego zrobić. Czuła, że po brzegi wypełnia ją uczucie ciepła, słodczy i triumfu. Wiedziała, że wystarczy jedno spojrzenie, by się to wszystko z niej wylało...

- Dałeś dobrą odpowiedź - tyle tylko zdołała powiedzieć.

- Na pewno prawdziwą. To jest święta prawda - dodał i zdjawszy z kierownicy jej rękę, czule ją ucałował.

- Wierzę ci, wierzę, że tak jest, ale nie wiem, co z tym dalej robić, Declanie. Jesteś pierwszym mężczyzną, który wbił mi takiego ćwieka w głowę, że nie wiem, jak postąpić. Żywię dla ciebie naprawdę wielkie uczucie, ale wołałabym go nie mieć.

- Powiem ci, co ja o tym myślę. Uważam, że powinniśmy potajemnie uciec do Las Vegas, a potem nie będziesz już miała powodu do zmartwień.

- A jakże... Wyobrażam sobie, jak zachwyceni byłiby bostońscy Fitzgeraldowie, gdyby usłyszeli, że uciekłeś do Vegas z Akadyjką, która jest właścicielką baru i pochodzi z bagien. Alebyś ich urządził...

- Mieliby zapewniony temat do rozmów na najbliższych parę dziesiątków lat. Ale moja matka na pewno cię polubi - mówił to takim tonem, jakby przekonywał samego siebie. - Spodoba się jej, że jesteś kobietą samodzielną i nic od nikogo nie chcesz, a także to, że prowadzisz swój własny biznes i że opiekujesz się babcią. Zaskarbisz sobie jej szacunek i uznanie. A poza tym pokocha cię już choćby dlatego, że ja cię kocham. A mój ojciec raz tylko na ciebie spojrzy i już będzie twoim niewolnikiem.

Zaśmiała się, słysząc jego słowa, i trochę lżej zrobiło jej się na sercu.

- Czy wszyscy mężczyźni z rodu Fitzgeraldów są tacy łatwowierni?

- Wcale nie jesteśmy łatwowierni, tylko mamy wyjątkowo dobry gust.

Gdy zatrzymała samochód przed domem Odette, odwróciła się i spojrzała na niego.

- Czy ktoś z twoich rodziców wybiera się na ślub Remy'ego i Effie?

- Przyjadą oboje.

- Będziemy więc mieli okazję przekonać się, jak będzie... Prawda? - Wyskoczyła z samochodu i szybko podeszła do drzwi wejściowych.

- Babciu! - wołała od progu; otworzyła drzwi i weszła do środka. - Przyprowadziłam przystojnego dżentelmena, który chce złożyć ci wizytę.

Odette wyłoniła się z kuchni, wycierając ręce ścierką w czerwonej kratce. W ślad za nią wsączył się zapach świeżo parzonej kawy, a także dopiero co upieczonego chleba. Jak zwykle miała na sobie mnóstwo biżuterii, na nogach zaś solidne, robocze buty. Ale wokół jej oczu i ust zarysowały się ślady zmęczenia, które nawet Declan od razu zauważył.

- Odwiedzający mnie dżentelmeni są tu zawsze mile widziani, dziecinko! - Odette zapewniła wnuczkę i musnęła ją ustami w czoło.

- Coś jest u ciebie nie tak? - zapytała Lena, zaniepokojona wyglądem babci.

Starsza pani nie odpowiedziała i zmieniła temat.

- Upiekłam dziś rano trochę razowego chleba - rzuciła mimochodem. - A teraz chodźmy do kuchni. - Otoczyła Lenę ramieniem i pociągnęła za sobą. - A co ty masz w tej ładnej torebce, *cher?* - zwróciła się do Declana.

- Coś małego; pomyślałem, że może się to pani spodobać. - Declan położył torebkę na stole w kuchni. - Czuję tu jakieś wspaniałe zapachy. Może powinienem się nauczyć piec chleb?

Jak się spodziewał, Odette się uśmiechnęła, ale napięcie wiszące w powietrzu nie ustępowało.

- Może nauczę cię paru rzeczy. Wyrabianie ciasta jest do-

skonała terapią na nerwy. Odciąga uwagę od zmartwień i daje czas i okazję do przemyśleń. - Wyjęła z torebki małe, pięknie opakowane pudełko i trzymając je w dłoni, rozwiązała wstążkę. - Wiesz, Leno - powiedziała - jeśli ty tego chłopca nie przygwoździsz, to ci go poderwę. - Otworzyła pudełko i twarz jej złagodniała.

Ozdobne puzderko mieściło się w jej dłoni; miało kształt serca i było ręcznie malowane. Obrazek przedstawiał dwoje młodych ludzi, ubranych w stylowy staromodny strój, siedzących na ławeczce w ogrodzie. Gdy Odette podniosła pokrywkę, ukryta w niej pozytywka zagrała melodyjkę.

- Przez całe tygodnie chodziła mi ta melodia po głowie - wyznał Declan - więc kiedy natknąłem się na to cacko, od razu pomyślałem, że je kupię.

- To stary walc, nazywa się *Po balu* - przypomniała Odette. - Lubię go, bo jest smutny i słodki. - Spojrzawszy na Declana, spytała: - Może masz jakiegoś miłego owdowiałego wuja, którego byś mógł do mnie przysłać.

- Prawdę mówiąc, mam takiego wujka, nazywa się Dennis, ale jest niezbyt atrakcyjny, wygląda jak stary cap.

- To nic. Jeśli ma serce choć w połowie takie jak twoje, biorę go.

- No, no! Co za piękna scena...

Słyszac ten głos, Lena zeszywniała, jakby jej ktoś przyłożył rewolwer do skroni i pociągnął za cyngiel. Declan zauważył spojrzenia, jakie wymieniły ze sobą Lena i babcia: przepraszające spojrzenie Odette i zszokowane Leny. Wszyscy troje odwrócili się w stronę, z której dochodził głos.

Oparta o futrynę drzwi stała Lilibeth. Ubrana była w krótką czerwoną sukienkę, luźno związaną w pasie. Zmierzwione włosy opadały na ramiona. Na twarzy miała mocny makijaż: ciemno podkreślone oczy, wargi błyszczące i czerwone jak jej suknia.

- Kim jest ten pan? - spytała. Uniosła rękę i omdlewającym ruchem odgarnęła włosy z czoła, posyłając jednocześnie Declanowi uwodzicielski uśmiech.

- Co ona tu robi?! - ryknęła Lena. - Co ona, u diabła, robi w tym domu?

- To jest mój dom, tak samo jak twój - odparowała Lili-

beth. - Na szczęście niektórzy z nas mają jeszcze trochę szacunku dla swoich najbliższych krewnych.

- Przecież ci powiedziałam, że masz wsiąść do autobusu i wyjechać.

- Nie przyjmuję rozkazów od własnej córki - odparowała Lilibeth i nie spiesząc się, podeszła do pieca. - Czy masz świeżo parzoną kawę, mamó? - zwróciła się do Odette.

- Jak mogłaś, babciu? - złościła się Lena. - Jak mogłaś ją znowu przyjąć?

- Ona jest moim dzieckiem, Leno - tłumaczyła Odette, gładząc wnuczkę po ręce.

- Nie! To ja jestem twoim dzieckiem - z goryczą powiedziała Lena. - Pozwoliłaś jej wrócić i zostanie tak długo, aż ci wszystko zakosi... Dopóki ona i ten ćpun, z którym się teraz zadaje, nie obiorą cię do gołej skóry. Ona teraz zażywa kokainę. Nie poznajesz po niej, że bierze? A tego przecież za darmo nie dają!

- Już ci mówiłam, że nie biorę. Jestem czysta! - oświadczyła Lilibeth, z trzaskiem stawiając kubek na ladę.

- Kłamiesz! Zawsze byłaś kłamczuchą...! - krzyczała Lena.

Lilibeth zrobiła gwałtowny ruch w jej stronę, a kiedy Lena wystawiła twarz, by przyjąć uderzenie, Declan je rozdzielił.

- Niech pani pomyśli, co robi - powiedział spokojnie, ale temperatura tych słów była tak gorąca, że udzieliła się pozostałym.

- Spróbuj jej dotknąć, Lilibeth, a natychmiast cię stąd wyrzucę! - Odette ostrzegła córkę. Podeszła do pieca, trzęsąc się ręką nalała sobie kawy. - Zrobię to! - dodała.

- Lena nie ma prawa mówić do mnie w ten sposób, i to w obecności obcego - broniła się Lilibeth i widać było, że drżą jej wargi.

- Jestem Declan Fitzgerald - przedstawił się. - Przyjaźnię się z Leną i panną Odette. A teraz proszę, niech pani usiądzie, panno Odette. Sam sobie wezmę kawę.

- To sprawa rodzinna, Declanie - zwróciła mu uwagę Lena, wściekłym wzrokiem patrząc na matkę. - Powinieneś stąd odejść. - Dała się ponieść złości i jeszcze do niej nie dotarło, jakie to wszystko jest żenujące.

- Za chwilę wyjdę... - odparł. Nalał sobie kawy do kubka

i podszedł z nią do Odette. Kucnął, by ich twarze znalazły się na jednym poziomie. - Jestem Irlandczykiem - wyjął - i to z obu stron. Nikt tak jak my, Irlandczycy, nie celuje w rodzinnych bójkach. Gdyby mnie pani potrzebowała, wystarczy zawołać. Przyjdę. - Ścisnął jej rękę i wyprostował się. - To samo dotyczy ciebie, Leno - oznajmił.

- Nie zostanę tutaj, odwiozę cię do domu - postanowiła. Musiała głęboko wciągnąć powietrze, by nabrać odwagi, zanim zdecydowała się wypowiedzieć słowa, które, o czym wiedziała, zabolą. - Babciu! Kocham cię całym sercem, ale póki ona będzie w tym domu, mnie tu nie zobaczysz. Przepraszam! Wiem, że cię ranie, ale nie mogę raz jeszcze przeżywać tego wszystkiego, co przez nią przecieriałam. Daj mi znać, kiedy ona stąd odejdzie. A ty - i tu zwróciła się do Lilibeth - jeśli znowu ją skrzywdzisz, jeśli zabierzesz jej choćby jednego dolara albo przyprowadzisz do tego domu jednego z tych mętów, z którymi się włóczysz, to, przysięgam Bogu, dopadnę cię i wydrę, co zabrałaś, nawet gdybym miała obedrzeć cię ze skóry.

- Leno, dziecinko! - Lilibeth ruszyła w jej stronę,- gdy ta zbliżała się do drzwi wyjściowych. - Ja się zmieniłam, kochanie. Chcę ci wszystko wynagrodzić... daj mi szansę!

Lena odkrzyknęła, będąc już na dworze:

- Miałaś taką szansę! Nie zbliżaj się do mnie! Nie zbliżaj się do mego mieszkania! Dla mnie nie żyjesz, słyszysz?!

Zatrzasnęła drzwi samochodu, uruchomiła silnik i ruszyła z największą szybkością, na jaką ją było stać. Za chwilę cienka smuga dymu, ciągnąca się za wozem, zasłoniła jej matkę i dom, w którym wyrosła.

- Ale heca, co? - spytała, dodając gazu. - Jestem pewna, że twoja rodzina byłaby zachwycona, gdyby zwałił im się na kark ktoś taki jak Lilibeth Simone: prostytutka, ćpunka, złodziejka i kłamczucha.

- Ale nie możesz chyba obwiniać o to swojej babci.

- Nie robię tego - zapewniała z oczami pełnymi łez. - Nie chcę jednak mieć z tym nic wspólnego. Nie mam ochoty. - Zatrzymała samochód przed domem Declana i pochyliwszy się nad kierownicą, oznajmiła: - Muszę jechać do pracy, a ty wyśiądź, *va t'en!*

- Nie, nie wysiądę. - I wtedy uświadomił sobie, że może

inni mężczyźni opuszczali ją w podobnych okolicznościach. Że stąd właśnie bierze się jej wiecznie jątrząca się rana...- Chcesz o tym porozmawiać tutaj czy wejdziemy do domu?

- Nie mam zamiaru mówić o tym ani tu, ani gdzie indziej.

- A jednak będziesz: wybierz miejsce!

- Powiedziałam ci już wszystko, co powinieneś wiedzieć. Moja matka jest prostytutką i narkomanką. Nie potrafi zarobić tyle, ile jej trzeba na opłacenie swoich nałogów, więc kradnie. A kłamie jak najęta: co słowo, to kłamstwo.

- Czy ona blisko tu mieszka?

- Nie wiem, gdzie mieszka. Nigdzie długo miejsca nie za-grzewa. Wczoraj przysłała do mego mieszkania nad barem. Była naćpana i jak zawsze mówiła same kłamstwa: że chce zacząć wszystko od nowa, że chce, byśmy byli przyjaciółkami. Myślała, że pozwolę jej znów się do mnie sprowadzić... Oczywiście nigdy się na to nie zgodzę. - Przerwała na chwilę i położyła głowę na oparciu siedzenia. - Dałam jej pięćdziesiąt dolarów na podróż, ale powinnam była przewidzieć, że wyda te pieniądze na kokainę.

- Chodź! Przejdziemy się.

- Nie, Declanie. To nie jest coś, w czym może pomóc spacer albo co przejdzie, gdy się podmucha lub pocałuje. Muszę wracać!

- W takim stanie nie będziesz prowadziła samochodu w mieście. Przejdźmy się. - Żeby się upewnić, iż Lena nie odjedzie, gdy on wysiądzie z samochodu, wyjął klucze ze stacyjki i włożył do kieszeni. Potem wyszedł z wozu, obszedł go dookoła, otworzył drzwi i wyciągnął do niej rękę.

Nie mogła obudzić w sobie dość energii, żeby się z nim dalej kłócić. Nie przyjęła jednak wyciągniętej dłoni; po opuszczeniu auta ręce włożyła do kieszeni. Była prawie pewna, że pospacerują i porozmawiają, a potem, jak to już nieraz w jej życiu bywało, będzie koniec i... po wszystkim.

Co prawda miała jeszcze nadzieję, że może Declan myśli, iż jego ogród, świeżo rozkwitłe kwiaty, delikatne zapachy - że wszystko to jakoś ją uspokoi. Chciał ją pocieszyć. Taką miał naturę. Chciał się jak najwięcej o Lilibeth dowiedzieć, aby znaleźć jakieś rozwiązanie. Ale jeśli chodzi o jej matkę, żadne rozwiązanie nie było możliwe.

- Rodzina może dać się człowiekowi we znaki, co? - zauważył.

Spojrzała na niego ciemnymi, ognistymi, wilgotnymi oczami.

- Nie uważam jej za członka mojej rodziny.

- Rozumiem, niemniej tu chodzi o sprawy rodzinne. W mojej rodzinie często dochodzi do różnych dramatycznych sytuacji. Pewnie dlatego, że jest taka liczna.

- Tak, tylko że jeśli zabraknie kanapek na przyjęciu koktajlowym albo dwie ciotki pojawią się na balu w identycznych sukniach, to jeszcze nie dramat.

Zastanawiał się, czy ma pozwolić, żeby ta uwaga uszła jej na sucho. Rozumiał, że jest rozgoryczona i może dlatego złośliwa, lecz nie mógł przejść nad tym do porządku dziennego. -

- Czy myślisz, że posiadanie pieniędzy automatycznie uwalnia od osobistych problemów? Że nie cierpi się bólu? Nie przeżywa tragedii? To bardzo płytkie, co powiedziałaś, Leno.

- Bo jestem płytką dziewczyną. Cecha dziedziczna. Mam to we krwi.

- Bzdura! Oczywiście masz prawo czuć się pokrzywdzona, kiedy o mało nie zostałaś spoliczkowana. Chciałbym jednak, żebyś spojrzała na te sprawy także z innej strony. Pieniądze nie pomogły mojej kuzynce Angie poczuć się lepiej, gdy ona i kochanka jej męża zaszły w ciążę w tym samym miesiącu. I nie pomogły mojej ciotce, gdy jej córka zginęła w katastrofie samochodowej w dniu swoich osiemnastych urodzin. Życie daje nam się we znaki bez względu na to, jak wysokie mamy dochody.

Zatrzymała się.

- Przepraszam cię, Dec, ale moja matka ma to do siebie, że wpędza mnie w taki nastrój; potem już się nie nadaję do towarzystwa.

- Nie chcę, żebyś uważała mnie tylko za towarzystwo. - Nie broniła się, gdy wziął jej ręce w swoje dłonie i wyznał: - Kocham cię.

- Przestań, Declanie!

- Nie mogę.

- Nie jestem dość dobra dla ciebie. Nie jestem dobra dla nikogo. I nie chcę być. Na tym pewnie polega mój problem, prawda?

- Tak. - Sięgnął do kluczyka, który nosiła na szyi. - To nie mężczyzna, ale kobieta złamała ci serce. Teraz chcesz je przezornie zamknąć, aby nie przyjmowało miłości, gdy ci ją ktoś ofiaruje, ani jej nie odwzajemniało. Bo tak jest bezpieczniej. Jeśli nie kochasz, to nie ma dla ciebie znaczenia, że ten ktoś, kto przy tobie był, od ciebie odejdzie. A więc jesteś tchórzem, Leno!

- Jeśli nawet masz rację, to co? Takie jest moje życie. Żyję tak, jak mi się podoba, jak chcę, i dobrze mi z tym. A ty, *cher*, jesteś romantykiem. Z całym swoim jankeskim rozsądkiem i wykształceniem, zapewne kosztownym wykształceniem, pozostałeś marzycielem. Ja nie stawiam na marzenia, tylko na to, co jest, na rzeczy realne, bo tylko to się liczy. Któregoś dnia obudzisz się w tym wielkim starym domu, daleko od miasta i ludzi, i pomyślisz: co mnie, u diabła, naszło? i wtedy czmychniesz stąd, tak szybko jak tylko się da, uciekniesz do Bostonu, do adwokatury, poślubisz jakąś kobietę z klasą, noszącą dumne imię Aleksandra, i będziesz miał dwójkę ładnych dzieci.

- Zapomniałeś jeszcze o parze rasowych złotych retrieverów - zwrócił jej łagodnie uwagę.

- Ach! Rzeczywiście! *Merde!* — zawołała, łapiąc się za głowę.

- Całkowicie się z tobą zgadzam, z tym jednak, że po pierwsze: jedyna kobieta o imieniu Aleksandra, jaką znam, ma okropne końskie zęby i trochę mnie przeraża; po drugie, i to dopiero jest ważne: zamierzam do końca swoich dni żyć w tym wielkim starym domu i żyć z tobą, Angelino. Właśnie tu założymy rodzinę i tu będziemy mieli dzieci. Co do złotych retrieverów nie jestem jeszcze do końca zdecydowany; mogą być, ale nie muszą...

- Chociaż wciąż to powtarzasz, nie znaczy, że stanie się tak, jak mówisz.

- Założymy się? - spytał i roześmiał się od ucha do ucha.

Lena zdawała sobie sprawę, że gdy Declan tak się zachowuje, gdy stara się być gładki i przyjacielski, to znaczy, że w ten sposób usiłuje zamaskować swój twardy upór. Nie miała wątpliwości, że w jego charakterze jest coś bardzo mocnego i może nieco przerażającego.

- Muszę już iść do pracy. A ciebie proszę, żebyś się przez jakiś czas trzymał ode mnie z daleka. Dobrze? Słyszysz? Jestem za bardzo poirytowana, bym mogła się tobą zajmować.

Pozwolił jej odejść. Na razie nie chciał nic więcej, tylko żeby kipiąca w niej złość do niego wysuszyła łzy, które lśniły w jej oczach.

15

Nowy Orlean
1900

Julian był pijany i taki stan bardzo mu odpowiadał. Trzymał na kolanach na wpół gołą prostytutkę i międlł jej ciężkie sutki w obu dłoniach. Na pianinie stary Murzyn grał jakąś żywą melodię. Kobieta śmiała się głośno i ordynarnie. Oba te dźwięki: muzyka i śmiech, przyjemnie się mieszały w jego głowie. W powietrzu wisiał dym z cygar, pobudzając w nim głód nikotyny. Nie był jednak w stanie wykrzesać z siebie dość energii, by zdobyć cygaro lub zaciągnąć dziwkę do jej klitki na górze.

Fakt, że znowu nie miał grosza przy duszy, zbytnio go nie martwił. Był stałym bywalcem burdelu i zawsze mu się udawało zebrać dość gotówki, by się wypłacić. Na razie bez problemu udzielano mu kredytu.

Wybrał sobie tę właśnie prostytutkę, bo była blondynką o bujnych kształtach i ptasim mózdzku. Liczył, że w jej pulchnych ramionach przestanie go prześladować twarz Abigail, nie będzie widział jej przerażonych, wpatrzonych w niego oczu. Tym razem jednak miało się stać inaczej.

Pociągnął jeszcze spory łyk whisky i uszczypnął blondynę w pierś, mierząc w brodawkę. Kobieta zapiszczała i rozochocona poklepała go po ręce. Śmiał się, gdy do lokalu wszedł Lucian.

- Ach, mój święty braciszek! - wybełkotał Julian nie bez goryczy. Wypił jeszcze trochę whisky i widział, jak Lucian, potrząsając głową, nie pozwala zbliżyć się do siebie rudej prostytutce, która go zaczepiała. W oczach Juliana jego błady i złotowłosy brat uosabiał chodzącą doskonałość. Obserwował

go przez mgłę dymu, na tle jaskrawo pomalowanych ścian burdelu, przy akompaniamencie chrypiących dźwięków napełniających pokój hałasem i zastanawiał się, czy Kain, patrząc na Ablę, czuł taką samą gwałtowną niechęć jak on w tej chwili.

Czekał, huśtając blondynę na kolanach i obściskując jej biust, a Lucian tymczasem rozglądał się po salonie i szukał brata. Gdy ich oczy się spotkały, a były to identyczne oczy bliźniaków, Julian mógłby przysiąc, że usłyszał dźwięk, jaki wydają szpady, gdy krzyżują się w walce.

- Cóż to ma znaczyć? - spytał, kiedy Lucian się zbliżył. - Czyżbyś w końcu zniżył się do naszego poziomu? Do poziomu reszty ludzi? Hej, słuchajcie! - zawołał na cały głos. - Mój brat chce się napić. Proszę o alkohol i kobietę dla mego brata! Choć wątpię, czy on wie, co się robi i z jednym, i drugim.

- Sprowadzasz hańbę na siebie i całą rodzinę, Julianie! Poślano mnie, żebym przyprowadził cię do domu.

- Nie wstydzę się, że płacę prostytutce. - Julian odstawił kieliszek i przeciągnął dłonią po biodrze blondyny. - Co innego, gdybym się z taką kobietą ożenił. Ale ty, bracie, pobiłeś mnie pod tym względem na głowę, podobnie zresztą jak pod wieloma innymi względami.

Lucian zbladł.

- Nie wycieraj sobie nią ust w tym miejscu.

- Mój brat ożenił się z dziwką z bagien - Julian wyjaśnił, nie podnosząc głosu, i zaczął szarpać się z blondyną: wciągał ją na kolana, bo usiłowała się zsunąć. Czuł, jak jej serce bije ze strachu; pewnie przeleżała się awantury, do jakiej doszło między nim i Lucianem. Podnieciło go to bardziej niż obietnice, jakie mu przedtem szeptała do ucha.

- Lucian, duma rodu Manetów, wprowadził dziwkę do naszego domu, a teraz wzdycha i płacze, ponieważ zostawiła go dla innego i jeszcze ubrała w swego bękarta.

Tymi kłamstwami Julian chciał przede wszystkim siebie przekonać. Musiał w nie uwierzyć, inaczej by oszalał. Przez całą zimę topił w oceanie whisky spojrzenie jej szeroko otwartych oczu i ten dźwięk, przypominający chlupnięcie, gdy ciało Abigail ześlizgnęło się w bagienną toń.

- *Allez!* - Lucian rozkazał blondynie. - Idź już!

- Chcę, by została tam, gdzie jest - odparł Julian i zacis-

nał dłonie na jej ramionach, gdy się z nim mocowała, pragnąc odejść.

Żaden z braci nie zauważył, że w salonie zapadła cisza, dźwięki pianina zamarły i śmiechy gdzieś się oddaliły. Lucian ściągnął blondynę z kolan Juliana. Wyrwała się i czmychnęła jak królik. Kiedy Lucian siłą podniósł Juliana z fotela, pojawiła się bajzelmama, za którą stał olbrzymi mężczyzna w nienaganym wieczorowym stroju.

- Panowie! - powiedziała, wysuwając się do przodu. - Nie chcemy tu kłopotów. - Potem zwróciła się do swego stałego klienta: - Panie Julianie - przemawiała do niego ciepłym tonem, głaszcząc poufale po policzku, choć jej oczy pozostały zimne jak lód. - Wyjdź lepiej z bratem, *mon cher ami*. Tu nie miejsce na rodzinne kłótnie.

- Oczywiście, bardzo przepraszam - bąknął Julian i pocałował ją w rękę. Potem się odwrócił i rzucił na Luciana.

Stół i lampa, gdzie upadli, gwałtownie się zatrzęsły. Ludzie zaczęli pośpiesznie wychodzić z lokalu, kobiety krzyczały, a bracia tarzali się po podłodze, okładali pięściami i warczeli na siebie jak psy. Przez całe życie nagromadzona w nich nienawiść znalazła teraz ujście. Po chwili zaatakował ich burdelowy ochroniarz. Złapał Juliana za kark, podniósł i wyrzucił za drzwi. Następnie dobrał się do Luciana. Postąpił z nim tak samo: podniósł i przy akompaniamencie przekleństw i krzyków wystawił za drzwi. Złość, jaką Lucian w sobie czuł, złagodziła doznane upokorzenie. Szybko się otrząsnął i stanął na nogi. Spojrzał na leżącego na ziemi brata, jakby odbicie siebie samego, i ogarnęło go uczucie innego rodzaju - wstydu.

- I do czegośmy doszli? - spytał zmęczony. - Awanturujemy się w burdelach, leżymy w rynsztokach. Pragnę zawrzeć z tobą pokój, Julianie. Bóg jeden wie, że nie znajdę go nigdzie indziej. - Wyciągnął rękę do brata, chcąc pomóc mu wstać.

Ale Julian nie pragnął zgody. Jego myśli były czarne, tak czarne jak jego dusza. Odurzony alkoholem, gniewem i poczuciem winy, nie pamiętał, kiedy sięgnął po ukryty w bucie nóż. Nie pamiętał też, kiedy zerwał się i zaatakował. Gdy poczuł, że ostrze noża wniknęło w ciało brata, opanowała go dzika radość. Z wyschniętymi wargami i szaleństwem w oczach powitał pojawienie się pierwszej krwi. Walczyli: Lucian półprzy-

tomny z bólu i szoku, a Julianowi jakby wszystko przestaniała czarna mgła. Nóż przechodził z ręki do ręki. Nagle Juliana sparaliżował potworny strach: szeroko rozwarł oczy, gdy zabójcze ostrze zwróciło się przeciw niemu i wbiło w ciało.

- *Mere de Dieu!* - krzyknął i spojrzął na plamę krwi na piersi. - *Zabiłeś mnie* - wyszeptał.

Manet Hall
rok 2002

Upały nadeszły od strony południa. Declanowi zdawało się, że nawet powietrze jest przepecone. Rano i wieczorem, kiedy temperatura była możliwa do zniesienia, pracował na dworze. Popołudniami szukał ochłody w domu.

Oczywiście noszenie narzędzi tam i z powrotem nie sprzyjało wydajnej pracy, niemniej jakoś posuwała się do przodu.

Nie dzwonił do Leny; uznał, że ona potrzebuje czasu, by ochłonąć z gniewu i uspokoić się. Ale nieustannie o niej myślał. Myślał wtedy, gdy przybijał gwoździami deski, kiedy wybierał próbki farb i gdy instalował wentylatory. Myślał o niej także wówczas, gdy się zbudził w nocy i stwierdził, że leży skulony na trawie nad brzegiem stawu, w zaciśniętej pięści trzyma zegarek Luciana, a twarz ma mokrą od łez. W ciągu dnia starał się nie zaprzętać sobie głowy lunatycznymi przechadzkami, ale nie potrafił wyrzucić z myśli Leny. Przykazywał sobie, że powinien przeczekać jeszcze jeden dzień, a potem udać się do miasta i zapukać do jej drzwi. Nawet jeśli by miał przycisnąć ją do muru i siłą zmusić do rozmowy, nie cofnie się.

Dzień ślubu Remy'ego zbliżał się wielkimi krokami. Dla Declana ta data oznaczała nie tylko uczestniczenie w uroczystości. Spodziewał się także, że na tę okazję zjadą do miasta jego rodzice. Właściwie był im wdzięczny, że nie przyjęli jego zaproszenia i nie chcieli zatrzymać się u niego. Podobnie jak oni uważał, że obie strony będą bardziej zadowolone, gdy rodziców umieści w eleganckim apartamencie hotelowym. Ale właśnie ze względu na ich przyjazd koniecznie chciał jak naj-

prędzej skończyć odnawianie balkonów i wyszykować jedną z sypialni dla gości. Wyobrażał sobie, że dwór zrobi na rodzicach duże wrażenie, gdy wjadą samochodem na podjazd i staną przed frontem domu. Chciał im też udowodnić, że gdy ich do siebie zapraszał, miał już dla nich gotową sypialnię. Matka na pewno zechce to sprawdzić i przyjdzie obejrzeć pokój.

Zszedł tyłem po drabinie, wziął termos, w którym trzymał zimną wodę, napił się trochę, a resztę wylał sobie na głowę. Odświeżony, przeszedł przez trawnik i odwrócił się, aby z odali popatrzeć na dom.

Ociekał potem, miał uczucie, że całe ciało paruje, ale mimo to uśmiechał się z satysfakcją.

- Wcale nieźle - powiedział na głos. - Całkiem nieźle jak na takiego jankeskiego amatora jak ja.

Skończył odnawianie podwójnych schodów: biegły z dwóch przeciwległych stron, by spotkać się na tarasie pierwszego piętra. Wyglądały teraz wspaniale i to wynagrodziło mu wszystkie zacięcia, skaleczenia i zadrapania, jakich doznał w pracy, i te godziny, które na nią poświęcił. Rozpierała go duma i radość. Pozostało mu już tylko przekupić malarzy, żeby zechcieli w tym upale pracować, albo modlić się o zmianę pogody. Tak czy owak nie myślał o wykończeniu tyłu domu. Zależało mu na odmalowaniu frontu, by mógł stać i patrzeć, jak dom jaśniej bielą niczym suknia panny młodej.

Powoli wszedł do góry schodami po prawej stronie, przeszedł przez taras i nie spiesząc się, zszedł na dół po stronie lewej. Zrobił to z taką przyjemnością, że powtórzył tę czynność jeszcze raz. Potem pogrzebał w torbie z narzędziami, znalazł telefon komórkowy i zadzwonił do Leny. Czuł, że musi podzielić się z nią swoją radością. Nie miało znaczenia, że będzie to dzień wcześniej, niż planował...

Słyszał, że telefon dzwoni w jej mieszkaniu, i czekał, aż Lena podniesie słuchawkę, gdy nagle zobaczył idącą przez trawnik Lilibeth. Czym prędzej wcisnął guziczek „End”, wstał

i schował telefon do torby.

- Ach, cóż za męczący upał... - powiedziała z emfazą. Uśmiechała się rozpromieniona, trzepotała rzęsami i wachlowała się dłonią. Przy okazji Declan zauważył, że miała na sobie bransoletki należące do Odette. - A przecież dopiero jest połu-

dnie. Proszę spojrzeć na siebie! - dodała, przeciągając leniwie zęłoski. Potem wolnym krokiem podeszła do niego i końcem palca przejechała po jego nagiej piersi. - Jest pan cały mokry!

- Tak. To taki niespodziewany prysznic - odparł i cofnął się, a jej palec zawisł w powietrzu. - Czym mogę pani służyć, panno Simone?

- Zacznijmy od tego, że chciałabym, by mi pan mówił po imieniu. Proszę mnie nazywać Lilibeth. Jest pan przecież dobrym przyjacielem mojej mamy i mojej małej dziewczynki. Prawda?

Oddaliła się nieco, by mieć lepszy widok na dom, i przyglądała się szeroko otwartymi oczami, nie kryjąc zachwytu.

- Po prostu trudno uwierzyć, że potrafił pan zrobić takie cudo z tego starego dworu. Musisz być niezwykle zdolny, Declan - zauważyła kokieteryjnie. - Chyba mogę tak do ciebie mówić?

- Oczywiście. Ale żeby zrobić to, co ja zrobiłem, wcale nie trzeba być bardzo zdolnym. Wystarczy mieć dużo wolnego czasu. - I pieniędzy, dopowiedział w myśli, dużo pieniędzy.

- No nie, nie bądź taki skromny. Dokonałeś tu prawdziwego cudu. Mam nadzieję, że znajdziesz dla mnie chwilę i pokażesz, jak dom wygląda w środku. A przy okazji chciałabym się czegoś zimnego napić. Wystarczyło, że zrobiłam mały spacer, by w tym upale poczuć straszne pragnienie.

Bardzo nie chciał jej gościć w swoim domu. Czuł coś więcej niż niesmak. Ta kobieta napawała go jakimś prymitywnym lękiem, ale pamiętał, że mimo wszystko była przecież matką Leny. A ponadto Declan nigdy nie zapominał o dobrych manierach, które wpoila mu matka.

- Oczywiście - zapewnił gościa. - Mam herbatę i chętnie nią służyć.

- Dziękuję! Nic nie będzie milej widziane. - Spodobało jej się to, że Declan, otworzywszy drzwi, cofnął się o krok, by weszła przed nim. Mijając go, niby przypadkiem otarła się o niego. Ot taka leciutka sugestia... Potem Lilibeth weszła do foyer i aż jej dech zaparło z wrażenia. Wcale nie kryła zachwytu, rozglądając się po imponująco wspaniałym wystroju wnętrza. Mogła porównywać, bo była tu już kiedyś. Remy i Declan nie byli pierwszymi, którzy po pijanemu włamali się do Manet

Hall. Niezbyt jej się wnętrza podobały, gdy je poprzednio widziała. Przerażały ją wszechobecne kurze, pajęczyny i spłowiałe starocie.

Teraz wszystko tu było inne, błyszczące od światła i połysku. Lśniące posadzki, lśniące ściany. Nie przywiązywała wagi do starych mebli ani ich wyglądu. Ale nie miała wątpliwości, że przedstawiały ogromną wartość. Wiedziała, że ludzie mający od pokoleń pieniądze lubili kupować i gromadzić starocie. Nie rozumiała tego. Wydawało jej się to dziwne, skoro tyle jest nowych i pięknych rzeczy na świecie.

- Mój Boże, kochanie, przecież ten dom wygląda jak załtany pałac otwarty dla zwiedzających. Tak, wygląda jak pałac... - powtórzyła i przeszła do salonu.

Chociaż sama wolała przebywać w centrum miasta, gdzie był wielki ruch, to jednak zdawała sobie sprawę, że w takim miejscu kobieta mogłaby żyć jak królowa. A jeśli miałaby taki kaprys, mogłaby i tu wprowadzić więcej ruchu.

- Mój Boże! Mówiłam, że jesteś zdolny. Nie... ty jesteś genialny! Wszystko tu jest takie piękne i jak nowe! Musisz być strasznie dumny z tego domu.

- To pewnie przyjdzie z czasem. A teraz przejdźmy do kuchni z tyłu domu. Tędy... proszę. Tam poczęstuję panią zimnym napojem.

- Będzie mi bardzo miło, ale nie chcę, żebyś mnie popędzał. - Władczym ruchem wzięła go pod ramię i przeszła przez cały hol. - Jestem po prostu zafascynowana tym, co zrobiłeś w tym domu, a wiem od mamy, że rozpocząłeś pracę zaledwie kilka miesięcy temu.

- Wiele można zrobić, jeśli się człowiek trzyma planu. - Ponieważ nie mógł się od niej uwolnić, a miał już serdecznie dość towarzystwa Lilibeth, próbował szukać sposobu, jak by jej się pozbyć. Kiedy skierowała się do biblioteki, cały czas wydając okrzyki i pomruki zachwytu, zrezygnowany Declan postanowił przy tej okazji lepiej jej się przyjrzeć.

Nie mógł się w niej dopatrzeć podobieństwa do Leny, choć nie przeczył, że mają pewne wspólne cechy. Ale różnice były uderzające. Lena miała jędrne ciało i bardzo zgrabną figurę, natomiast Lilibeth, z ciałem zniszczonym przez upływ czasu i nadużywanie uciech, przypominała raczej mocno wychu-

dzoną szkapę. Na domiar złego te swoje mankamenty wystawiła na pokaz, wkładając skapę czerwone szorty i obcisły bezrękawnik z dekoltem w serek, w czym wyglądała tandetnie i żałośnie. Przywodziła na myśl starą zużytą lalkę Barbie wymalowaną na ostatnią karnawałową noc. Declana ogarnęło nagle współczucie dla tej kobiety, która koniecznie chciała zwrócić na siebie uwagę i zdobyć uznanie, ostentacyjnie demonstrując wdzięki, które już utraciła.

Zbyt hojną ręką nałożyła na twarz makijaż, a że był upał, wydawała się chorobliwie mizerna i nienaturalna pod tymi pożyczonymi kolorami. Przez jej włosy, całe w kędziorach, przebijały siwe odrosty.

Prowadząc Lilibeth do kuchni, Declan pomyślał, że jest zbyt żałosna, by można się na nią obrażać.

- Proszę usiąść - poprosił. - Zaraz podam pani herbatę. Ona jednak wzięła jego uprzejmość za znak, że mu się podoba.

- Jaka piękna kuchnia... - zaczęła, siadając na krześle. Ponieważ w pomieszczeniu panował chłód, odchyliła do tyłu głowę, by powietrze dotarło do szyi i by mogła obserwować go spod oka. - Nie powiesz mi, że umiesz także gotować. Jeśli by tak było, musiałabym cię odbić Lenie i sama się za ciebie wydać.

- Przykro mi, ale nie gotuję... - odparł. Na wspomnienie Leny trochę się wzruszył, ale że stał tyłem do Lilibeth, nie widziała jego twarzy.

- No tak... dziewczyna musi być wyrozumiała... - zwilżyła językiem wargi. W wyniku oględzin doszła do wniosku, że Declan jest silnej budowy, zgrabnej postury i bardzo korzystnie się prezentuje w spodniach z nisko naszytymi kieszeniami. Z miejsca odczuła brak mężczyzny i stwierdziła, że Declan ją pociąga. - Nie miałbyś czegoś mocniejszego od herbaty, co, kochaniutki?

- Wolałaby pani piwo?

Potaknęła, choć wolałaby dobrą szklanekę whisky.

- O, tak! Piwo będzie w sam raz. Czy przyłączysz się do mnie?

- Nie, pozostanę przy herbacie. Muszę jeszcze dziś pracować.

- Jest za gorąco, by pracować. - Rozprostowała plecy i przyglądała mu się spod rzęs. - W takie dni jak ten chciałoby się zanurzyć w chłodnej kąpieli, a potem położyć się w ciemnym pokoju z wentylatorem, by ochłodził skórę. - Podniosła do ust szklankę piwa, którą jej podał, i upiła. - Ciekawe, co robisz, żeby lepiej znieść upał - powiedziała.

- Leję sobie zimną wodę na głowę. A co u panny Odette? Jak ona się czuje?

- Ach... ona? Dobrze się czuje. Tylko że w domu jest gorąco jak w piekle, zwłaszcza rano, gdy mama robi swoje wypieki. Musi oszczędzać... Pomagam jej, najlepiej jak potrafię, ale niełatwo się nam żyje, Declanie... - Przejechała palcami po szklance, rozsmarując skroploną parę, i znów upiła piwa. - Chciałabym cię przeprosić za scenę tamtego dnia. My z Leną często się niepotrzebnie ranimy, choć wcale tego nie chcemy. Trudno by mi było zaprzeczyć, że nie zachowywałam się wobec niej jak należy, kiedy była mała, ale teraz staram się jej to wynagrodzić.

Otworzyła szeroko oczy, aż zaczęły ją piec i napełniły się łzami, i chyba tego właśnie chciała.

- Zmieniłam się. W moim życiu nastąpił punkt zwrotny i teraz już wiem, co jest naprawdę ważne: jest tym rodzina. Rozumiesz, co mam na myśli, bo przecież też masz rodzinę, prawda?

- O tak, oczywiście.

- A teraz jesteś tu sam i pewnie ci brakuje twoich bliskich. I oni też za tobą tęsknią, w to nie wątpię. Jeśli nawet kiedyś były między wami jakieś niesnaski, z pewnością odsuwacie je na bok i bez względu na wszystko popieracie się wzajemnie. Czy mam rację?

- Tak.

- Pragnę, by i Lena zrozumiała, że tego tylko chcę. Ona mi jeszcze nie ufa i nie mogę jej za to winić, ale mam nadzieję, iż ty mi pomożesz ją przekonać, żeby mi dała szansę. - Wyciągnęła rękę przez stół i głaskała go po dłoni. - Byłabym ci bardzo wdzięczna, gdybyś mógł to uczynić. Czuję się taka samotna... Kobieta w mojej sytuacji potrzebuje przyjaciela. Silnego mężczyzny, który by stał po jej stronie. Gdybym wiedziała, że mogę na ciebie liczyć, bardzo by mi to pomogło.

- Jeśli mówimy o stronach, to zawsze bym stanął po stronie Leny, jednak w żadnym wypadku nie mogę mieszać się w sprawy rodzinne. A gdybym zgłupiał i chciał spróbować, Lena na pewno by mnie nie posłuchała.

- To może wy dwoje nie jesteście ze sobą tak blisko, jak przypuszczałam?

- Przypuszczenia często są błędne, więc lepiej nie ryzykować... - odparował,

- Ale śpicie ze sobą, prawda?

- Nie będę z panią o tym rozmawiał.

- Dlaczego nie? - Lilibeth dla ochłody wsunęła na chwilę zimną szklankę po piwie w rowek między piersiami i śmiejąc się, wstała. - Czyżbyś był nieśmiały, kochanie? Nie musisz być nieśmiały przy Lilibeth.., Możemy być przyjaciółmi... - Obeszła stół i pochyliła się nad siedzącym Declanem. - Bardzo dobrymi przyjaciółmi - dodała, oplatając go ramionami. Po chwili poczuł, że lekko kąsa go zębami w ucho.

- Panno Simone, przykro mi, ale muszę panią prosić, by zdjęła ze mnie swoje ręce. Nie powinna pani czegoś takiego robić. - Jesteś bardzo nieśmiały - zachichotała i owionął go jej ciepły oddech i zapach piwa. Przesunęła dłonie w dół, w okolice jego krocza.

Zacisnął dłoń na nadgarstkach i unióś jej ręce.

- Powinna się pani wstydzić! - zawołał. Przekreślił się na krześle i zerwał się, stając z nią twarzą w twarz. - Ale to jest pani sprawa. Gdy jednak usiłuje mnie pani wykorzystać przeciwko Lenie, to już jest moja sprawa.

Poczerwieniała ze złości.

- Może uważasz, że jesteś za dobry dla mnie?

- Nieważne, co uważam. Proszę wyjść i oboje zapomnimy, że cokolwiek się tu wydarzyło.

Miała ochotę krzyknąć i uderzyć go, lecz była na to za spryt-
na. Nie wypila aż tyle piwa, by zgłupieć do reszty. Wprawdzie
zażyła kokainę przed wyjściem z domu, ale była to bardzo nie-
wielka działka. Postanowiła kontynuować swoją grę do końca.
Padła na krzesło, złożyła ramiona i opuściwszy głowę, łkała.

- Nie wiem, co mam robić. Jestem samotna i przerażona. Potrzebuję pomocy. Myślałam... myślałam, że jak ci się od-

dam, to mi pomożesz... Po prostu nie wiem, co mam robić. - Podniosła głowę i dwie łzy, które zdołała z siebie wydusić, spłynęły po policzku, znacząc ślad na makijażu. — Mam straszny kłopot.

Declan podszedł do zlewozmywaka, puścił wodę, odczekał, aż będzie zimna, i poszukał szklanki.

- Jakiego rodzaju kłopot? - spytał.

- Jestem winna pieniądze. Dlatego wyjechałam z Houston, a teraz się boję, że mnie tu znajdą. Mogą mi zrobić krzywdę. Być może także Lenie. Nie chcę, żeby skrzywdzili moje dziecko.

Declan postawił przed nią szklankę z wodą.

- O jaką kwotę chodzi? - chciał się dowiedzieć. Wtedy zauważył krótki błysk zadowolenia w jej oczach, zanim zdążyła opuścić powieki.

- O pięć tysięcy dolarów. To nie była moja wina, naprawdę... Zaufałam niewłaściwym ludziom... pewnemu mężczyźnie... a on uciekł z pieniędzmi i zostawił mnie z długiem. Jeśli nie znajdę sposobu, żeby go spłacić, ci ludzie mnie wyśledzą i zrobią mi coś złego. Także mamie i Lenie.

Declan usiadł i badawczo się w nią wpatrywał.

- Pani kłamie - powiedział. - I usiłuje wyłudzić ode mnie pięć tysięcy, za które kupi narkotyki i wyjedzie z miasta. Bierze mnie pani za naiwniaka, ale się pani przeliczyła. Gdyby nie chodziło o Lenę, dałbym pani dwieście dolarów i odesłał, ale wiem, że Lenie by się to nie podobało.

Podniosła szklankę z wodą i jej zawartość wylała mu na twarz. Ledwo zdążył zmrużyć oczy.

- Pieprzę cię!

- Jak już: ustaliliśmy, to nie wchodzi w rachubę...

- Myślisz, że jesteś taki mądry, co? Taki ważny, dlatego że masz pieniądze? - zerwała się z miejsca. - Taka niby wielka, wytworna rodzina, zgrywająca się na ważniaków... Wszystkiego się o tobie dowiedziałam, Declanie Fitzgerald. Więc pytam cię, co ta wielka, wytworna, ważniacka rodzina pomyśli, gdy się dowie, że się pieprzysz z akadyjską dziwką.

Słyszając to, Declan poczuł, że coś mu skręca wnętrzności, ściska za gardło, wwierca się w głowę... Patrzył zdumiony, jak

na jego oczach twarz Lilibeth ulega przemianie, staje się pełniejsza, starsza, zimna. Josephine - pomyślał.

- Wynoś się! - krzyknął. I nie był pewny, czy mówi do kobiety z krwi i kości, czy do ducha. Jego dłonie drżały, gdy przytrzymał się kantu stołu.

- Ciekawe, jak się tym wszystkim wspaniałym doktorom, adwokatom, indiańskim wodzom w Bostonie spodoba to, że ich złoty chłopiec pieprzy się z dziwką z bagien. Ani pieniędzy, ani dobrego pochodzenia... Prowadzi podrzędny bar i ma babcię, która obszywa ludzi, żeby zarobić parę groszy. Wyłączą cię z testamentu, kochanie. Zostawią cię samego i bez środków w tym wielkim białym domu. A już na pewno to zrobią, gdy im powiem, że spałeś także z jej mamą.

Declan czuł, że nogi się pod nim uginają, i tylko siłą woli utrzymał się w pozycji stojącej.

- Wynoś się z mego domu, bo nie ręczę za siebie! - ryknął.

- Ktoś taki jak ty nie bije kobiet. Nie myśl, że się na tym nie znam... - Czuła się pewna siebie i w dużej mierze zawdzięczała to kokainie. - Odrzuciła do tyłu włosy. - Jeśli chcesz nadal pieprzyć się z moją córką i jeśli zależy ci na tym, by się twoja rodzina o niczym nie dowiedziała, to wypisz mi czek, *cher!* I zrób to zaraz! A że zraniłeś moje uczucia, podwyższam sumę do dziesięciu tysięcy.

- Twoje uczucia, Lilibeth, nie są dla mnie warte nawet złamanego dolara.

- Ale zyskają na wartości, kiedy odbędę małą rozmówkę z twoją matką.

- Moja mama da ci nieźle do wiwatu! - Podeszedł do kredensu, jednym szarpnięciem otworzył szufladę i wyjął notatnik. Na kartce zapisał numer telefonu i podał go Lilibeth. - Tu masz do niej telefon. Zadzwoń! Możesz nawet skorzystać z mego telefonu, bo sam też chętnie tej rozmowy posłucham. Z prawdziwą przyjemnością zobaczę, jak moja mama robi cię na szaro.

- Potrzebuję pieniędzy.

- Tu ich nie dostaniesz.

Tracił już cierpliwość, więc nie zwlekając, chwycił ją za ramię i zaciągnął do wyjścia.

- Mogę przysporzyć tobie znacznie więcej kłopotów niż ty mnie. Uwierz mi! - oznajmił i wyrzuciwszy ją za drzwi, zatrzasnął je z hukiem.

Potem opadł na krzesło i siedział tak długo, aż poczuł się nieco raźniej. Niemniej wciąż jeszcze miał wrażenie, że jest fizycznie chory. Coś się z nim stało, gdy Lilibeth się na niego wściekała i znieważała Lenę. Wyraz twarzy, jaki wtedy przybrała, upodobił ją do kobiety, którą widział w swoich snach. Tej, która miała jakiś związek z jego domem, z tajemniczym trzaskaniem drzwiami, z siłą dążącą do tego, by on ten dom opuścił, i pragnącą, by stało mu się coś złego.

- Nie ma wątpliwości - powiedział do siebie - że Leny matka także źle mi teraz życzyła.

Wstał i podszedł do telefonu. Jedynym pozytywnym rezultatem tego przykrego przeżycia było to, że zaczął bardziej cenić własną matkę. Wykręcił jej numer i poczuł się jakby oczyszczony, gdy usłyszał tak dobrze znany sobie głos.

- Cześć, mamó!

- Declan? Dziwne, że dzwonicz o tej porze. Czy coś się stało? Miałeś wypadek?

- Nie, ja...

- Wszystko przez te okropne narzędzia... Pewnie odciąłeś sobie rękę.

- Nie, wciąż mam dwie i wszystkie inne części ciała też na miejscu. Dzwonię tylko po to, aby ci powiedzieć, że cię kocham.

Teraz nastąpiła długa, znacząca pauza.

- Czyżbyś się właśnie dowiedział, że zachorowałeś na jakąś śmiertelną chorobę i masz tylko sześć miesięcy życia przed sobą?

Roześmiał się.

- Tu mnie masz! Jestem trupem i chcę nawiązać kontakt z rodziną, by się upewnić, że będziecie czuć przy zwłokach.

- Chcesz, żeby ci wujek Jimmy zaśpiewał *Danny Boy*?

- Nie, naprawdę nie! Wolę spoczywać w pokoju.

- Weźmiemy to pod uwagę. A tak naprawdę, to o co ci chodzi, Declanie?

- Chciałbym ci opowiedzieć o dziewczynie, w której się zakochałem i którą chcę poślubić.

Nastąpiła jeszcze dłuższa przerwa.

- Czy to ma być kawał?

- Nie! Masz parę minut czasu?

- Myślę, że mogę przestawić swoje zajęcia...

- Dobrze! - Skoczył do kuchni, wziął mrożoną herbatę i choć lód się stopił, wypił ją duszkiem. - Moja wybranka nazywa się Angelina Simone i jest piękna, fascynująca, zniechęcająca, uparta i po prostu doskonała, mamo!

- Kiedy ją poznam?

- Na ślubie Remy'ego. Jest tylko jedno małe „ale” prócz tego, że ona nie jest jeszcze gotowa powiedzieć „tak”.

- Nie wątpię, że uda ci się pokonać ten mały detal. A co to za „ale”?

Usiadł i opowiedział jej o Lilibeth. Kiedy skończył rozmowę, poczuł ulgę. Pod wpływem impulsu poszedł na górę umyć się i przebrać. Postanowił, że spotka się z Leną nieco wcześniej, niż planował.

Dobre uczynki wprawiły Declana w dobry nastrój. Wchodząc do Et Trois, liczył się z tym, że Lena przywita go chłodno i z poczuciem wyższości poklepie po plecach.

Stała za barem, nalewała piwo i rozmawiała z jednym ze swoich stałych klientów. Declan obserwował, jak jej spojrzenie najpierw poszybowało w górę, a potem wylądowało na nim. Czuł je na sobie, gdy szedł w jej stronę, przeciskając się przez wąskie przejście. Zdażyła jeszcze wyciągnąć przez ladę baru kufel piwa z pianą i włożyć go w czekające ręce, gdy Declan uniósł ją i przycisnął wargi do jej ust. Dookoła rozległy się brawa i gwizdy, a on tylko się roześmiał i trzymał ją na wysokości kilku centymetrów nad ziemią.

- Brakowało mi ciebie - wyznał.

Wargi ją piekły, więc pocierała jedną o drugą.

- Wiem, że masz dobre intencje. - Poglaskała go po policzku i rzuciła mu szybkie, figlarne spojrzenie. - Teraz jednak postaw mnie już na ziemi, chłopcze. Przecież ja tu pracuję!

- Musisz koniecznie znaleźć kogoś, kto mógłby cię przez chwilę zastąpić.

- Nie widzisz, że jestem zajęta? Poszukaj sobie miejsca, usiądź, a zaraz przyniosę ci piwo.

Podciągnął ją trochę wyżej, na skutek czego zamajtała nogami, a on szybko podłożył pod nie ramię. Otworzył łokciem drzwi do kuchni i krzyknął:

- Lena prosi, żeby ją ktoś zastąpił! - Potem skierował się do przejścia. - Czy pan pozwoli, że się tędy jakoś przecisniemy? - spytał popijającego piwo bywalca baru.

- Ależ oczywiście!

- Declanie! - złościła się Lena. - Nie chciała się z nim siłować, żeby nie zrobić złego wrażenia na gościach. - Nie rozumiesz, że prowadzę tu biznes?

- I bardzo dobrze ci to idzie... Dziękuję! - rzucił mężczyźni, który usunął się, robiąc im miejsce. - Przez pół godziny doskonale poradzą sobie bez ciebie. - Skinął głową w podziękcie, gdy jego nowy przyjaciel poszedł przodem i otworzył przed nimi drzwi. Cały czas trzymając Lenę na rękach, wyniósł ją z lokalu. Kilka osób rzuciło im ciekawe spojrzenia, kilka innych się zaśmiało, gdy przeszedł w dół chodnikiem i skręcił w podwórze.

- Nie lubię, jak się mnie zmusza, *cher!*

- Wcale cię nie zmuszam, tylko ciebie niosę. Gdzie masz zapasowy klucz? - spytał, idąc schodami do góry. Kiedy nie odpowiedziała, wrzucił ramionami. - Proszę bardzo, niech nas aresztują, a do tego dojdzie, gdy zrobimy to, co planuję zrobić tutaj, na twoim ganku. Ale ja się nie boję, jestem odważny!

- Klucz jest pod drugą doniczką na lewo.

- W porządku.

Ku jej przerażeniu podniósł ją jeszcze wyżej i przełożył sobie przez ramię, po czym kucnął i wyjął klucz spod doniczki. Lena jeszcze nie doceniała jego siły, a teraz musiała przyznać, że nie doceniała również własnej reakcji.

- Wydaje mi się, że schudłaś kilogram lub więcej. To dobrze. - I otworzył drzwi do mieszkania.

- Co powiedziałeś? Wybacz, nie rozumiem, o co ci chodzi. - Mówiła lodowatym tonem obrażonej piękności z Południa.

- Przypuszczam, iż zeszczuplałaś dlatego, że za mną tęskniłaś. - Kopnął nogą drzwi, by je zamknąć.

- Nie wyobrażasz sobie, jak bardzo mi to pochlebia, że, zamiast pracowicie spędzać dzień, wzięłaś sobie wolne i wybrałaś się do miasta po szybki seks, aleja...

- Wspaniały pomysł! Wprawdzie na mojej liście spraw do załatwienia seks nie figuruje na pierwszym miejscu, ale nie widzę powodu, dlaczego mielibyśmy czekać. - Wygodnie ułożył ją sobie na ramieniu i ruszył do sypialni.

- Przestań! Zaczynasz mnie naprawdę irytować. Postaw mnie na ziemi i... - Zabrakło jej siły, by skończyć zdanie, i zabrakło tchu w płucach, gdy rzucił ją na łóżko.

Zauważył, że oczy jej niebezpiecznie błyszczą, i bardzo mu się to spodobało. Był nastawiony na coś szybkiego, fizycznego, wywołującego siódme poty i mającego posmak seksualny.

- Co w ciebie, do diabła, wstąpiło? Wmaszerowujesz do mego lokalu, jakbyś był jego właścicielem, i wynosisz mnie, jakbym była jakimś wojennym łupem... Jeśli myślisz, że jestem tu po to, by podrapać cię tam, gdzie cię swędzi, ilekroć tego zapragniesz, to jesteś w błędzie.

Śmiejąc się, ściągnął z jej nogi bucik i odrzucił na bok.

- Włóż mi go z powrotem albo spływaj stąd! Jedno albo drugie, ale wołałabym, żebyś sobie poszedł.

Zdjął jej drugi bucik, a potem pozbył się swojej koszuli. W odpowiedzi na to uniosła się lekko i wykrzyczała coś po akademicku tak szybko i niewyraźnie, że łapał mniej więcej co szóste słowo.

- Przepraszam - powiedział już łagodniejszym tonem, jednocześnie rozpinając dzinsy. - Mówiłaś za szybko. Nie zrozumiałem, czy powiedziałaś, że jestem świnią, która powinna się smażyć w piekle, czy że powinienem pójść do piekła i zjeść smażoną świnię.

Był przygotowany na atak, gdy na niego skoczyła, i śmiał się, gdy rzuciła się z pięściami, waląc go gdzie popadło. Potem przysłała kolej na gwałtowne zapasy, a drapiące paznokcie i odsłonięte zęby Leny dodawały pikanterii tym zmaganiom. Biła go po twarzy, klęła i kopała, Wierzgała jak dzika klacz, gdy ją miażdżył pod sobą na łóżku i w gorącym, namiętym pocałunku przyciskał wargi do jej swarliwych ust.

- Chyba nie tego po mnie oczekiwałaś, prawda? - Bez tchu, gnany żądzą, rozdarł na niej bluzkę. - A może daję ci więcej, niż oczekiwałaś?

Nie, to nie było to, czego od niego oczekiwała, podobnie jak nie spodziewała się po sobie tak nasyconej pożądaniem reakcji na jego przemoc.

- Przestań! - krzyknęła. - Przestań natychmiast!

Pod szorstką dłonią czuł, jak trzepocze jej serce.

- Spójrz na mnie! - rozkazał i przygwoździł jej ręce, przytrzymując stalowym uściskiem z obu stron jej głowy. - Spójrz na mnie i powiedz, że nie chcesz, że nie pragniesz tego, co ja. Powiedz prawdę! Powiedz, co myślisz. Jeśli powiesz, że mnie nie chcesz, to sobie pójdę.

- Puść moje ręce! - zażądała, Choć spoglądała na niego spokojnie, w głosie wyczuwał drzenie. - Puść moje ręce! - powtórzyła.

Uwolnił jedną rękę.

- Powiedz wreszcie prawdę! - Cały dygotał. - Chcesz mnie czy nie?

Zanurzyła dłoń w jego włosach i przyciągnęła usta do swoich ust.

- *J'ai besoin*. Pragnę cię. - Gniotła jego wargi, wciskając

w nie zęby. Oplotła go mocno nogami, by przywiązać się nimi jak łańcuchem. - Weź mnie! - błagała. - Teraz! Szybko i ostro! Wsunął rękę pod jej krótką, obcisłą spódniczkę i rozerwał cieniutkie majteczki, jakie miała pod spodem. Pot zwilżał ich ciała, kiedy Lena łukiem się do niego wygięła.

- Tak trzymaj! - nakazał jej i wszedł w nią.

Krzyknęła, kiedy przeniknęło ją rozkoszne uczucie wypełnienia. Krzyknęła ponownie, kiedy wtargnął w nią głębiej i mocniej. Chłoneła go całą sobą, zniewolona przez swoje własne szalone żądze. Orała paznokciami jego plecy, szczypała biodra.

De plus en plus. Jeszcze, jeszcze! - krzyczała bezgłośnie.

- Jeszcze - udało jej się w końcu wyszeptać. - Jeszcze!

I on tego pragnął. Rozwarł jej kolana, otworzył ją i wbił się w nią z całą siłą. Czuł palący ogień w płucach, sercu i łądźwiach. Niepohamowana namiętność i niewysłowiona rozkosz, że może dać upust dzikiej żądzy, mgłą przestłoniła mu wzrok i zapomniał o całym świecie.

Jasne promienie słońca wdzierały się przez okno. Z ulicy dochodził mosiężny dźwięk trąbki. A oni słyszeli tylko jęklive skrzypienie sprężyn w łóżku, gdy ich ciała rytmicznie o siebie uderzały.

Ciemne i lśniące jak onyks oczy Leny zawisły na oczach Declana.

Kocham cię. Kocham nieskończenie...

Nie wiedział, czy wymówił te słowa, czy może one desperacko zakotwiczyły się w jego mózgu, dlatego że opuściła go nadzieja. Ale zobaczył, że zmienia się wyraz jej oczu, że pojawia się w nich ogromne, zaślepiające podniecenie. Słyszał, że Lena coraz szybciej i gwałtowniej oddycha, czuł, jak się wokół niego zaciska i dochodzi do szczytowego momentu. Nie był w stanie dłużej się hamować, był bliski szaleństwa; ciałem jego wstrząsnął potężny dreszcz i do chłonnego wnętrza dziewczyny spłynął życiodajny płyn. Potem padł w nią bez tchu i bez czucia, ona zaś drżała i dygotała, wciąż poruszana wstrząsami jak wulkan po wybuchu. W końcu ucichła.

- Nie mogę się jeszcze podnieść - wymamrotał. Wydawał się sobie pusty, wydrążony, lekki jak łuska, którą zdmuchnąć może najlżejszy powiew wiatru.

- Nie musisz. - Przyłgnęła wargami do jego szyi i każdy ruch jej ust w tym miejscu przynosił Declanowi doznanie jakiejś niezwyklej czułości. To było jak tęcza po burzy.

- Czy uwierzysz, gdy ci powiem, że przyszedłem tylko po to, żeby z tobą porozmawiać?

- Nie uwierzę.

- A jednak tak było. Myślałem, że dopiero po rozmowie przejdziemy do tego, co się stało. Ale zmieniłem plany... i jestem ci winien bluzkę i majteczki.

- Nie przejmuj się. Mam ich dużo.

. Declan doszedł do siebie na tyle, że mógł lekko się unieść, oprzeć na łokciach i spojrzeć na nią. Miała zarumienione i płonące policzki; wilgotne od potu włosy opadały lokami ku skroniom i leżały rozrzucone na wygniecionym prześcieradle. Miał ochotę ją wylizać jak kot śmietankę.

- Chyba to, że cię zezłościłem, tak strasznie mnie podnieciło - wyznał.

- Mnie też. Tak mi się przynajmniej zdaje, bo wcale nie miałam zamiaru z tobą się kochać.

- Naprawdę?

- Tak! - Położyła mu dłoń na policzku, zdziwiona, że tyle ma w sobie czułości. - W dodatku podjęłam tę decyzję po dłuższym zastanowieniu się. Ale potem zjawileś się w barze taki seksowny i przystojny, i w dodatku porwałeś mnie w taki oryginalny sposób... Mieszasz mi w głowie, *cher*. Po prostu co jakiś czas przychodzisz i mieszasz mi w głowie.

- Jesteś wszystkim, czego pragnę.

- Ale niczym dobrym dla ciebie. Idź już sobie! - Pchnęła go lekko w ramię. - Zejdź ze mnie! W tej pozycji za bardzo się pocimy.

- Weźmiemy prysznic, a potem porozmawiamy. Tylko porozmawiamy, nic więcej! - powtórzył, widząc, że pytająco uniosła brew. - Słowo harcerza. - I podniósł dwa palce do góry, jakby składał przysięgę.

- Muszę wrócić do pracy.

- Angelino!

- Już dobrze! - Machnęła ręką, żeby dał spokój. Wiedziała, że nie ma sensu się z nim kłócić, bo to nic nie da. Pan Bóg jeden wie, dlaczego ten uparciuch wydawał jej się tak bardzo

atrakcyjny. - Idź i umyj się, a ja zadzwonię na dół i upewnię się, czy w barze jest wszystko w porządku i czy przez następnych kilka minut też sobie beze mnie poradzą.

Weszła pod prysznic, gdy on skończył się myć. Pomyślała, iż pewnie tak to urządziła, żeby uniknąć intymności. Ustępując jej miejsca w łazience, wszedł do kuchni. Tak jak się spodziewał, bez trudu znalazł dzbanek mrożonej herbaty i nalał im obojgu po szklance.

Gdy Lena zjawiła się w kuchni, mając na sobie tę samą co przedtem seksowną spódniczkę i świeżą bluzkę, Declan podał jej szklankę. Zaniósł ją do pokoju.

W ciągu ostatnich kilku dni ograniczała się tylko do tego, co koniecznie musiała zrobić. Przez cały ten czas jedna jej cząstka rozpaczliwie za nim tęskniła, a kiedy łapała się na tym, że go wypatruje, spoglądając wciąż w stronę drzwi do baru, łajała się w duchu, że jest słaba i głupia. Podobnie w nocy, gdy się budziła i sięgała ręką, szukając go u swego boku. A dzisiaj spojrzała w stronę drzwi i oto był! Złościła się na siebie, że na jego widok- poczuła ogromną radość i zarazem bezgraniczną ulgę. A potem wściekła się za to, że zranił jej dumę, wynosząc na rękach z jej własnego baru.

- Declanie - zaczęła. - Tamtego dnia nie byłam w porządku wobec ciebie, ale naprawdę nie miałam nastroju, żeby zachowywać się jak należy.

- Jeśli masz zamiar się tłumaczyć, to daruj sobie, bo umyślnie robiłem wszystko, żeby ciebie rozzłościć. Wolę, kiedy jesteś zła niż smutna. A Lilibeth działa przygnębiająco na was obie.

- Masz rację. Najbardziej mnie boli, że ona jest teraz z babcią i pewnie znowu ją skrzywdzi, a ja nic nie mogę na to poradzić. Martwi mnie też, że nie potrafię temu zapobiec na przyszłość. Niepotrzebnie jednak ciebie wciągamy w nasze sprawy. To nie jest w porządku.

- Przecież nie uczyniłaś tego z rozmysłem. Tak się po prostu zdarzyło. Popraw mnie, jeśli się mylę, ale, zdaje się, sądzisz, że skoro pochodzę, skąd pochodzę, i jestem, kim jestem, to obce mi są ciemne strony życia i nie poradzę sobie z trudnymi czy choćby podejrzanymi sprawami, zwłaszcza gdy dotyczą ciebie.

- Nie wątpię, *cher*, że masz dużo dobrej woli, ale ta jedna część mego życia jest chyba poza twoim zasięgiem. Nie potrafisz zrozumieć kogoś takiego jak moja matka.

- Dlatego, że całe życie mnie chroniono? Rzecz w tym, moja droga, że twoja matka była u mnie dzisiaj.

Zdrowy rumieniec, którym seks i namiętność zabarwiły policzki Leny, w jednej chwili zniknął.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytała.

- Tyle tylko, że Lilibeth złożyła mi dzisiaj w południe wizytę. Zastanawiałem się, czy mam ci o tym powiedzieć, czy nie, ale doszedłem do wniosku, że nie powinienem mieć przed tobą żadnych tajemnic ani cię okłamywać. Otóż Lilibeth nie tylko do mnie przysłała, ale jeszcze się sama wprosiła na zimne piwo, a w końcu usiłowała mnie uwieść.

- Tak mi przykro. - Wargi Leny były sztywne i zimne jak lód, a w gardle ją paliło, tak że z trudem formułowała słowa. - To się już nie powtórzy. Dopilnuję tego!

- Daj spokój! Czy ja wyglądam na kogoś, kto potrzebuje ochrony? I nie oburzaj się, tylko czekaj, aż skończę. Otóż gdy Lilibeth sięgnęła do zamka błyskawicznego w moich spodniach, powiedziałem jej, że powinna się wstydzić. Wobec tego zmieniła taktykę i jej następnym krokiem było udawanie rozpacz: pochylała się nad stołem kuchennym i płakała. - Declan przestał opierać się o poręcz tapczanu Leny. Uznał, że przy tego rodzaju rozmowie nie wypada rozwalać się na miękkich, kolorowych poduszkach. - Nie potarafiła wydusić z siebie zbyt wielu łez, choć trzeba jej przyznać punkty, że się bardzo starała, robiła za to dużo hałasu, Opowiedziała mi historyjkę, że jacyś źli, podli ludzie szukają jej i chcą ją skrzywdzić. Nie tylko ją zresztą, ale także ciebie i pannę Odette. Żądają zwrotu pięciu tysięcy dolarów, które jest im winna. Rozpaczała, że nie wie, dokąd ma się zwrócić o pomoc i co ma robić.

Kolory wróciły na twarz Leny. Teraz rumieniec sięgnął aż do kości policzkowych.

- Dałeś jej pieniądze? Jak mogłeś w te bujdy uwierzyć?

Najpierw byłem w jej oczach chronionym słabeuszem, pomyślał Declan, a teraz zostałem po prostu kretyńcem. Westchnął w przesadny sposób i upił herbaty.

- Chyba koniecznie chcesz podbudować własne ego, dzie-

cinko. Otóż Lilibeth nie dostała ode mnie ani centa; dałem jej też jasno do zrozumienia, że nie dam się w nic wrobić. Tak ją to zirytowało, że zaczęła mi grozić, iż pójdzie do mojej rodziny. Odniosłem wrażenie, że musiała wypytywać o mnie różnych ludzi i miała niejakie wyobrażenie o moich najbliższych krewnych. Uznała, że moi bliscy byliby zszokowani i zawstyżeni wiadomością, że ich wspinały chłopiec poddał się twoim czarom. I dla dopełnienia miary miała im jeszcze powiedzieć, że z nią także spałem.

- Ona jest do tego zdolna - Lena czuła, że robi jej się niedobrze. - Declanie, ona naprawdę jest do tego zdolna...

- Kochanie, przecież cię prosiłem, żebyś nie przerywała i zaczekała, aż skończę. - Jego głos nie brzmiał ani karcąco, ani złośliwie, ale nieubłagane. - W tym momencie cena szantażu wzrosła do dziesięciu tysięcy dolarów; nie sądzę jednak, by Lilibeth była zadowolona z mojej reakcji, bo ja ją najzwyczajniej w świecie wyrzuciłem za drzwi. To jest mniej więcej wszystko, co miałem do powiedzenia. Teraz możesz się oburzać, jeśli chcesz, tylko nie płacz. - Widząc, że jej oczy napęłniły się łzami, dodał: - Ona nie jest warta ani jednej twojej łzy.

- Ale to mnie potwornie upokarza. Nie rozumiesz?

- Rozumiem. Chociaż oboje jesteśmy dość mądrzy, by wiedzieć, że ta sprawa nie ma nic wspólnego z tobą, to jednak cię rozumiem. I jest mi przykro, że tak jest, i przykro, że jeszcze ci przysporzyłem bólu.

- Ale tu nie chodzi o ciebie, kochanie. Nigdy nie chodziło o ciebie. - Otarła łzy. - Staralam się wbić ci to do głowy od samego początku.

- O ciebie także nie... Wierz mi, Leno! Patrzyłem na Lilibeth z bliska, przyglądałem się badawczym wzrokiem i nie znalazłem w niej żadnej cechy, która byłaby także twoją cechą. Przecież to, jaką mamy rodzinę, nie zależy od nas, taki jest po prostu los szczęścia. Natomiast to, do czego człowiek dochodzi z pomocą rodziny lub wbrew niej, stanowi o tym, jaki ma charakter i jakie serce.

- Czuję jednak, że bez względu na to, co zrobię, nigdy się jej tak do końca nie pozbędę.

- Nie! Tak nie jest!

- Niechętnie, ale jednak ci powiem. - Zdecydowała, widząc po wyrazie twarzy Declana, że jest bardzo spięty. - Bardzo cię przeproszam, że ona przyszła do twego domu. Przeproszam, że chciała dobrać się do twojej rodziny. I muszę cię prosić, żebyś nic o tym nie mówił mojej babci.

- Dlaczego miałbym jej mówić?

- No właśnie! - Wstała i krążyła po pokoju. Kochała to swoje mieszkanko, ponieważ zawdzięczała je tylko własnej pracy. Z tych samych powodów szanowała swoje dotychczasowe życie. Szanowała też mężczyznę, który był zdecydowany stać się częścią jej życia. I właśnie dlatego, że jej na nim zależało, postanowiła mu pewne sprawy wyjaśnić.

- Lilibeth opuściła mnie, gdy miałam dwa tygodnie - zaczęła. - Po prostu pewnego ranka wyszła z domu, wsiadła do samochodu swojej matki i wyjechała. Samochód porzuciła w Baton Rouge. Gdy się znowu zjawiała, miałam już trzy lata.

- A twój ojciec?

Wzruszyła ramionami.

- Jeśli chodzi o ojca, to wszystko zależy od jej humoru. Raz mi opowiadała, że moim ojcem był chłopiec, którego bardzo kochała i który ją kochał, ale jego rodzice ich rozdzielili i wysłali go daleko stąd. Innym razem zapewniała, że została zgwałcona w drodze ze szkoły do domu. Według jeszcze innej wersji moim ojcem miał być pewien starszy pan, który jej obiecał, że pewnego dnia po nas wróci i urządzi nas w pięknym domu.

Odwróciła się, żeby móc patrzeć mu w twarz.

- Miałam już prawie osiemnaście lat, kiedy w odpowiedzi na moje pytanie, kim w końcu był mój ojciec, usłyszałam: „A skąd, u diaska, miałabym to wiedzieć? Tylu miałam kochanków...” I wtedy zrozumiałam, że ona nie kłamie. Była wystarczająco naćpana, lekkomyślna i bez charakteru, by wyznać prawdę. Niewiele ją obchodziło, kto mnie spłodził; dla niej każdy był taki sam.

Uprawiała prostytucję, gdy zaszła ze mną w ciążę. Słyszałam, co mówili ludzie, gdy byłam już dość duża, żeby zrozumieć znaczenie ich słów. Kiedy wpadła w kłopoty, wróciła do rodziców. Nie chciała się zgodzić na aborcję. Bała się, że może umrzeć i pójść za to do piekła. Wierzyła w to... Wołała mnie

urodzić i porzucić. I to są te dwie rzeczy na świecie, które jej zawdzięczam.

Wzięła głęboki oddech.

- Jak ci już wspomniałam, wróciła, gdy miałam trzy latka. Przysięgała, co odtąd stało się jej zwyczajem, że otrzymała już niezłą nauczkę, że jest jej przykro, że się zmieniła. Została z nami kilka dni i znowu zniknęła. To jest powtarzający się motyw, który ona od tego czasu regularnie powiela. Czasem wraca pobita przez jednego z tych meneli, z którymi się zadaje. Raz wraca chora, a raz tylko naćpana. Ale wraca zawsze.

Ucichła i zamyśliła się nad tym, co okazało się nieuchronne i było nie do uniknięcia.

- Krzywdzi was, gdy wraca - cicho powiedział Declan. - Krzywdzi zarówno ciebie, jak i pannę Odette.

- Krzywdzi wszystkich. To jest jej jedyny talent. Była naćpana, kiedy się zjawiała na moje trzynaste urodziny. Mieliśmy w domu gości. Babcia urządziła mi przyjęcie, a ona nie dość, że naćpana, to jeszcze przyprowadziła ze sobą jakiegoś straszego typa. Wszystkim zrobiło się bardzo nieprzyjemnie i moi wujowie musieli wyrzucić ich z domu. Ale to jeszcze nic! Powiem ci, ale teraz muszę zapalić - oznajmiła i opuściła pokój.

Po chwili wróciła z papierosem.

- Miałam szesnaście lat i chodziłam z chłopakiem, w którym byłam strasznie zakochana. Właśnie wtedy ona znowu wróciła. Dała memu chłopakowi alkohol i prochy i z nim się przespała. Był niewiele starszy ode mnie, więc trudno go winić o to, że był głupi. Kiedy natknęłam się na nich na bagnach, uważała, że to świetny dowcip, i śmiała się, śmiała... Ale mimo wszystko, gdy znowu wróciła, a miałam już wtedy własne mieszkanie, wzięłam ją do siebie. Uważałam, że lepiej, aby coś przykrego spotkało od niej mnie niż babcię. A może miałam też nadzieję, że się tym razem odmieni.

Ale ona robiła różne numery w moim domu, przynosiła prochy, okradała mnie, a potem pewnego dnia znowu mnie zostawiła. Od tamtej pory definitywnie z nią skończyłam, choć tak naprawdę nigdy z nią nie skończę, bo nic nie zmieni faktu, że ona jest moją matką.

- Cokolwiek by robiła, nic nie zmieni tego, kim ty, Leno, jesteś, a jesteś przykładem wielkiej dzielności i siły woli

i przynosisz zaszczyt ludziom, którzy cię wychowali. Właśnie za to ona ciebie nienawidzi.

- Ona mnie nienawidzi - szepnęła, nie spuszczać z niego wzroku. - Nigdy nie byłam w stanie nikomu tego wyjawić. I nie wiem, jak to się dzieje, ale powiedzenie takiej strasznej rzeczy pomaga, bardzo pomaga...

- Nie będę cię zapewniał, że ona już nigdy cię nie skrzywdzi, bo może to zrobić, ale wydaje mi się, że teraz nie przyjdzie jej to łatwo.

- Wciąż ciebie nie doceniam - wyznała w zamyśleniu, dusząc niedopałek papierosa.

- I bardzo dobrze, bo w ten sposób mogę cię nieustannie zadziwiać. A co powiesz na to, że moim zdaniem Lilibeth jest jakoś związana z dworem Manetów?

- Co przez to rozumiesz?

- Nie wiem. Nie potrafię tego wyjaśnić. Ale czuję, że ona ma coś wspólnego z Manetami. I myślę, że tak właśnie miało być: miała tu teraz wrócić, by powiedzieć to, co powiedziała. Jest jeszcze jednym ogniwem w łańcuchu... I sądzę, że tym razem udało jej się całkiem niezłe narozrabiać. Odwiedź babcię, Leno. Nie pozwól, by ta kobieta wbijała klin między ciebie i babcię.

- Myślałam o tym i chyba tak zrobię. - Wzięła do ręki szklankę i zaraz ją odstawiła. Te nerwowe ruchy trochę Declana zdziwiły.

- A wracając do naszych spraw - miałam zamiar zerwać łączące nas stosunki.

- Tak? Więc czemu tego nie zrobiłaś?

- Nie! Mówię poważnie. Będzie lepiej dla nas obojga, jeśli spróbujemy być tylko przyjaciółmi.

- Powinniśmy być przyjaciółmi. Chciałbym, aby nasze dzieci miały rodziców, którzy będą się lubili i przyjaźnili ze sobą.

Uśmiechnęła się.

- Muszę wracać do pracy.

- W porządku. Ale posłuchaj! Zaszła mała zmiana, jeśli chodzi o ślub Remy'ego i Effie. Wszystko ma się odbyć we dworze.

Pocierała skroń, zastanawiając się, jak przestawić się na

inne tory myślenia i zmienić temat tak gładko, jak jemu się to udało.

- Niemożliwe! Przecież w twoim domu pokoje są jeszcze niewykończone, nie mówiąc o tym, że pełno w nim różnych narzędzi i gratów.

- Widzę, że nie podoba ci się mój pomysł. A szkoda, bo zamierzałem prosić cię o pomoc. Czy masz jakieś pojęcie o malowaniu ścian?

- Ty chyba nikomu nie przepuścisz, co? - powiedziała z głębokim westchnieniem.

- Nic tym, którzy się w moim życiu liczą.

W tym czasie, kiedy Declan wyszedł z domu, a Effie jeszcze się tam nie zjawiła, Lilibeth raz jeszcze nawiedziła dwór Manetów. Była naćpana kokainą i nie tylko obrażona, ale i żądna zemsty. Skoro ten nędzny sukinsyn pożądał paru dolarów dla matki dziewczyny, z którą się pieprzy, to ona sama je sobie weźmie.

Już wtedy, gdy Declan prowadził ją do kuchni, udało jej się spenetrować parter. Teraz więc, wchodząc od tyłu, bez trudu trafiła wprost do biblioteki i do wielkiego, antycznego biurka, które uprzednio sobie upatrzyła.

Z doświadczenia wiedziała, że ludzie bogaci zawsze mają pod ręką gotówkę. Szybko zabrała się do roboty. Mocnym pociągnięciem otwierała jedną szufladę po drugiej, przerzuciła ich zawartość i wydała okrzyk triumfu, kiedy znalazła pokaźny plik pięćdziesięciodolarowych banknotów. Natychmiast włożyła je do kieszeni.

Przypuszczała, że zarówno książki stojące na półkach, jak i znajdujące się jeszcze w skrzyniach mają sporą wartość, ale wiedziała też, że są ciężkie i niełatwo by je było sprzedać. Spodziewała się, że w sypialni Declana znajdzie więcej gotówki, a może nawet jakąś cenną biżuterię.

Pobiegła schodami do góry. Fakt, że Declan mógł w każdej chwili wrócić do domu, zwiększał tylko jej podekscytowanie kradzieżą.

Gdy nagle drzwi same się zatrzasnęły, Lilibeth upadła prosto na kolana.

- To tylko przeciąg - powiedziała sobie, gdy po chwili

znów złapała oddech i puls wrócił do normy. Ten wielki, stary dom jest pełen przeciągów - pomyślała i wstając, poczuła, jak zimny prąd przeszył powietrze tuż nad nią.

Dotknęła gałki u drzwi i czym prędzej oderwała dłoń. Gałka była tak lodowata, aż piekła w palce. Ale to wydało jej się mało ważne. Co za cholera?! - denerwowała się. Pokój Decla na powinien być na końcu holu. Nie jest taka głupia, jak ludzie myślą. Obserwowała dom przez ostatnich kilka dni i widziała, jak wychodzi na balkon z pokoju na samym rogu. Głośno się zaśmiała i śmiech od razu wrócił do niej echem. Pobiegnęła na dół i szybko weszła przez otwarte drzwi do pokoju. Jednym szarpnięciem otworzyła górną szufladę toaletki i wewnątrz starej rzeźbionej szkatułki natrafiła na prawdziwy skarb: złote spinki, w każdym razie miała nadzieję, że są z prawdziwego złota, srebrne spinki ozdobione szlachetnymi niebieskimi kamieniami i brylantowe spinki do kołnierzyka. Poza tym był jeszcze złoty zegarek, a w małym pudełku wewnątrz szkatułki damski pierścionek z rubinami i brylantami w kształcie zachodzących na siebie serc.

Postawiła szkatułkę na toalecie, przekopała następne szuflady i znalazła jeszcze jeden rulon banknotów.

- A jednak mi zapłaciłeś, draniu! I dobrze mi zapłaciłeś... - mruzczała pod nosem.

Wrzuciła banknoty do szkatułki z klejnotami i włożyła ją pod pachę. Z podniecenia jej oddech stał się świszczący, kokaína szumiała we krwi. Zastanawiała się, czy nie należałoby przetrząsnąć całego domu. To byłaby nie tylko przyjemność, ale i szansa na znalezienie większej ilości pieniędzy i biżuterii. Byłoby to jednak niemądre, a ona nie chciała ryzykować.

Będzie potrzebowała czasu, żeby zamienić biżuterię na gotówkę i by część gotówki zamienić na narkotyki oraz na zabawianie się w Wesołym Miasteczku. Lepiej więc zostawić resztę rzeczy na miejscu. Postanowiła, że wyjdzie z drugiej strony domu, na wypadek, gdyby zajrzała tu jej lubiąca węszyć mama.

Kiedy jednak wróciła do holu, zainteresowała się schodami wiodącymi na drugie piętro. Co też tam jest na górze? - zastanawiała się. Może coś cennego? Coś, po co mogłaby przyjść tu jeszcze raz. Teraz jej oddech stał się nie tylko świszczący, ale

wręcz sapiący... Skóra była zimna jak lód. Ale nie mogła oprzeć się pokusie, żeby wejść na te schody. Była sama w całym domu, prawda? Całkiem sama! W ten sposób dom stawał się jakby jej domem. W każdym razie tak się czuła, jakby była jego właścicielką. Bez przerwy przełykała ślinę, by zwilżyć wyschnięte gardło, i drżąc na całym ciele, ruszyła schodami do góry.

Głosy? Jak mogła słyszeć głosy, skoro nikogo tu nie ma. Ale te głosy ją zatrzymały i kazały wracać. Coś tu jest nie tak - pomyślała. Dzieje się tu coś złego. Czas stąd uciekać.

Miała wrażenie, jakby jakieś ręce przywarły do jej pleców i pchały ją w stronę drzwi. Doszła do nich i drżącymi palcami sięgnęła do klamki. Myślała, żeby je powoli uchylić i tylko zajrzeć do środka. Ale gdy ich dotknęła, drzwi się z rozmachem otworzyły: zobaczyła mężczyznę i leżącą na podłodze kobietę. Słyszała dziecko krzyczące w kołysce i widziała oczy kobiety: wytrzeszczone, ślepe, martwe. A mężczyzna - zauważyła - miał złote włosy, które lśniły w przyciemnionym świetle pokoju, nagle się odwrócił i spojrzał na nią. Lilibeth próbowała krzyczeć, ale nie mogła złapać tchu. Kiedy otworzyła usta, coś w nią wniknęło. Przez jeden przerażający moment to coś stało się nią. Potem przepłynęło przez nią: zimne, ziejące złością, szalone. Julian.

W pokoju ukształtowała się jeszcze jedna postać: silna, postawna kobieta w długiej nocnej koszuli.

W niemym przerażeniu Lilibeth odwróciła się i uciekła.

Nie minęła jeszcze doba, a Declan się zorientował, że więcej ludzi zgłosiło się do pomocy w przygotowywaniu domu na wesele, niż mógłby ich przy najlepszej nawet woli zatrudnić. Najwyraźniej wszyscy mieszkańcy Luizjany zostali zaproszeni na ślub i każdy z nich gotów był przyłożyć ręki do odnowienia dworu.

Declan miał do dyspozycji malarzy, ślusarzy, stolarzy, a nawet gońców na posyłki. I chociaż przyszło mu na myśl, że gdyby tylko połowa ludzi, którzy się zgłosili, zabrała się na serio do roboty, praca zostałaby wykonana w dwadzieścia minut, postanowił zachować tę opinię dla siebie. Ujawnienie jej byłoby grubym nietaktem, tym bardziej że w gruncie rzeczy Declan dość pozytywnie oceniał pracę woluntariuszy; powtarzał to sobie za każdym razem, kiedy miał wrażenie, że sytuacja wymknęła mu się z rąk i remontem domu kieruje już ktoś inny.

Miał nadzieję, że jemu powierzą założenie ochronnej siatki dla osłony balkonu na parterze, i z góry się cieszył, że wystarczy jeden dobry huragan i trzeba będzie założyć nową.

Zamierzał zająć się piaskowaniem, a następnie lakierowaniem posadzki w sali balowej, i z radością myślał o innych podłogach, które czekają na niego w całym domu. Nie miałby jednak nic przeciwko temu, żeby w inne ręce przekazać malowanie zewnętrznych ścian. To kłopotliwa, wymagająca ogromnej dokładności i bardzo pracochłonna czynność. Jeśliby mu się udało od tego wymigać, miałby czas, aby zająć się toaletą na parterze, w foyer zawiesić świecznik z dmuchanego szkła,

ukończyć pokój w stylu wiejskim. I co jeszcze?... Zdawał sobie sprawę, że jeszcze wiele pozostało do zrobienia.

Z przyjemnością obserwował, że Effie podczas przerwy obiadowej i po pracy wpadała do dworu, żeby rzucić okiem na przygotowania. Co chwila to wchodziła, to znów wychodziła i zawsze w największym pośpiechu. Czasem przyprowadzała matkę. Pani Renault była wypisz, wymaluj starszą wersją córki, z tym jednak, że miała sokole oko i głos niczym sierżant podczas musztry. Remy miał rację: była trochę przerażająca. Declan bezwstydnie się przed nią chował, ilekroć to było możliwe. Drugiego dnia, gdy kampania była już w pełnym toku, Declan poszedł sprawdzić, jak postępuje praca na balkonie, z tyłu domu. Był zadowolony z glazury, którą właśnie położył, cały jeszcze obsypany ceramicznym kurzem po cięciu płytek.

Hałas był wręcz niewiarygodny: ludzkie głosy mieszały się z dźwiękami płynącymi z radia i szumem elektrycznych narzędzi. Chociaż Declan bardzo lubił towarzystwo, chętnie dałby tysiąc dolarów, żeby przynajmniej przez pięć minut mógł być sam w domu.

- Jim Ready! Chciałabym, żeby okna lśniły, słyszysz? Jak wypadną zdjęcia ślubne, jeśli szyby będą matowe? Przyłóż się do pracy, chłopcze!

Na dźwięk głosu pani Renault Declan okręcił się na pięcie i szybko pomaszerował w odwrotnym kierunku. Niewiele brakowało, a w pośpiechu przewróciłby Odette.

- Ach, przepraszam! Czy nic się pani nie stało? Uciekałem i dlatego pani nie zauważyłem.

- Masz dom pełen ludzi...

- Właśnie! I jeśli dom nie będzie zapięty na ostatni guzik, aby w „dniu inwazji”* zadowolić „generała Renaulta”, wszyscy zostaniemy rozstrzelani. - Zaśmiał się. Wziął pannę Odette pod ramię i kierując się instynktem samozachowawczym, poprowadził ją do biblioteki, po czym zamknął za nimi drzwi.

- Panno Odette! Czy mógłbym jakiś czas pomieszkać u pani w domu?

* Jest to żartobliwa aluzja do tzw. D-Day, czyli daty lądowania sił alianckich we Francji (6 VI 1944). Tu chodzi oczywiście o dzień ślubu.

Uśmiechnęła się lekkim skrzywieniem warg.

- Dobry z ciebie chłopiec, Declanie. To pięknie, że tyle robisz dla swego przyjaciela.
- W tej chwili nic nie robię, tylko się usuwam z drogi...
- Pewnie wolałbyś, żeby ci wszyscy ludzie wrócili tam, skąd przyszli, i zostawili cię w spokoju. Chciałbyś znowu sam remontować swój dom, bo sprawia ci to przyjemność.
- Chyba tak... - Wzruszył ramionami, zakurzoną dłonią przeczesując zakurzone włosy. - Kiedy oni już sobie stąd pójną, jeszcze wiele pozostanie do zrobienia. Na razie nie ruszamy drugiego piętra ani pokoi dla służby. Przygotowujemy tylko jeszcze jeden pokój na pierwszym piętrze. Ale niech mi pani powie, panno Odette, co się dzieje. Co jest z panią nie tak?
- Powiem ci, ale jeszcze do tego nie dojrzałam. - Odstawiła torbę na zakupy, którą trzymała w ręce, i poszła obejrzeć książki.

Wciąż jeszcze stały tu skrzynie pełne książek, które należało poustawiać na półkach. Wiedziała, co można w nich znaleźć - mnóstwo słów: jedne stare i zużyte, inne świeże i nowe; małe skarby, głębia kolorów.

- Ty masz wizję - powiedziała w końcu. - Wiesz, jak ma wyglądać to, czego pragniesz, a potem sprawiasz, że marzenia się spełniają. Wielka to zdolność, *cher*.
- Niektórzy ludzie nazywają to jednostronnością.
- Jesteś wszystkim, ale nie tym. Interesują cię różne rzeczy. A to, że w jednym czasie pracujesz nad jedną tylko rzeczą i doprowadzasz ją do końca, dowodzi, że masz charakter; bardzo cię lubię, Declanie.
- Ja też bardzo panią lubię. Proszę usiąść, panno Odette. Wygląda pani na zmęczoną i zmartwioną. Może zrobić jakiegoś zimnego drinka?
- Nie, nie kłopotz się, bo ryzykujesz, że znajdzie cię pani Renault i zmusi do pracy. Ona właśnie jest jednostronna, ale nie biorę jej tego za złe.
- Czy pani wie, co mi powiedziała? Kazała mi pod koniec tygodnia pójść do fryzjera i dać sobie ściąć włosy, żebym na weselu nie był zarośnięty jak niedźwiedź ani świeżo ostrzyżony jak owca. - Declan, klnąc pod nosem, przyczesał swoje włosy palcami, jakby chciał sprawdzić ich jakość. - I powie-

działa jeszcze, że na dzień przed weselem rozłoży we wszystkich łazienkach eleganckie mydła, ręczniki, a także inne przybory i pod karą śmierci nie wolno mi żadnej z tych rzeczy użyć. Mam także wnieść więcej zielonych roślin doniczkowych do wnętrza, bo rzekomo dom nie może oddychać, gdy nie ma w nim roślin.

- To tylko nerwy, kochanie. Effie jest przecież jej dzieckiem, jej najmłodszą córką. - Nagle Odette spoważniała i zacisnęła usta. - Muszę ci coś wyznać, Declanie. Powiem to ze wstydem i nie będę miała do ciebie pretensji, jeśli poprosisz, żebym nigdy więcej nie przychodziła do twego domu.

Słowa Odette zaalarmowały go niemal tak jak ból, który dojrzał w jej oczach.

- Nic, co pani powie, nie może sprawić, że nie będzie pani mile widziana w moim domu.

- *O mon Dieu!* Jeśli miałabym zepsuć to, co się tak dobrze układa między tobą i moją Leną, nigdy bym sobie tego nie darowała. Jednak muszę ci powiedzieć, że moja córka ciebie okradła - wreszcie wyrzuciła to z siebie. - Weszła do twego domu i zabrała ci różne rzeczy. - Z ciężkim sercem sięgnęła do torebki i wyjęła rzeźbioną szkatułkę. - To było w pokoju Lilibeth. Wiedziałam, że należy do ciebie, jeszcze zanim *do* szkatułki zajrzałam i zobaczyłam spinki z twoimi inicjałami. Nie wiem, czy jest tu wszystko, co ukradła, ale niczego więcej nie znalazłam. Jeśli czegokolwiek brakuje...

- Zaraz sprawdzę. Ale bardzo proszę, żeby pani usiadła.

Potaknęła i posłuchała go.

Declanowi udało się opanować wzburzenie; postawił szkatułkę na stole i otworzył. Pierwsze, co zobaczył, to pudełeczko, w którym był pierścionek. Podniósł wieczko, a ujrawszy lśniące rubiny i brylanty, poczuł, że najgorsza złość mu minęła.

- W porządku - powiedział i odetchnął z ulgą: najważniejsze zostało. I o ile mógł się zorientować, inne rzeczy też były. Brakowało tylko kilkuset dolarów w dwudziestodolarowych banknotach. Trzymał je spięte specjalnym spinaczem, który należał jeszcze do jego pradziadka.

- Wszystko tu jest - oznajmił.

- Nie mówisz prawdy - zauważyła tępo Odette.

- Brakuje tylko trochę gotówki, nic więcej.

- Chciałabym wiedzieć, ile, żebym mogła ci ją zwrócić.
 - Czy pani myśli, że przyjąłbym od pani pieniądze?
- Wyczuła w jego słowach irytację i zrobiło jej się przykro.
- Proszę spojrzeć mi w oczy! Czy pani naprawdę myśli, że wzięłbym od pani jakieś pieniądze, wszystko jedno za co?
- Nie chciała, by zobaczył, jak drżą jej wargi, więc je mocno zacisnęła. Po chwili oświadczyła stanowczo:
- Jestem matką Lilibeth i za nią odpowiadam!
 - Do diabła z nią! Proszę mnie więcej nie obrażać, mówiąc o jakimkolwiek zwrocie.
- Mimo że Odette przyrzekła sobie, że w jego obecności nie uroni ani jednej łzy, to jednak łza zakręciła jej się w oku.
- Wiem, jaka jest moja córka. I wiem, że nigdy nie stanie się tym, z kim wiązałam nadzieje, dla kogo pracowałam i czego pragnęłam od chwili, gdy wiedziałam, że ją w sobie noszę. Ale dała mi Lenę... - Wyciągnęła chusteczkę i wytarła policzki. Już więcej łez nie będzie - postanowiła. - Przewidywałam, że mnie okradnie, zanim się znowu ulotni, ale nie sądziłam, że okradnie ciebie. Nawet mi to przez myśl nie przeszło. Bardzo mi przykro, że to zrobiła.
 - Proszę jeszcze raz spojrzeć mi w oczy, a przekonam się pani, że nie mam do niej żalu. O nic pani nie obwiniam.
 - Dobrze wiem, że mnie nie winisz, choć to moja córka cię okradła. Myślę tylko o tym, żebyś został z Leną. Tak bardzo cię pragnę dla niej.
 - To dobrze, bo ja też jej pragnę. - Wziął pudełko z pierścieniem i podszedł do Odette. - Kupiłem go dla Leny. Czy mogłaby się pani wstawić za mną, żeby ten pierścionek przyjęła, gdy go będę jej wręczał?
 - Pasuje do niej - powiedziała, patrząc na pierścionek. - Bardzo do niej pasuje - dodała z westchnieniem. - Lena ma dobre serce, Declanie, ale to serce ma blizny po ranach. Musisz też wiedzieć, że Lena jest silna. Czasem się nawet niepokoję, że może zbyt silna i zapomina, że trzeba umieć dawać. Powinam jej to uświadomić.
 - Tak.
 - A ty się zastanów, jak ją przy sobie zatrzymać. Obawiam się, że kiedy się dowie, co zrobiła Lilibeth, może zechce od ciebie odejść. Boję się, że tak może postąpić.

- Proszę się o to nie martwić. A gdzie jest Lilibeth?
- Wyjechała. Szkatułkę znalazłam dziś rano w jej pokoju, z którego od wczoraj prawie nie wychodziła. A kiedy dziś tam weszłam i znalazłam szkatułkę, ukryłam ją tam, gdzie nie mogła jej znaleźć. Potem się pokłóciliśmy. Wtedy się spakowała i odeszła. Ale wróci... - Powiedziała to takim samym tęnym głosem jak przedtem Lena. - Wróci za rok lub dwa. I trzeba będzie znów przez to wszystko przejść.
- Będziemy się tym zajmować wtedy, kiedy do tego dojdzie. - Pochylił się nad nią i pocałował ją w policzek. - Kocham panią - wyznał, a kiedy jej oczy znów napełniły się łzami, wziął ją za rękę. - Bez względu na to, czy Lena tak to odczuwa, czy nie, stanowimy rodzinę; a rodzina ma się trzymać razem.
- Wiesz, co zrobię, gdy spotkam twoją mamę? Uściskam ją z całej siły.
- To jej się spodoba. A teraz może wyjdziemy i rozejrzemy się, co się dzieje w domu. A gdy zajdzie taka potrzeba, mam nadzieję, że obroni mnie pani przed „generałem Renaultem”.

Declan nie oczekiwał, że zapal wolontariuszy potrwa długo, i dlatego wcale nie był rozczarowany, gdy większość ich zaczęła się pakować i wracać do domu. Effie i jej matka dopadły go w ogrodzie, gdy wyszedł z ukrycia, a Lena spacerowała, obchodząc dom dookoła.

Declan ułożył sobie całą serię wykrzykników, w rodzaju: „Aha! Na pewno! Nie ma sprawy!”, i używał ich odpowiednio do treści pytania zadawanego mu przez kobiety z rodziny Renault. Oczywiście wszystkie pytania dotyczyły mającego się odbyć wesela. Wyglądało to mniej więcej tak:

- Poręcze i balustrada mają być owinięte tiulem i koronką.
- Aha!
- Na tamtym balkonie ustawimy białe kosze pełne kwiatów.
- Na pewno!
- W dniu wesela specjalista od aranżacji kwiatów zacznie pracę wcześniej rano, musisz wtedy zapewnić mu dojazd do wszystkich miejsc, które zaznaczyłam na swojej mapie.
- Nie ma sprawy!
- Leno! - zawołał do przechodzącej obok dziewczyny

i chwycił ją za rękę, jak tonący chwyta się ratowniczej liny. - Właśnie mówimy o aranżacji kwiatów.

- Kwiaty są podstawowym elementem ślubnego pejzażu - oświadczyła pani Renault i zapisała coś w notatniku, który ze sobą nosiła. - Jak się masz, Leno?

- Bardzo dobrze, proszę pani! Czy to, co się dzieje, nie jest podniecające? Odliczamy godziny do tego wielkiego dnia. A ty, Effie, jak sobie radzisz? Przecież można dostać kręcika, chcąc zadbać o wszystkie szczegóły.

- Oczywiście, że można. Ja już go dostałam i jestem na najlepszej drodze, by trafić do wariatkowa.

- Spójrzcie panie, jak tu pięknie - zachwycała się Lena, szeroko się uśmiechając. Choć upał mocno jej dokuczał, mówiła jasnym, czystym głosem. - Do dnia wesela ogród jeszcze bardziej wypięknieje. A rododendrony będą wyglądały wręcz bajkowo.

- Tak. Zieleń jest tu naprawdę urocza - zgodziła się pani Renault, po czym przebiegła wzrokiem swoją listę spraw do załatwienia. - Szkoda tylko, że mieliśmy za mało czasu, by zbudować altanę i puścić po niej pnący się groszek - powiedziała i sponad okularów spojrzała z wyrzutem na Declana.

- Może Frankom uda się jeszcze coś zmontować... - wydukał nieśmiało i dodał: - Teraz muszę panie na chwilę przeprosić, bo jest coś, co chciałbym pokazać Lenie - i pociągnął Lenę w stronę schodów prowadzących na taras drugiego piętra. Na niższym piętrze kręcili się jeszcze jacyś ludzie, których Declan podejrzewał, że są członkami „milicji generała Renaulta”, jak ich nazywał. - Oni są jak korniki - mruknął. - Kiedy nie patrzysz, nagle wypęzają z drewna.

- O kim ty właściwie mówisz?

- O ludziach. Wszędzie ich pełno. Popatrz na te gromady. Mam jednak nadzieję, że w sali balowej będziemy bezpieczni.

- Czy ta sytuacja nie przytłacza cię trochę, *cher*?

- Tak. Marzą mi się wakacje na przykład na Maui. Wróciłbym do domu dopiero wtedy, kiedy już będzie po wszystkim. Muszę jednak przyznać, że mam wiele uznania dla kobiet.

- Naprawdę? - Spojrzała na bałagan panujący na dole: drabiny, wielkie płachty brezentu, wszechobecny gruz i pozo-

stałości z budowy, a wśród tego rozgardiaszu te dwie kobiety, które mają w głowie jedynie tiul i koronki. - Dlaczego? - spytała.

- Nie wiem, ale faktem jest, że w duchu możesz się wściekać, a jednocześnie prowadzić uprzejmą rozmowę na temat rododendronów. - Zajrzał przez drzwi do sali balowej i z radością stwierdził, że droga wolna. Nikogo tam nie było. Weszli. - Co myślisz o tej sali, Leno?

Ściany były bladioróżowe, a posadzka złota i lśniąca.

- Jest ogromna...

- I musi taka być na to „małe przyjęcie”, na którym pani Renault spodziewa się dwustu pięćdziesięciu osób: uważam, że to bardzo dużo gości. Gdyby się miało zamiar przyjąć niewiele osób, można za pomocą ukrytych drzwi zamienić tę salę na kilka mniejszych salonów. - Przeszedł środkiem posadzki na drugą stronę i odryglował jedne z dużych, prowadzących do niej drzwi. - Spójrz na to mistrzowskie rzemiosło! A przecież mają one ponad sto lat. - T z szacunkiem przesunął palcami po rzeźbionym drewnie. - Nie pozwolę, by pozostały w ukryciu. Zobacz, jak ich deseń doskonale pasuje do medalionów na suficie. Tibald wykonał wspaniałą pracę przy odnawianiu sztukaterii.

Od czasu, gdy Lena dowiedziała się od babki o najnowszym „wyczynie” Lilibeth, wciąż się przygotowywała do zasadniczej rozmowy z Declanem. Trochę się obawiała, czy teraz jest odpowiedni moment, gdy go rozpierała duma i niczym niezamącona radość.

- Myślę, że uczucie, które ciebie łączy z tym domem, można nazwać prawdziwą miłością. Większość mężczyzn nawet na kobietę nie patrzy w taki sposób jak ty na te drzwi.

- Na ciebie też patrzę w taki sposób.

- Cholernie trudno cię rozzłościć. Wytłumacz mi, Declanie, dlaczego nie jesteś wściekły. Dlaczego się na przykład nie wściekasz, że Lilibeth cię okradła?

- Ależ jestem wściekły! I jeśli jeszcze będę miał okazję ją zobaczyć, to jej to okażę.

- Powinieneś pójść na policję.

- Myślałem o tym; może nawet mógłbym odzyskać jakąś część pieniędzy, ale przysporzyłbym kłopotu pannie Odette.

- Ona i tak ma kłopoty...
- Wiem. Po cóż więc miałbym ich jeszcze dodawać? Te rzeczy, które są dla mnie ważne, wróciły do mnie w całości.
- Co nie zmienia faktu, że Lilibeth weszła do twego domu, grzebała w twoich rzeczach i brała, co chciała. - Przez Lenę znów przemawiała gorycz i złość; ton jej głosu zaniepokoił Declana.
- Ciągłe się tym przejmujesz, co?
- Do cholery, Declanie! Ona pogwałciła twoją prywatność. To co innego niż kradzież u mnie czy u babci. Ile ci wzięła?
- Dwa tysiące dolarów.
- Jutro wypiszę ci czek - powiedziała przez zaciśnięte zęby.
- Dobrze wiesz, że go od razu podrę. Daj spokój, Leno! To, co się stało, traktuję jako nauczkę, w sumie nawet niezbyt kosztowną. Jeśli ktoś żyje na wsi, ma dom pełen cennych przedmiotów i sporo gotówki, nie powinien, tak jak ja, zostawić niezamkniętych drzwi.
- Lilibeth włamałaby się przez okno.
- Tak sądzę i dlatego muszę postarać się o psa, może nawet o dwa psy. Zawsze marzyłem o całej sforze... Myślę, że po weselu Remy'ego udam się do schroniska i wybiorę jakieś sympatyczne zwierzaki. Poszłabyś ze mną?
- Potrzęsała głową.
- Straciłeś dwa tysiące dolarów, a jestem pewna, że było ich więcej. Dałeś się okraść ćpunce o lepkich rękach, a twoja reakcja ogranicza się do kupna psa!
- Przecież posiadanie zwierząt to wielka przyjemność, nie uważasz? Będą to także twoje psy.
- Declanie, przestań!
- Ha, ha! - Podeszedł do niej z uśmiechem zadowolenia. - Wiesz co? Weźmiemy sobie parkę szczeniąt, oczywiście kundli. To będzie dobra wprawka, zanim przyjdą na świat dzieci.
- Sam się staraj o szczeniaki! - Ale nie potrafiła powstrzymać się od śmiechu. - I biegaj za nimi, kiedy będą sikać na dywany i gryźć twoje buty.
- Może Rufus zechce je nauczyć manier, co? Miło mi - dodał - że nosisz moje kolczyki. - I otaczając Lenę ramionami, zaprosił ją do tańca.
- Zapominasz, że teraz to są moje kolczyki.

- A czy choć myślisz o mnie, gdy je wkładasz?
- Przez chwilę... ale potem myślę o tym, jak mi w nich ładnie, i o tobie zapominam.
- Wobec tego muszę znaleźć inny sposób, żeby się tobie przypomnieć.
- Może naszyjnik? - Wędrowała dłonią po jego karku i dotarła do włosów. - Albo parę ładnych, błyszczących bransoletek?
- A ja się zastanawiałem, czy ci nie kupić pierścionka na palec u nogi.
Zaśmiała się i przysunęła do niego tak blisko, że mogła przyłożyć policzek do jego policzka. Tańczyli walca, którego melodię dobrze знаła; niezliczone razy słyszała, jak Declan nucił ją lub gwizdał. Tuląc się do niego, czuła woń jego potu po całym dniu pracy, zapach kurzu i ledwo przebijający się zapach mydła po porannym goleniu. Zauważyła, że policzek ma nieco szorstki, jakby niezbyt starannie się ogolił.
Gdyby życie było bajką, myślała, mogliby pozostać tak na wieki, wirując w walcu po posadzce gładkiej i lśniącej niczym satyna., W okna zaglądało słońce chylące się ku zachodowi, pachniały kwiaty nad miarę wybijałe i spadał na nie deszcz światła z setek malutkich kryształowych pryzm, zdobiących zyrandol.
- Mam dla ciebie tyle ciepłych uczuć jak nigdy dla nikogo. Do tej pory nie miałam takiej potrzeby. A teraz nie wiem, co mam z tym wielkim uczuciem zrobić.
- Daj je mnie - prosił, muskając wargami jej włosy. - Dobrze się nim zaopiekuję.
Nie zdawała sobie sprawy, że bezwiednie wypowiedziała te słowa na głos. Nie miała takiego zamiaru. Chciała je cofnąć, ale Declan przycisnął ją tak mocno, że nie mogła złapać tchu. W głowie jej się kręciło, muzyka grała w niej coraz głośniejsze, a zapach lilii stawał się tak intensywny, że aż duszący.
- Czy słyszysz skrzypce? - spytał, a ręce mu drżały, gdy obejmował jej ramiona.
- Nie słyszę - szepnęła. Głos Declana dochodził jakby z daleka, a gdy próbowała skupić wzrok na jego twarzy, miała wrażenie, że jakaś inna twarz osadziła się na jego rysach... - Kręci mi się w głowie - poskarżyła się.

- A więc usiadźmy! - Trzymając ręce na jej ramionach, ściągnął ich oboje na ziemię. - Ale muzykę słyszałaś, prawda? I czułaś to, co ja...

- Poczekaj chwilę! - Musiała wziąć się w garść. Stwierdziła, że poza nimi dwojgiem w pokoju nikogo nie było. Nie było też muzyki, żadnego rozświetlonego kryształowego żyrandola ani flakonów pełnych pachnących białych lilii. A jednak ona to wszystko słyszała, widziała, czuła. - Nie sądziłam, że halucynacje są zaraźliwe - powiedziała.

- To nie są halucynacje, ale powracająca pamięć. Przecież Lucian i Abigail tańczyli tutaj tak samo jak my teraz. I kochali się tak jak my. - A gdy Lena potrząsnęła przecząco głową, zaklął:

- Do jasnej cholery! Niech ci będzie... Lucian kochał Abigail tak samo, jak ja kocham ciebie. I to, co ich łączyło, wydaje się wciąż żywe. Może trzeba by to coś zakończyć albo przeciwnie - potwierdzić, że nadal istnieje, że trwa. Może właśnie po to tu jesteśmy, Leno.

- Owszem, jesteśmy tu, ale ja nie żyję cudzym życiem.

- To nie jest tak...

- Tak to zrozumiałam. A życie cudzym życiem może również oznaczać umieranie cudzą śmiercią: Lucian utopił się w pobliskim stawie, a Abigail...

- Umarła w tym domu.

Lena głęboko wciągnęła powietrze.

- Wszystko zależy od tego, w czyją historię chcemy wierzyć.

- Wiem, że umarła w tym domu i z pewnością w pokoju dzieciennym na pierwszym piętrze. Coś bardzo złego ją tam spotkało. Jednak Lucian nigdy się o tym nie dowiedział i nie wiedząc, zamartwił na śmierć. Chcę się dowiedzieć tego jakby w jego imieniu, ale także dla siebie samego. I potrzebna mi j est twoja pomoc.

- Nie rozumiem, co mogłabym zrobić.

- Proszę, żebyś poszła ze mną do pokoju dzieciennego i teraz, kiedy jesteśmy sobie bliźsi, spróbowała sobie coś przypomnieć.

- Declanie! - Wzięła jego twarz w obie ręce. - Niczego sobie nie przypomnę, bo niczego nie mogę pamiętać.

- Dlaczego? Przecież rozwiesiłaś na drzewach butelki odstrasżające duchy... I pierwsza wspomniałaś o reinkarnacji. Nie wiem, dlaczego teraz zaprzeczasz.

- Nie zaprzeczam, ale nie mam czego pamiętać, bo ja nie jestem Abigail. To ty nią jesteś!

Równie dobrze mogłaby włożyć na palce mosiężny kastet i wymierzyć mu pięścią cios w żołądek. Szok, jaki jej słowa wywołały, kompletnie wytrącił go z równowagi.

- Daj spokój! To jest niemożliwe.

- Dlaczego?

- Ponieważ... - Zdenerwowany i dziwnie zmieszany, Declan zerwał się z miejsca i prawie krzycząc, zapytał: - Chcesz powiedzieć, że byłem dziewczyną?!

- Nie rozumiem, dlaczego jest to dla ciebie taki szok. Przecież większość nas doskonale sobie radzi, będąc kobietami.

- Ale nie ja! Nie jestem i nie byłem kobietą.

- Niemniej to jest najbardziej rozsądne rozwiązanie, jeśli w ogóle można mówić o czymś rozsądnym w tej kwestii.

- A ja uważam, że takie rozwiązanie nie ma sensu i w żadnym wypadku nie jest możliwe do przyjęcia.

- Dlaczego? Przecież to ty wciąż słyszysz płacz dziecka. - Lena musiała przyznać, że nigdy nie widziała go tak zirytowanego. - A wiadomo, że właśnie matki słyszą płacz dziecka wcześniej niż inni. Poza tym coś cię ciągnie do tego pokoju na pierwszym piętrze, tak jak matkę ciągnęłoby do jej dziecka. Mimo że cię ten pokój przeraża, coś każe ci wracać. Opowiadałaś mi kiedyś, że gdy zwiedzałaś skrzydło domu, które zamieszkiwała służba, z łatwością znajdowałaś drogę. Abigail też by wiedziała, jak się tam poruszać, ale skąd miałby to wiedzieć Lucian?

- Przecież to był jego dom! - W tym momencie jednak Declan przypomniał sobie wizję, jaką miał niedawno. Zdawało mu się, że przez okno widzi dwóch mężczyzn jadących konno w stronę dworu. Jak mógłby wyobrazić sobie, że widzi Luciana jadącego konno do domu, jeśli sam był Lucianem?

- Są jeszcze inne dowody - przekonywała Lena. - Pamiętasz dzień, gdy widziałam ciebie idącego w stronę stawu? Szedłeś niby w transie i w bardzo dziwny sposób. Nie mogłam się wtedy domyślić, dlaczego mnie to zdziwiło, choć skądinąd

twój chód był bardzo charakterystyczny: lekko kołysałeś się w biodrach, miałaś rękę przyciśniętą do krzyża i stawiałaś małe, ostrożne kroczki. Teraz już wiem. Tak chodzą kobiety w zaawansowanej ciąży.

Declan słuchał tego, patrząc na nią z wyrazem przerażenia.

- Teraz usiłujesz mi wmówić, że nie tylko byłem kobietą, ale w dodatku kobietą w ciąży!

- Na miłość boską, *cher!* Są ludzie, którzy wierzą, że mogą wrócić na świat w postaci pudła, więc cóż jest złego w ciężarnej kobiecie...

- To mianowicie, że ciężarne kobiety w określonym czasie rodzą; wydają na świat dziecko ważące kilka kilogramów przez bardzo specyficzne miejsce.

Choć przerażenie malujące się na twarzy Declana wydawało się Lenie niezwykle komiczne, przekonało ją, że powinna dać mu uspokajającą lekcję teorii.

- Nie sądzę, żebyś miał powtórzyć w tym życiu tamto znamienne wydarzenie. Ale zastanów się, czy spojrzenie na tę zagadkę z innej strony, właśnie z tej, jaką ci sugeruję, nie da ci odpowiedzi, której szukasz.

W tym momencie Declanowi przyszło na myśl, że powinien się pomacać w okolicy krocza, by się upewnić, czy ma wszystko na miejscu, i tak jak trzeba. I może należałoby jeszcze beknąć głośno i po męsku.

- Wolę nasze poprzednie hipotezy - oznajmił.

- Nie, mój drogi, powinieneś być otwarty na różne możliwości. Na mnie już czas; muszę iść do pracy.

- Poczekaj jeszcze chwilę! - pobiegnął za nią. - Rzuciłaś we mnie taką bombą i teraz chcesz mnie opuścić?

- Przecież muszę pracować, żeby mieć z czego żyć.

- Ale po pracy wróć do mnie i zostań na noc.

- Chciałabym pobyć z babcią przez parę dni, dopóki nie uspokoi się nerwowo.

- Rozumiem, rzeczywiście powinnaś z nią zostać.

Kiedy zeszedli na parter, Declan westchnął i powiedział:

- Pozwól, że coś wypróbuję. - Okręcił ją dookoła, przycisnął usta do jej warg i pocałował ją z jakąś dziwną, marzycielską wylewnością. - Czy nie wyczułaś w moim całowaniu żadnych lesbijskich wibracji? - spytał.

- Hmm - dotknęła językiem swej górnej wargi. Udawała, że się zastanawia. - Nie! - odparła. - Mogę zaświadczyć, że obecnie jesteś mężczyzną w pełnym tego słowa znaczeniu. A teraz żegnaj! Będziesz miał tyle pracy w najbliższych dniach, że nie starczy ci czasu na myślenie o czymś innym. A tamta sprawa czekała sto lat, więc może jeszcze poczekać do ślubu Remy'ego.

- Wróć do mnie, kiedy panna Odette poczuje się lepiej. I zostań!

- Dobrze. Na pewno.

- Kocham cię, Leno!

- Boję się, że to prawda - szepnęła i wyszła.

Choć starała się skończyć pracę w barze tak wcześnie, jak tylko się dało, minęła już jednak pierwsza po południu, gdy zajęła przed dom na bagnach. Na ganku światło wabiło ómy na pewną śmierć. Lena przez chwilę siedziała w aucie, słuchając muzyki żab, nocnych ptaków i cichego szeptu wiatru.

W tym miejscu spędziła swoje dzieciństwo i pierwsze dziewczęce lata. Tu ciągnęło ją serce. I chociaż związała swoje życie z najbardziej ruchliwą dzielnicą miasta, do domu na bagnach wracała zarówno wtedy, gdy czuła się szczęśliwa, jak i wówczas, gdy była zgnębiona. Tu przychodziła, by snuć swe najgłębsze myśli i najtajniejsze marzenia. Dawniej nieraz marzyła jak typowa kobieta: o romansie, o przystojnym mężczyźnie, który będzie ją kochał, o domu, dzieciach i spokojnych niedzielnych porankach.

Kiedy pożegnała się z takimi marzeniami?

Przyznaje, że stało się to w parne letnie popołudnie, w ten upalny mglisty dzień, kiedy zobaczyła chłopca, którego kochała całym swoim głupim, młodym i pełnym entuzjazmu sercem, jak parzył się niby zwierz z jej matką na złachanym kocu, rozłożonym na bagiennej trawie. Bagna były jej i ten chłopak był jej, i w końcu matka też była jej...

Od tej pory jej życie dzieliło się na czas, zanim to się stało, i ten, który nastąpił potem. Przed tym zdarzeniem miała wielkie nadzieje, niewinne marzenia i wiarę. Potem została jej już tylko ambicja, stanowczość i niezłomne przyrzeczenie, złożone samej sobie, że już nigdy, przenigdy w nic nie uwierzy.

Ukochany chłopiec po latach przestał mieć dla niej jakiegokolwiek znaczenie; ledwo pamiętała, jak wyglądał. Matka też nic nie znaczyła, zresztą nie o nią chodziło. Liczył się tylko ten jeden moment, sam moment...

Gdyby się tak nie stało, kto wie, jak potoczyłoby się jej życie. Przecież wiedziała, że z tym chłopcem i tak by się szybko rozstała. Ale może rozstaniu towarzyszyłaby jakaś nuta słodczy, która pozwoliłaby jej zachować miłe wspomnienie o swojej pierwszej miłości.

Widok owej brutalnej sceny seksu i zdrady zupełnie Lenę odmienił. Odtąd stała się całkiem inną osobą. W jednej chwili zrozumiała to, czego kiedy indziej mogłaby się uczyć całe lata. Uświadomiła sobie, że kobieta postępuje mądrzej i bezpieczniej, jeśli jest motorniczym, który „prowadzi pociąg”, a mężczyźni przychodzą i odchodzą; należy jedynie czerpać z nich przyjemność, bo kochanie ich równa się samobójstwu.

Wysiadając z samochodu, zastanawiała się, czy słowo „samobójstwo” nie jest określeniem przesadnie dramatycznym. Przecież złamane serce to jeszcze nie śmierć.

- Ale Lucian od tego umarł - zdawała się niemal słyszeć ten głos w swojej głowie. - Luciana Maneta nie zabiła ani rana zadana nożem, ani staw, w którym utonął. Prawdziwą przyczyną jego śmierci było złamane serce.

Wchodząc do domu, zobaczyła światło w pokoju Odette i usłyszała, jak Rufus bije ogonem o podłogę. Gdy otworzyła drzwi, Odette siedziała w łóżku z otwartą książką na kolanach, a wierny pies leżał skulony u jej stóp.

- Czemu nie śpisz? - spytała babki. - Już późno!

- Czekam na ciebie, kochanie; spodziewałam się, że przyjdiesz nie wcześniej niż za godzinę lub dwie.

- W barze nie było wielkiego ruchu, więc mogli się obejść beze mnie.

Odette poklepała miejsce obok siebie na łóżku, zapraszając Lenę, by koło niej usiadła.

- Pewnie wyszłaś wcześniej dlatego, że się o mnie martwiłaś. Niepotrzebnie!

- Zawsze mi mówiłaś, że martwienie się to twoja specjalność. - Lena położyła się na pościeli, a głowę złożyła w za-

głębieniu babcinego ramienia. - Teraz to jest także moja specjalność. Przykro mi, że Lilibeth znowu cię skrzywdziła.

- Nie przejmuj się, dziecinko. Myślę, że taki ma po prostu sposób na życie. I jest w tym nawet dobra... - Głaszcząc wnuczkę, dodała: - Ale przecież mam ciebie, kochanie!

- A ja się ostatnio zastanawiałam, jak to przyjęliście z dziadkiem, gdy musieliście wychowywać dziecko od małego, kiedy przecież swoje już dawno odchowaliście.

- Byłaś dla nas obojga wielką, nieustającą radością, Leno.

- Ciekawa jestem, jak to było, kiedy Manetowie przynieśli Marie Rose tutaj, chcąc się pozbyć maleństwa. To niemowlę zostało później twoją babką. Czy dobrze ją pamiętasz?

- Doskonale ją pamiętam. Jesteś bardzo do niej podobna. Nieraz oglądałaś stare fotografie, więc wiesz.

- Czy ona kiedykolwiek wspominała, że dwór Manetów powinien należeć do niej?

- Nigdy nie słyszałam, żeby coś podobnego mówiła. Była szczęśliwą kobietą, Leno. Może nawet szczęśliwszą tutaj, niż byłaby we dworze, gdyby sprawy inaczej się ułożyły. Marie Rose piekła doskonale ciasta i od niej się tego nauczyłam. Opowiadała też ciekawe historyjki, których chętnie słuchałam. Przypuszczam, że wymyślała je na poczekaniu, choć mnie się wtedy wydawały prawdziwe. Może mogłaby zostać pisarką.

- Czy wiedziała coś o swoich rodzicach i o rodzinie Manetów? Nawet jeśli była bardzo szczęśliwa, to jednak musiała o nich czasem myśleć.

- Chyba tak, bo pamiętam, że miała zwyczaj noszenia kwiatów na grób swego ojca, Luciana Maneta. Zanosila je co roku na jego urodziny.

- Co ty powiesz? Nigdy mi o tym nie mówiła!

- Twierdziła, że zawdzięcza mu życie: swoje, dzieci i wnuków. Kwiaty kładła także na grobach Josephiny i Henry'ego Manetów, choć nigdy nie zatrzymywała się tam dłużej, by zmówić modlitwę. I jeszcze jedną rzecz robiła co roku aż do śmierci: W dzień swoich urodzin przychodziła nad rzekę z wiązkami kwiatów i wrzucała je do wody, a potem długo się modliła.

- Za swoją matkę? Tak myślisz?

- Nigdy mi tego nie powiedziała, ale tak właśnie myślę.
- Czy uważasz, że ciało Abigail wrzucono do rzeki?
- Tak niektórzy mówią.
- Nie pytam niektórych, ale pytam ciebie - powiedziała Lena, unosząc głowę.
- Wiem tylko tyle, że ilekroć się znajdę nad brzegiem rzeki, zawsze mnie ogarnia ogromny smutek. Czasem myślę, że może te stare dusze chcą się wcielić w nowe życie i długo szukają, aż znajdą takie, jakie im odpowiada. A ty, kochanie, czego szukasz?
- Lena znowu oparła głowę na jej ramieniu i zamknęła oczy.
- Myślałam, że znalazłam to, czego szukam, ale teraz nie jestem tego pewna. On mnie kocha, babciu!
- Wiem, że cię kocha.
- Więc jeśli odwzajemnię tę miłość, wszystko się zmieni.
- Odette się uśmiechnęła i zgasiła światło.
- Na pewno tak się stanie - szepnęła i gładząc Lenę po głowie, raz jeszcze powtórzyła: - Na pewno!

Declan był gospodarzem kawalerskiego wieczoru, który koledzy urządzili Remy'emu, czuł się więc zobowiązany do pozostania na posterunku do końca imprezy. Jej zakończenie okazało się dość ponure, towarzystwo bowiem wylądowało w obskurnej speluncie znajdującej się w bocznej uliczce w osławionej francuskiej dzielnicy. Podawano tam alkohol, który wypalał pijącym dziury w śluzówce żołądka, jeśli im jakieś resztki po niej zostały. Z kolei striptizerki w tym lokalu nie były najmłodsze i okres świetności miały już dawno za sobą. Nikt się jednak tym nie przejmował i wieczór upływał w miłej koleżeńskej atmosferze. W takim też nastroju był Declan, gdy darował pożegnalnego dolara jednej z tancerek, wciskając go pod wystrzępioną podwiązkę, opasującą jej sflaczałe białe udo. Potem ustawił Remy'ego w pozycji pionowej i stwierdziwszy, że przyjaciel ma zupełnie szklane oczy, zawołał:

- Chodź, chłopie! Wracamy do domu!
- Tak? Bo co? Jest już rano?
- Prawie.

Wytoczyli się z lokalu, trzymając się za ręce; w tej sytuacji było to konieczne, ale jednocześnie świadczyło o przyjaźni obu panów. W pewnej chwili Remy rozejrzał się dokoła i choć głowa mu skakała jak u szarpanej za sznurek marionetki, zainteresował się losem pozostałych uczestników imprezy.

- Gdzie są wszyscy? - spytał, lekko bełkocząc.
- Jedni wyszli, inni siedzą w kiciu, a jeszcze inni leżą martwi w alei zasłużonych.

- Słabeusze... - orzekł Remy z lekko pogardliwą miną. - Nie to co ty, Dec, i ja. My wciąż „to” mamy, co?

- Od samego rana - odparł Declan - zacznę antybiotykową kurację, żeby się „tego” pozbyć.

Remy potknął się, zatoczył, aż Declan musiał go otoczyć ramionami, by zapobiec upadkowi.

- Za dużo grawitacji - narzekał Remy. - Tu jest stanowczo zbyt silne ziemskie przyciąganie. Lepiej poszukajmy sobie jakiejś gołej baby.

- Chyba znaleźliśmy już wszystkie, jakie były - mitygował go Declan. - Czas wracać do domu, stary!

- Za trzy dni się żenię - Remy ogłosił wszem wobec i aby to zademonstrować, podniósł cztery palce do góry. - Koniec z hulankami! - Potem się rozejrzał. Ulice były prawie puste, a ich nawierzchnia błyszczała od mżawki. - Może trzeba komuś załatwić zwolnienie za kaucją - zatroszczył się nagle.

- Pieprz ich wszystkich! - poradził mu Declan.

- Masz, kurna, rację! A gdzie jest moja dziewczyna, Effie?! - krzyknął w przestrzeń i echo powtórzyło jej imię. Wtedy Declan po pijacku głośno czknął.

- Stella! - zawołał i zadowolony z własnego dowcipu, pochowo wylądował w kałuży. - Pieprzę to, Remy! Lepiej tu się prześpijmy.

- Muszę znaleźć moją dziewczynę - bełkotał Remy. - Chcę się kochać z moją słodką Effie.

- Nie udałoby ci się teraz postawić fiuta, nawet gdybyś użył do tego hydraulicznej pompy.

- Założymy się? - Remy zaczął energicznie grzebać przy zamku błyskawicznym w spodniach. Ale Declan zachował na szczęście dość rozumu, by nim potrząsnąć i w porę powstrzymać.

- Daj sobie z tym spokój, bo się jeszcze skaleczysz albo nas zaaresztują za ekshibicjonizm.

- Nic nie szkodzi. Przecież jesteśmy adwokatami.

- Mów za siebie, dobrze? Musimy teraz znaleźć taksówkę.

- Tak! Weźmy taksówkę i jedźmy do Effie. Gdzie jest moja droga, niewinna narzeczona?

- Jak to gdzie? W domu, w łóżku, jak każda przyzwoita kobieta. - Chwytał Remy'ego za nadgarstek i podniósł jego rękę,

próbując spojrzeć na zegarek. - Wszystko jedno, która godzina, na pewno jest już rano i Lena też pewnie jest w łóżku... Wyobraź sobie - odezwał się po chwili - Lena myśli, że ja jestem kobietą.

- Widać kiepsko się z nią pieprzysz.

- Nie o to chodzi, głupku! I przypomnij mi, żebym dał ci za to później po pysiu. Lena myśli, że ja jestem Abigail.

- Możesz się przebierać w jej bieliznę lub zrobić jakiś inny zбочzony numer, co, synu?

- A wiesz, że tak... Najbardziej się lubię w jej czarnych koronkowych figach w róże; wyszczuplają biodra...

- Jestem prawie pewny, że żartujesz. Ale teraz musisz chwilę poczekać. - Stał, pochylił się nad krawężnikiem i ręce oparł na kolanach. Potem powoli się wyprostował. - To był fałszywy alarm, jednak nie zwymiotuję...

- Hej! Mam dobrą wiadomość. Nadjeżdża taksówka. Taxi!!! - wołał i rozpaczliwie machał ręką na taksówkę krążącą w poszukiwaniu pasażera. - W imię Boże! Ty pierwszy - powiedział i prawie wepchnął Remy'ego do środka, po czym sam się wgramolił.

- Gdzie ja mieszkam? - pytał Remy. - Kiedyś to wiedziałem, ale nie pamiętam... Może zadzwonię do Effie i spytam?

Na szczęście Declan pamiętał adres. Gdy Remy zdrzemnął się na jego ramieniu, sięgnął do resztek świadomości, by się do końca wywiązać z obowiązku gospodarza i dostarczyć przyjaciela żywego do domu.

Gdy taksówka zatrzymała się przed domem, Declan trącił Remy'ego łokciem i wyprowadził z samochodu.

- Co? Gdzie? Ech, sukinsyny! Jestem w domu! I co ty na to?

- Czy już sobie poradzisz? - spytał go Declan.

- Mogę się jeszcze powstrzymać. Choć mam tego płynu parę litrów - bełkotał Remy. Na pożegnanie chwycił Declana za twarz i mocno pocałował w usta. - Kocham cię, *cher!* Ale gdybyś był Abigail, na pewno włożyłbym ci język...

- Ach! - to było wszystko, na co Declan mógł się zdobyć.

- Jesteś, kurna, najlepszym przyjacielem, jakiego kiedykolwiek miałem, a to był, kurna, najlepszy wieczór kawalerski

w historii kawalerskich wieczorów. Teraz pójdę na górę, kurna, i zwymiotuję...

- Zrób to! - A zwracając się do kierowcy, powiedział: - Proszę poczekać, aż on dojdzie do drzwi. - Potem patrzył, jak Remy, chwytając się i zataczając, wtarabanił się do domu. Przez chwilę nawet mu się zdawało, że Remy się rozdziwił i dwóch facetów weszło do bramy.

- W porządku! Reszta to już jego sprawa - mruknął do siebie. - Czy pan wie, gdzie jest stary dwór Manetów? - spytał kierowcy.

Taksówkarz obejrzał go sobie we wstecznym lusterku.

- Chyba wiem - odparł.

- Mieszkam tam. Niech mnie pan zawiezie do tego domu, dobrze?

- To kawał drogi... - Taksówkarz odwrócił się i zlustrował Declana z góry do dołu. - Ma pan pieniądze, żeby zapłacić za przejazd?

- Mam pieniądze. Mam ich całą masę... - Declan pogrzebał w kieszeni, wyjął plik banknotów i rozsypał je po całej taksówce. - Jestem ładowany - dodał.

- To widać! Nie musi pan mówić... - potrząsnął głową i ruszył z impetem. - Chyba mieliście jakąś fajną imprezę, co, stary? - odezwał się po chwili.

- To widać! Nie musi pan pytać - wymruczał Declan i padł na tylne siedzenie twarzą w dół.

Pierwszym wrażeniem, z jakiego Declan wyraźnie zdał sobie sprawę, była hucząca w głowie głośnie muzyka dixieland. Wciąż leżał twarzą w dół i miał dziwne uczucie, że plaża Waikiki kończy się na piasku w jego ustach, a język w niewytłumaczalny sposób obrósł mu futrem. W dodatku jacyś sadyści wbijali mu gwoździe w ramię.

- Święta Mario, Matko Boża, módl się za nami grzesznymi...

- Nie ma sensu z powrotem się w to ładować... Spróbuj się jakoś przesunąć, *cher!* I na razie nie otwieraj oczu.

- Umieram! Zawołaj księdza!

- Uspokój się! To ja, Lena. Jestem przy tobie. - Delikatnie, choć nie kryła rozbawienia, pomogła mu się przemieścić,

a oparłszy mu głowę wysoko na poduszce, poprosiła: - Koniecznie to połknij!

Przełknął, zakrztusił się i poczuł, że coś ohydneho spłynęło po futrze języka, przebiło się przez piasek, a potem powoli pocięło do gardła. Bronił się, usiłując odepchnąć szklanekę od warg, i otworzył oczy. Nawet w obliczu śmierci zdecydowany byłby zaprzeczać, że dźwięk, jaki wydobył się z jego ust, w jakikolwiek sposób przypominał dziewczęcy pisk.

Lena głośno cmoknęła.

- Powiedziałaś ci, że masz nie otwierać oczu.
- Jakich oczu? Wszystko spaliło się na popiół.
- Wypij do reszty.
- Odejdź! Idź precz i zabierz tę truciznę!
- Nie powinieneś tak mówić do kogoś, kto specjalnie zadał sobie trud, żeby przyjechać i pielęgnować cię na łożu śmierci.

Zsunął się niżej i zasłonił twarz poduszką.

- Skąd wiedziałaś, że umieram?
- Effie do mnie zadzwoniła.
- Tak? A kiedy jest pogrzeb Remy'ego?
- Na szczęście Remy żeni się z kobietą, która jest tolerancyjna, wyrozumiała i ma poczucie humoru. Ciekawa jestem, ile striptizowych lokali zaliczyliście ubiegłej nocy.
- Wszystkie! Wszystkie kluby striptizowe w całym kraju!
- To tłumaczy, dlaczego jeden element stroju striptizerki przykleił ci się do policzka.
- O czym ty mówisz?
- O ozdobach, jakie one naklejają sobie na sutki. Taką ozdobę masz właśnie na policzku.
- Niczego podobnego nie mam! - Ale kiedy sięgnął ręką pod poduszkę, namacał pomponik od ozdobnej naklejki. - O Boże! -jęknął. - Litości! Lepiej mnie zabij!
- Nic strasznego się nie stało, kochanie! - I trochę mocniej przycisnęła mu do twarzy poduszkę. To wystarczyło, by zaczął trzepotać rękami; czym prędzej się spod niej wysunął, czerwony, z oczami nabiegłymi krwią i dzikim spojrzeniem.
- To wcale nie było śmieszne - powiedział z wyrzutem.
- Chciałam, żebyś to zobaczył z innej strony... - roześmiała się.

Declan wciąż miał na sobie te rzeczy, które nosił wczoraj: splamioną alkoholem, zmiętą koszulę, częściowo wpuszczoną w dzinsy, a częściowo wyciągniętą na wierzch. Z kieszeni koszuli wyzierała druga od pary ozdobna naklejka w kolorze różu i srebra. Skacowany Declan patrzył na Lenę ze smutkiem.

- Wkrótce poczujesz się lepiej. Nie mówię, że dobrze, ale lepiej. Weź prysznic i coś zjedz. Trzeba, żebyś miał coś w żołądku oprócz tego leczniczego napoju, który w ciebie wlałam. W ciągu dwóch, najwyżej trzech godzin powinieneś odzyskać czucie w kończynach.

Miał wrażenie, jakby mu ktoś zgolił futro z języka, ale nie był pewny, czy to oznacza poprawę.

- Z czego składał się płyn, który mi podałaś? - spytał.

- Nie powiem, bo niepotrzebna ci ta wiedza. Dodałam do niego cztery aspiryny, więc na razie nie bierz ich więcej. Teraz zrobię ci dobry, lekki omlet i parę tostów.

- Dlaczego jesteś dla mnie taka dobra?

- Bo budzisz litość swoim wyglądem. - Zaczęła go całować, ale zaraz odskoczyła i cofnęła się, dłonią rozwiewając przed sobą powietrze. - Jezus Maria! Zrób coś z tym zapachem, jakim zioniesz; może zabić człowieka...

- Nikt ci nie kazał mnie wachać...

- A gdy pójdziesz pod prysznic, posiedź pod nim dłużej, bo śmierdzisz jak podłoga w barze. Czy wiesz, dlaczego dziś nie zjawił się tutaj żaden wolontariusz?

- To proste. Przewidując, że będę miał kaca, ogłosiłem, że każdy, kto się pojawi w okolicy tego domu przed trzecią po południu, zostanie stracony bez procesu.

Spojrzała na zegarek.

- Wygląda na to, że masz jeszcze parę godzin spokoju.

- Jeśli każesz mi wyjść z łóżka, to postaram się o pistolet i, choć z wielką przykrością, będę musiał cię zabić.

- Idę do kuchni. Ale na wszelki wypadek przynieś swój pistolet. Sprawdzimy, czy pamiętasz, jak go się używa.

- Bardzo łagodnie mnie potraktowałaś. To jakby eufemizm, prawda?! - krzyknął za nią. Zaraz jednak pożałował, że podniósł głos. Przytrzymując bolącą głowę, żeby się nie ruszała, wysunął się ze skrzypiącego łóżka.

Lena, schodząc na dół, cały czas chichotała. Głośniejsze się ro-

ześmiała, gdy usłyszała, że ktoś trzasnął drzwiami. Mogę się założyć, że Declan już żałuje tego, co zrobił - pomyślała. Ale po chwili przestała się śmiać i z niepokojem się obejrzała, kiedy do jej uszu doszły jeszcze dwa głośne trzaśnięcia.

- No, tak... Ciekawe, czy on duchom też grozi pistoletem - powiedziała do siebie. - Możecie hałasować i rozrabiać, ile wlezie, a ja i tak nie myślę się wami przejmować - głośno ostrzegła duchy i weszła do kuchni.

Chociaż zauważyła, że drzwi do biblioteki zakołysały się, kiedy przechodziła obok, zignorowała to. Jeśli nawet taki gburowaty i śmierzący facet nie goni za nią, na pewno nie zrobi tego duch, bo duchy mają chyba słaby temperament.

Declan wyglądał cholernie przystojnie - myślała, szukając ziarnistej kawy. Był blady, męski i zły jak diabli. I jeszcze miał w dodatku tę głupią sutkową ozdobę przyklejoną do policzka. Mężczyźni, gdy spojrzą na nagą kobietę, od razu tracą połowę ilorazu inteligencji. A kiedy zejdzie się ich cała paczka i mają do czynienia z kobietami, które lubią się rozbierać przy muzyce, ich rozsądek maleje do zera; głupi Jaś ma go więcej od nich. .

Zmeła i zaparzyła kawę, a potem zabrała się do ubijania jaj na omlęt. I nagle sobie uświadomiła, że po raz pierwszy w życiu robi śniadanie mężczyźnie, z którym poprzedniej nocy nie spała.

Czy to nie dziwne? - zastanawiała się. Jeszcze dziwniejsze było to, że nuciła w kuchni piosenkę o obrażonym, śmierzącym i skacowanym facecie, który do niej pyskuje.

To do ciebie niepodobne, Leno! Co tu się właściwie dzieje?

Cały czas ją intrygowało, że Effie z taką pogodą i rozbawieniem traktowała kaca u Remy'ego, a tu się okazuje, że ona tak samo postępuje z Declanem.

Spojrzała przez okno do ogrodu, który jeszcze przed kilkoma miesiącami był dziki i zaniedbany, a teraz pięknie rozkwita, drzewa i krzewy wypuszczają nowe gałązki i wszędzie pojawia się świeża zieleń.

Zrobiła to mimo wszystko... Pozwoliła, by skradł jej serce, pomimo zamków i rygli... Była w nim zakochana. A przecież, o Boże, nie chciała tego, zarówno przez wzgląd na jego, jak i swoje dobro. Otrzepał z kurzu zapomnienia jej młodociane

marzenia, te, które ona sama tak bezwzględnie wyrzuciła ze swej pamięci. Marzenia nasycone miłością, nadzieją i ufnością. Teraz znów ożyły w całej okazałości, a ich blask ją oślepił i przerażał.

Ten mężczyzna myślał o małżeństwie. Chciał się z nią ożenić. Ona jednak nie wierzyła w dawanie obietnic... chyba że gotowa byłaby nawet przelać krew, byle tylko ich nie złamać. Ale czy byłaby do tego zdolna? Czy chciałaby to zrobić?

- Tak! - odpowiedziała sama sobie cicho. - Myślę, że chciałabym. Myślę, że chciałabym to dla niego uczynić. - I kiedy to mówiła, nagle drzwiczki kredensu się otworzyły i gruby niebieski kubek wypadł, roztrzaskując się u jej stóp. Odskoczyła do tyłu, a serce jej waliło, kiedy odłamki rozbitej porcelany, rozsypując się, skaleczyły jej nogi. Ponuro spojrzała na krew sączącą się z małych ranek. - Wydaje mi się, że choć ja się zgodziłam, ty tego nie chcesz. Prawda? Na wszystko się zgodzisz, tylko nie na to, żebym była razem z nim. Ale zobaczymy, kto w końcu wygra. Po prostu poczekamy i zobaczymy...

Schyliła się, podniosła ostry odłamek porcelany i umyślnie przejechała nim po kciuku. Kiedy się pokazała krew, wyprostowała ramię i pozwoliła, by krew skapywała na podłogę.

- Nie jestem taka słaba jak Lucian... Jeśli zgodziłam się na miłość, jeśli ją zaakceptowałam i jeśli ją Declanowi przyrzeknę, to dotrzymam słowa.

Nagle usłyszała dźwięki kuranta, jakie wygrywał zegar, i zesztyniała: to była ta sama melodia, którą nucił Declan. Po pierwszych jej tonach zdziwienie i strach ścisnęły ją za gardło.

- Do jasnej cholery, otwórz drzwi! Dobrze? - dochodzący z góry głos Declana pełen był wściekłości. - A potem bez skrupułów zamorduj tego, kto ten idiotyczny dzwonek pocisnął.

Więc to był dzwonek u drzwi? Przeciągnęła ręką po czole. To znaczy, że Declan zainstalował u drzwi dzwonek, który grał melodię walca *Po balu!* Tak, to do niego podobne...

- Ciągłe na mnie wrzeszczysz! - zawołała, idąc w stronę drzwi. - Ostrzegam cię, że możesz mieć do czynienia z czymś o wiele gorszym od kaca...

- Gdybyś sobie poszła i pozwoliła mi spokojnie umrzeć, nie wrzeszczałbym.

- Zaraz przyjdę na górę i skręcę ci kark. A kiedy go skręcę, to jeszcze kopnę cię w tyłek.

W czasie wygłaszania tej ostatniej groźby otworzyła drzwi i omal nie zemdląła z wrażenia. Oto stało przed nią dwoje osób w średnim wieku; stanowili bardzo przystojną parę. Pierwsze, co ją uderzyło, to szare oczy Declana w twarzy przybyłej kobiety, która spoglądała na nią z ciekawością. Urodziwa, zadbana blondynka wytwornym ruchem wyciągnęła dłoń.

- Jestem Colleen Fitzgerald - przedstawiła się - a kim jest pani? Jeśli to mego syna zamierza pani kopnąć w tyłek, chciałabym wiedzieć, jak się pani nazywa.

- Mama? - Kapał wodą z prysznicą i nie miał na sobie nic poza rozciągniętymi slipkami, ale nie zważając na nic, ruszył w stronę rodziców. - Witaj, mammo! Cześć, tato! - Mimo widocznych śladów kaca przybiegł do nich i każde z nich z osobna objął i uściskał.

- Myślałem, że przylecicie dopiero jutro!

- Zmieniliśmy plany. Wygląda na to, że właśnie wstałeś z łóżka - zdziwiła się Colleen. - Przecież jest już po pierwszej po południu.

- Mieliliśmy kawalerski wieczór wczoraj w nocy. Wiesz, jak to jest. Ciężkie trunki... lekkie kobiety...

- Naprawdę? - I Colleen zerknęła na Lenę.

- Nie o tej kobiecie mówię. Lena jest tu od rana i przyszła w charakterze Florence Nightingale. Poznajcie się: Colleen i Patrick Fitzgeraldowie, i Angelina Simone.

- Miło mi panią poznać - powiedział Patrick i przyjaźnie się do Leny uśmiechnął. Był długonogi i bardzo szczupły. Miał ciemne włosy, pięknie srebrzące się na skroniach, a jego niebieskie oczy patrzyły na nią bystrym i śmiałym wzrokiem. Wyciągnął do niej rękę, ale w jego spojrzeniu odbiło się przeżenie, gdy zobaczył krwawiący palec. - Pani się zraniła! - niemal krzyknął.

- To niepoważnego..,

- Coś ty sobie zrobiła? Przecież krwawisz! Na miłość boską, Leno! - Declan najwyraźniej wpadł w panikę; unieru-

chamijąc przegub dłoni dziewczyny, wziął ją na ręce i zaniósł do kuchni.

- Ależ to tylko zadrapanie. Przestań, Declanie! Przecież są tu twoi rodzice. Zawstydzasz mnie! - syczała.

- Bądź cicho! Muszę zobaczyć, jak głęboka jest rana.

Gdy wyszli, Patrick zwrócił się do żony:

- To ta? Prawda?

- Tak przynajmniej myśli Declan - odparła, zacisnąwszy wargi. - Chodźmy teraz obejrzyć jego posiadłość.

- Cholernie ładna dziewczyna. Jest na co popatrzeć - zachwycał się ojciec Declana.

- Mam oczy, Patricku! - ucięła Colleen.

Dom, który kupił Declan, okazał się znacznie większy i wspanialszy od tego, czego oczekiwała. Nie chodzi o to, że nie miała zaufania do gustu syna, ale wszyscy dawali jej do zrozumienia, że dwór jest w kiepskiej, można nawet powiedzieć - w fatalnej kondycji i wymaga szybkiego, poważnego remontu. Tymczasem to, co zobaczyła, przedstawiało się zgoła inaczej. Pokoje były ładne i ustawne, a wystrój wnętrza budził prawdziwy zachwyt: lśniące szkła, eleganckie, antyczne meble, piękne posadzki.

W kuchni rodzice natrafili na komiczną scenkę.

Declan kręcił się koło Leny i pochylał nad zranioną ręką, a ona robiła wrażenie wściekłej, przy tym bardzo pięknej kobiety, która na pewno byłaby zdolna do wykonania swej wcześniejszej groźby.

- Przepraszam! - powiedziała, szturchnąwszy Declana łokciem, i chłodno się uśmiechnęła do jego rodziców. - Niechcący zbiłam kubek. Wpadł mi z ręki, i to wszystko! Miło mi było poznać państwa.

Declan zawzięcie szukał czegoś w kredensie.

- Potrzebny ci będzie jakiś antyseptyk i bandaż.

- Przestań się nade mną roztkliwiać. Można by pomyśleć, że odcięłam sobie dłoń. Boję się, że jeśli nie będziesz uważał, sam nastąpisz na ostry odłamek i skaleczysz się bardziej niż ja. Przykro mi, że zakłóciłam powitanie państwa - przepraszam. - Zaraz posprzątam bałagan, a potem muszę niestety wyjść do pracy.

- Dokąd się znowu wybierasz? Przecież obiecałaś dać mi coś do jedzenia! - protestował Declan.

Zastanawiała się, czy mógł usłyszeć, jak zazgrzytała zębami.

~ Wlej to, co jest w miseczce, na patelnię, zapal gaz i będziesz miał jedzenie. - Jednym szarpnięciem otworzyła sło-
wek na szczotki. - Twoi rodzice są po długiej podróży. Dlaczego nie poczęstujesz ich kawą albo zimnym napojem? Starali się dobrze cię wychować, a ty co?

- No, właśnie! A przecież naprawdę staraliśmy się dobrze cię wychować.

- Przepraszam! Ale gdy zobaczyłem, jak kobieta, którą kocham, krwią plami podłogę, to straciłem głowę.

- Declanie! - Chociaż nie podniosła głosu, ostrzeżenie zawarte w tym słowie było wyraźne.

- Kawę wypilibyśmy z przyjemnością - upomniał się spokojnie Patrick. - Przyjechaliśmy prosto z lotniska, żeby zobaczyć dwór i oczywiście ciebie, Dec - dodał, mrugnawszy porozumiewawczo.

- A gdzie wasze bagaże?

- Odesłaliśmy je do hotelu. Masz ogromny dom, synku! Mnóstwo przestrzeni jak na jednego człowieka.

- Chcemy z Leną mieć czworo dzieci.

Lena zmiotła pozostałości po kubku i wyrzuciła do śmieci, a potem z groźną miną do niego się zbliżyła.

- No, dobrze, niech będzie troje - gładko się poprawił. - Ale to jest już moja ostateczna oferta - dorzucił pogodnym tonem.

- Mam już tego dość! - krzyknęła, wciskając mu w ręce zmiotkę i śmietniczkę. - Sam sobie posprzątaj! Mam nadzieję, że państwo będą zadowoleni z pobytu - rzuciła w stronę Colleen i Patricka. - Na mnie już czas, bo się spóźnię do pracy.

Wyszła tylnym wyjściem, bo było bliżej, i przez chwilę walczyła z chęcią zatrzaśnięcia za sobą drzwi tak mocno, by z okien powypadały szyby.

- Czy ona nie jest piękna, mamó? - spytał Declan, szeroko się uśmiechając. - Czy nie jest po prostu bezbłędna?

- Rozzłościłaś ją i zawstydziłaś - zarzuciła mu Colleen.

- Nie szkodzi. Tą metodą więcej u niej osiągam. Teraz pozwólcie, że poczęstuję was kawą, a potem pokażę dom.

Godzinę później Declan siedział z matką na balkonie, natomiast Patrick, który wolał nie uczestniczyć w ich rozmowie, zajął się robieniem kanapek. Declan czuł się już nieźle, najgorszy kac minął. Sądził, że zawdzięcza to tajemniczemu napojowi, który mu zaaplikowała Lena, i radości, jaką mu sprawił przyjazd rodziców oraz ich spotkanie z Leną. Dopiero teraz sobie uświadomił, jak bardzo tęsknił za rodzicami; dopóki ich nie zobaczył, nie zdawał sobie z tego sprawy.

- No i jak? - zwrócił się do matki. - Może mi wreszcie powiesz, co o niej sądzisz?

- Dobrze - odparła Colleen, ale w dalszym ciągu patrzyła na ogród. - Jest bardzo ciepło, prawda? Taka wczesna pora, a już tak ciepło...

- Dzisiaj się chyba trochę ochłodziło. Szkoda, że nie byliście tu przed dwoma dniami. Można było ugotować jajka w koszulkach, taki żar lał się z nieba.

- Wiem, że lubisz ciepło. Nigdy nie przepadałeś za zimą i zimnem. Nawet kiedy wyjeżdżaliśmy na narty, wolałeś trzymać się blisko pensjonatu, w którym mieszkaliśmy, niż na deskach atakować górskie stoki.

- A tak, bo uważam, że ludzie wymyślili jazdę na nartach tylko po to, by udawać, że śnieg jest czymś miłym i przyjemnym.

- Wobec tego jeszcze się zastanowię, czy cię zaprosić w tym sezonie do Vermont. - Pocieszająco poklepała go po dłoni. - Ten dom jest piękny, Declanie. Nawet to, czego dotąd nie odnowiłeś, też jest na swój sposób ładne. Nieraz z przyjemnością myślałam, że lubisz się bawić narzędziami i drewnem i że to jest dobre małe hobby. Wolałam traktować twoje zainteresowania jako hobby, a nie zawód. Dopóki byłeś adwokatem, sądziłam, że najprawdopodobniej zostaniesz w Bostonie i będziesz blisko nas. Nie chciałam, żebyś wyjeżdżał, bałam się tego i dlatego robiłam ci trudności. Przepraszam, ale jesteś przecież moim dzieckiem. - Tym oświadczeniem głęboko go wzruszyła.

- Nie muszę mieszkać w Bostonie, żeby z wami być blisko.

Potrząsnęła głową.

- Ale gdy mieszkasz daleko, to już się nie zdarzy, że przyjeżdżiesz do domu niespodziewanie, w zabawowym nastroju, ot tak na chwilę, żeby się przywitać i pogadać. Ani my nie wpadniemy na ciebie przypadkiem w restauracji, na przyjęciu czy w teatrze... Przeżywam to dość boleśnie, co sam zrozumiesz, gdy będziesz miał czworo czy troje dzieci.

- Nie chciałybym, żebyś była z tego powodu smutna.

- Niestety smutno mi i nic na to nie poradzę. Nie możesz być tak naiwny, żeby tego nie wiedzieć. Przecież cię kocham, prawda?

- Tak przynajmniej mówisz - zażartował.

Szarymi oczami spokojnie wpatrywała się w jego takie same szare oczy.

- Na szczęście dla nas obojga, mimo że bardzo cię kochałam, wiedziałam, kiedy pozwolić ci odejść. Nie przeczę, że miałam nadzieję, iż stanic się inaczej, ale skoro już tu jesteś, cieszę się razem z tobą. A niech to!

- Dziękuję- szepnął i pochyliwszy się, ucałował matkę.

- A teraz, jeśli chodzi o tę kobietę...

- O Lenę - poprawił ją.

- Wiem, jak jej na imię, Declanie - odparowała. - Jako potencjalna teściowa mam prawo tak o niej mówić, dopóki jej lepiej nie poznam. Otóż ta kobieta nie jest ani trochę podobna do tej, jaką sobie dla ciebie wymarzyłam, kiedy myślałam, że będziesz się wspinał po szczeblach prawniczej kariery. Wówczas mi się marzyło, że kupisz dom gdzieś blisko nas, skąd będziesz miał łatwy dojazd do swego klubu na wsi. W tamtym scenariuszu Jessica jako synowa odpowiadała moim wymaganiom. Uważałam, że byłaby dobrą, wymagającą partnerką w tenisie, niezłą brydżystką i osobą świetnie się nadającą do przewodniczenia w różnych komitetach.

- Może powinniście zaadoptować Jessicę? - zauważył złośliwie.

- Siedź cicho, Declanie! - głos Colleen był łagodny, ale jednocześnie twardy; Lena umiałaby to docenić. - Jeszcze nie skończyłam. Chociaż, jak mówię, Jessica bardzo mi odpowiadała jako synowa, wiedziałam, że tobie nie odpowiadałaby jako żona. Nie byłeś szczęśliwy i ja to widziałam, i nawet się

tym martwiłam, jeszcze zanim z nią zerwałeś. Co prawda starałam się samą siebie przekonać, że u ciebie to tylko przedślubne zdenerwowanie, ale w głębi duszy dobrze wiedziałam, co się święci.

- Nic by nie zaszkodziło, gdybyś mi o tym powiedziała.
- Oczywiście, ale byłam na ciebie zła...
- Więc powiedz teraz.

- Nie zachowuj się bezczelnie, młody człowieku, zwłaszcza że mam ochotę być sentymentalna. Jako dziecko byłeś szczęśliwym chłopcem, Dec. Byłeś mądry, zdolny i wygadany. Uważałam to za zalety zasługujące na uznanie. I miałeś jeszcze jedną cechę: żywą iskrę w sercu, którą można by nazwać werwą lub zapałem. Potem ją straciłeś, ale dziś widzę, że na nowo odzyskałeś. Spostrzegłam ją w twoich oczach, kiedy patrzyłeś na Lenę.

Wziął rękę matki i pocierał nią o swój policzek.

- Nazwałeś ją Leną. Cieszę się.

- To tylko tak na razie... Nie mam jeszcze wyrobionego o niej zdania. Wierz mi, chłopcze, że i ona też nie wyrobiła sobie jeszcze opinii o mnie i o twoim ojcu. A więc radzę ci: zachowaj spokój i pozwól się nam lepiej nawzajem poznać. Patricku! - zwróciła się do męża. - Co z kanapkami? Czy aby zrobić kanapki z szynką, musiałeś najpierw tego wieprza upolować?

Declan się zaśmiał i głośno cmoknął matkę w rękę.

- Kocham was, moi drodzy! - oznajmił.

- My też cię kochamy, choć tylko Bóg jeden wie, dlaczego - powiedziała i mocno uściśnęła mu dłoń.

W nocy śniła się Declanowi burza i ból. Strach i radość. Deszcz i wiatr smagały okna, a ból wybuchnął krzykiem i szloch. Pot i łzy spływały mu po twarzy, która była twarzą Abigail; ciało należało do niej, ale ból był jego.

W pokoju złościście świeciły się lampy gazowe, na kominku z trzaskiem buzował ogień. Podczas gdy jedna burza szalała na dworze, druga kotłowała się w niej i w nim.

Ból przeszył jej łono, gdy nastąpił kolejny skurcz. Ten ból był przerażający. Krzyczała jakimś prymitywnym, pierwotnym rykiem, który swoim natężeniem palił mu gardło.

- *Przyj, Abby! Musisz przeć! Już prawie dochodzisz.*

Była zmęczona, bardzo zmęczona i słaba. A on? Jak on mógł przeżyć ten ból? Abigail zgrzytała zębami, zachowywała się niemal jak szalona. Wszystko, czym była, wszystko, co miała, skupiła na tym jednym zadaniu, na tej jednej cudownej misji.

Jej dziecko. Dziecko jej i Luciana walczyło o to, by się urodzić, by przyjść na świat. A ona, Abby, zaangażowała w to całą siłę, jaka jej została. Od tego zależało życie.

- *Już widać główkę! Et la! Jakie włosy! Jeszcze przyj, Abby, jeszcze jeden raz, chere!*

Teraz się śmiała. Lepiej się śmiać niż krzyczeć, nawet jeśli ten śmiech jest zabarwiony histerią. Objęła się ramionami, przyciskając do siebie łokcie. Głowę odrzuciła do tyłu, kiedy przeszył ją nowy, niewyobrażalny ból.

Ten jeden moment, ten jeden akt to największy dar, na jaki może się zdobyć kobieta. A tym darem jest dziecko. I nic mu nigdy nie zagrozi, będzie pieszczone i miłowane. Będzie przez nią kochane do końca jej dni.

Błyskawice przecinały powietrze, pioruny grzmiały, a ona, cierpiąc nieludzko, parła, parła i parła, aż nowe życie z płaczem przyszło na świat.

- *Dziewczynka! Masz piękną dziewczynkę, Abigail!*

Zapomniała o bólu. Godziny spędzone w pocie, krwi i cierpieniach były niczym wobec tak wspaniałego rozbłysku radości. Szczęśliwa wyciągnęła ramiona do tej małej, trzepoczącej się dzieciny, której płacz brzmiał jak pieśń triumfu.

- *Moja różyczka! Moja piękna Marie Rose! Powiedźcie o niej Lucianowi! Proszę, przyprowadźcie Luciana, żeby zobaczył naszą córeczkę!*

Najpierw kobiety umyły obie: matkę i dziecko. Uśmiechały się, widząc niecierpliwość matki, i denerwowały krzykiem dziecka. Lucian miał w oczach łzy, gdy wszedł do pokoju. Klaskał w drżące ręce i ze zdumieniem patrzył na dziecko, które oni oboje stworzyli.

Powtórzyła mu te same słowa, którymi przysięgła sobie w chwili, gdy włożono Marie Rose w jej ramiona;

- *Zadbamy o to, by nic jej nigdy nie groziło, Lucianie. Żeby nie wiem co się działo, ona będzie zawsze bezpieczna i szczęśli-*

wa. To nasze dziecko, Lucianie! Przrzeknij mi, że będziesz zawsze naszą córeczkę kochał i o nią dbał.

—Oczywiście! Ona jest taka piękna, Abby! Ach, wy moje śliczne dziewczyny, kocham was!

—Przysięgnij! Chcę słyszeć, jak wymawiasz słowa przysięgi.

Wciąż trzymając rękę Abigail w swojej dłoni, Lucian z czułością przyłożył palec do policzka małej córeczki.

—Będę ją kochał i zawsze o nią dbał. Przysięgam!

Patrick Fitzgerald z żoną, trzymając się za ręce, przechadzali się spacerkiem po francuskiej dzielnicy. Oboje wiedzieli, że celem spaceru jest bar Et Trois i przyjrzenie się bliżej Angeline Simone.

- Czy zdajesz sobie sprawę, Colleen, że to, co robimy, jest mieszaniną się do ich spraw i po trosze także szpiegowaniem?

- A czy ty widzisz inne wyjście?

Roześmiał się. Niemal w czterdzieści lat po ślubie Colleen wciąż była niezawodna, gdy chodziło o doprowadzenie męża do śmiechu. Poza wszystkim innym Patrick uważał to za oznakę udanego partnerstwa.

- Wiesz, że możemy jej nie zastać? To, że jest właścicielką baru, nie znaczy, że musi w nim przesiadywać codziennie i przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

- Nawet jeśli jej nie zastaniemy, to i tak będziemy mogli obejrzeć bar i zafundować sobie drinka. Uważam, że postępujemy uczciwie i jak najbardziej przyzwoicie.

- Tak. Masz rację, kochanie! - Tego powiedzenia i takiego tonu Patrick używał tylko wtedy, gdy chciał z żony trochę pozartować. Colleen zastanawiała się więc, czy dać mu kuksańca w zębra, czy się śmiać. W końcu zastosowała i jedno, i drugie.

Tłumy, hałas, upał i nieco przeladowany ornamentami, dekadentki wystrój miasta - wszystko to razem mogło jej się podobać, ale tylko na krótko. Na stałe wolała mieszkać w Bostonie. O wiele bardziej jej odpowiadał wdzięk i dostojny charakter tego historycznego miasta.

Zapewne Boston też miał mniej przyjemne strony, ale nie były one tak widoczne ani nie obnoszono się z nimi w taki ostentacyjny sposób.

Seks ma być przyjemny i interesujący. Na miłość boską! Nie była przecież pruderyjna. Ale uważała, że seks powinien być czymś bardzo osobistym i intymnym.

Niemniej smutne łkanie tenorowego saksofonu, dochodzące z radia, uderzyło w jej czułą strunę. Jeśli jej syn był zdecydowany tu założyć dom, ona to zaakceptuje. Zaakceptuje również kobietę, którą sobie wybrał, choć będzie to może wymagało dłuższej obserwacji i zastanowienia się.

- Spotkasz ją jutro na ślubie Remy'ego - zwrócił jej uwagę Patrick - będzie więc dość czasu i okazji, żeby ją dokładnie przeegzaminować.

Colleen mogła tylko westchnąć: jakimi kategoriami myślał mężczyźni! Niech ich Bozia ma w swojej opiece, bo nie grzeszą mądrością. Ich główną wadą jest to, że są zbyt szczerzy. Zdaniem Colleen należało zacząć od przyjrzenia się, jak ta dziewczyna zachowuje się w swoim otoczeniu.

Biorąc pod uwagę sąsiedztwo, usytuowanie baru i natężenie ruchu ulicznego, doszła do wniosku, że Lena wybrała właściwy lokal. Uznała też, że miała odpowiednie wycucie estetyki i dość rozsądku, by pomyśleć o tym, iż bar powinien dobrze się komponować z otoczeniem.

Podobał jej się taras nad barem, doniczki z kwiatami i połączenie koloru kwiatów z delikatnym kremowym tłem. Świadczyło to, że Lena ma dobry gust oraz wycucie stylu i klimatu.

Colleen udało się dowiedzieć od Declana, że Lena ma mieszkanie nad barem, zastanawiała się więc, czy nie powinna jej odwiedzić i zobaczyć, jak tam wygląda.

Najpierw weszła do baru i zajęła się dokładnym, obiektywnym lustrowaniem tego miejsca. Z uznaniem stwierdziła, że w lokalu jest czysto i mimo że znajdowało się tam sporo gości, nie robił wrażenia zatłoczonego. Sama miała niezłe wycucie biznesu i uważała, że jest to jak najbardziej właściwe. Możliwe też, że ten luz miał konkretne przyczyny: dla hałaśliwych nocnych gości było za wcześnie, a pora obiadowa już minęła.

Płynąca z głośników muzyka -jak przypuszczała Colleen, akadyjska - bardzo jej się podobała. Żywe melodie wpadały

w ucho, a jednocześnie nie były za głośne, nie przeszkadzały gościom w rozmowie.

Za barem stał Murzyn w jaskrawoczerwonej koszuli. Colleen spodobała się jego dobra, jak ją oceniła, twarz i gładkie, nieowłosione ramię. Jeden ze stolików obsługiwała młoda kelnerka, fertyczna blondynka może w odrobinę za ciasnych dżinsach.

W lokalu Colleen zauważyła sporo turystów; rozpoznała ich po aparatach fotograficznych i torbach z zakupami. Pozostałych gości uznała za tutejszych. Trudno jej było ocenić, jakie dania tu serwowano; rozchodził się od nich ostry, pikantny zapach.

Gdy Lena wyszła z kuchni, oczy obu pań momentalnie się spotkały i porozumiały. Wargi Colleen złożyły się w mały, uprzejmy uśmiech. Podeszła do baru, a Patrick stanął tuż za nią.

- Dzień dobry państwu! - przywitała ich Lena z takim samym uprzejmym uśmiechem. - Widzę, że zaliczyli już państwo sklepy w naszej dzielnicy - powiedziała, rzucając okiem na torby z zakupami, które niósł Patrick.

- Colleen nie zdarza się przejść obok sklepu i nie wypatrzeć czegoś, co koniecznie musi kupić.

- Pewnie Declan po pani odziedziczył tę cechę. Czy mam podać państwu menu?

- Dziękuję! Jesteśmy już po obiedzie - odparła Colleen, siadając na barowym stołku. - Ale mam wielką ochotę na martini z dodatkiem stolicznej, mocno schłodzone, wytrawne i dobrze zmiksowane. Do tego trzy oliwki.

- A dla pana, panie Fitzgerald?

- Dla mnie to samo i bardzo proszę mówić mi po imieniu. Jestem Patrick. - Usiadł obok żony. - Ładny ma pani lokal, Leno. Czy gracie też muzykę na żywo? - spytał, wskazując na scenę.

- Tak. Codziennie od dziewiętej wieczorem. - Zaczęła już miksować koktajle i uśmiechnęła się do niego znad miksera. - Jeśli lubią państwo tańczyć, zapraszam. Postaramy się, żeby państwo dobrze się bawili. A jak pobyt w naszym mieście? Udany?

- Szykujemy się na ślub Remy'ego, bo Remy jest jakby członkiem naszej rodziny - wyjaśniała Colleen. - No i cieszy

nas, że Declanowi tak sprawnie idzie renowacja dworu: zrobił już bardzo dużo.

- Wydaje mi się, że Dec jest tutaj szczęśliwy - oznajmiła Lena.

- Chyba tak.

Lena wyjęła dwie szklanki, które się chłodziły w tym czasie, gdy ona miksowała koktajl, i wlała do nich martini.

- Zapewne pani by wolała, żeby Dec czuł się szczęśliwy w Bostonie i został z dziewczyną, z którą się omal nie ożenił.

- Tak. Chyba tak byłoby lepiej. Ale nie możemy nikomu, nawet naszym dzieciom, narzucać, jak ma żyć. A już z pewnością nie można nikomu dyktować, kogo ma kochać. Czy pani jest zakochana w moim synu, Leno?

Lena pewną ręką wlała martini do oziębionych szklanek.

- O tym zamierzam mówić tylko z nim i dopiero wtedy, gdy będę do tego gotowa. Martini to prezent od firmy - dodała, wkładając do każdej szklanki oliwki. - Mam nadzieję, że będą odpowiadały państwa gustom.

- Dziękujemy! - Colleen podniosła szklankę i upiła łyk. - Martini jest doskonale. Zawsze mi się wydawało, że zmiksowanie doskonałego martini jest szczególną sztuką. Nieraz mnie dziwiło i nawet czułam się rozczarowana, że w barach, klubach czy restauracjach podają kiepskie drinki.

- Po co w ogóle brać się do czegoś, jeśli z góry nie założymy, że zrobimy to jak należy - zgodziła się Lena.

- Właśnie! To powinno być sprawą ambicji. Prawda? Trzeba być dumnym z siebie, ze swojej pracy i swego życia. Oczywiście, ludzie są omylni i popełniają błędy; z tym trzeba się pogodzić, bo to uczy nas pokory. Ale nie obsłużyć gościa czy klienta najlepiej, jak potrafimy, to już świadczy o arogancji lub niedbalstwie. A często o jednym i drugim.

- Nie uznaję robienia czegokolwiek połowicznie - powiedziała Lena, stawiając na ladę talerz z różnymi zakąskami. - Jeśli nie umiałabym zrobić dobrego martini, nie zabierałabym się do tego, dopóki bym się tej sztuki nie nauczyła. W przeciwnym razie rozczarowałabym i siebie, i osobę, która na mnie liczy.

- To bardzo słuszne podejście - zauważyła Colleen i spróbowała oliwek. - Jeśli chcemy być szczęśliwi i pracować

owocnie, musimy przestrzegać wysokich standardów. W żadnym wypadku nie wolno zgadzać się na mniej, niż nas stać, jeśli nie chcemy zawieść tych, którzy są dla nas ważni.

- Dla kogoś, kto się dla mnie liczy - a jestem bardzo ostrożna w wyborze - chcę wszystkiego, co najlepsze. Choćby on sam zgodził się na mniej, ja - nigdy!

Patrick pochylił się i z bliska przyglądał się martini w szklance Colleen.

- Co ty wyrabiasz? - spytała go zirytowanym głosem.

- Usiłuję dojrzeć, co takiego jest w twoim martini, czego nie ma w moim... - zażartował. Lena się roześmiała i od razu poczuła się mniej spięta.

- Declan jest bardzo podobny do pana, ale oczy ma takie jak pani. Przebija wzrokiem na wylot, nawet jeśli wołałabym, żeby tak na mnie nie patrzył. On państwa kocha do szaleństwa i to o czymś świadczy. A teraz pozwólcie państwo, że coś wam opowiem o sobie.

Przysunęła się nieco bliżej.

- Pochodzę z prostej rodziny, porządnej, ale prostej. Moja matka jest do niczego i tyle mi sprawia kłopotów i przykrości, że wołałabym o niej nie mówić. Ale mój dziadek był dobrym i uczciwym człowiekiem, a babcia jest nie tylko dobra, ale - powiedziałabym - lepsza od większości nas. Jeśli zaś chodzi o mnie i mój bar, to prowadzę go dlatego, że to lubię, i wiem, że dobrze to robię. Wolę nie tracić czasu na rzeczy, których robić nie lubię.

Założyła włosy za uszy i patrzyła Colleen prosto w oczy.

- Jestem samolubna i uparta, ale nie widzę w tym nic złego. Nie zależy mi na pieniądzech Declana ani na waszych, więc tego problemu nie poruszę. Declan jest najlepszym mężczyzną, jakiego dotąd spotkałam, i uważam, że na niego nie zasługuję. Nie jestem dość dobra dla niego. Mówię to z pełnym przekonaniem; dla każdego innego mężczyzny byłabym wystarczająco dobra, ale nie dla Declana. On jest inny... Z pozoru jest człowiekiem bardzo przyjacielskim, ale w rzeczywistości jest bardziej uparty niż ja. Przyznaję, że nie wiem, jak mam z nim postępować: jeszcze tego do końca nie przemyślałam. Kiedy się z tym uporam, Declan będzie pierwszy, który się o mojej decyzji dowie. I mam nadzieję, że państwa o tym powiadomi.

Lena przez cały czas nieświadomie bawiła się kluczykiem, który nosiła na łańcuszku na szyi.

- Czy państwu jeszcze coś podać? Może jeszcze drinka?

- Nie, dziękujemy. Delektujemy się tym, co mamy - odpowiedziała Colleen.

- Proszę mi wybaczyć, ale teraz odejdę na chwilę, bo widzę, że muszę przyjąć zamówienie. - I przeniosła się w dół baru, gdzie czekała na nią kelnerka z pustą tacą.

- No i jak? - spytał Patrick. - Zdaje mi się, że ona nieźle cię usadziła.

Ale Colleen poczuła się w pełni usatysfakcjonowana i pociągając jeszcze jeden łyk martini, stwierdziła:

- Uważam, że ta dziewczyna się nadaje.

- Wcale nie jestem zdenerwowany - przekonywał Remy. Błady i stremowany stał przed Declanem, który usiłował włożyć mu do butonierki w kłapie smokingu stroik złożony z kilku gałązek konwalii.

- Jeśli to powtórzysz jeszcze z tuzin razy, w końcu sam w to uwierzysz. Nie ruszaj się, do diabła!

- Nie ruszam się!

- A jakże... Jeśli nie brać pod uwagę małego ataku apopleksji, który właśnie przechodzisz, to rzeczywiście stoisz jak skała.

- Chcę się ożenić z Effie. Chcę przeżyć z nią całe życie. Na ten dzień oboje czekaliśmy długie miesiące...

- To prawda - potwierdził Declan poważnym tonem. - Dzisiejszy dzień można nazwać pierwszym dniem reszty twojego życia.

- Wiesz, Dec? Trochę mi niedobrze...

- Teraz za późno na wymiotowanie - orzekł pogodnie Declan. - Jest już po dogrywce. Czy mam poprosić twego ojca? Chcesz, żeby tu przyszedł?

- Nie! Ma pewnie pełne ręce roboty przy mamie. Ilu gości przyszło, jak myślisz?

- Gdy ostatnio sprawdzałem, to było z dwieście osób. I wciąż przychodzą nowi.

- Jezu! Jezu! Trzeba było porwać Effie i uciec. Nie wiem, jak można wobec setek ludzi na zawsze zmieniać swoje życie.

- Myślę, że to jest zgodne z tradycją, a u jej źródeł tkwi obawa, żeby pan młody nie uciekł sprzed ołtarza. Gdyby spróbował, ci wszyscy ludzie puściliby się za nim w pogoń niczym żadna linczu tłuszcza.

- Zapewniam cię, że tym mnie przekonałeś i podzielałeś bardzo uspokajająco. Ale pomógłbyś mi jeszcze bardziej, gdybyś mi się postarał o kapkę whisky.

Declan podszedł do kredensu i wyjął butelkę.

- Przewidziałem, że przyda ci się łyżeczka czegoś mocniejszego. - Wyjął jeszcze puszkę altoids. - Cukierki też ci się przydadzą. Nie chcesz chyba chuchnąć whisky na pannę młodą, bo wtedy ona gotowa jeszcze uciec sprzed ołtarza.

Już zaczął nalewać whisky, kiedy po symbolicznym zapukaniu drzwi się otworzyły i do pokoju wmaszerowała Colleen. Declan szybko ukrył butelkę i kieliszek za plecami.

- Cześć, chłopcy! Ależ przystojnie wyglądacie! Uważaj, Dec! Nie dawaj mu więcej niż jeden łyk whisky, którą trzymasz za plecami, i dopilnuj, by potem przepłukał usta miętowym płynem.

- Mam miętowe cukierki Altoids.

- To dobrze! - Uśmiechając się, podeszła bliżej i zajęła się poprawianiem Remy'emu krawatu. - Jesteś zdenerwowany, bo jest to najważniejszy dzień w życiu. Byłoby z tobą coś nie w porządku, gdyby w takiej chwili nie ponosiły cię nerwy. Ale gwarantuję ci, że wszystko minie w chwili, gdy zobaczysz Effie. Ona wygląda przepięknie... - Colleen wzięła twarz Remy'ego w obie dłonie. - Jestem z ciebie dumna - powiedziała.

- A ze mnie nie? - upomniał się Declan. - Przecież pomyślałem o altoids.

- Dojdę i do ciebie. Ale ty, Remy, pamiętaj, że żenisz się z kobietą, którą kochasz - Colleen kontynuowała swoje przedślubne kazanie - że jesteś otoczony przyjaciółmi i rodziną, która kocha was oboje, i że dziś będzie twój piękny dzień. W dodatku twój przyjaciel, Declan, jakby brat z wyboru serca, zadbał o to, żeby wasz ślub miał wspaniałą oprawę. Teraz wypij łyk whisky, weź głęboki oddech, a potem tyłek w troki i marsz do ołtarza!

- Tak, proszę, pani! - wydukał Remy. - Ja panią po prostu uwielbiam, pani Colleen.

- Wiem o tym. Ja też ciebie kocham, ale ani myślę całować, bo zasmarowałabym cię swoją pomadką do ust. Teraz twoja kolej, Declan! Ostrzegam cię! Masz mu dać tylko jeden łyk whisky. Jeśli ten chłopiec przyjdzie do ślubu choćby tylko lekko podchmielony, odpowiesz mi za to!

Wkrótce Declan miał okazję się przekonać, że matka jak zwykle miała rację. Kiedy stał obok Remy'ego i Effie cała w bieli weszła na taras, Declan zauważył, że przyjaciel już przestał się denerwować, twarz mu się rozjaśniła błogim uśmiechem, i usłyszał jego cichy szept:

- To jest moja dziewczyna.

Wtedy Declan powędrował spojrzeniem ponad ludźmi i napotkał wzrok Leny. A ty jesteś moją dziewczyną - pomyślał. Wkrótce my się też pobierzemy.

Stojąc w wiosennym ogrodzie, Declan patrzył na szczęśliwego przyjaciela, a potem na stary biały dom odcinający się od zielonej murawy.

Gdy się państwo młodzi pocałowali i ogłoszono ich mężem i żoną, zewsząd rozległy się okrzyki radości, gratulacje i wiwaty. Declanowi wydały się swobodniejsze i zarazem bardziej uroczyste od wyrazów aplauzu, do jakich był przyzwyczajony w Bostonie, i poczuł, że same usta rozszerzają mu się w uśmiechu niemal tak szerokim jak Remy'ego.

Popłynęły dźwięki muzyki. Odezwały się skrzypce, tary pralnicze i akordeony. Kiedy fotograf ograniczył się do robienia zdjęć państwu młodym, Declan zrozumiał, że jego rola jest skończona, poczuł się zwolniony z obowiązków i zaczął sobie torować drogę do Leny, przebijając się przez morze ludzi.

Lena ubrała się na tę okazję na czerwono. W sukni w kolorze maku miała obnażone plecy, przykryte jedynie siatką intrygujących wąskich pasków. Przód sukni tuż nad sercem zdobила broszka ze złotymi skrzydłami, z której zwisał zegarek; ten sam, który Lucian ofiarował kiedyś Abigail.

- Zastanawiałem się, czy ją kiedykolwiek przypniesz - wyznał Declan.

- Chowam ją na specjalne okazje, a dziś jest taka właśnie.

To był piękny ślub, Declan. A ty świetnie się spisałeś, oddając młodym swój dom na tę uroczystość. Potrafisz być dobrym przyjacielem.

- Mam wiele zalet, dzięki czemu możesz się uważać za szczęściarę. Bardzo mi ciebie brakowało przez ostatnie dni.

- Oboje byliśmy zajęci...

- Tak. I chciałbym, żebyś ze mną została tej nocy. - Wziął ją za rękę i z jej oczu wyczytał, że nie ma na to wielkiej ochoty i szuka wymówki, powtórzył więc prośbę: - Angelino, zostań u mnie na noc.

- Może zostanę, ale teraz jest tu mnóstwo ludzi, z którymi powinieneś porozmawiać.

- Na szczęście widzę, że oni rozmawiają ze sobą. A gdzie jest panna Odette?

Lena zmarszczyła brwi.

- Twoja matka gdzieś ją porwała.

- Chcesz, żebym je znalazł i oswobodził pannę Odette?

Dumnie się wyprostowała i sztywnym głosem powiedziała:

- Moja babcia zawsze i wszędzie potrafi sama sobie poradzić, nie tylko z twoją mamą.

- Ach, tak! - Rozbawiony Declan postanowił się z nią trochę podroczyć.

- Gdyby się miały pobić, ja stawiam na Colleen. Ma świetny lewy sierpowy. A może weźmiemy szampana i spróbujemy je znaleźć? Zobaczymy, w którym kącie się zaszyły.

- Jeśli twoja mama zrani uczucia mojej babci...

- Moja mama nigdy by czegoś takiego nie zrobiła. - Declan nie był już rozbawiony. - Za kogo ty ją uważasz, Leno? - I lekko potrząsnął nią za ramiona. - Jeśli mama gdzieś poszła z panną Odette, to dlatego, że chce ją bliżej poznać.

- Myślę, że w tym samym celu zaciągnęła twego tatę do mego domu... Zrobiła to także po to, by lepiej mnie poznać.

- Byli u ciebie w domu?

- Tylko w barze. - Wściekła na siebie za to, że jest zła, Lena sięgnęła po kieliszek szampana. - Twoja mama przyszła sprawdzić, jak wygląda mój bar, i przy okazji chciała i mnie przeegzaminować. No i napatrzyła się do syta, a także wypła bardzo dobre martini. Myślę też, że ją przy tej sposobności nieźle osadziłam...

- Co to, u diabła, ma znaczyć?
- Nic, tylko tyle, że powiedziałam jej, co miałam do powiedzenia, i teraz świetnie się rozumiemy. To wszystko...
- Dlaczego i mnie tego nie powiesz, żebym się też świetnie z tobą rozumiał?
- Bo czas i miejsce nie po temu - odparła.
- Poszukajmy zatem odpowiedniego miejsca i znajdziemy sobie na to czas.

Usłyszała w jego głosie gniew i najpierw wzruszyła ramionami, ale po chwili uśmiechnęła się i przejechała mu palcem po policzku.

- Niepotrzebnie się złościysz, *cher*, jesteśmy przecież na ślubnym przyjęciu. Możemy się kłócić, ale nie dzisiaj; przełożmy walkę na kiedy indziej.

- Dobrze, Powrócimy do niej później. - Wziął ją pod brodę. - Nie rozumiem, kogo właściwie chcesz oszukać, Leno: mnie, moją rodzinę czy siebie samą? Daj mi znać, gdy będziesz znała odpowiedź. - Pochylił się i musnął wargami jej usta. - Do zobaczenia!

Przyjęcie przeniosło się do sali balowej, skąd tłum nieustannie wylewał się na tarasy i trawniki. Po raz pierwszy od wielu dziesiątków lat ten dom znowu tętnił życiem, muzyką i śmiechem. Dzieci goniły się po ogrodzie, niemowlaki płały, a flirtujące pary i rozgadani, plotkujący przyjaciele zajęli wielką salę albo odpoczywali w cieniu białych parasoli przy stolikach rozstawionych w ogrodzie, lub też porzadzali się na tarasie.

Declan pragnął w duchu, by jego dom zaabsorbował całą tę pozytywną energię i by dotarła ona nawet do tych pokoi, które pozostały ciemne i zamknięte na klucz.

- Declan? - Effie położyła mu rękę na ramieniu. - Chciałabym z tobą zatańczyć.

- Ze mną? Czyżby ktoś zabił Remy'ego? Bo chyba tylko wtedy pozwoliłby ci na krok odejść od siebie. - Weszli na parkiet. Declan pocałował ją w rękę, objął ramionami i puścili się w tany. - Nie myśl, że go potępiam. Jeśli się ma najpiękniejszą kobietę, to trzeba ją trzymać blisko siebie.

- Ach, Declanie! - przyłożyła policzek do jego twarzy. -

Gdybym nie była tak szaleńczo zakochana w swoim mężu, usilnie starałabym się zdobyć ciebie.

- Daj mi znać, jeśli się kiedykolwiek zmęczysz Remym.

- Chciałabym podziękować ci za wszystko, co zrobiłeś, żeby uświetnić ten wspaniały dzień. Wiem, że przez ostatnie tygodnie mama, siostra i ja doprowadzałyśmy cię do szału.

- Ale to trwało krótko, zaledwie dwa tygodnie. Ukrywałem się wtedy w zakamarkach, aby żadna z was nie mogła mnie znaleźć. Myślę, że gra warta była świeczki.

- Jestem taka szczęśliwa i kocham cię. Dziś kocham każdego... - oznajmiła ze śmiechem - każdego na świecie. Ale tuż po Remym najbardziej ze wszystkich kocham ciebie i chcę, żebyś był szczęśliwy.

- Jestem.

- Nie dość... - Przybliżyła usta do jego ucha. - Słuchaj, Declanie! W tym domu jest coś, z czym jeszcze nie skończyłaś. Nie sądziłam, że będę wierzyć w tego rodzaju rzeczy, jednak... czuję to. Czuję to, gdziekolwiek jestem. Nawet dzisiaj.

Widział, jak wstrząsa nią dreszcz, i próbował rozetrzeć jej plecy, żeby się uspokoiła.

- Dzisiaj nie powinnaś o tym myśleć. W takim dniu nie wolno ci się niczym martwić.

- A jednak martwię się o ciebie. Jest coś... co nie zostało doprowadzone do końca. I ja częściowo ponoszę za to winę.

- Ty? - Przestał masować jej plecy, by popatrzeć jej w twarz. - Co masz na myśli?

- Sama chciałam to wiedzieć, ale wiem, co czuję... Chodzi o to, co zrobiłam lub czego nie zrobiłam. Może to, co mówię, nie ma najmniejszego sensu, ale mam poczucie, że sprawiłam ci zawód, że nie było mnie tu, kiedy mnie najbardziej potrzebowałeś. Boję się, że jeśli się tego wszystkiego nie naprawi, znowu może się coś złego wydarzyć. A więc, choć to brzmi strasznie głupio, chcę cię przeprosić i powiedzieć, że jest mi przykro, bardzo przykro, że cię zawiodłam, bez względu na to, w jaki sposób do tego doszło.

- W porządku. - Pocałował ją w czoło. - Przecież nie mogłaś wiedzieć. Cokolwiek to było, jeśli w ogóle było, ty o tym nie wiedziałaś. I, kochanie, w dzisiejszym dniu nie powinno się

patrzeć w przeszłość. Dziś masz myśleć tylko o dniu jutrzejszym, o tym, co cię czeka.

- Masz rację... ale... bądź ostrożny. - W tym momencie podszedł do nich Remy i udawał, że zadaje Declanowi gwałtowny cios.

- Nie zapominaj, że ta, którą obściskujesz, to moja żona, *cher*. Lepiej zrobisz, gdy pójdziesz do swojej dziewczyny.

- Dobry pomysł!

Lenę znalazł otoczoną gromadką ludzi. Czerwień jej sukni jaśniała niby ognisty płomień przy śniadej cerze. Wyobrażał sobie, jak zareaguje na jej widok. Czuł to wystarczająco wyraźnie. Kiedy do niej podszedł, w jej oczach pojawił się tajemniczy wyraz kryjący jakąś kobiecą intuicję, ale on się odwrócił i wyciągnął dłoń do jej babci.

- Czy zatańczy pani ze mną, panno Odette? - spytał.

- Nie odmawiam tańca przystojnym mężczyznom - odparła.

- Wspaniale pani wygląda - pochwalił, kiedy weszli na parkiet.

- Na weselach zawsze czuję się młodo. A wiesz, miałam bardzo przyjemną rozmowę z twoją mamą.

- Tak?

- Dziwisz się? - spytała, chichocząc. - Powiem ci, że doskonale się ze sobą rozumiemy. Była zadowolona, gdy jej powiedziała, że od razu po pierwszym z tobą spotkaniu poznałam, że jesteś bardzo dobrze wychowany. Zrewanżowała mi się podobnym komplementem, mówiąc to samo o mojej Lenie. Potem rozmawialiśmy o rzeczach, o jakich zwykle kobiety rozmawiają na ślubach. Nie będę ci tego powtarzała, bo pewnie byś się znudził. Tylko jedno ci zdradzę: obie się zgodziłyśmy, że jesteś niezwykle przystojnym młodym człowiekiem. A przystojni młodzi mężczyźni powinni wynajdywać powody, by móc się częściej pokazywać w smokingach.

- Wystarczyłoby zostać *maitre d'hotel*. Ale oni otrzymują lepsze napiwki, gdy mają snobistyczny akcent, a ja nie jestem pewien, czy potrafiłbym się na coś takiego zdobyć.

- Będę więc musiała poczekać na twoje wesele, żeby znowu cię ujrzeć tak pięknie wystrojonego.

- Chyba tak. - Spoglądał ponad jej głowę, wypatrując Leny, ale ta gdzieś się oddaliła. - Przyzna pani, że przyjęcie

ślubne bardzo nam się udało. Co prawda wpadłem w lekką panikę, że burza ostatniej nocy może nam pomieszać szyki...

- Burza? Kochanie! Ostatniej nocy nie było żadnej burzy.

- Oczywiście, że była. Jedna, ale okropna. Niech mi pani nie mówi, że ją przespała.

- Nie spałam. Byłam na nogach do północy, bo musiałam wykończyć dół sukni. Drugi raz wstałam około czwartej, kiedy Rufus dał do zrozumienia, że musi wyjść na dwór. - Mówiąc to, przez cały czas go obserwowałam. - Widziałam, że u ciebie wszędzie palą się światła. Zastanawiałam się nawet, co robisz o tak późnej porze. Ale zapewniam cię, że noc była czysta jak lza.

- A więc widocznie śniła mi się burza. Byłem zmęczony przygotowaniem do ślubu. - Na pewno nie wstawał o czwartej. Jeśli dobrze pamiętał, w ogóle nie wstawał po północy; wcześniej przeszedł się po całym domu, żeby przed pójściem do łóżka pogasić wszystkie światła. To był sen - pomyślał. Śnił mu się wiatr, deszcz i błyskawice; żółte płomienie ognia w kominku; ból, pot, pragnienie i krew; kobiece ręce, kobiece głosy... Może to był głos Effie? Brzmiał uspokajająco, dodawał mu odwagi.

Wszystko sobie teraz przypomniał i widział tak jasno, że stanął jak wryty pośrodku parkietu.

Przecież miał dziecko. Odbywał poród.

- Co z tobą, Declanie? Wyjdźmy stąd! - Odette delikatnie wyprowadziła go na zewnątrz. - Potrzebujesz świeżego powietrza.

- Tak. Kobiety z Południa łatwo mdleją, prawda?

- Co to znaczy?

- Mniejsza z tym. - Był potwornie speszony i przestraszony tym, co się z nim działo w czasie tego snu czy, jak przypuszczał, w czasie przypominania sobie własnych przeżyć w innym wcieleniu.

- Proszę wrócić na salę, bo ja muszę się trochę przejść, przewietrzyć głowę i pozbyć się pewnych myśli.

- Coś ci się przypomniało?

- Tak, pewien cud - mruknął. - Muszę kupić mojej mamie jakiś naprawdę piękny prezent. Do diabła! Nie wiem, jak wy, kobiety, jesteście w stanie przejść przez coś takiego choćby tylko jeden raz, a moja mama przeżyła to cztery razy. Zadzi-

wiające! - rzekł i ruszył w stronę schodów. - Cholernie zadziwiające...

Długo spacerował dookoła domu. Potem wszedł do środka, aby napić się wody. Napenił wysoką szklankę wodą z lodem, by przełknąć trzy tabletki szczególnie mocnej aspiryny. Miał nadzieję, że zlikwiduje ona straszliwy ból głowy, który chwycił go w chwili, gdy przypomniał sobie sen z zeszłej nocy. Poszedł do swego pokoju. Słyszał tu muzykę z sali balowej i czuł, jak wibruje sufit pod ciężarem dziesiątków tańczących par. Powinien wrócić na salę i zająć się obowiązkami drużby i pana domu. Ale pragnął tylko jednego: paść twarzą na łóżko, zamknąć oczy i pograć się w niepamięci.

- Declanie! - Lena weszła do sypialni z tarasu i zamknęła drzwi. - Co się z tobą dzieje?

- Nic! Strasznie boli mnie głowa.

- Nie było cię prawie godzinę. Ludzie się o ciebie dopytują.

- Już idę - powiedział, ale dalej siedział na łóżku. - Za chwilę!

Podeszła do niego.

- Tak bardzo cię boli?

- Nieraz bywało gorzej.

- Dlaczego się nie położysz na chwilę?

- Nie będę się pakował do łóżka w dzień ślubu najlepszego przyjaciela... Chyba że zechcesz dotrzymać mi towarzystwa.

- To jest kuszące. Ilekroć widzę mężczyznę w smokingu, zawsze mam ochotę go z niego rozebrać.

- U *maitre d'hotel* masz pewnie ogromne wzięcie?

- Skoro tak głupio dowcipkujesz, to chyba czujesz się już lepiej.

- Biorąc pod uwagę fakt, że jakieś dwadzieścia cztery godziny temu odbywałem poród, to muszę przyznać, że czuję się znakomicie.

- Przyznaj się, kochanie! Ile drinków dziś wieczór wypijeś?

- Na pewno znacznie mniej, niż teraz chciałbym wypić. Pamiętasz swoją hipotezę, że to ja jestem Abigail Manet? Otóż dochodzę do wniosku, że masz rację. Wyobraź sobie, śniło mi się, że byłem w tym pokoju na dole i leżałem w łóżku, którego tam nie ma. I to nie Abigail oglądałem na tym łóżku, cierpiącą bóle w ostatniej fazie porodu. To ja rodziłem. Doświadczyłem

tego sam, osobiście. I powiem ci, że to nie jest takie proste, jak na przykład spacer po plaży. Teraz każdą kobietę, która podczas porodu nie chce stosować mocnych środków uśmierzających ból, uważam za wariatkę. Poród jest znacznie gorszy od wszystkiego, co przypuszczamy, że stosowano w owym interesującym okresie, kiedy działała hiszpańska inkwizycja.

- Śniło ci się, że jesteś Abigail, i ty...

- To nie był sen, Leno. Znajdowałem się tu, w tym pokoju, kiedy przydarzył mi się ten omam czy przebłysk halucynacji, czy jak to nazwać. Pamiętam burzę, jej odgłosy. Pamiętam, jaki byłem przerażony i jak bardzo skupiony na wydaniu na świat tego dziecka.

Zamilkł i w myśli powtórzył sobie, co przed chwilą powiedział.

- Boże, to musi brzmieć bardzo osobliwie...

- Tak! Tak właśnie brzmi. - Usiadła obok niego.

- Słyszałem głosy kobiet, które mi pomagały przy porodzie. Nawet teraz widzę ich twarze, szczególnie jednej młodej kobiety. Była mniej więcej w moim wieku, w wieku Abigail. Czuję pot, jaki mi spływał po twarzy, i to niebywałe zmęczenie... A potem szczególne doznanie, szczyt tego wszystkiego, moment, w którym poczułem się jakby rozdarty, rozerwany... Parłem z całych sił i nagle ulga, odurzenie i ten cholerny cud, że wydałem na świat nowe życie. I wreszcie przypływ ogromnej dumy i miłości, kiedy niewiasty włożyły mi ten cud w ramiona.

Patrzył na swoje ręce, a Lena nie spuszczała z niego wzroku.

- Widzę to dziecko, Leno, jak na dłoni. Widzę ją całą czerwona, pomarszczoną i złościącą się. Ma ciemnoniebieskie oczy, ciemne włosy. Usta jak pączek róży. Delikatne, drobne paluszki. Jest ich dziesięć - pomyślałem - i są doskonałe. Moja wspinała Rose.

Teraz spojrzął na Lenę.

- Marie Rose, twoja praprababka. Marie Rose - powtórzył. - Nasza córka.

Ich córka. Lena nie mogła przestać o tym myśleć i w głębi duszy bardzo nad tym bolała. Ale ani nie mogła, ani nie chciała o tym mówić, w każdym razie nie teraz, z tak ciężką głową i smutkiem w sercu.

Postanowiła wmieszać się w tłum, rzucić się w wir zabawy, muzyki i śmiechu. Chcę żyć terazniejszością, myślała, bo liczy się tylko to, co teraz. Żyła i cieszyła się, że należy do świata żywych; czuła ciepły powiew wieczornego powietrza, nad nią lśniła księżycowa poświata, a wokół niej unosiły się upajające zapachy kwiatów i ogrodów: róż, werbeny, heliotropu i jaśminu.

Jej ulubionym kwiatem były lilie. Zawsze miała je w swoim pokoju. I wtedy, gdy mieszkała w pomieszczeniach dla służby, i potem w sypialni, którą dzieliła z Lucianem. Zrywała je w tajemnicy w ogrodzie lub w cieplarni. W pokoju dzieciennym chciała mieć róże; małe różane pączki dla ich najdroższej Marie Rose.

Przestraszyła się tych myśli i wyobrażeń i postanowiła je od siebie odsunąć. Zatrzymała pierwszego z brzegu tancerza i przymiliła się, by z nią zatańczył.

Nie tęskniła za przeszłością; była dla niej skończona; nie tęskniła też do przyszłości: mogła być kapryśna, nawet okrutna. Dla niej liczyła się tylko chwila obecna. Chciała ją dobrze przeżyć i nią się rozkoszować. A nawet nad nią zapanować.

Gdy więc ojciec Declana wziął ją za rękę, uśmiechnęła się najpiękniejszym swoim uśmiechem.

- Jest to szybki akadyjski two-step, z charakterystycznym podwójnym krokiem - ostrzegła. - Czy umiesz go tańczyć?

- Przekonajmy się!

Posuwali się miarowym, kołyszącym krokiem, otoczeni wirującymi parami. Patrick prowadził ją szybkimi, eleganckimi ruchami, a ona nie szczędziła mu uśmiechów ani pochwał.

- Urodzony z ciebie tancerz, Patricku! Czy ty na pewno jesteś Jankesem?

- Tak. Z krwi i kości. Chociaż z domieszką krwi irlandzkiej. Moja matka w młodości świetnie stepowała i jeszcze dziś po kilku piwach chętnie to robi.

- Ile lat ma twoja mama?

- Osiemdziesiąt sześć. - Patrick co chwila zachęcał ją do kręcenia piruetów w obie strony. - Fitzgeraldowie są długowieczni, krzepcy i pełni wigoru. Ale wydaje mi się, Leno, że ciebie coś gnębi.

- Cóż mogłoby mnie niepokoić, gdy tu tak miło i ładnie?

- W tym właśnie sęk... Może napijemy się po kieliszku szampana i powiesz mi, czym się trapisz.

Nie dał jej szansy, by mogła odmówić. Jaki ojciec, taki syn - pomyślała, gdy mocno trzymał jej rękę. Zaprowadził ją do baru, zamówił dwa kieliszki szampana, a potem wyszli na taras.

- Cudowna noc... - stwierdziła, głęboko wciągając powietrze. - Spójrz na ogród! Trudno sobie wyobrazić, jak fatalnie wyglądał jeszcze kilka miesięcy temu. Czy Declan opowiadał ci o Frankach?

- Oczywiście! O Frankach, o Tibaldzie, o Effie i pannie Odette, a także o duchach i o tobie.

- Dec sporo zrobił mimo trudności. - Pociągając szampana, podeszła do balustrady. W dole tańczono na trawnikach, a grupa kobiet siedziała przy jednym z białych stołów, rozstawionych na murawie i oświetlonych bladym światłem księżyca. Niektóre panie trzymały w ramionach malutkie śpiące dzieci; trochę większe drzemały na matczyńskich kolanach.

- Myślę, że Declan nudził się w Bostonie - powiedział Patrick.

Lena, zaintrygowana, spojrzała na niego.

- Nudził się?

- Tak. Był nieszczęśliwy, niespokojny, ale przede wszyst-

kim znudzony. Nudziła go praca, nudziła narzeczona i tryb życia, jaki prowadził. Raz tylko widziałem ożywienie na jego twarzy. To było wtedy, gdy odrestaurował pewien stary dom. Bałem się, że tak już będzie do końca. Że Dec się zmarnuje, bo żeniąc się z niewłaściwą kobietą, pracując w nielubianym zawodzie, będzie żył życiem, które tylko w połowie mogło go satysfakcjonować. Okazuje się jednak, że niepotrzebnie się martwiłem.

Patrick oparł się o balustradę i patrzył przez otwarte drzwi na salę balową.

- Declan ani duszą, ani sercem nigdy nie zaakceptował drogi, którąśmy oboje z matką dla niego wybrali. Początkowo nie chcieliśmy widzieć jego rozczarowania i przez długi czas nie widzieliśmy.

- Dla mnie jest oczywiste, że chcieliście dla niego jak najlepiej, ale nie zawsze to, co najlepsze dla nas, jest najlepsze dla tych, których kochamy.

- Tak. A z drugiej strony Declan ma zakodowaną w swojej naturze chęć dawania z siebie wszystkiego, byle tylko uczynić szczęśliwymi tych, których kocha. Chyba wiesz, Leno, że mój syn ciebie kocha.

Nie odpowiedziała, więc Patrick mówił dalej:

- Uważasz, że Dec jest uparty. Moim zdaniem jest bardziej niż uparty. Kiedy raz postawi sobie coś za cel, gdy przejmie się jakąś ideą, wtedy nic go nie powstrzyma, żadne przeszkody go nie zniechęcą, na nic będą wymówki i protesty... Jeśli go nie kochasz, Leno, jeśli nie chcesz z nim żyć, to go głęboko zrań. Zrób to szybko i potem odejdź!

- Aleja go nie chce zranić. I z tym jest właśnie kłopot...

- Declan długo nie wierzył, że jest zdolny kogokolwiek pokochać. Po zerwaniu z Jessicą powiedział mi, że nie potrafi obudzić w sobie miłości. Ale teraz już wie, że potrafi, i z tego powodu jest bardzo szczęśliwy. To ty wniosłaś tę wielką odmianę w jego życie i teraz musisz albo odwzajemnić jego miłość, albo go porzucić i odejść. Wszystko inne byłoby okrucieństwem, a przecież nie jesteś okrutna.

Sięgnęła do kluczyka na łańcuszku wiszącego na jej szyi i zacisnęła na nim palce. Potem dotknęła broszki ze złotymi skrzydłami, którą przypięła do sukni.

- Dec nie jest mężczyzną, jakiego spodziewałam się spotkać, nie jest tym, na którego czekałam...

Patrick się uśmiechnął, a potem delikatnie poklepał Lenę po ręce.

- Życie jest pełne niespodzianek, czyż nie? A czasem nam się zdarza dostać kopniaka w tyłek. - Pochylił się i pocałował ją w policzek. - Wkrótce się zobaczymy - powiedział i odszedł, zostawiając ją samą.

Przyjęcie trwało jeszcze ponad dwie godziny, mimo że państwo młodzi, pożegnani deszczem konfetti, już odjechali. Declan przewidywał, że przez najbliższe sześć miesięcy będzie znajdował konfetti na trawnikach, na ubraniach, a może nawet w jedzeniu. Muzyka wciąż rozgrzewała namiętności i goście beztrudnie się bawili. Dopiero we wczesnych godzinach rannych, zmęczeni, zaczęli rozchodzić się do samochodów. Niektórych trzeba było zanieść i nie chodziło tu tylko o dzieci...

Declan stał na podeście frontowych schodów i patrzył, jak odjeżdża ostatni gość. Niebo na wschodzie już pobladło, łagodnie przechodząc z ciemności nocy do jasnych kolorów dnia. I w pewnej chwili z nieboskłonu zniknęły gwiazdy. Wstawał dzień.

- Jesteś zmęczony? - spytała Lena, stojąc na tarasie na wyższym piętrze.

- Nie - odparł, patrząc nadal w niebo. - Może powinienem być, ale nie jestem.

- Chyba cały tydzień zejdzie ci na doprowadzeniu domu i otoczenia do porządku.

- Nie sądzę. Pani Generał i jej wojska mają się tu jutro stawić i wszystko posprzątać. Rozkazano mi trzymać się z daleka; to jest rozkaz, którego bez zastrzeżeń posłucham. Miło mi, że jesteś ze mną. Nie sądziłem, że zostaniesz do rana.

- Sama nie wiem, jak to się stało, bo tego nie planowałam.

Odwrócił się i spojrzał na nią. Zauważył, że stoją dokładnie tak jak Romeo i Julia w scenie balkonowej; miał jednak nadzieję, że ich romans skończy się lepiej.

- A więc dlaczego zostałeś?

- Nie potrafię powiedzieć. Nie wiem, co mam z tobą począć, Declanie. Przysięgam Bogu! Po prostu nie wiem... Nigdy

nie miałam kłopotów z mężczyznami. Zawsze ja je stwarzałam - dodała, niepewnie się uśmiechając. - Ty jesteś pierwszym mężczyzną, z którym mam kłopot.

- Bo żaden z tamtych ciebie nie kochał - stwierdził, po czym poszedł do niej na górę.

- To prawda, żaden z nich mnie nie kochał. Pragnęli mnie, pożydali... Jeśli chodzi o pożądanie - sprawa jest łatwa. Nie ma się czym przejmować i można sobie pozwolić na bez troskę. Powiem ci prawdę: czasem, co ja mówię?! - najczęściej, ta bez troska sprawiała mi przyjemność. Bo nie tylko sam seks jest przyjemny, lecz cała otoczka - taniec... gra... Nazwij to, jak chcesz: flirt, zaloty, uwodzenie, a może podrywanie. Co prawda, kiedy muzyka cichnie lub kończy się gra, nieraz zostają nam guzy i siniaki, nikt jednak nie jest ciężko poszkodowany; nie zdarza się, by którakolwiek ze stron odnosiła jakieś poważniejsze rany.

- Ale tego, co jest między nami, nie można nazwać grą...

- Widzę, że już cię zraniłam...

- Nie, Leno! Na razie to tylko guzy i siniaki. - Stał przed nią twarzą w twarz. - Tylko guzy i siniaki - powtórzył.

- Kiedy na mnie patrzysz, kogo widzisz? Kogoś, kto żył w innej epoce? Nie można budować życia na zmarłych!

- Widzę ciebie, i to całkiem wyraźnie, ale dostrzegam w nas obojgu coś jeszcze, coś, czego nie należy ignorować i o czym nie wolno zapomnieć. Sądzę, że zanim podejmiemy dalsze kroki, trzeba to wyjaśnić i uporządkować. - Sięgnął do kieszeni i wyjął zegarek Luciana.

- Już raz ci go ofiarowałem, jakieś sto lat temu. Czas, żebyś go odzyskała.

Jej palce zlodowaciały, gdy pomyślała, że ma wziąć zegarek do ręki.

- Jeśli rzeczywiście tak było, to czy nie wiesz, że wtedy wszystko zakończyło się śmiercią i tragedią? Nie możemy zmienić tego, co się wówczas wydarzyło. Ale nie rozumiem, po co ryzykować, skoro tamte wydarzenia mogą się powtórzyć.

- Musimy podjąć to ryzyko choćby dlatego, że teraz jesteśmy silniejsi. - Otworzył jej dłoń, położył na niej zegarek i zacisnął na nim jej palce. - Jeśli nie naprawimy wyrządzonego kiedyś zła, ta sprawa nigdy się nie zakończy.

- W porządku! Masz rację! - Włożyła zegarek do kieszeni zakietu. Potem zdjęła przypiętą do sukni broszkę z emaliowanym zegarkiem. - Kiedyś dałam ci ten zegarek w prezencie: weź go z powrotem!

Gdy go wziął i trzymał w ręce, duży szafkowy zegar, który kiedyś stał w holu, zaczął wybijać godziny.

- Północ! - stwierdził Declan ze spokojem. - Wybił dwanaście uderzeń. - A kiedy spojrzął na tarczę małego zegarka w swojej dłoni, powtórzył: - Północ! Wskazuje północ! - Pokazał go Lenie. - Popatrz na swój!

Drżącymi palcami wyciągała zegarek.

- Jezu! - westchnęła, widząc, że obie wskazówki pokrywają się i stoją na dwunastce. - Dlaczego?

- Tego właśnie musimy się dowiedzieć - odparł. - Muszę tam wejść. - Spojrzął do góry, na drugie piętro. - Muszę wejść do pokoju dziecinnego. Ta mała... - I wtedy usłyszeli przerażające krzyki dziecka.

- Uciekajmy stąd, Declanie! Siadajmy do samochodu i wyjedźmy stąd! - Ale on już szedł na górę.

- Rossie płacze, jest głodna. Ona mnie potrzebuje. Rodzice Luciana śpią. Zawsze wracam na górę, kiedy go nie ma. Nienawidzę siedzieć po kolacji w salonie z jego rodzicami. Czuję, jak bardzo teściowa mnie nie lubi. - Głos Declana się zmienił. Lena uświadomiła to sobie, idąc za nim. W jego głosie słychać było wyraźny akadyjski przyśpiew.

- Declanie!-krzyknęła.

- Claudine chodzi z nią na spacer - mówił dalej - i przebiera ją, ale moja śliczna córeczka potrzebuje mamy. Nie lubię trzymać jej na drugim piętrze - tłumaczył, biegnąc korytarzem. - Cóż, kiedy pani Josephine musi zawsze postawić na swoim... Chociaż, nie, nie zawsze - poprawił się i teraz w jego głosie pobrzmiwał śmiech. - Gdyby jej się zawsze udawało postawić na swoim, byłabym dziś przynętą dla aligatorów, a nie żoną Luciana. Mój mąż już jutro wraca. Tak mi go brakuje...

Kiedy Declan zaczął wchodzić na drugie piętro, jego kroki stały się wolniejsze, a oddech przyśpieszony.

- Muszę tam wejść! - oświadczył już własnym, wyraźnie podenerwowanym głosem. - Muszę wejść do środka i to zobaczyć.

- Wejdziemy tam razem - zebrawszy się na odwagę, powiedziała Lena i wzięła go za rękę.

Był rozdygotany. Przenikające zimno wżerało się w kości. Nudności, jakie odczuwał w dołku, teraz podeszły mu aż do gardła. Walcząc z nimi, otworzył drzwi do dzieciennego pokoju. Potknął się i choć Lena usiłowała go utrzymać, padł na kolana.

- Przyszedł Julian. Jest pijany. Nie chciałam, żeby wszedł na górę, ale on nie odejdzie. Wszyscy uważają, że wygląda tak jak Lucian, jednak oni nie widzieli jego oczu. Spróbuję go zmusić, żeby odszedł, by nie podchodził do mego dziecka. Szkoda, że Claudine wyszła na spotkanie z Jasperem. Nie lubię być na górze sama z Julianem. Przeraza mnie, ale nie chciałam, żeby to po mnie poznał.

Oczy Declana stały się szkliste, pociemniałe; jego twarz zrobiła się blada jak śmierć.

- Declanie! O Boże! Declanie, oprzytomnij! - Lena mocno ścisnęła jego dłoń, aż poczuła, że kość ociera się o kość.

- Kiedy się na mnie rzuci, ucieknę - mówił zduszonym głosem, prawie bez tchu. Wciąż klęczał: smukły, wysoki, z rozjaśnionymi od słońca włosami; ciągle jeszcze miał na sobie smoking i luźno związany krawat. Mężczyzna, w którym ożyły wspomnienia dawno zmarłej kobiety... Jej lęki burzyły mu spokój.

- Nie mogę uciec. Nie zostawię dziecka. Wezmę pogrzebacz wiszący obok kominka i jeśli będę musiała, zabiję go. Zabiję, gdy dotknie mnie lub mojego dziecka. O Boże! Boże! Boże!

Czując, że kolana się pod nią uginają, Lena przysiadła na podłodze obok Declana i otoczyła go ramionami.

- Julian jest silniejszy ode mnie. Wołam i wołam, ale nikt nie przychodzi na ratunek. On jest pijany i szalony. Powalił mnie na podłogę, zrywa ze mnie nocną koszulę. Nie mogę uciec! Moja córka płacze, lecz nie mogę do niej podejść. Nie potrafię go powstrzymać!

- Och! - Lena, straszliwie roztrzęsiona, usiłowała pohamować Declana, wstrząsnąć nim. -Nie! Nie! Nie! - krzyczała.

- On mnie gwałci! - Ogień palił mu wnętrze. Ogarnął go strach. - O Boże! Jaki strach. Wzywam pomocy. Wołam ciebie, Lucianie, ale ciebie tu nie ma. - Mówił głosem przepęnlonym łzami. - Potrzebuję cię, a ty nie przychodzisz...

- Przestań, Declanie! Przestań już! - To wszystko, co Lena mogła wypowiedzieć, mocno się do niego przytulając.

- Julian zadaje mi ból, ale z nim walczę. Próbuję go powstrzymać i nie daję rady. Tak się boję! On mnie przeraża, jestem przekonana, że nie robi tego, bo mnie pragnie, tylko z nienawiści do ciebie.

Odwrócił głowę i utkwiał w Lenie szare, wzburzone gniewem oczy.

- Julian cię nienawidzi! A że należę do ciebie, chce mnie zniszczyć, tak jak niszczył twoje zabawki, kiedy byliście dziećmi. Błagam go, żeby przestał, lecz bez skutku. On chce mnie powstrzymać od krzyku, ale nie mogę przestać... nie mogę; chwytam mnie za szyję, obejmuje dłońmi i ściska z całych sił...

Declan zgiął się wpół pod wpływem potwornego ucisku, straszliwego braku powietrza.

- Brak mi tchu! Nie mam czym oddychać! Moje dziecko płacze, a ja nie mogę oddychać. On mnie dusi... zabija... dziecko płacze w kołysce. Nasze dziecko płacze... a on wciąż jest we mnie! Łamię mnie jak zabawkę należącą do brata...

Declan uniósł głowę i patrzył na Lenę. Kiedy mówił, w jego głosie było tyle żalu, że dziwiła się, iż oboje jeszcze nie umarli.

- Nie przyszedłeś... Wzywałam cię, ale nie przyszedłeś...

- Przepraszam cię! Tak mi przykro...

- Przyszła Josephine... - Declan wstał, lekko się zataczając. - Zobaczyła, co Julian ze mną zrobił. Patrzyła na mnie, jakbym była śmieciem, który trzeba sprzątnąć, zanim nadejdą sąsiedzi.

Oczy Declana były teraz suche. Zmrużył je, gdy na pierwszym piętrze z hukiem zatrzęsły się drzwi.

- To był jej dom i jej synowie, a ja byłem dziewczyną z bagien, która ośmieliła się przekroczyć próg jej domu, wejść na należące do niej terytorium. Widziałam, jakim wzrokiem na mnie patrzy. Widziałam, jakby to była senna mara, że każe mu wynieść mnie z pokoju i znieść na dół do sypialni. Ona w tym czasie zmyła krew, usunęła ślady wosku ze stopionej świecy i stłuczoną porcelanę. Julian zaniósł moje ciało na ganek, a ja obserwowałam Josephine. Ona podeszła do mojej słodkiej córeczki, zastanawiała się, czy nie byłoby lepiej po prostu dziecko udusić. Wierzę, że gdyby spróbowała, miałabym jeszcze dość energii, by uderzyć w nią błyskawicą i gromem. Jose-

phine myślała, że jestem słaba, ale się myliła. Mogli mnie zabić, ale to nie znaczy, że się mnie pozbyli.

- Declanie! Wystarczy tego!

- Nie! Jeszcze nie! - Zszedł na dół, potem przez hol skierował się do sypialni Abigail i otworzył drzwi. - Położył mnie na tym łóżku i płakał, ale nie nade mną, tylko nad sobą. Bał się, co się z nim stanie. Zgwałcił mnie i zabił, ale myślał tylko o sobie. I wciąż myśli... Ponieważ on nadal przebywa w tym domu. Są tu oboje: on i Josephine. Chodzą po pokojach, po tym swoim piekle, i czekają...

Declan podszedł do ściany, przy której kiedyś stała szafa, i zrobił ruch, jakby ją otwierał.

- Zabrali niektóre moje suknie. Także tę balową. Byłam z niej taka dumna... Dla ciebie chciałam ją nosić i pięknie w niej wyglądać, żebyś był ze mnie dumny. Josephine upuściła na podłogę moją broszkę z zegarkiem, ale tego nic zauważyła. Kazała Julianowi zawinąć moje ciało w pelerynę, po czym wynieśli mnie razem z walizką pełną moich rzeczy. Wzięli ze sobą stare kamienie brukowe, bo uważali, że są dobre na balast. Noc była księżycowa i chłodna, a im ogromnie ciążyło niesione brzemie. Julian dostał torsji, ale matka nie tolerowała takich zachowań. Choć z trudem, jednak posuwali się naprzód. Uknuli podły plan: będą rozpowiadać, że uciekłam z innym mężczyzną, rzekomym ojcem mojego dziecka; że Marie Rose to bękart, a tobie chytrze wmówiłam, że jest twoja. Potem położyli na mnie kamienie, owinęli peleryną, obwiązali grubym sznurem i wepchnęli w bagno. Czy ty im uwierzyłeś? - spytał, patrząc na Lenę.

- Nie! - rozplakała się. Płakała nad nim, nad Abigail, nad sobą samą i nad Lucianem. - Nie!

- Początkowo nie dałeś im wiary. Martwiłeś się o mnie, szukałeś mnie i płakałeś. Próbowałam do ciebie dotrzeć, ale mi nie pozwoliłeś, bo już zacząłeś wierzyć w ich kłamstwa... A ja ciebie kochałam, Lucianie! Kochałam całym sercem, duszą i ciałem. Umarłam za ciebie!

- Nie mogłem zapobiec temu, co się z tobą stało. Nie było mnie tu.

- Tak, nie było ciebie tamtej nocy. Ale tak naprawdę nie było cię nigdy ani dla mnie, ani dla naszego dziecka. Nie dotrzy-

małeś przyrzeczenia i złamałeś przysięgę, którą mi złożyłeś przy tym łóżku wtedy, kiedy urodziła się nasza córka. To nas zgubiło bardziej niż śmierć.

- W jaki sposób złamałem przyrzeczenie?

- Obiecałeś kochać dziecko i zawsze o nie dbać. Ja byłem ci wierna aż do końca, Lucianie! Musisz to wiedzieć.

- Wiem! - Lena zamknęła w dłoni zegarek i uświadomiła sobie, jak wielki ciężar, ból i żal leżały mu na sumieniu.

- Jak mogłeś zostawić ją samą? Jak mogłeś się od niej odwrócić? Byłeś wszystkim, co miała. I przecież mi przysiągłeś..

- Nie wiem. Byłem słaby. Nie jestem ani tak odważny, ani tak lojalny jak ty. Myślę, że może ty byłaś moją siłą, moim sumieniem, a kiedy odeszłaś, straciłem grunt pod nogami i nie było już niczego, na czym mógłbym się oprzeć.

- Miałeś Marie Rose...

- Chyba ciebie kochałem zbyt mocno, a ją za słabo. Wybacz mi! I to, co zrobiłem, i czego nie zrobiłem, co zaniechałem. Nie mogę cofnąć czasu ani naprawić zła. - Lena wyjęła zegarek i trzymała na dłoni. - Wszystkie rzeczy mają swój czas i na zmianę tego, co było, jest już za późno. Gdybym mógł to naprawić, nigdy bym ciebie nie zostawił. Zabrałbym ciebie i dziecko. Zrobiłbym wszystko, żeby nie doszło do tragedii.

- Kochałam cię. I serce mi się krajało, gdy nas rozdzielono. Tęskniłam do ciebie najpierw pełna żalu, potem z nadzieją, a wreszcie z rozpaczą, bo wolałeś raczej śmierć niż życie. I nadal przedkładasz samotność nad miłość. Jak mogę ci wybaczyć, skoro ty sam sobie nie wybaczasz? Dopóki tego nie zrobisz, oni wciąż będą górą. A Julian i Josephine nie opuszczą tego domu, który powinien być tylko nasz. Wybierz miłość, bo w przeciwnym razie nigdy się od nich nie uwolnimy.

Odwrócił się, otworzył drzwi na taras i wyszedł.

Lena podskoczyła, gdy za jej plecami drzwi z hukiem się zatrzasnęły. Odniosła wrażenie, jakby ktoś bezczelnie się śmiał z cudzego nieszczęścia. Zignorowała to jednak, wyszła na taras i głęboko wciągnęła powietrze.

- Declanie! - zawołała.

Stał przy balustradzie i pochylony obserwował pierwsze oznaki budzącego się dnia.

- Próbuję się zastanowić - powiedział - czy potrzebny mi

egzorcysta, czy psychiatra. A może powinienem rozważyć, czy nie wystąpić w nowej wersji filmu *The Three Faces of Eve**. - Wzruszył ramionami, jakby próbował zrzucić z siebie jakiś irytujący ciężar. - Ale na razie poprzestanę chyba na wypiciu czegoś mocnego. Zrobię sobie koktajl Krwawa Mary**.

Lena ostrożnie się do niego zbliżyła i, kładąc mu rękę na ramieniu, zaproponowała:

- Zrobię ją dla nas obojga.

Uskoczył w bok, nie chcąc, by go dotykała; została z ręką zawieszoną w powietrzu.

- Nie potrzebuję, żeby mnie ktoś pieścił i głaskał. Moje rany jeszcze się nie zablizniły. Myślę, że to ma związek z tym gwałtem i morderstwem. - Wsunął ręce do kieszeni i ruszył schodami na dół.

Odczekała chwilę, chcąc wrócić do równowagi, a potem poszła za nim do kuchni.

- Pozwól, żebym to ja zrobiła krwawą mary, przecież jestem profesjonalistką.

- Sam sobie mogę przygotować tego cholernego drinka. - Wyrwał jej butelkę tak gwałtownie, aż poczuła ból w dłoni.

- W porządku! Zrób sobie sam tego drinka, a przy okazji przemyśl także, jak przeżyć swoje cholerne życie.

Określiła się na pięcie, a kiedy złapał ją za ramię, odwróciła się i waliła na oślep rękami. Rozdając ciosy na lewo i prawo, trzasnęła go otwartą dłonią w policzek. W tym momencie zegar znów zaczął wybijać godziny i drzwi się z hukiem zatrzasknęły. Owionął ich chłód, przenikający do szpiku kości.

- Czy byłaś kiedyś zgwałcona? - nieoczekiwanie spytał Declan.

- Nie! - odparła, wrywając ramię z uścisku.

- Przypuszczalnie nikt cię też nigdy nie zadusił. - Zapominając o dobrych manierach, pociągnął długi haust wprost z butelki. - Pozwól więc, że ci wyjaśnię, iż takie przeżycie wprawia człowieka w naprawdę podły nastrój...

Cały gniew jej minął.

* *The Three Faces of Eve* - film w wersji polskiej miał tytuł *Trzy oblicza Ewy*.

** Krwawa Mary - koktajl składający się głównie z wódki i soku pomidorowego.

- Nie pij w ten sposób, *cher!* Zrobi ci się niedobrze.
- Już mi jest niedobrze. Muszę wziąć prysznic.
- Weź prysznic, a poczujesz się lepiej. Ja tymczasem zaparzę herbatę. Tak, ja! - ucięła krótko, zanim mógł się sprzeciwić. - Może to nas nieco uspokoi.
- Dobrze. Niech będzie! - zgodził się, wstępując na schody.
Lena na chwilę przysiadła, bo nogi wciąż się pod nią uginały. Wyjęła z kieszeni zegarek i wpatrywała się w jego tarczę. Wskazówka sekundowa krążyła w koło, ale czas się nie posuwał. Zegar ciągle pokazywał północ.
Odłożyła go i zabrała się do parzenia herbaty. Po chwili zaniosła ją na górę razem z tostami w kształcie trójkątów. Takie danie szykowała jej babcia, ilekroć w dzieciństwie chorowała.
Declan siedział na łóżku w postrzępionych slipkach. Miał jeszcze mokre włosy i skórę zaczerwienioną od energicznego szorowania pod prysznicem.
- Czy chcesz, żebym sobie poszła? - spytała, stawiając tacę z herbatą obok niego.
- Nie - odparł. Kiedy naląa herbaty do kubka, wziął go i próbował ogrzać sobie ręce... Mimo gorącego prysznica wciąż drżał z zimna. - Leno, ja nie tylko widziałem i pamiętam te straszne sceny, ale je przeżywałem. Czuję strach, ból, przemoc i upokorzenie. W dodatku - jakby to samo nie było już wystarczająco złe - w jakiejś części mojej osobowości nadal pozostawałem sobą, i ta wielka, mocna, męska część mojego „ja” okazała się w tej sytuacji zupełnie bezradna. Mogłem jedynie beczynnie się przyglądać, jak ktoś tę przerażoną kobietę gwałci, a potem dusi. Nie potrafię tego wytłumaczyć.
- Nie musisz, bo i ja czułam podobnie. Nie tak mocno, nie tak wyraźnie jak ty, ale... Kiedy na mnie patrzyłeś - to znaczy, kiedy ona na mnie patrzyła twoimi oczami - czułam jakiś ogromny smutek, straszny żal, a także wielką swoją winę... Ale teraz pij herbatę, kochanie!
Posłusznie uniósł kubek.
- Pyszna herbata, słodka.
- Słodka herbata i tost; to ci dobrze zrobi. - Wpakowała się do jego łóżka, uklękła za nim i zaczęła masować mu plecy.

- Abigail była silniejsza od Luciana. Chociaż jego miękki charakter nie był tak do końca jego winą. Wychowali go na słabeusza. Ale on ją kochał, Declanie. To pewne: nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Nie wiedząc o strasznym losie, jaki spotkał jego żonę, oskarżał siebie o to, że go z nią nie było, że poświęcał jej za mało troski.

- Jednak swoje dziecko opuścił... - powiedział oskarżającym tonem.

- To prawda, tak zrobił... - potwierdziła Lena. - Postąpił zdecydowanie źle. I nie powinien był odbierać sobie życia, gdy miał dziecko; mała została całkiem sama na świecie. Mimo to, a może właśnie dlatego, losy Marie Rose potoczyły się lepiej, niż można było przewidywać. Znalazła się u ludzi, którzy ją kochali i szanowali pamięć jej matki. Miała dobre życie, jakiego nikt by jej nie zapewnił we dworze.

- Ale przecież przysługiwało jej prawo do dziedziczenia po Manetach i Lucian miał obowiązek o to zadbać. Powinna była odziedziczyć ten dom.

Lena przytuliła policzek do twarzy Declana.

- Nie możesz mu jego win wybaczyć, prawda?

- Nie potrafię go zrozumieć.

- Bo mężczyzna taki jak ty nie jest w stanie zrozumieć kogoś takiego jak on. Już prędzej ja potrafiłabym zrozumieć mężczyznę, który wolał uciec z ukochaną kobietą niż przeciwstawić się woli swoich rodziców. Mężczyznę, który potem sprowadził żonę do tego miejsca pełnego wrogości i niechęci do niej, zamiast stworzyć dla nich własny dom. Człowieka, który do tego stopnia czuł się rozbity wewnętrznie, że wolał się utopić niż żyć z zadaną mu raną i wychowywać własne dziecko. Mógł je wychować w miłości i atmosferze zrozumienia, jakich sam nigdy nie zaznał. Lucian nie dorósł do roli, jaką chciał w życiu odegrać, ale myślę, że gdyby został z Abigail, byłby inny. Dlatego nie powinieneś nim gardzić, Declanie, ale raczej się nad nim litować.

- Być może, choć trudno mi się na to zdobyć. Wciąż jeszcze jest we mnie wiele rozpaczki Abigail. - A także, pomyślał, okazała porcja własnych żalów.

- Może chciałbyś się zdrzemnąć?

- Nie sądzę, by mi się udało zasnąć.

- Spróbuj! Muszą teraz się przebrać. - Wyszła z łóżka, wzięła tacę i postawiła obok. - Niedługo wrócę.

Nie próbował jej zatrzymać. Sądził, że będzie lepiej, gdy zostanie sam. Leżał na wznak i patrzył w sufit, słuchając, jak ptaki zaczynają swój poranny śpiew. Abigail złamano, zniszczono jej ciało i duszę - rozpamiętywał. On sam czuł się bardzo podobnie.

Musiał się jednak zdrzemnąć, bo gdy znowu otworzył oczy, słońce stało już wysoko. Wciąż jest jeszcze wcześniej, uznał, ale wkrótce zjawi się tu Pani Generał wraz ze swoim oddziałem tręb powietrznych i szturmem wezmą cały dom za pomocą mioteł, szczotek i Bóg wie czego jeszcze... Być może jednak miejsce to wymaga oczyszczenia. Może trzeba nim mocno wstrząsnąć. Ale dom wciąż jeszcze należy do niego i Declan nie myśli z niego zrezygnować. Bez względu na to, co się zdarzyło i jakie siły tu zamieszkują, on się nie podda. I Bóg mu świadkiem, że ani myśli zrezygnować także z Leny.

Z chmurną miną podniósł się i usiadł na łóżku. Wtedy zobaczył, że na fotelu po drugiej stronie pokoju siedzi Lena. Miała na sobie dzinsy i gładki podkoszulek, a na kolanach trzymała trzy małe bukietiki polnych kwiatów.

- Masz ochotę na małą przejażdżkę? - spytała.
- Chyba tak...
- To włóż koszulę i jakieś buty.
- A dokąd się wybierzemy?
- Powiem ci po drodze.

Lena prowadziła samochód, więc on trzymał bukietiki na kolanach.

- Chciałabym położyć je na grobie Marie Rose - powiedziała, a w duchu dodała: jako głowa rodu i jej ojciec. - Myślałam, że może i ty miałbyś ochotę ją odwiedzić.

Nie odpowiedział.

- Wiem od babci, że Marie Rose miała zwyczaj odwiedzać cmentarz raz w roku na swoje urodziny. Zanosila wtedy kwiaty swemu ojcu. Dziś rano, kiedy poszłam się przebrać, babcia mi powiedziała, gdzie znajdziemy jego grób; potem na bagiennych łąkach zerwałyśmy kwiaty. Ja także chciałabym zanieść je Lucianowi.

- Żeby mu w ten sposób wyrazić swoją litość? - zapytał i wziął jeden bukiet.

- Cóż nam pozostaje, skoro nic lepszego nie możemy zrobić?

- A co z innymi członkami rodziny?

- Marie Rose zносиła także kwiaty swojej matce. Przypuszczam, że musiała choćby po części znać prawdę o jej śmierci. W każdym razie co roku na swoje urodziny szła nad rzekę i rzucała bukietki na wodę. Babcia mi powiedziała, w którym miejscu...

Lena prowadziła samochód dobrze, choć może trochę za szybko. W pewnym miejscu zwolniła i skręciła w stronę cmentarza.

- Wiem, że ciągle jesteś zły na Luciana i na mnie. Więc jeśli nie chcesz się do mnie przyłączyć, to zaczekaj w samochodzie. Nie będę miała o to pretensji.

- Dlaczego to robisz?

- Bo Lucian jest częścią mnie. Głównie przez związki krwi, ale nie tylko. Gdybym mogła znaleźć jakiś sposób na zaakceptowanie tej, która mnie urodziła, i gdybym potrafiła z tym żyć, wtedy mogłabym może znaleźć też sposób na zaakceptowanie całej reszty.

Zatrzymała samochód i wzięła dwa bukietki.

- To niedaleko stąd. Nie zajmie mi zbyt wiele czasu.

- Pójdę z tobą. - Wysiadł z samochodu, ale nie zrobił tego, do czego ona już zdążyła przywyknąć: nie wziął jej za rękę.

Weszli na kręte ścieżki wijące się między grobami, mijali ozdobne kraty, marmurowe anioły; chodzili po cieniach rzuconych przez krzyże.

Po chwili Lena zatrzymała się przed jednym z licznych prostych i nieozdobionych grobowców. Tu spoczywał jej dziadek, a także inni krewni. Ale dziś przyszła tu tylko dla jednej osoby.

Wzięła bukiet polnych kwiatów i przeczytała: Marie Rose. Krew z mojej krwi, serce mego serca - pomyślała.

- Babcia mi powiedziała, że Marie Rose miała dobre życie, była szczęśliwą kobietą. To może za mało, by zrehabilitować krzywdę, jaką jej wyrządzono, ale gdyby stało się inaczej, wtedy nie byłabym tu dzisiaj z tobą... - Zaczęła układać kwia-

ty, a Declan położył dłoń na jej ręce i w ten sposób razem złożyli bukiet na grobie tej, która symbolizowała trzy pokolenia kobiet jej rodu.

- Lucian leży daleko stąd - wydukała Lena z trudem. Głos miała ochrypły i wzrok zamglony od łez.

Zawrócili i w milczeniu szli ścieżkami prowadzącymi przez miejsca nasłonecznione i leżące w cieniu grobowców.

Mauzoleum rodziny Manetów było wyniosłą, kwadratową budowlą, z rzeźbionymi portykami i ciężkimi, grubymi drzwiami, nabitymi ozdobnymi gwoździami. Wieńczył je anioł trzymający w ręku harfę, jak żołnierz tarczę.

- Jedno jest pewne - stwierdził z satysfakcją Declan - że dla żadnego z nich śmierć nie była łaskawa. - Gdy tak stał, rozglądając się dookoła, zauważył w niedużej odległości prostą skrzynię z cementu, ustawioną na lekko uniesionej płycie. Na tabliczce był napis: LUCIAN EDUARD MANET 1874-1900.

- On leży tu, a nie w mauzoleum?

- Nie chciano mu wybaczyć - wyjaśniła Lena - ani małżeństwa, ani dziecka, ani kompromitującej śmierci. Nazwali ją przypadkowym zatonięciem, mimo iż każdy wiedział, że to było samobójstwo. Ale chociaż Josephine nie życzyła sobie, by leżał w rodzinnym grobowcu, to chciała, żeby został pochowany w poświęconej ziemi. Obawiała się bowiem nowego skandalu.

Declan raz jeszcze spojrzął na mauzoleum, a potem na skromny grób Luciana.

- Suka! - rzucił za złością.

- W przeciwieństwie do mnie Lucian nie miał dziadków, którzy by go kochali - mówiła ze smutkiem Lena - i łagodzili bolesne ciosy, jakich mu nie szczędziło życie. Miał brata bliźniaka, który go nienawidził tylko dlatego, że żył... Miał pieniądze, pozycję, wykształcenie i przywileje, ale nikt mu nie okazywał miłości. Obdarzyła go nią dopiero Abigail, lecz szybko mu ją zabrali... - Złożyła kwiaty na grobie. - Biedak starał się, jak mógł, ale to po prostu było za mało.

- Jesteś od niego silniejsza, mądrzejsza i bardziej dynamiczna.

- Mam taką nadzieję i wierzę, że może już wkrótce Lucian

znajdzie spokój. Kwiaty nic przetrwają długo, na słońcu, ale każdy robi, co może... - Odeszła od grobu bez słowa. Declan pozostał chwilę dłużej, patrzył na napis, potem na kwiaty. Wreszcie, działając pod wpływem impulsu, wyjął z bukietu jeden kwiat i położył go na cementowym grobie.

- To było miłe z twojej strony - powiedziała Lena i włożyła okulary przeciwsłoneczne, bo jej oczy zaszyły łzami.

- No, tak... każdy się stara, jak może - mruknął i wziął ją za rękę.

W drodze powrotnej nie rozmawiali. A kiedy Lena zaparkowała przed domem babci, ani Rufus, ani Odette nie wyszli ich powitać. Udali się nad rzekę. Declan nadal milczał, gdy Lena ostrożnie prowadziła go ścieżką przez bagna. Zadumał się nad tamtą drogą odbywaną nocą, gdy powietrze zionęło chłodem, zmieniało się światło księżyca, hukła sowa i słychać było dyszące oddechy zbrodniarza i jego współniczki.

- Może chcesz wrócić? Jesteś strasznie blady - zaniepokoiła się Lena.

- Nie! - Pot ściekał mu po plecach, a jednocześnie czuł chłód pod skórą. - Chcę tam pójść z potrzeby serca...

- Już niedaleko.

Po obu stronach wąskiej, ubitej dróżki rosły bagienne kwiaty. Declan skoncentrował się na ich kolorach, na ich skromnej urodzie. Kiedy w końcu Lena zatrzymała się nad brzegiem rzeki, zabrakło mu tchu i miał zawroty głowy.

- Tak - powiedział. - To było tutaj. Dokładnie w tym miejscu.

- Wiem. Marie Rose tu właśnie przychodziła z kwiatami. Serce jej zdradziło, gdzie to jest. - Tym razem Lena wręczyła bukiet Declanowi, a sama wyjęła tylko jeden kwiat.

Declan rzucił bukiet do rzeki i patrzył, jak te małe, urocze kwiatki płyną, niesione brązową bagienną wodą.

- Nie każdemu jest dane kłaść kwiaty na własnym grobie - zauważył.

- Tak mi przykro - szepnęła Lena. Łzy spływały jej po policzkach. - Tak bardzo mi przykro... - Uklękła i rzuciła kwiat w miejsce, skąd mógł się unosić na wodzie. - Tak mi przykro, że zadałam ci ból - mówiła, płacząc.

- Przestań się kajać! - Podniósł ją z klęczek i wziął w ramiona. - Wszystko w porządku!

- Lucian nie ufał żonie. Ja też jestem nieufna. Zbyt wiele smutku i za mało wiary. Wtedy i teraz.
- Wystarczy tego smutku. I wtedy, i teraz. - Uniósł jej twarz i głośno powiedział to, co dojrzywało w nim od chwili, gdy zanieśli kwiaty Marie Rose. Powiedział w imieniu swoim i w imieniu Abigail:
- Przebaczam ci!
- Jesteś bardziej od niej skłonny przebaczać.
- Możliwe, i kto wie, czy nie dlatego wciąż do tej sprawy wracamy. Dzięki temu mamy szansę naprawić to, cośmy zepsuli.
- Albo jeszcze raz popełnić te same błędy... Mam coś, co chciałabym ci dać, ale nie teraz, dopiero gdy wrócimy do twojego domu. Tam jest właściwe miejsce, by ci to wręczyć.
- Dobrze - zgodził się i pocałował ją w rękę. - Wracamy?
- Myślę, że tak. Proponuję, żebyśmy szli powoli, spacerkiem, w ten sposób lepiej zapamiętamy drogę.
- Świetny pomysł.
- Chciałabym cię jeszcze o coś prosić i będę wdzięczna, jeśli mi w tym pomożesz. Myślę o umieszczeniu trzech płyt pamiątkowych w pobliżu stawu: dla Luciana, Abby i Marie Rose. Nadszedł chyba czas, by wszyscy troje spotkali się w jednym miejscu.
- A ja sądzę, że oni są już razem. - Albo wkrótce będą - pomyślał, ponieważ poczuł lekkość w sercu, jakiej już od dawna nie czuł i nawet się nie spodziewał, że może mu się to kiedyś przydarzyć. - Ale płyty będą miłym wyrazem naszej pamięci o zmarłych. Wyszukamy dla nich odpowiednie miejsce, a potem coś tam jeszcze zasadzimy.
- Może wierzbę?
- Jak ta, którą Abby tak bardzo lubiła. Wiesz, czasem ludzie przywracają rzeczy na ich stare miejsca, a czasem je zmieniają. My zrobimy i jedno, i drugie. Gdy przyjdą na świat nasze dzieci, będziemy mogli urządzać im tutaj pikniki i opowiadać im o starych dziejach. - Czekał na jakąś gwałtowną reakcję z jej strony. - Nie mówisz mi, że bym się zamknął? To dziwne!
- Już mnie po prostu zmęczyłeś, *cher!* Ale popatrz! Wygląda, że twój „oddział porządkowy” właśnie się tutaj zjawił.

Rozejrzał się dookoła i skrzywił na widok samochodów.

- Ale będzie heca! Wiesz, co zrobimy? Wsłizniemy się do domu frontowymi drzwiami i zamkniemy w mojej sypialni. Mam dziwne uczucie, że mógłbym spać i spać, nawet przez cały tydzień.

- Pomysł z sypialnią bardzo by mi się podobał, gdyby nie to, że mam tylko godzinę wolną. Potem muszę iść do pracy.

- Godzina mi wystarczy - odparł. - Cicho! - szepnął i przyłożył palec do ust, kiedy skradali się do góry schodami. - Czy zdarzyło ci się kiedyś tarzać nago na łóżku, kiedy za drzwiami twojej sypialni gromada kobiet skrobie podłogi?

- Nie i nie mam tego w planie na dzisiejsze rano.

- Psujesz zabawę!

- Nie, Declanie! Zostaw drzwi otwarte! Nie! Po prostu wytrzymaj !

- To właśnie robię - powiedział i otoczył ją ramionami. - Wytrzymuję!!! T Boże, jakie to wspaniałe uczucie! Tak mi ciebie brakowało - mrucał, zdając sobie sprawę, że w tym objęciu uczestniczyła również Abby. - Koło się zamknęło, pomyślał, ale tym razem już się nie przerwie. A Josephine przegrywa, uświadomił sobie nagle, sprawa wymyka jej się z rąk.

- Chcę ci coś powiedzieć - zaczęła Lena.

- Dość już mam gadania! - odparował i złożył na jej ustach delikatny, wspaniały pocałunek. - Połóż się przy mnie, Leno! Proszę! Tylko się połóż, nic więcej! Naprawdę brakowało mi ciebie.

- Nie, to, co mam zrobić, muszę zrobić na stojąco. - Odsunęła się nieco i stała w słonecznej plamie światła. - Do tej pory robiłam wszystko po swojemu i świetnie mi szło. Natomiast ty wszystko komplikujesz i gmatwasz. I irytujesz mnie. Wywracasz moje życie do góry nogami przez to swoje nieustanne gadanie o tym, co było, co jest i co być może. Tymczasem ja nie dbam i nigdy nie dbałam o to, co może być...

- A o to, co będzie na pewno, dbasz?

- Ach, znów ten twój rzeczowy, praktyczny sposób mówienia! Bardzo go u ciebie lubię. Tyle rzeczy w tobie lubię, nawet kocham, że już straciłam rachubę... Chyba więc już na dobre przyłgnę do tego cholernie bogatego Jankesa.

Rozpierała go radość, która ujawniła się w promiennym uśmiechu i triumfalnym okrzyku:

- Angelino!

- Zaczekaj! Jeszcze nie skończyłam! - Westchnęła i na chwilę przerwała, by się uspokoić. - Mam wielu przyjaciół, którym na mnie zależy. Może nawet mnie kochają, ale jak przyjaciele. Dla dziadka byłam światłem jego życia. Mam babcię. Nikt jednak nigdy nie kochał mnie tak jak ty. Najzabawniejsze jest to, że ja też nigdy nie kochałam nikogo tak, jak kocham ciebie. A więc...

Podniosła ramiona, rozpięła łańcuszek na szyi i trzymała go przed nim, a mały srebrny kluczyk kołysał się na łańcuszku.

- Kluczyk jest teraz twój i chyba był nim już od pewnego czasu... A tak naprawdę, to ty jesteś kluczem, *cher*. I zawsze nim byłeś.

Wziął kluczyk i ku jej uciesze zawiesił go sobie na szyi.

- Uczynię cię bardzo szczęśliwą, zobaczysz!

- A więc, do cholery, lepiej to zrób! Mamy się pobrać czy co?

- Lepiej, żebyś w to uwierzyła - zażartował. Śmiejąc się, uniósł ją i parę razy okręcił się z nią dookoła. - Powiedz, czy ty to czujesz.

- Co mam czuć? Kręci mi się w głowie.

- Czy czujesz, że ten dom jest teraz nasz, tylko nasz? - Postawił ją na podłodze. - Nie ma tu już żadnych duchów. Nikt poza nami nie żyje w tym domu, a my dopiero zaczynamy.

Otoczyła go ramionami i pocałowała w usta.

- Witaj w domu!

Wciąż mocno do niego przytulona, wyciągnęła zegarek, odwróciła tarczą do góry i oboje patrzyli, jak się wypełnia czas.